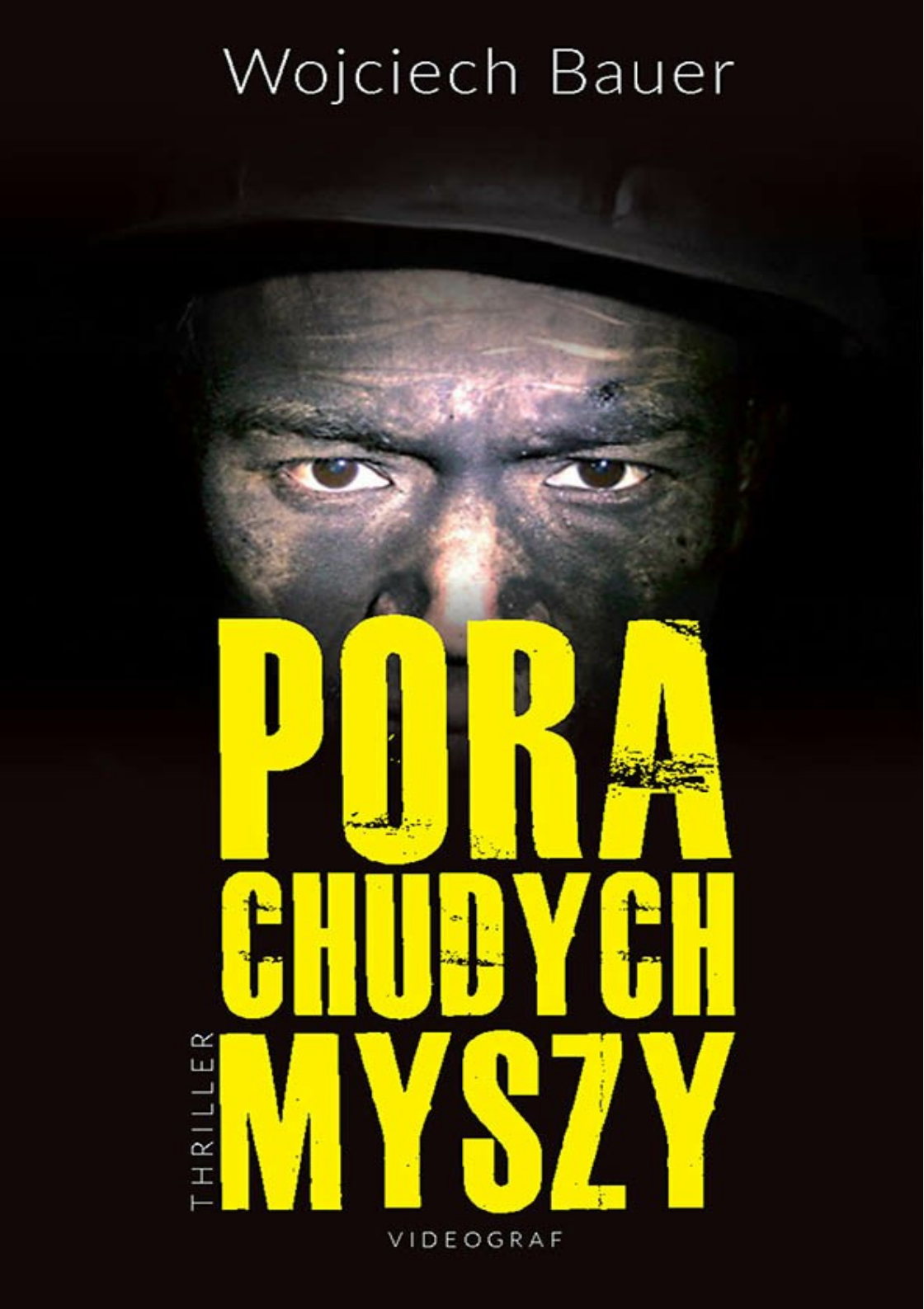


Wojciech Bauer



**PORA
CHUDYCH
MYSZY**

THRILLER

VIDEOGRAF

Wojciech Bauer

**PORA
CHUDYCH
MYSZY**

V I D E O G R A F

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2015
tekst © Wojciech Bauer

Redakcja
Anna Seweryn-Sakiewicz

Projekt okładki
© Pracownia WV

Redakcja techniczna
Grzegorz Bociek

Korekta
Urszula Bańcerk

Wydanie I, Chorzów 2016

skan i opracowanie elektroniczne
lesiojot

Wydawca:
Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c
tel. 32-348-31-33

ISBN 978-83-7835-460-4

Eli

prolog

Suche sznitki

Widziałem ją. Wędrowała w ciemności, w stożku światła z lampki na piersiach, a przed nią zza zasięgu blasku wylaśniały się stalowe kręgi obudowy, niczym żebra gigantycznego węża. Mijała je metr po metrze; znikwały tuż za nią w głębokim, nieskończenie czarnym mroku bez cieni, trafiały w bezświatl-ny niebyt, jakby nigdy nie istniały. Cicho, z rzadka pluskała woda. Na ociosie wytrącały się z niej zielonkawe sole i tworzyły małe zaczątki stalaktytów, ozdabiając wisiorami betonowe okładziny, zamki i stropnice. W plecy wiał jednostajny wiatr, dmuchał w kucyk, niedbale wetknięty pod hełm i wymykający się spod niego niczym lisia kitka, omiatał włosami policzki. Poza tym pluskiem żaden inny miejscowy odgłos nie mącił ciszy, tylko jej gumiaki mlaskały w rozmięklej glinie pomiędzy podkładami toru kolejki dźwiękiem obcym, nie stąd. Miała poczucie, że mącąc złudzenie wiecznego milczenia, jest tu natrętem, że przekop pozbyłby się jej, gdyby tylko mógł. Głos kroków brzmiał blisko i głucho, jakby nie sięgał dalej, poza krąg jej lokalnej strefy słuchu. Minęła wnękę kołowrotu z mrugającą i burczącą jarzeniówką i ten wtęret

obcego światła i dźwięku dodał jej otuchy, był przybyszem z powierzchni, gościem równie tu niechcianym jak ona.

Na imię miała Franciszka. Franka kazała na siebie mówić i przedstawiała się Franka, nawet oficjalnie. Franka Kulok, magister inżynier górnik, specjalność: eksploatacja złóż. Nie lubiła swego imienia i zdrobnienie miało tę niechęć neutralizować. Łagodziło ją tylko, a i to nieznacznie, ale dawało poczucie, że coś w tej materii robi. Bo co to za imię dla współczesnej dziewczyny: Franciszka? To ojciec, to jego sprawka, według relacji mamy uparł się, żeby miała imię po dziadku. Miał je co prawda dziedziczyć syn, ale skoro nie wyszło... Potem, na AGH, „Franka Kulok” brzmiało całkiem dobrze, niczym nazwisko kreatorki mody albo modelki. Nie to, co w jej rodzinnych Jankowicach, na podwórku familoka z czerwonej cegły, gdzie co druga koleżanka była Baśka, a co trzecia Monika. Franciszka w tym otoczeniu brzmiała jak echo sprzed wojny; byłaby zwyczajna wśród tradycyjnych śląskich Trudek, Tekli i Michć, lecz ich już prawie nie ma, zaś spomiędzy współczesnych, łubianych w jej stronach Natek i Andżelik wystawała niczym raróg spomiędzy wróbli. Ale Kraków przemknął przez jej życie niczym sen i dziś znów była dziuszką z Jankowie o staroświeckim imieniu, na dodatek sztajngrem w spódnicy, czyli dziwadłem wśród męskiej dołowej załogi kopalni. Jakby tego imienia było mało.

Sztajngrem została jednak na własne życzenie i aby je spełnić, musiała przełamać wiele barier, tkwiących w głowach jej przyszłych przełożonych. Dziewczyn na górnictwie studiowało sporo, jednak większość na kierunkach

powierzchniowych; na eksploatacji czy budownictwie górniczym było ich kilka, lecz takie, które po studiach trafiały na dół, do zawodu, którego się uczyły, można było zliczyć na palcach jednej ręki. I jeszcze sporo by wolnych palców zostało. Franka jednak chciała. Nie widziała się w biurze projektów czy naziemnej obsłudze ruchu, nie chciała zostać referentką ani tym bardziej nauczycielką. Kopalnia, dół, istniały w jej domu zawsze, były nieodłącznym składnikiem rozmów i myśli, integralną częścią życia rodziny Kuloków, w której górnikami byli wszyscy mężczyźni od najdawniejszych pamiętanych czasów. No właśnie, mężczyźni. Chyba podświadomie czuła się Franka winna temu, że nie jest chłopcem. Wtedy wszystko byłoby proste. Zawiódł się jednak ojciec i syn mu nie wyszedł, jeszcze więc w liceum Franka postanowiła, że mu syna zastąpi i zostanie górnikiem. Stąd to AGH po maturze i ta egzotyczna dla kobiety specjalność.

Gdy z dyplomem w rękę zjawiała się w kadrach na Gertrudzie, pani kadrowa przyjęła ją herbatką, a potem roztoczyła piękne perspektywy pracy w przykopalnianym biurze konstrukcyjnym lub w planowaniu, gdzie stażystka miałaby spokój i miłe koleżanki, słońko za oknem z widokiem na skwer – w konstrukcyjnym lub trochę gorszym – na starą hałdę, ale też zieloną, gdyby jednak u konstruktorów nie chciała. Kiedy Franka zdradziła jej swoje oczekiwania, pani kadrowa najpierw zaniemówiła, potem popatrzyła dziwnie i wreszcie oficjalnym tonem, za którym kryło się wyraźne rozczarowanie z powodu zlekceważenia jej starań w kwestii znalezienia tej nowej przytulnego biurka i

niestresującej pracy, oznajmiła, że w takim wypadku decyzję musi podjąć dyrektor, czeka więc ją z nim rozmowa, ale niech sobie nie robi nadmiernej nadziei, bo kobiet na dół nie przyjmują.

Na rozmowę musiała poczekać trzy godziny, bowiem dyrektor był na dole i z powodu jej fanaberii nie zamierzał skrać objazdu. Spędziła ten czas na twardej ławce w korytarzu przed sekretariatem, gdzie w oczekiwaniu audiencji przeczytała wszystkie plakaty bhp na ścianach i wszystkie ogłoszenia na związkowej tablicy. Trzy razy. W przerwach między czytaniem policzyła wszystkie grudki na ścianie naprzeciwko i obrysowała paznokciem wszystkie słoje na oparciu ławki, nie dbając już, że się jej świeżo położony lakier zetrze. Raz pobiegła do toalety, cała w nerwach, że w międzyczasie dyrektor wróci, jej nie zastanie i z rozmowy nici. Na szczęście nie wrócił, lecz więcej nie ryzykowała. Trzy przeraźliwie długie, nudne godziny siedziała kamieniem, od czasu do czasu robiąc tylko wzdłuż korytarza rundkę dla rozprostowania zastałych kości, by poczytać o bezpieczeństwie pracy, zabój czym charakterze metanu i dofinansowaniu wczasów pracowniczych.

- Pani do mnie?

Zaskoczył ją głos za plecami, gdy po raz kolejny przyglądała się mentorsko wzniesionemu palcowi dziarskiego górnika na plakacie. Odwróciła się. Stał przed nią niewysoki blondyn z mokrymi włosami, ubrany w stalowoszarą służbową marynarkę z wężykami wyższej szarży górniczej na patkach.

- Do... pana dyrektora... - bąknęła niepewnie.

- Czyli do mnie. - Blondyn kiwnął mokrą głową. Widząc, że przygląda się jego włosom, przeciągnął po nich dłonią i wyjaśnił: - Nie lubię suszarki. Łysieję od niej.

Uśmiechnęła się.

- Nie widać.

- Dobra, dobra, nie musi się pani podlizywać, pani inżynier. - Też się uśmiechnął. - Kadrowa dzwoniła na podszybie - dodał, widząc jej zdziwienie, że wie, kto ona. - Proszę do mnie, niech pani wejdzie, zaraz dołączę.

Poprowadził ją przez sekretariat, rzucając pulchnej kobiecie za biurkiem:

- Pani Steniu, zrobi pani nam coś do picia. Dla mnie herbata, a dla pani inżynier? - zwrócił się do Franki, idącej za nim jak trusia.

- Kawa może... - pisnęła cicho, trochę onieśmielona szybkością rozwoju wypadków.

- Kawa może - powtórzył dyrektor w stronę sekretarki i otworzył przed Franką drzwi gabinetu. - Pani siądzie, zaraz wracam.

Drzwi zamknęły się i Franka została sama w głębokim klubowym fotelu. Rozglądała się po ścianach, obwieszonych jakimiś dyplomami, nieczytelnymi z jej miejsca, oraz górniczą szpadą skrzyżowaną z wojskową paradną szablą, przyglądała się ciężkim, ciemnym meblom przyozdobionym rzeźbami z węgla i z czegoś szkliscie szarego, jak się domyślała - z soli, potem długowłosemu wzorzystemu dywanowi z perskim motywem pośrodku. Ze wszystkich kątów wyzierało dostojęństwo z domieszką wielkoprzemysłowego kiczu, jak to w dyrektorskich gabinetach bywa. Nie widziała ich co

prawda zbyt wielu, a i te przeważnie na filmach, ale ten pasował do jej wyobrażeń.

Weszła pani Stenia z kawą, postawiła przed nią i wyszła, zamykając cicho drzwi.

Przyszedł po paru minutach, usiadł za biurkiem naprzeciw niej i z rozmachem prasnął o blat szarą teczką. Coś w niej musiało być niemiłego, bo minę miał przy tym zde gustowana. Popatrzył przez chwilę na dokumenty, a potem machnął ręką i odsunął je od siebie.

- I co powiesz, dziouiszka? - rzucił w jej kierunku. - Na dół byś chcioła, ja?

- Ja... - machinalnie włączyła gwara. Tak to z tym było, zagajenie po Śląsku Ślązakowi, choćby nie wiem jaką literacką polszczyznę mówił na co dzień, od razu przerzucało mentalną wajchę na śląski. - Jo górniczy kończyłach, z górniczego domu jest zech i bych chcioła...

- Ja, rozumia. - Dyrektor kiwnął głową. - Z kierych stron żeś jest?

- Z Jankowie.

- Z Jankowie? A z kierych? Spod Rybnika może?

- Spod Rybnika. - Kiwnęła głową.

- Wejrziej, a jo z Przegędzy. Somsiad bez mała. Ale wiesz, dzioucha, że na dole praca nielekko i dżentelmenów mała. Babie ciężko bydzie.

- Panie dyrektorze, jo nawet nie godom, zech prachtyki na dole mioła i razem z chłopokami z grupy bez taryfy ulgowej ba- kałach hercową przy odwadnianiu. Ale joch jest z rylskiej rodziny, ociec strzałowym był na grubie, w rodzinie jeszcze trzech innych górników, a ujek, bracik od mamy, za

nadsztygara na Rydułtowach dwadzieścia już lat robi. Jo wiem, co to gruba.

- Hm... - Dyrektor wstał i z zastanowieniem popatrzył na nią z góry. Pod tym ciężkim spojrzeniem poczuła się jakby mniejsza. - Mogymy spróbować... Ale nie na wydobytcie - przyhamował jej radość. - Ani na przygotówki. To za trudne. Na razie do wentylacji pójdiesz. Też dół, ale lżejszy i kopalnia lepiej poznosz. Może być?

Kiwnęła głową.

- Może.

- No dobrze. Jutro o wpół do szóstej w dziale wentylacji, u inżyniera Mrożka. Witamy na pokładzie, pani inżynier. A teraz proszę dopić kawę i opowiedzieć mi coś o Jankowicach. Gołębie ociec hoduje?

Zaczęła mówić, ale chyba nie bardzo słuchał, zagłębiwszy się w papierach z przyniesionej szarej teczki. Łyknęła więc trochę tej kawy i pożegnała się, nie zwracając uwagi, że nie odpowiedział, machnąwszy tylko ręką na pożegnanie. Wybiegła cała w uśmiechach i aż się od jej uśmiechu pani Steni udzieliło, bo jej szczęścia w nowej pracy życzyła na odchodne, czego raczej nie miała w zwyczaju.

To było pół roku temu. Od tamtego czasu nadgómik Franka Kulok dozorowała prace w wyrobiskach wentylacyjnych, kontrolowała skład powietrza i zawartość w nim metanu i chodziła na objazdy, w tym takie jak ten dzisiejszy, niedzielne, gdy kopalnia stoi, nieliczni tylko mechanicy i elektrycy siedzą na dyżurach, a ona, oraz kilku jeszcze innych sztygarów, sprawdza stan wyrobisk, aby w poniedziałek robota mogła ruszyć bez przeszkód. Przyjęto ją

dobrze, trochę dokuczali koledzy sztygarzy, ale bez złości, a brygady górnicze na wentylacji składały się z nieco bardziej ucywilizowanych przedstawicieli ludzkiego gatunku niż te z pierwszej linii ruchu, więc nie bardzo odczuła konsekwencje swej niezwykłości wśród specyficznego składu górniczej załogi. Ludzie się nawet bardziej pilnowali z używaniem klasycznej górniczej łaciny, przynajmniej na początku, dopóki nie stwierdzili, że ona też umie rzucić grubym słowem i pojechać wiązańką, aż się z butów zadymi. Wiedziała, że tak trzeba, że bez tego trudno jej będzie wzbudzić autentyczny szacunek. Ale i tak na jej zmianie język górniczej wentylacyjnej braci bliższy był salonowemu niż średnia statystyczna.

Dzisiaj popełniła wykroczenie, wcale niebłahe. Ale też i nie pierwsze, ani nie była jedyną, która takie popełnia. Była sama. Przepisy wymagały, żeby sztygar na objeździe miał towarzysza, pomocnika, co było uzasadnione względami nie tyle wynikającymi z dość nielicznych obowiązków, co bezpieczeństwa. Pomocnika jednak trzeba sobie było zwerbować samemu spośród robotników, co nie zawsze było łatwe, ludzie niechętnie przychodzili w wolne do pracy, nawet za dodatkowe pieniądze. Bywało więc, że się nie udało i pracownik dozoru, zwłaszcza młody i o wątpliwym jeszcze autorytecie, jechał sam, nakłamał wcześniej dyspozytorowi. Jak dotąd nikomu nigdy nic się nie stało, co sprzyjało rozluźnieniu dyscypliny i przymykaniu oka przez przełożonych. Bo wiedzieli, mając w pamięci własne takie ekscesy w początkach kariery.

Mówiąc szczerze, Franka nie czuła dyskomfortu z powodu

samotności. Wołała być sama, wołała posłuchać tej ciszy, w której każda kropla dźwięczy niczym serce dzwonu, każdy podmuch przeciagu huczy zapowiedzią tajfunu, górotwór za obudową chodnika niekiedy skrzypi i trzaska, jak gdyby gadał pierwotną jakąś gwarą z czasów, kiedy kosmos ledwie się w kule planet wiązał, gdy z tąpnięciem zaciskają się zamki, prosząc rdza-wo-wapiennym pyłem na głowę przechodzącego, a na ścianach w zawale rozlega się z rzadka rumor opadających skał. Jeśli byłby tu z nią towarzysz, musiałaby o czymś rozmawiać, słuchać żartów i opowieści, które w ogóle jej nie obchodziły, i czuć się zobowiązana do opowiadania o byle czym, gdy nie miała na to ochoty. Szliby tylko, z utęsknieniem oczekując końca objazdu, gdy ich wreszcie szola wyniesie ku światłu, gdy się umyją, przebiorą i pojedą do domu, skorzystać z tej niewielkiej resztki niedzieli, jaka im została. W samotności tego oczekiwania na koniec wędrówki było mniej, więcej czuła potrzeby przeżycia teraźniejszości, mrok był przyjaźniejszy i więcej miał do zaoferowania. Co nie oznacza, że był przyjazny. Poczucie obcości w tym świecie towarzyszyło jej zawsze, potęgując się w samotności. Ale lubiła je przewycięzać. Czuła się poniekąd zdobywcą, jakby ujarzmiła za każdym weń wejściem niechętną czerń. Rozcinała ją ostrym biczem światła i czerń rozstępowała się przed nią, posłuszna, choć nieuległa. Franka wiedziała, że za nią nie ma już widzialnego świata; nie lubiła odwracać się bez skierowania wstecz lampy, wołała pozostać w złudzeniu otaczającej ją jasności. Była to jasność iluzoryczna, wymyślona i nieprawdziwa, światła bowiem było tylko tyle, ile zdołał wyprodukować

akumulator, i tyle, w jak szeroki stożek uformował je odbłask górniczego reflektorka. Poza tym światła nie było. Był mrok, bo kopalnia jest ojczyzną mroku.

Kilkanaście kroków przed sobą zobaczyła skrzyżowanie. Z przekopu odgałęział się tu w prawo chodnik podścianowy w pokładzie 407, którym miała dojść do miejsca, gdzie w tygodniu fedrował oddział III. Szła od dołu, bo na podszybiu poziom wyżej trwały prace remontowe i musiała zjechać na niższy. To oznaczało, że przez ścianę będzie musiała wspinać się pod górę, a potem wyjść jeszcze dowiecznią na poziom 200, żeby obejrzeć stan otamowania wokół dawnej strefy pożarowej, gdzie dwa lata temu walczono z ogniem. Dziś dawno było po wszystkim, wyrobiska odcięte, a za tamami spokój, ale sprawdzić było trzeba. Lepiej chuchać na zimne, z ogniem w kopalni żartów nie ma.

Doszła do rozwidlenia. Naprzeciw wlotu znajdowało się stanowisko obsługi ładowni. Przysiadła na drewnianej ławeczce obok kołowrotu, wyjęła kanapkę i butelkę coli. Czowała zmęczenie. Tutejsza ściana była już drugą dziś, a jeszcze tyle drogi przed nią. Bolały ją trochę nogi i piekła obtarta w gumowcu pięta. Zdjęła but, rozprostowała zwiniętą skarpetę. Jadła, siedząc bosko, popijała ciepłą colą każdy kęs (sznitka była z czerstwego chleba, do tego z żółtym serem, zatykała). Janek robił, chłopak, z którym mieszkała. „Nie postarał się za bardzo” – stwierdziła, wbijając zęby w suchą kromkę. Znali się ze studiów, razem prowadzili gospodarstwo w wynajętym mieszkaniu w Zabrze. Janek pracował w elektrycznym na Makoszowach, dziś miał wolne, starał się więc pomóc tym śniadaniem. Doceniała. Jednak

zrozumienie smaku nie poprawiało. W ogóle nie lubiła jeść na dole, nie smakowało jej. Z rozsądku brała, łykanie pyłu na czczo nie robiło dobrze na żołądek, parę lat i wrzody pewne. Ugryzła jeszcze raz, pomamlała, popiła, ugryzła drugi. Popiła. Schowała niedojedzoną sznitę do chlebaka, zakręciła i schowała niedo- pitą colę. Później zje.

Powoli założyła but. Nie chciało się jej iść dalej, chętnie by wróciła pod szyb. Z westchnieniem wstała z ławeczki, poprawiła kask, przypięła mocniej lampę do koalicyjki, przesunęła akumulator na pośladek. Podniosła benzynkę za hak, sprawdziła płomień. Takie stare urządzenie, a ciągle przydatne. Lampy Davy'ego powszechnie stosowano do sprawdzania jakości powietrza, mimo że coraz częściej próbowano zastąpić je elektroniką. Jednak co ogień, to ogień, pewny jest. „No i chyba koszty to też sprawa niebagatelna” - pomyślała. Prosta lampa z knotem kosztowała zapewne najwyżej dziesięć procent ceny najprostszego elektronicznego urządzenia pomiarowego. W codziennym użytku wciąż więc była niezastąpiona.

Podeszła do telefonu, wybrała numer i zameldowała się dyspozytorowi. Posłuchała jego znudzonego głosu, po czym odłożyła słuchawkę. Nawet nie zakodowała, co tam do niej mówił. Na pewno nic ważnego, każdy, kto w telefonie z dołu usłyszał kobiecy głos, w pierwszej kolejności czuł się w obowiązku prawić jakieś dyrdymało watę komplementy. Przepisnęła się między wozami pod przesypem i zagłębiła w mrok chodnika. Było tu ciasno, znacznie ciaśniej niż na przekopie. Większość prześwitu zajmował przenośnik do transportu węgla, z jego prawej strony było tylko dość wąskie

przejście dla ludzi, blisko ociosu, szła więc pod samą obudową, często schylona, gdy robiło się bardziej wąsko. I dopiero tu była prawdziwa ciemność. Na przekopie od czasu do czasu świeciły jakieś lampy, na ładowni w ogóle było jasno jak w biurze; tu od pierwszego zakrętu weszła w smolistą, mokrą czern.

Wszędzie królowała wilgoć. Wilgoć kropliła się na ociosie gęstymi kroplami, przez co wyglądał jak spocony, wilgoć ciurkała strumykami tu i ówdzie zza okładzin obudowy, tworząc na spągu grząskie kałuże, wilgoć mlaskała pod podszwami kaloszy, bo na całej długości chodnika przejście było jedną rozdeptaną, mlaskliwą breją. Mlaskała w niej krok za krokiem, pochylona, wspinając się pod niewielką, lecz niekończącą się, długą pochyłość. Męczyła; Franka dziesięć razy bardziej wolałaby strome, ale krótkie wzniesienie od takiego mozolnego brnięcia lekko pod górę, do tego po kostki w błocie. Od dłuższego czasu sapała jak parowóz, słuchając siorbania wyciąganych z mazi butów, które chodnik powtarzał lekko opóźnionym echem.

Przystanąła na chwilę przy przesywie kolejnej taśmy, aby odpocząć. I w tym momencie, w sekundzie, gdy z monotonnego ruchu przechodziła w stan zatrzymania, coś zwróciło jej uwagę. Jakiś nienaturalny wtręt w głąsę podziemi i cichy głos wody. Ten dźwięk, który towarzyszył jej niemal od początku, od chwili gdy zagłębiła się w czeluść podścianowego, owo - jak myślała - echo jej człapania, powtarzające je w ułamek chwili po tym, gdy się stało, teraz, kiedy znieruchomiła, trwało o kilka chwil za długo, dublując kroki, których już nie było. Echo nieistniejących

kroków... Dwa, trzy... I cisza.

E, zdawało jej się. Nie zdawało? Ktoś za nią szedł? Ktoś, kto starannie trafiał odgłosem swoich kroków w jej kroki, nie chciał, by go słyszano? I teraz, gdy się zniecka zatrzymała, spóźnił się o te dwa nieopatrznie postawione...?

Bzdura. Poświeciła lampą wstecz, za siebie. Nic, poza zasięgiem białego światła smoliła się mglista ciemność, błyszcząca brylantowymi refleksami setek malutkich odbić w kropkach wody. Nikogo, bo i kto miałby tu łązić w świętą niedzielę, zamiast iść z rodziną na mszę albo spać do południa, odsypiając całotygodniowe zaległości. Urojenia jakieś. Strachy. Ciemność zawsze ma w sobie organiczne strachy, które wyłażą z niej, generowane seryjnie przez spanikowaną mrokiem wyobraźnię. Ale kopalnia to nie jest żadna tajemnicza otchłań wypełniona przedwieczną nocą z przedwiecznymi upiorami, tylko zakład pracy, pełen maszyn, prądu, myśli technicznej i gonitwy za pieniądzem. Gdzie tu miejsce na irracjonalne lęki, na imagi- nacyjne dewiacje? W lochach można się bać, w jaskiniach, nawet w piwnicy. Ale nie w kopalni, na miłość boską. Jedyne istniejący Skarbek to Piotrek Skarbek, znajomy sztygar z mechanicznego, który dziś pewnie zalicza piwo z kolegami w pubie na Rynku w Gliwicach.

A jednak się bała. Nie bardzo, troszkę tylko; zostało w niej troszeczkę lęku na dnie jej racjonalnego, inżynierskiego umysłu.

Doszła pod ścianę, do dolnej wnęki. Spojrzała pod górę. W świetle latarki sekcje obudowy ścianowej lśniły nieskończonym szeregiem siłowników, niczym aleja stalowych drzew.

Dopiero tu widać było pierwotną wściekłość natury, zgwałconej przez wtargnięcie człowieka. Tylko ten rząd napiętych do granic stalowych podpór trzymał ją w ryzach na wąskim przesmyku pomiędzy nagim węglowym ociosem (w którym, gdy się go dotknęło dłonią, czuć było wewnętrzne, tłumione napięcie spod prasy kilkuset metrów skał ponad nim) a oswobodzoną, na powrót wolną i dziką strefą zawału.

Pochylona, podpierając się rękami, ruszyła pod górę, w przesmyk pomiędzy stojakami. Było ciasno, przeciskała się między siłownikami, wśród kłębowiska gumowych węży, doprowadzających emulsję do obudowy. Dwukrotnie boleśnie obijała sobie biodro o rękojeści zaworów, symetrycznie, najpierw prawe, potem lewe. Będą siniaki jak nic, skrzywiła się z bólu.

Była mniej_ więcej w połowie drogi, gdy na twarzy poczuła wilgótiiitj mgiełkę, zaraz też dobiegło jej uszu syczenie. Spojrzała pod górę. Przed nią, cztery sekcje wyżej, w świetle lampy kłębił się obłok białych, mikroskopijnych kropel. Przepisnęła się bliżej. Spod zacisku mocującego wąż do siłownika bił cienki strumień białej cieczy. Siłownik nie trzymał, przód stropnicy opadł trzydzieści centymetrów poniżej stropu, znad niego wysypało się trochę pokruszonego łupka, tworząc pustkę, głęboką na prawie metr. Obeszła miejsce wycieku, wyjęła notes, zapisała numer sekcji. Zgłosi awarię dyspozytorowi, tylko wylezie na górę. To jej uświadomiło, ile jeszcze wspinaczki przed nią. Westchnęła z rezygnacją i popęzła dalej.

Wydostała się nad ścianę, zmordowana i zgrzana. Bluza

kleiła się jej do pleców, nie wiadomo, czy bardziej od potu, czy od cieknącej emulsji i obecnej w powietrzu wilgoci. Wyszła na chodnik, przysiadła na stercie okrągłaków. Musiała odpocząć, potem pójdzie obejrzeć miejsce rabowania wyrobiska, sprawdzi poziom metanu i poszuka telefonu. Ale na razie należała się jej chwila oddechu. Pomyślała o Janku i zrobiło się jej miło na sercu. Franka nie była osobą wylewną, uczucia chowała przed światem, a często i przed sobą, dlatego ją samą zaskoczyło, gdy tak nagle i tak jasno uświadomiła sobie, ile Janek dla niej znaczy. Chodzili ze sobą już na studiach, a potem naturalną kolejną rzeczy zamieszkali razem, w wynajętym mieszkaniu na górniczym osiedlu. Dobrze było France w tym związku i w zasadzie wiązała z nim konkretne plany na przyszłość, lecz niewiele myślała, a jeszcze mniej mówiła o miłości. A ona była i czasem zniecała wyzierała spod warstwy codziennego zmęczenia i monotonii, by jej powiedzieć, że jest. Sprzyjały temu takie chwile jak ta, gdy samotność wokół panowała tak wielka, że większą trudno było sobie wyobrazić. „Kocham cię, Janku, i te twoje suche sznitki” – pomyślała z uśmiechem w duszy i wstała.

W zawale wszystko było w porządku, metanu zero. Wracając, odruchowo zajrzała w głąb ściany i nagle zatrzymała się. Poświeciła w ciemność między stojakami. Nic, pewnie złudzenie. Bo przez chwilę wydawało się jej, że widzi tam, na dole, rozbite w lśniącej stali siłowników na sto malutkich rozbłysków, drżące, wędrujące w górę światło.

Objazd miał się ku końcowi. Jeszcze tylko otamowany pożar i można będzie wracać pod szyb. Franka spojrzała na zegarek. Dochodziło południe. Szybko się uwinęła, może, jeśli dobrze pójdzie dalej, zdąży na wcześniejszy wyjazd. Czekало ją jeszcze tylko kilkaset metrów wspinaczki dowiezchnią do strefy starego pożaru, potem przecinką do pola i już. Zrobi pomiary, obejrzy tamę, zadzwoni i pod szyb. Jest szansa, że zdąży na wyjazd o trzynastej.

Ciągle czuła dotyk niepokoju. Przekonywała sama siebie, że złudzenie, że ponieważ o tym myśli, to się jej myśl materializuje i jako natręctwo tkwi w niej i wraca, każąc sprawdzać co parę metrów. Przecież dyspozytor potwierdził...

- Panie Staszku... - Głos miała niepewny, bo złożyła już raport, a dyspozytor miał swoje obowiązki i pewnie w kolejce czekali inny objazdo wcy.

- Jeszcze coś? - usłyszała jego znudzoną niecierpliwość, mieszanekę tęsknoty za spokojnym doczekaniem końca dniówki i irytacji jej nadprogramowym jakimś problemem, co go obchodził mniej niż cokolwiek. - Ma pani jeszcze coś?

-Nie... Zapytać tylko chciałam... Przepraszam, to głupie, ale... Czy jest tu, w moim rejonie, ktoś poza mną?

- Poza panią? - odruchowo powtórzył dyspozytor, a w głosie miał na razie tylko zdziwienie. - Nie, chyba nikogo... Tak, na pewno nikogo tam nie ma. A co?

- Bo zdawało mi się...

- Tak? - zapytał, gdy jej wahanie zaczęło się przeciągać.

-Nie, nic. Nic, nic...

- Pewno Skarbek, hy, hy. Pani uważa, on na cnotę łasy.

-To się zawiedzie - odburknęła, wybijając go z już zapła-

nowanej linii dowcipasów.

Odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Pomyślała, że powinna poczuć się lepiej. Nie poczuła się. Wrażenie czyjeś obecności raz uświadomione nie chciało jej opuścić, poddać się wyśmianiu przez dyspozytora i jej własnemu intensywnemu pukaniu się w głowę.

Dowierzchnia była męczącym odcinkiem jej drogi. Miejsca było dużo, nie to, co w ścianie, ale szła już strefą odprowadzenia powietrza, w ciepłym, jednostajnym, śmierdzącym pleśnią przeciągu, nieustannie dmuchającym w plecy, co teoretycznie powinno pomagać we wspinaczce, a w praktyce utrudniało oddychanie, gdyż przed idącym człowiekiem tworzyła się zatykająca poducha powietrznej zastoiny. Było tu sucho, żadnej wilgoci, żadnego błota, tylko pleśń na drewnianych okładzinach i chude myszy, przemykające pod ociosem, równoległe do trasy jej wędrówki, w nadziei na resztki jedzenia.

Nic tu nie słyszała, nic nie widziała. Żadnych kroków w echu, żadnych błysków. Wychodząc na przekop, pomyślała, że dyspozytor, wyśmiewając jej lęki, miał rację. Przecież, do diabła, nie była w żadnych baśniowych lochach, tylko w pracy, w fabryce węgla, sprawdzała zdolność tej maszyny do podjęcia pracy w poniedziałek, kontrolowała stan bezpieczeństwa, raportowała o awarii, by na nocnej zmianie ekipa hydraulików naprawiła ciekący siłownik i poranna brygada bez problemów uruchomiła kombajn i wydarła z calizny kolejne setki ton cennego paliwa. Czego tu się bać?

Przecinkę, która wiodła do wyrobisk pożarowych, odcinała od przekopu śluza. Z wysiłkiem pociągnęła ku sobie drzwi w

pierwszej tamie, weszła. Uderzyła ją w nozdrza stojąca, duszna atmosfera. W zatrzaśniętych z głuchym stukiem drzwiach tamy cienko zagwizdał przeciąg. Otworzyła drugie drzwi, przez chwilę zmagając się z oporem powietrza. Poświeciła do środka. Za śluzą ciągnęło się około dziesięciu metrów prostego chodnika, dalej wyrobisko ginęło za łagodnym zakrętem. Ciemność, duchota i fotor zwiertzałego szamba. Skrzywiła się. Pół poziomego chodnika tu pewnie za potrzebą. Ruszyła szybkim krokiem; chodnik był krótki, za następną tamą smród powinien zelżeć.

Poczuła to. Poczuła tak wyraźnie, z taką pewnością, jak gdyby wokół było jasno i wszystko potwierdzał wzrok. Tak, ktoś tu był. Na pewno, nie musiała nawet słyszeć kroków, czuła je wewnątrz, w sobie, w drganiu ściśniętej strachem tchawicy, w trzepocie za mostkiem, w niespodziewanej kropli potu, która wolniutko zimną strużką spłynęła jej spod hełmu na szyję.

- Kto tu? - krzyknęła i panicznie powiodła snopem światła dookoła siebie.

Nikogo. Pobiegnęła, potykając się o podkłady starego torowiska. Już nawet nie próbowała przekonywać się, że coś sobie wmawia, że cisza, ciemność i strach tworzą w niej to złudzenie. Uległa mu całkowicie, poddała się. Biegła z zapowiedzią krzyku na wargach, wpatrując się w koniec strumienia światła przed sobą, aż wreszcie pojawiła się w nim drewniana zapora wylotowej tamy i ten widok spowodował, że panika spłynęła z niej niczym strumień wody, a w to miejsce pojawiła się ulga. Zwolniła. Ufff, koniec, zaraz wyjdzie stąd, potem tylko parędziesiąt metrów do tamy

pożarowej, stamtąd zadzwoni do dyspozytora i wróci. Już nie tędy, nie ma głupich. Pójdzie prosto na przekop, dłuższą drogą, ale ponownie wchodzić w tę straszną przecinkę nie miała zamiaru.

Do tamy było nie więcej niż piętnaście metrów. Może nawet mniej. Może dziesięć. Jeszcze szła w jej stronę, gdy ogarnęła ją lodowata pewność, tak wielka i obezwładniająca, że zdusiła wszelki odruch obronny. Odwróciła się. W świetle lampy zobaczyła - i w jej oczach... Groza, ten wyraz okrutnej, przerażającej emocji został w jej oczach dla tych, co ją tu mieli znaleźć.

Po zardzewiałych wręgach obudowy poniosło się krótkie, stłumione echo dziewczęcego krzyku. Została po nim ciemność. Ciemność, a w niej błyszczące oczy chudych myszy.

rozdział I

Dzięki kozłowi

Stopniowo, w miarę jak to sobie uświadamiał, zimno wnikało coraz głębiej. Przez skórę, mięśnie, do kości, serca, żołądka i płuc. Cały otulony był przenikliwym chłodem, jego wnętrze było z chłodu, ba, nawet myśli... Dopóki nie miał tej świadomości, zdawało mu się, że nie jest tak źle, ot, parę stopni mniej, chłodek, wystarczy otulić się ramionami i minie. Gdy te parę stopni dotarło do mózgu, raptem organizm spanikował. Puściła jakaś blokada, ogarniał go coraz większy dygot, przestały słuchać szczęki; kłapiące o siebie, zniecka usamodzielnione zęby omal nie odgryzły mu języka. A do tego wcale nie był przytomny – sen nie chciał odejść, organizm trzął się jakby poza nim, wbrew niemu, nie chcąc poddać się wracającej świadomości; jak gdyby wolał zmarnieć z zimna, niż pozwolić sobie na powrót do świata.

Dygocąc, wyprostował kolana, usiadł i otworzył oczy. To znaczy chciał otworzyć i w połowie mu się to udało – otworzył jedno. Na powiece drugiego poczuł miękkie, lepki, wilgotny ciężar. Jakaś organiczna masa oklejała mu oczodół, a pod nią pulsował ból. Po policzku coś ciekło, odruchowo

otarł dłonią: była ciemnoróżowa. Krew? Krew, rozwodniona krew kapłała mu z brody na pierś i ściekała po brzuchu do wody. Gwałtownie przyłożył palce do oka; natrafił na coś miękkiego, żywe mięso. W pierwszym odruchu - strach, potem jednak opamiętanie, mimo rozmiękczonego snem i zimnem umysłu: nie zabolalo, w ogóle nic nie czuł, nawet swojego dotyku. Ujął to miękkie w palce i pociągnął. Płat różowego mięsa odkleił się od twarzy i z pluskiem wpadł do wanny.

Wstał, ściągnął z wieszaka ręcznik i owinał się szczelnie. Wyszedł na posadzkę. W wodzie pozostał pływający, na wpół zanurzony, spory wołowy kotlet. Uwolnione spod befsztyka oko pulsowało coraz silniejszym bólem, powieka uchylała się ledwie w szparkę. Spojrzał w lustro. Prawa strona twarzy, od rozciętego, pokrytego zaskorupiałą krwią - nie wiedział: jego czy tej nieszczęsnej krowy - łuku brwiowego po żuchwę, była bordowo-sina, plama ku środkowi policzka zmieniała kolor na fiolet, ku brzegom, niemal na linii włosów, rozmywała się w pajęczynę podbiegłych czerwieni żyłek. Ostrożnie dotknął sińca i jęknął. Bolało. Miał nadzieję, że kość pod opuchlizną jest cała, jeszcze mu tylko połamanego policzka brakowało do szczęścia. W ogóle nie pamiętał, jak znalazł się w wannie, kiedy sobie przyłożył do oka to świństwo, a potem zasnął; musiało to być dawno, skoro woda w wannie zupełnie wystygła. Pewnie parę godzin, może ze dwie. Ile czasu stygnie wanna pełna po brzegi? Nie miał pojęcia.

Co pamiętał? Wlewana do gardła butelkę ciepłej wódki, trzaś- nięcie drzwi samochodu; pamiętał, jak stoczył się na podłogę, między tylną kanapę a oparcia przednich foteli, gdy

pojazd nagle zahamował. Kołysał się tam bezwładnie jak worek kartofli, podskakiwał, gdy wóz podskakiwał na wybojach, wciskało go to pod fotele z przodu, to pod tylne siedzisko, w zależności od tego, jaki akurat gwałtowny manewr był wykonywany. Miał wrażenie, że w pojęciu kierowcy w ogóle nie istnieją manewry łagodne, płynne, delikatne. Tylko szarpanie i skoki. „Rajdowiec jakiś, psiakrew – zakołatało mu w obolałej głowie. – Rajdowiec, rajdowiec..Nic więcej nie potrafił z siebie wyrzesać, odpływał i wracał, w krótkich chwilach świadomości rejestrował, że ciągle jedzie, nie wiedział jak już długo ani ile jeszcze będzie jechać. Otoczenie na tę chwilę składało się wyłącznie ze zjawiska jazdy i z jej zewnętrznych objawów: wstrząsów, kołysań i podskoków. Potem znów zapadał w niebyt, w półprzytomne trwanie na granicy nieistnienia, z żołądkiem niebezpiecznie rozchylanym tuż pod przetykiem, z pulsowaniem prawej strony twarzy i żeber pod lewą pachą.

Potem był na przemian: niesiony i wleczony, podwórkiem, przesmykiem między blokiem a sklepem, schodami do windy. Dalej nie pamiętał, dopiero zimno wystygłej kąpieli przywróciło mu przytomność.

Odetchnął głęboko i jęknął. Zabolało jak diabli. „Połamali mi żebra – pomyślał. – Może jednak nie, może to tylko stłuczenie. Zresztą co to za różnica? Jedno żebro więcej, jedno mniej...”. Wytrzyma, nie takie skopania wytrzymawał. Nawet jak złamane, zrosnie się, na wierzch nie wylazło, więc najwyżej tors mu się z lekka przekrzywi, na plaży cały efekt szlag trafi. Skrzywił się w bolesnym uśmiechu. A, tam, zapuści trochę sadła i krzywość się zakryje.

Sześćdziesięcioletni facet z wykończonymi nerkami, mordą niczym stara bitka i piwną nadwagą za plażowego Adonisa robić już nie musi. Za bandziorstwem też już nie gania i tym bardziej ganiać nie będzie, do dozorowania czterech starych piaskowych dziadków w stróżówce ośrodka szkoleniowego lub pogłówkowania czasem nad sposobem ujawnienia jakiegoś zakamuflowanego gacha sprawności mu wystarczy. W odzyskiwanie długów zabawę czas skończyć, jeszcze ze dwa takie bliskie spotkania i wyląduje w przytułku dla bezdomnych kalek. Zocha osobiście go tam odstawi, zna ją na tyle. Nie będzie mu zmieniać pieluch, kaszką nie pokarmi. Zocha... Co z Zochą...? Pojechali razem, potem ona została na dole, gdy poszedł między dwoma bykowatymi łysołami na piętro łódzkiej kamienicy przy Piotrkowskiej. „Sceneria jak z Ala Capone” – pomyślał i znów próbował się uśmiechnąć, z marnym skutkiem, bo też po prawdzie nie było się z czego śmiać, jak się wkrótce okazało. Dał się podpuścić jak nierozprawiony harcerz, ale kto by się spodziewał? Taki niepozorny człowieczek (choć od początku źle mu z oczu patrzyło, przypomniał sobie), dorobkiewicz-fabiykant, drobny cwaniaczek, jakieś majtki produkował czy pończochy, płacił, płacił, a potem przestał, więc koniec końców sprawa trafiła do Nakoniecznego, bowiem dług nie za duży, nieskomplikowany, lecz bez wyroku i z małą prowizją, więc się inni win-dykatorzy do odzyskiwania nie pchali. Tak wówczas, biorąc tę sprawę, sądził. Dziś gotów był skłonić się ku innej wersji, miał pod okiem silnie przemawiający argument, ale wtedy? Wziął, jak wszystko, z czym do niego przychodzono, na grymaszenie taka płotka

jak on nie mogła sobie pozwolić.

Umówili się w centrum miasta, nie na żadnym zadupiu, Nakonieczny miał doświadczenie, na wywiezienie gdzieś w ogródki namówić by się nie dał. Jak się okazuje, na pewnym szczeblu w pysk można zaliczyć nawet w biały dzień pod Radą Ministrów, a co dopiero nocą w łódzkiej reprezentacyjnej kamienicy. Ledwie wysiadł i wszedł do bramy, nie zdążył nawet zadzwonić, gdy drzwi się otworzyły i wyszli łysole. Od razu się domyślił, że łatwo już było. Grzeczni nawet, nie można powiedzieć, szczególnie na początku. Ujęli go pod ramiona i poprowadzili do windy, szerokiej, całej w lustrach. Widział w nich siebie: zgarbionego, zmiętego typu o przekrwionych oczach, w starej ortalionowej bluzie i brudnych trampkach, między dwoma dwumetrowcami bez szyj, którym w gładkich glacach odbijało się światło jarzeniówki.

Z windy szło się parę metrów korytarzem, z wyglądu hotelowym, chociaż przecież nie w hotelu się umówił, miała być zwykła kamienica, a tu marmur do lamperii, na podłodze sznurkowy czerwony chodnik, na ścianach kinkiety w jakimś rokokowym kiczowatym stylu, wszystko to na pograniczu luksusowej tandety i trudno było sobie wyobrazić pospolitych łódzkich mieszczan za kolejno mijanymi drzwiami. Na samym końcu były drzwi, pod którymi, niczym w amerykańskim filmie o gangsterach, stało dwóch bliźniaczych łysych karków. Uśmiechnął się w duchu, sceny jak z kina, musieli się chłopcy za dużo naogłądać i zbyt wzięli sobie do serca. No, ale kto co od kogo odgapiał, w sumie nie było ważne, łysole byli autentyczni jak najbardziej, czerwony

chodnik i kinkiety takż. Nie było się z czego śmiać, bo jak podejrzewał, niezależnie od wiochowatego sztafażu, w środku z pewnością nikomu nie było do żartów. Przynajmniej miny tych dwóch, co go wlekli, zabawne nie były.

Łysi otworzyli przed nim te drzwi na końcu i wszedł. Właściwie go wrzucono, ale postanowił sobie nie brać tu niczego za złe ani nie wyciągać krzywdzących wniosków. Może chłopcy mieli niedobry dzień albo po prostu takie mieli charaktery - nikt nie jest z natury dobrze wychowany, kindersztuba rzecz nabyta, a gdzie by ci biedacy mieli ją nabyć? Na siłowni? Że wpadł gwałtownie, prawie ryjąc nosem na poziomie własnych stóp? No i co takiego? Taki tu kanon zachowań, taka poza, czym w końcu różni się ów niszowy brutalizm od układowego powszechnego dygania? Niczym. Tu konwenans i tu konwenans. Świat składa się z konwenansów, a ich jakość w ogóle nie zależy od tego, co wyznacza ogólnoludzki kodeks przyzwoitych zachowań. Ludzie umówili się na coś, do tego nie wszyscy, to niby czemu wszyscy mają umowy przestrzegać?

Tak się pocieszał, idąc długim podejściem w stronę biurka na końcu sali, za którym ktoś siedział. Gdzieś w połowie zorientował się, że nikt go już nie podtrzymuje pod pachami, że idzie sam i nawet nogi mu się nie trzęsą. Próbował zachowywać się profesjonalnie, starał się obserwować otoczenie i notować w myślach jak najwięcej szczegółów, ale marnie mu szło. Stanowczo musi przestać oglądać detektywistyczne filmy, czasy Kojaka dawno minęły, o ile w ogóle kiedyś istniały; detektyw konfrontowany z głównym

przeciwnikiem nie rżnie bohatera i nie ma w głowie rejestrującego komputerka, tylko myśli, czy zarobi w dzień zaraz, czy dopiero po wyjściu, bo że zarobi, zostało gdzieś na wyższych mafijnych szczeblach postanowione. W dzień się brało zawsze, dla zasady. Kwestią było, czy się po tym braniu wracało do domu we w miarę jednym kawałku, czy wyjeżdżało nogami do przodu, przy czym nogi nie zawsze stanowiły jedność z resztą wywożonego truchła.

- Pan Nakonieczny, jak mniemam - dobiegło go z tamtej strony imponującego blatu.

Mniemam, no, no... Czyli bandziorski intelektualista, może nawet erudyta. Odruchowo popatrzył w dół, na jego dłonie. Drobne, delikatne, białe. Paznokcie, jakby mu dopiero co manicure zrobiono. Wyobraził sobie jednego z łysoli z pilniczkiem w ręce, pochylonego nad wypielęgnowaną dłonią bossa, i uśmiechnął się; a potem zerknął na swoje i schował je za siebie.

- Owszem - przytaknął. - A pan...?

Erudyta nie odpowiedział. Pochylił się tylko, oparł łokcie o blat i popatrzył na niego, przekrzywiwszy głowę, jakby oglądał jakiś egzotyczny okaz w zoo. Co pewnie nie było odległe od prawdy, bo tylko jakieś dziwo z niedokładnie dopasowanymi klepkami włożyłoby dobrowolnie w te jego wypielęgnowane łapki.

- Pan Nakonieczny lubi kłopoty, co? - rzekł wreszcie po dłuższej chwili milczenia.

Ugryzł się w język - odpowiadanie Chandlerem, które aż się prosiło, mogłoby się erudycie nie spodobać, po co przyspieszać bieg wypadków, jeszcze swoje odbierze, nie ma

obaw.

- Nie bardzo - odparł zamiast tego.

- To po co w nie lezie?

- Taki zawód. - Nakonieczny wzruszył ramionami. - Trudno być łapsem i czasem nie zahaczyć o coś, o co się nie chciało. Bo ja niechący, proszę pana.

- Niechący... Może i niechący. Ja skłonny jestem uwierzyć, że niechący, chcący trafia tu raczej niewielu, może nawet nikt... Pan Nakonieczny musi bardziej uważać, jakiś research wcześniej zrobić albo co, zanim się pan Nakonieczny w przyszłości znów zabierze za taką delikatną robotę. - Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął tym swoim przyciszonym, wypiełgnowanym równie jak paznokcie głosem: - Pan Nakonieczny sporo grzechów popełnił. Wiele z nich mogę wybaczyć, jak ten, że się po moje pieniądze pochylił. Mógł nie wiedzieć, dopuszczam. Powiem więc: niech idzie i nie grzeszy więcej.

Odetchnął wtedy z ulgą i przez moment miał nadzieję, że się może jakoś psim śwędem wywinie.

- Ale jeden grzech jest ciężki, nie dlatego, że istotny, bo nie jest. Jego waga wynika z faktu, iż pan Nakonieczny popełnił go świadomie. A za premedytację paragrafy robią się surowsze, co pan Nakonieczny doskonale wie, nieprawdaż?

Prawdaż, jasne, że prawdaż.

- Pan wszedł na cudzy teren, panie Nakonieczny, pan chleb tutejszym egzekutorom odbiera, a oni dzieci mają małe do nakarmienia. .. Pan ma dzieci?

Nakonieczny pokręcił głową.

- No widzi pan. Tym gorzej. Z pustej chciwości pan się na

nieswójną prowizję połaszczył. Aja nie lubię chciwych, tak samo, jak świadomych prowokatorów, którzy kuszą los, żeby im kości przetrącił.

Kaznodzieja do tego. Może jakiś niespełniony ksiądz? W różnych miejscach spotykał Nakonieczny byłych lub niedoszłych księży, to czemu nie w mafii?

- Nic pan mi nie powie? - znów odezwał się tamten. - Usprawiedliwić się, wytłumaczyć może by wypadało. Nie żeby to coś miało pomóc, ale dobre wychowanie wymaga.

- Co mogę powiedzieć? - Nakonieczny wzruszył ramionami. - Przepraszam?

-A choćby i „przepraszam”, od razu milej by było.

- Przepraszam więc, to się nie powtórzy. Nie było moim zamiarem zadzierać z wami.

-Ach, ja wiem, że nie było zamiarem i że się nie powtórzy. Z całą pewnością. Moi chłopcy o to zadbają.

Ta resztką nadziei, którą jeszcze miał, właśnie wtedy ulotniła się bezpowrotnie. Boss przeniósł prawą dłoń pod blat i Nakonieczny usłyszał cichy brzęczyk.

- Zostanie pan ukarany, panie Nakonieczny - powiedział tamten, a Nakonieczny usłyszał stuk drzwi za plecami. - Profilaktycznie, bowiem prewencja j est najlepszą metodą. Zapobieganie, wychowywanie. .. Pan to przecież wie. Żeby jednak nie było, żeby pan nie pomyślał sobie: ot, bezmózgie bandziory spuściły mi łomot, proszę pamiętać, że kara zostanie radykalnie złagodzona, bowiem wziąłem pod uwagę okoliczności łagodzące. Gdyby nie one, musiałby pan udać się na dłuższą kurację, a tak pewnie bez L4 się obejdzie, a jeśli nawet - bo tego przecież precyzyjnie obliczyć się nie da

- to nie będzie ono zbyt długie. Trzy dni góra. - Tu mafiozo zawiesił głos, a następnie zapytał: - Pana nie ciekawi, co to za okoliczności?

Nakonieczny podniósł głowę.

- Co to za okoliczności? - spytał posłusznie.

- Sentyment, panie Nakonieczny. Sentyment. Nostalgia za dawnymi czasy. Jak tylko pana zobaczyłem... Pan mnie nie pamięta? Pewnie nie. A ja pana owszem. W Warszawie, na szkoleniu. Osiemdziesiąty piąty, osiemdziesiąty szósty? Jakoś tak. Temat: zwalczanie przestępczości zorganizowanej. Włocha wtedy ściągnęli na prelegenta. Ale się spał! Pamięta pan? Musi pan pamiętać tego zalanego makaroniarza.

O rany. Kolega.

- My z jednej firmy jesteśmy, panie poruczniku Nakonieczny. Z dawnych dobrych czasów. Wobec kolegów z firmy pewna taryfa ulgowa się należy.

Potem mu nostalgicznie podbito oko i uszkodzono żebra, a następnie wrzucono do samochodu Zochy, która, o nic nie pytając, wystartowała niczym Kubica, aż się jej z opon zadymiło. Dalszego ciągu już nie mógł sobie przypomnieć. Tylko to kolebanie i podskoki. Co więc z Zochą...?

Wytarł twarz ręcznikiem i jeszcze raz przyjrzał się sińcowi. Niedobrze. Wstyd iść z tym między ludzi. Już wolał pęknięte żebro, przynajmniej nie widać. Pomacał się pod pachą i syknął. Może być, że faktycznie pęknięte. Gdzieś tu ma elastyczny bandaż, dobrze by było owinać się, usztywnić. I do lekarza pójść, czasy, gdy wszystko goiło się jak na psie, minęły, razem z charakterystyczną dla młodości manierą lekceważenia wszystkiego, co się ze zdrowiem łączy. Owinał

ręcznik wokół bioder i ruszył do drzwi łazienki. W progu zawahał się, spojrzał w kierunku wanny. Szkoda, żeby się zmarnował. Sięgnął do wody, dwoma palcami wyłowił namokły befszyk i, starając się nie kapać na podłogę, poszedł z nim do kuchni.

Zrobił sobie kawę, rozpuszczalną, z dwóch łyżeczek, bez cukru, z mlekiem, i z kubkiem w ręce przeszedł do pokoju. Miał zamiar powalkonić się do końca dnia, po służbowo należnym wzięciu manta dzień wolnego dał się uzasadnić, zwłaszcza że i tak nic specjalnego nie miał do roboty. Inspekcja kościanych dziadków, pilnujących kopalnianych obiektów, mogła poczekać. „Swoją drogą jak to się czasy zmieniły” – pomyślał. Dobrze pamiętał, jak niegdysiejszy państwowy strażnik pilnował wejścia na kopalnię z karabinem na ramieniu. A dziś? Dziś jego emeryci za zadanie mieli co najwyżej przypilnować, żeby ryle sejfu jawnie nie wynieśli, bo wszystko, co trochę mniejsze, mogli z łatwością. Po co w ogóle pilnować? Dla spokoju sumienia tego i owego, chyba tylko po to. Klasyczny dupochron. Bo się, jakby co, zwali na emeryta z identyfikatorem „Ochrona”, jak gdyby taki emeryt mógł coś poradzić. Jakby co, oczywiście.

Pstryknął pilotem w stronę telewizora, poczekał, aż ekran zszarzeje, a potem błysnie zapowiedzią obrazu. Patrząc na migające scenki reklam, cofnął się w stronę kanapy i usiadł. Po czym natychmiast wstał, jakby go kto dźgnął w słabiznę, bo pod pośladkiem poczuł miękki, bezwładny tobół ciała. Wyprostował się i obejrzał za siebie. Tobół poruszył się i zamruczał z głębi flauszowej kapy coś niezrozumiałego, a potem z jej zwojów wynurzyła się rudawa, rozczochrana

szopa loków w typie Violetty Villas. Reszta osoby spod loków też powoli wyplątała się z kapy i usiadła, przecierając oczy.

- O, żyjesz? - spytała, ziewając. - Nie utopiłeś się? Bo miałam nadzieję.

- Zmartwisz się. - Odsunął róg kapy i usiadł na kanapie obok. - Skąd ten kotlet?

Zocha zsunęła flausz na biodra i obciągnęła szarą, z wyglądu nie najświeższą podkoszulkę. Z mimowolną przyjemnością zakonotował jej ciągle, mimo lat, jędrne i zgrabne piersi. Nie tak znów dużo była młodsza od niego, a jednak... Gdyby jego piwny mięsień był choć w połowie tak apetyczny jak te dwie... Oczy też miała młode, pełne blasku i świeże, jakby wcale nie spała, nie mówiąc już o przeżyciach poprzedzających sen godzin.

- Kotlet? - Spojrzała, nie rozumiejąc. - A, kotlet... Znalazłam w lodówce, w zamrażalniku. W sam raz się nadał: mięcho i zimne do tego. Na sińce najlepsze, przynajmniej tak twierdziła moja babcia.

W lodówce... Fascynujące, co czasem można znaleźć we własnej lodówce. Nie miał pojęcia, kto i kiedy zostawił tam surowy stek, od niepamiętnych czasów. Na koniec jadał byle co na mieście, gdzie by mu do głowy przyszło befsztyki smażyć. Trochę się więc przestraszył podejrzenia, że mięso mogło pamiętać jeszcze czasy Jolki, bo Jolki nie było od prawie czterech lat. Potem jakiś czas była Zocha, ale z Zochą to miało charakter związku niczym z drugim facetem, homo nieomal. Och, nie fizycznie, fizycznie Zocha była jak najbardziej w porządku. To raczej psychika... Czuł się z nią

jak z mężczyzną, na dodatek to nie on był tym na górze, długo więc Zocha nie pobyła, bo nie miało prawa się ułożyć. Gdyby kotlet pamiętał schyłek epoki Zochy, też dwa lata powinno mu stuknąć. Ale facet Zocha kotletów mu nie robiła, sobie zresztą też nie, z przyczyn ideologicznych - była weganka. A potem pozostała już tylko na wpół zawodowa przyjaźń, cementowana wspólną firmą i wspólnym w dużej części, mało podług dzisiejszego kanonu chwalebny, życiorysem. Wariant z Jolką nie był więc taki znów nieprawdopodobny.

- Masz kawę? - spytała Zocha.

Oddał jej swój kubek i poszedł z powrotem do kuchni. Kotlet leżał smętnie na blacie, cienką strużką wyciekała spod niego różowa woda i kapiała na podłogę. Zaklął pod nosem, wrzucił mięso do zlewu, urwał kawał papierowego ręcznika i wytarł kafle do sucha. Powinien umyć, mogło potem śmierdzieć, ale mu się nie chciało. Dla spokoju sumienia wytarł jeszcze raz, a potem zrobił sobie nową kawę.

Gdy wrócił, Zochy nie było. Odruchowo zajrzał do pozostawionego kubka - pusty. A nawet drzwi nie stuknęły. Pokręcił głową i usiadł w fotelu, wziął gazetę. Przeleciał wzrokiem po nagłówkach: polityka, lanserzy, proktolog ostrzega... O, to dobre. Emeryt spełnia swoje marzenia. Całe życie w kopalni na łopacie, potem pustka, kaptcie, telewizor, piwo. I wreszcie gość wychodzi z domu, klasycznie, po papierosy, i tyle go widzą. Szuka go policja, szuka rodzina, nawet żona, choć nie dałby głowy, czy z przekonaniem i autentyczną nadzieją - nic, kamień w wodę. I nagle: jest. Po dwóch miesiącach telefon. Z Bhakta- puru. Poszedł do

regalu, sprawdzić w atlasie. Nepal. Emeryt zadzwonił z komórki, długo nie gadał, wiadomo, roaming, tyle że nie wraca, że świat przed nim otworem i żeby ucałować Anusię. Wnuczkę, znaczy. Na tym zakończył i od tamtego czasu już się nie odezwał. Był w stanie go zrozumieć. Pomyślał, że pewnie większość w głębi ducha byłaby w stanie go zrozumieć, nawet ów proboszcz z jego parafii, ostro reporterowi potępiający uciekiniera za porzucenie rodziny i egoizm, w głębi ducha bowiem kryteria układają się inaczej i nie zawsze zgodnie z wolą. Przyjrzał się zdjęciom. Na pierwszym nijaki, chudy facecik, na ulicy nie zwróciłbyś uwagi. Na drugim najbliżsi: żona, syn, na kolanach żony dziewczynka, na oko z siedem lat, pewnie owa Anusia. Westchnął. Ech, a gdyby tak... Już niekoniecznie do Nepalu, niechby i w Bieszczady. Świat otworem.

Przeniósł się na kanapę, przykrył flauszową kapą, obmacał obolałe zebra. „Pewnie bez lekarza się nie obejdzie” – pomyślał smętnie. Machnął pilotem na telewizor, przez chwilę rozważał możliwość zjedzenia na śniadanie befsztyka z odzysku, a potem nawet nie wiedział, kiedy zasnął.

Prokurator Marcin Zalewski ze zrozumiałych przyczyn nie był w szampańskim humorze. Siedział sam w gabinecie zastępcy dyrektora kopalni, udostępnionym mu na kwatere główną, i robił głupie miny, usiłując rozgimnastykować ściągniętą od twardej wody twarz. Przed godziną wrócił z łaźni, gdzie brał niespodziewaną kąpiel po nietuzinkowej wizji lokalnej, w której przyszło mu uczestniczyć. Ściągnęli

go prosto z biura, miał w planie na dziś wiele twórczych czynności, lecz wśród nich nie było ta- planiny w błocie kopalnianych podziemi, a przecież kremu nikt przytomny na co dzień zazwyczaj w teczce nie nosi. No, nie licząc kobiet. Zasadniczo powinno wystarczyć, że się człowiek w domu po goleniu nakremuje. Tak do tej pory myślał, jednak w prokuratorskim fachu do rutynowych zachowań nie należy się, jak widać, przywiązywać. Jedno po drugim przeglądał zdjęcia na ekranie laptopa, zrzucane z pendrive'a policyjnego fotografa. Patrzył, lecz nie widział fotograficznych ujęć, tylko obrazy spod własnych powiek, które tkwiły tam uparcie i nie chciały zniknąć. Bezwładne, sztucznie wygięte ciało poszarpanej na plecach, rozoranej krwawymi bruzdami drelichowej białej bluzie, odrzucony kask i rozsypane wokół, splątane kasztanowe włosy. „W sumie całe szczęście, że kasztanowe – pomyślało mu się samo – gorzej by wyglądało u blondynki...”. W środku kasztanowej sterty rozdziangani, szarokrwista buła, która poprzednio, za życia, była jej ciemieniem. Jeden gumowiec trochę zsunięty, pięta odznaczała się wypukłością w połowie cholewki, przez co noga wyglądała na dłuższą i wyposażoną w jeszcze jedno, przeciwstawne kolano. Biegła? Uciekała, potknęła się? Ten, co jej to zrobił, but chciał ściągnąć? Nie wiadomo. Obok prawej ręki, wyciągniętej daleko, na całą długość ramienia, torba z zielonego żaglowego płótna. Pusta, jeśli nie liczyć butelki z resztką coli.

Podczas oględzin bez przerwy musieli odpędzać natrętne, głodne myszy; zjawily się całym stadem, może zwabione zapachem krwi, i nerwowo przemykały tuż poza zasięgiem

lamp ekipy oraz towarzyszących jej górników. Rzucali w nie grudkami ziemi, kamieniami, tupali - bezskutecznie, nadzieja w nich była silniejsza od strachu. Myszy jedzą mięso? Bez sensu, chyba nie. Wzdrygnął się. Co za pomysł. Powinien skupić się na zawartości tych zdjęć, szukać w nich jakiejś logiki, wskazówek, podejść technicznie, fachowo, bo to pierwszy raz widział trupa? Nie pierwszy, młodej dziewczyny też nie. Coś było jednak w tych bezosobowych, poznaczonych policyjnymi markerami obrazkach szczególnego, że nie potrafił zdobyć się na obojętność. Miał poza tym uczucie, że źle na nie patrzy, że coś mu umyka, coś ważnego, jakiś detal mający znaczenie, który rzuciłby nieco światła na sprawę, ruszył ją z miejsca, nadał kierunek. Nie potrafił tego uchwycić. Ślizgał się wzrokiem po brunatnym tle, po oświetlonych flesztym szczegółach, odpędzał myśli o dziewczynie, która dziesięć minut wcześniej cieszyła się pewnie z dobiegającej końca dniówki i bliskiego spotkania z chłopakiem... Prawda, chłopak. Musi z nim porozmawiać. Nie sądził, że wniesie to coś istotnego do sprawy, ale procedura, a także przyzwoitość, również wobec niego, tego wymagała. Powinien mu pokazać, że nikt jego nieszczęścia nie zostawia odłogiem, że się organa państwa zajęły z całą swoją służbową mocą. To niekiedy dobrze robi w takich chwilach. Najgorsze jest, gdy do twojej osobistej bezsilności dołoży się obojętność śledczych. Bardziej ich wtedy nienawidzisz niż tego, kto zabrał ci bliską istotę.

Wyjął komórkę.

-Benek, ściągnij mi Pawlickiego... Tak, Jana, chłopaka tej... Na komendę, na pierwszą. Tak, będę u was.

Rozmawialiście z nim? Dobra. Tak, tak, oficjalne przesłuchanie. Tymczasem. – Rozłączył się i rzucił telefon na blat biurka.

Nacisnął guzik interkomu, pochylił się nad aparatem i gdy zgłosiła się sekretarka, powiedział:

– Czy mógłbym porozmawiać z panem dyrektorem? Proszę zapytać. – Zaczekał chwilę, słuchając burczenia głośnika staromodnego komunikatora. „Mogliby wymienić na coś nowszego – pomyślał. – Stać ich chyba”. – Tak? Dziękuję. Proszę przekazać, że zapraszam, gdy skończy.

Wszedł z rozmachem, bez pukania, od razu widać: gospodarz. Dopiero po chwili zorientował się, że nie wchodzi do swoich.

– O, przepraszam, panie prokuratorze – zmitygował się.

– Ja tak odruchowo, wie pan, my tu między sobą konwenansów się nie trzymamy. Nie skojarzyłem, że pan tu teraz...

– Nie szkodzi. – Zalewski machnął lekceważąco ręką.

– U siebie pan jest. Zapraszam, proszę usiąść. – Wskazał fotel po drugiej stronie biurka.

Dyrektor Bugdoł usiadł niezgrabnie, przez chwilę nie wiedział, co zrobić z łokciami, w końcu splótł ręce na piersiach. „Od razu widać, że niezwykle mu miejsce po tamtej stronie blatu” – zauważył w duchu Zalewski.

– To się nawyrabiało... – zagaił dyrektor.

– Ludzie zabijają się w różnych miejscach, czemu miałyby ominąć kopalnię – sentencjonalnie skostatował prokurator.

– Wie pan coś bliższego o tej dziewczynie?

- Niewiele, nowa była, pracowała u nas gdzieś z pół roku. Do końca życia sobie nie daruję, że zgodziłem się na jej pracę na dole. Co mnie podkusiło? Eksperymentator, cholera. - Bugdoł zagryzł wargi, był autentycznie przejęty. „Co i nie dziwota” - pomyślał Zalewski.

- A jak się jej układało z kolegami, z załogą? Jakies konflikty, nieporozumienia?

- Nic nie słyszałem, ale wie pan, niewiele do mnie dociera informacji na temat prywatnych stosunków wśród niższego dozoru górniczego. Wydaje się jednak, że nie mieli powodu, żeby jej nie lubić, a przynajmniej tolerować. Dziewczyna, rodzynek wśród dołowców, z samej odmienności sytuacji miała towarzyskie fory. Tak myślę.

- Może i tak, może i tak... - Zalewski w zamyśleniu obracał długopis w palcach. - Choć to słaba podstawa do wyciągania kategoriycznych ocen. Że dziewczyna i rodzynek. Przed niechęcią to nie chroni obligatoryjnie.

- Prawda - zgodził się dyrektor. - W każdym razie nie wiem o niczym, co mogłoby skutkować aż tak okropną reakcją.

- A ludzie? Mam na myśli podwładnych i w ogóle robotników.

- Także nic do mnie nie doszło, ale pewnie łatwo nie miała. Baba sztygar... Niejednemu chłopu, gdy zaczyna, w kopalni łatwo nie jest, co dopiero kobiecie. Ale nie znam szczegółów. Może jej szef...

- Kto to?

- Inżynier Mrozek, Stefan, kierownik działu wentylacji.

- Jest dziś w pracy?

- Tak, jest w biurze. Prosiłem, aby nie zjeżdżał. Pomyślałem, że będzie pan chciał z nim rozmawiać. Poprosić?

- Może później. Pan pewnie nie zna dokładnie przebiegu tej feralnej dniówki?

- Trochę wiem, dostałem raport.

- A kto wie więcej?

- Dyspozytor, inżynier Florczyk miał wtedy dyżur, rozmawiał z nią kilka razy przez telefon. Składała mu meldunki z trasy objazdu.

Zalewski zamyślił się na chwilę.

- Proszę mi powiedzieć... - zaczął wolno. - Czy to jest zwykła praktyka, że na niedzielny objazd sztygar idzie sam?

Dyrektor westchnął.

- Nie jest - odpowiedział. - To jest złamanie przepisów.

- Przepisy przepisami, ja bym chciał wiedzieć, jaka jest praktyka w tym względzie.

- Chyba nie myśli pan, że powiem, iż to powszechny zwyczaj? - Bugdoł uśmiechnął się krzywo. - Ale się zdarza, zwłaszcza wśród najmłodszego dozoru. Im najtrudniej namówić kogoś z brygady na dodatkową dniówkę w weekend. Wie pan, brak jeszcze autorytetu, zahamowania przy wydawaniu poleceń, obawa przed kompromitacją i takie tam lęki nowicjusza. Tępiemy to, szkolimy, karzemy jak trzeba, ale, jak widać, nie zawsze skutecznie.

- No, nie zawsze... Okazuje się, ten przepis nie jest taki głupi. Myślę, że powinien pan poszukać, kto w tym przypadku dopuścił...

- To już wiem - wpadł mu w słowo Bugdoł. - Konsekwen-

cje zostaną wyciągnięte, zresztą urząd górniczy też się tym zajął. Jest tu inspektor, właśnie przesłuchuje dyspozytora.

- On wiedział?

- Musiał, był z panią Kulok w stałym kontakcie. Zgłaszała mu zjazd.

- No dobrze, lecz to sprawa konsekwencji służbowych. Od strony prawnej jeszcze do tego wrócimy. Mnie natomiast na dziś znacznie bardziej interesuje sprawca i motyw. Zaczniemy od motywu, jak się znajdzie, do sprawcy też dotrzemy.

- Oby jak najszybciej. Wie pan, atmosfera nie jest sympatyczna, to stało się na dole, w środowisku, gdzie łatwo jest sprowokować poczucie zagrożenia. Ludzie będą się zwyczajnie bać.

- Jak pan myśli, kto mógłby mieć powód do zabicia dziewczyny?

- Pojęcia nie mam. Mówiłem, wydawać by się mogło, że ją raczej lubią.

- A z zewnątrz? Mógłby to być ktoś z zewnątrz? Czy istnieje możliwość, że ktoś postronny zjechałby pod ziemię i kręcił się tam niezauważony?

- W niedzielę? Trudniej byłoby, pan wie, w niedzielę mało ludzi, ktoś mógłby się zainteresować. Ale nie niemożliwe. To jednak spory zakład, parę tysięcy pracowników, nie da się znać wszystkich.

- Znaczący, gdybym przyszedł na nadszybie przebrany na roboczo, wmieszal się pomiędzy czekających na windę, to zjechałbym?

- Jak mówiłem: w niedzielę zjeżdża tylko parę osób, ryzyko

rozpoznania większe, ale jednak... Mało prawdopodobne, że kogoś by pan obszedł. Tak, zjechałby pan.

- A w dzień powszedni?

- Dużo łatwiej. Z tym że musiałby pan zdobyć ubranie, lampę, maskę, gdzieś się przebrać. O ile w tygodniu byłoby łatwiej z powodu dużej liczby osób, to w niedzielę samo umycie się groziłoby ujawnieniem. W pustej łaźni ktoś mógłby zdemaskować intruza.

- Czy trudno jest wziąć sobie lampę ze stojaka?

- To z kolei łatwiejsze jest w święto. Tu każdy ma swoją lampę, gdyby przypadkiem zabrać lampę pracownika z danej zmiany, kradzież mogłaby się łatwo wydać. W niedzielę nieużywanych aktualnie lamp wisi mnóstwo. Można skorzystać. Pechem byłoby trafienie na akurat w tym dniu potrzebną.

- Rozumiem. Chciałbym teraz poprosić tu kilku pańskich pracowników. Czy mogę korzystać z uprzejmości sekretarki?

- Oczywiście, zaraz jej powiem.

- Będę też potrzebował formalnego zeznania pana dyrektora, ale to nie dziś. Porozmawiamy później, spisujemy jakiś protokół.

- Jestem do dyspozycji.

- Dziękuję panu.

Gdy dyrektor wyszedł, Zalewski opadł na oparcie fotela i zamyslił się. Jest trudniej, niż na początku sądził. Kopalnia nie jest tak hermetycznym miejscem, jak z pozoru wygląda. Dostać się na dół może praktycznie każdy przy niewielkim wysiłku i minimum ryzyka. Gorzej z orientacją. Pierwszy lepszy z ulicy raczej by się tam nie odnalazł, zwłaszcza w

takim miejscu... By tam trafić, trzeba znać topografię kopalni, rozkład chodników, trasy dojścia... Laik jest bez szans. Czyli górnik albo były górnik. Czy musi być z tej kopalni, aby się po niej poruszać? Samodzielnie z pewnością. Ale można iść za kimś, śledząc kogoś. Na przykład ofiarę.

Nacisnął włącznik interkomu.

- Proszę pani, mogłaby się pani dowiedzieć, czy inżynier...

- Zajrzał do notatek. -.. inżynier Florczyk jest już wolny? Bo inspektor z OUG go przesłuchiwał.

- Sprawdzę - odpowiedział mu z głościzka zniekształcony damski głos.

- Będę wdzięczny, dziękuję.

Wstał i podszedł do okna. Miał przed sobą brudną industrialną panoramę kopalni, płataninę stalowych kratownic i cegła- stych, przydymionych murów, pomiędzy którymi przeciągnięte były napowietrzne, krzyżujące się korytarze przenośników. Nad nimi górowały trzy wieże szybowe: dwie klasyczne, jak z filmów o górnikach, stalowe, zwieńczone ogromnymi kołami wyciągów, i jedna betonowa, otynkowana na biało, u szczytu przyozdobiona skrzyżowanymi młotkami i wielkim zielonym neonem „KWK Gertruda”, odcinająca się ową zszarzałą, usmoloną bielą od czarno-czerwono-stalowego tła. Dołem poprzecinane stalowymi wstęgami torowisk czerniło się od węglowego miału błotniste klepisko. Dopiero bliżej biurowca pojawiał się asfalt, bruk, klomby i drzewka. Dalej, wśród chaosu tajemniczych ciągów technologicznych, uroda krajobrazu nie była potrzebna. Tam królowała funkcjonalność i estetyczna asceza. A nad tym szare niebo,

świat przytłoczony ciężkimi, wezbranymi niedalekim deszczem chmurami. Pogoda w sam raz dla tego krajobrazu i tego zdarzenia, z powodu którego tu był.

Popatrzył na pomniejszone odległością figurki ludzi w granatowoburzych roboczych ubraniach, brązowych kaskach i w gumowcach, idących grupkami na przełaj przez błoto i torowiska ku rudym budynkom przeróbki węgla i szybom. Za plecami usłyszał trzeszczenie komunikatora.

- Jest inżynier Florczyk, panie prokuratorze.

- Niech wejdzie, proszę. - Wrócił do biurka, usiadł.

Przyglądał się, milcząc, zmęczonemu mężczyźnie o spłoszonym spojrzeniu i widocznej na twarzy udręce. Nie dziwił się jej. Nie chciałby być w jego skórze, znał życie i praktykę podczas takich zdarzeń, był specjalistą od przestępstw związanych z pracą i funkcjonowaniem przedsiębiorstw. Miał przed sobą kozła ofiarnego, na którym skrupi się cała wina, niezależnie, na ile naprawdę zasłużył. Wystarczy, że trochę, że więcej niż trochę. Resztę mu się dołoży z puli położonych. Lekceważenie procedur tym mniej się opłaca, im na niższym szczeblu się zdarza. Łatwo wówczas dodać podwładnemu co nieco ze swojego, bo co to za różnica, skoro i tak będzie robić za głównego winowajcę. Jeden paragraf więcej, jeden mniej...

Nie miał na razie zamiaru przyspieszać dobijania.

- Nie będziemy rozmawiać o procedurach niedzielnych objazdów - od razu uprzedził i z zadowoleniem dostrzegł, jak z twarzy dyspozytora odpływa napięcie. - I tak jeszcze pana pomęczą.

Florczyk popatrzył wyczekująco. Gdy chwilowo oddaliło się

zagrożenie, był pełen gotowości do współpracy. Na każdy temat, było nie tamten.

- Mam jedno zasadnicze pytanie. Pan rozmawiał z denatką, panią Kulok, podczas feralnego objazdu, prawda?

Florczyk kiwnął głową.

- Kilkakrotnie. Meldowała mi się z trasy.

- Czy zgłaszała coś szczególnego? Jakies nietypowe zdarzenie?

- Nie... Wszystko było w normie, jedna drobna awaria hydrauliki na ścianie trzeciego oddziału. Nawet żartowaliśmy sobie z nudów, straszylem ją Skarbkiem...

- Tak? - W głosie inżyniera Zalewski wyczuł wahanie. - Coś z tym Skarbkiem nie w porządku?

- Ze Skarbkiem nic, wie pan, takie głupie dowcipy o zagrożeniu cnoty samotnej sztygarki. Ale... To się zaczęło od jej pytania...

- Pytania?

- Zapytała, czy w jej rejonie jest jeszcze ktoś poza nią.

Iskra, dźgnięcie w głowie, jak zawsze w takich przypadkach.

- I co? - zapytał, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie. - Był?

- Nie, nikogo. W nocy był elektryk na nadścianowym w pokładzie czterysta siedem, ale wyjechał ze sześć godzin wcześniej. A tak to nikogo w całym polu. Nie było potrzeby.

- A ona co? Pytała o kogoś konkretnego?

- Nie, tylko że jej się zdawało. Powiedziałem, że jest sama, i tyle. Nie wracała już do tego tematu.

- Dzwoniła jeszcze do pana?

- Nie, już nie. Wie pan, to był koniec objazdu, w zasadzie

powinna zadzwonić z podszybia, może wcześniej także z pola pożarowego, ale oni często to lekceważą, gdy nie ma o czym meldować. A ja miałem potem masę kłopotów z wozami na poziomie sześćset, o mało co mi tam chłopca nie przytrzymało, to i się nie interesowałem drugorzędnym obchodem młodej dziouszki. Co było fatalnym błędem.

- Owszem - przytaknął prokurator. - Fatalnym.

Florczyk zamilkł.

- A co do tamtej rozmowy... - Zalewski postanowił wrócić do meritum. - Sprecyzowała jakoś swoje obawy? Mówiła może, że ktoś za nią idzie?

- Nie, nic z tych rzeczy. Ot, takie tam błahe pytanie, myślałem, że może wystraszyła się odbicia światła w siłowniku. Pan wie, w ścianie jest kilkaset wyslizganych, błyszczących siłowników hydraulicznych. Gdy poświeci się w głąb, pomiędzy kaszty, może coś tam odbłysnąć. Wydawało mi się, że mogła to zobaczyć.

- Odbłysek siłownika nie rozkwasił j ej głowy - zauważył Zalewski.

- Racja - potwierdził skwapliwie dyspozytor. - Może faktycznie ktoś lał za nią, a potem... Jednak wtedy, rozumie pan, komu by przyszło na myśl...

- No dobrze. - Zalewski wstał, kończąc rozmowę. - Nie będę więcej pana męczył. Dziękuję za informacje, bardzo były przydatne.

- Naprawdę? - ucieszył się Florczyk, także wstając. Taka drobna pochwała musiała wiele znaczyć w jego udręce. - Jeśli mógłbym jeszcze pomóc, to ja bardzo chętnie. - Uchwycił się tej pomocy jak nadziei odkupienia winy.

- Nie omieszkać skorzystać. Dziękuję panu.

A więc był punkt zaczepienia. Słaby, wąty, bez wsparcia motywem, ale był. Ktoś mógł za nią iść, dokładnie tak, jak to sobie wcześniej wymyślił. Czy owa licha podstawa, na której próbował sklecić wstępną hipotezę, wytrzyma? Czy załamię się pod ciężarem jakiegoś niezbitego faktu, który jego teorię wykluczy i będzie musiał startować od zera? Nic nie wiedział, niczego nie miał, nic nie trzymało się kupy. Poza tym jednym... No to od czego innego miał zacząć? Nie miał nic innego.

Nakonieczny włókł się alejką, wśród młodych klonów, gubiących już pierwsze szczerwieniaste liście. Szła jesień, czuł ją w kościach. Zimą jak zwykle będzie cierpiał od reumatyzmu - pamiątki po czasach spędzonych na poligonie Jednostek Nadwiślańskich; służył w nich prawie półtora roku, gdy przez chwilę realizował pomysł zostania oficerem po Szkole Oficerów Rezerwy, do której trafił zaraz po studiach na gliwickim Górniczym. Potem mu przeszło i wrócił do zawodu, do górnictwa. Przepracował na dole pięć długich, beznadziejnych lat, po których werbunek do służby wydawał się wybawieniem.

Oprócz reumatyzmu czekała nań zimą intensyfikacja jeszcze kilku innych miłych przypadłości, przy których łamanie w kościach było nieistotną uciążliwością. Cóż, dawny styl życia dziś wychodzi bokiem, należało bardziej szanować się w młodości. Najgorsze były nerki. A raczej to, co z nich zostało i co wspomagał dwa razy w tygodniu

dializami. Starał się o nich nie myśleć, ale nie zawsze się dało.

Do dyżurki przykopalnianego ośrodka szkoleniowego pozostało jeszcze ze sto metrów, gdy niespodziewanie natknął się na Bugdoła. Dyrektor wypadł na niego z bocznej alei, wiodącej tu spod kopalnianej bramy.

- Cześć, Mietek! - Nakonieczny uśmiechnął się i wyciągnął dłoń na przywitanie. - Co się tak snujesz samotnie po parku? Wietrzysz mózg?

Odnotował nieprzyjemne poczucie zbędności, gdy z twarzy Bugdoła odczytał słabo skrywaną niechęć. Wolał myśleć, że to z powodu zakłócenia samotności, a nie tak ogólnie, do niego jako takiego. W końcu znali się tyle lat, wypili razem morze wódki. Głównie w czasach studenckich, w akademiku Barbara, gdzie przez cztery lata dzielili pokój. Co prawda chwały ta znajomość Bugdołowi nie przynosiła, w robionej za nowych czasów karierze nie pomagała. Ale starał się być lojalny, dzięki tej lojalności Nakonieczny miał pracę dla swoich kościanych dziadków. Więcej wymagać nie mógł, zwłaszcza że sam dobrze wiedział, iż nie o każdej minucie ich znajomości mógł ze swej strony powiedzieć to samo, szczególnie o czasach, gdy jako fachowca od branży służba skierowała go na odcinek kopalniany i spotkał tu Bugdoła, a okoliczności były takie, że dziś wolał o nich nie myśleć w trakcie spoglądania w lustro. Ale czasy to były wypełnione niewielką ilością czynności, którymi mógł się dziś szczyścić. Miał tylko nadzieję, że Mietek nie wie wszystkiego o jego roli w rozpracowaniu kopalnianej komórki Solidarności, w której działało kilku jego ludzi i za którą przesiedzieli po trzy

miesiące. Na pociechę miał dla siebie tylko to, że gdyby nie schował paru papierów w dolnej szufladzie komody, beknąłby i Miecio, za brak nadzoru, co z tego, że nadzoru nad lojalnością polityczną nie miał wpisanego do zakresu obowiązków. A ci od niego dostaliby nie trzy miesiące, a ze trzy lata, a i to wtedy, gdyby sędzia okazał się łaskawy. No i gdyby Zocha nie wykazała się innym rodzajem lojalności, kiedy go przyłapała na ich wynoszeniu. Lojalność, okazuje się, różne mieć może imiona.

- Cześć, Jędrus, cześć. - Bugdoł uśmiechnął się z przymusem. - A cóż ci to w oczko? - zauważył siniec.

- A, nic takiego, koszta własne - odparł Nakonieczny. Odwrócił odbity policzek w drugą stronę i odruchowo pomacał go palcami.

- Idziesz do swoich bojowców, do ośrodka?

- Taaa, pobudzić ich trzeba, otrząsnąć z postępującej demencji. Inaczej zapomną, z której strony bramy mają intruzów nie wpuszczać, a z której nie wypuszczać. To jest skomplikowana sprawa w pewnym wieku. A potem jeszcze fakturę za sierpień bym podrzucił do księgowości. O, i mam prośbę małą. Naciś- niesz po starej znajomości, żeby mi od razu puścili? Wiesz, jak jest w małej firmie: strategiczny klient nie zapłaci, Zocha nie będzie miała na waciki.

- Tak, tak, jasne - odpowiedział Bugdoł z roztargnieniem. Najwyraźniej myśli miał zaprzątnięte czym innym.

- Coś taki nieswój? Stało się coś? Kłopoty?

- Owszem, kłopoty. Człowiek mi zginął na dole.

- O w mordę! Współczuję. Wypadek?

- Gorzej, morderstwo.

Nakoniecznego przytkąło.

- Co takiego? - wykrztusił po dłuższej chwili. - Morderstwo? W kopalni? Na dole?

- Na dole - przytaknął tamten z przygnębieniem. - Młoda dziewczyna, sztygar z wentylacji, była na objeździe w niedzielę, no i w poniedziałek ją znaleźli.

- Dziewczyny za sztygarów teraz robią u ciebie? Co za czasy postępowe.

- Nie żartuj, wcale mi nie do śmiechu. Zatrudniłem, była z górniczej rodziny, spod Rybnika, fajna dzioucha po AGH. Eksperymentów mi się zachciało.

- Ale co? Napadli, zgwałcili? Rasa na kopalniach pracuje, że daj Boże zdrowie. Sam pamiętam...

- Nie, nie zgwałcili, przynajmniej nic do tej pory o tym nie wiem. Nie wygląda to na robotę łapańców po wyrokach, na nic zresztą nie wygląda. To stało się w niedzielę, kryminał w tym czasie dogorywa zwykle w Domach Górnika po sobotnich rozrywkach. Kto by ich zresztą wpuścił na dół i po co? Nie, to nie to. Ktoś ją dorwał w przecince do pola pożarowego i rozwałił głowę. Na miazgę.

- Już ty niczego nie wykluczaj, nie takie hece kryminał wyczyniał, gdy go chuć przyparła.

- Nie wykluczam, ale badali ją i prokurator nic nie wspominał, a rozmawiam z nim trzy razy na dzień.

- Może ma w tym interes, żeby nie wspominać.

- Może. Nie wiem. Nic nie wiem, poza tym, że ojciec dziś przyjeżdża i chce ze mną gadać.

- Jej ojciec?

- Przecież nie mój.

- Nie musisz, ty kopalnią kierujesz, nie śledztwem. Za opiekuna też nie robiłeś, żeby oczami przed rodziną świecić.

- Niby tak, ale wiesz, jak jest... Powinienem z nim porozmawiać. Ślązak jest, górnik i prawie sąsiad, mieszkają paręnaście kilometrów od chałupy po moich starych, gdzie siostra teraz gospodaruje.

- Poczujesz się, bo wzięłeś ją na dół?

- Trochę tak... - przyznał Bugdoł.

- Fatalna sprawa.

-No.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

- Wiesz, jakby co... Może napilibyśmy się na to utrapienie? Lżej ci będzie. Ja zapraszam, dawne czasy powspominamy, gdy jeszcze nic nie było za nami, a wszystko złe dopiero miało się zdarzyć, co? - zaproponował w końcu Nakonieczny.

Bugdoł zerknął na niego spod oka.

-A wiesz... Może i tak...? Ty weź wpadnij do mnie jutro po południu, tak po piątej, tu, do gabinetu. Nic nie przynoś, barek mam pełny, nie ma komu spijać, takie czasy nieprzyjemne.

- Wpadnę - obiecał. - Odstresujemy się, mnie też, szanując proporcje, łatwo ostatnio nie jest.

-Ale ty możesz? A twoje nerki, twoje wrzody? Pamiętam, że lekarz ci picia zabronił.

- A, tam. - Nakonieczny machnął lekceważąco dłonią. - Nie wydaje mi się, żeby niepicie wyleczyło mi nerki. Wiecznie żyć nie mam zamiaru.

- Bo, rozumiesz, nie chcę mieć jeszcze ciebie na sumieniu.

- Nie będziesz. Nie warto. Zresztą zaraz pojutrze rano mam

dializę, to się wszyściutko pięknie oczyści.

- Ryzykant jesteś.

- Ryzykant? Mieciu, a czym ja ryzykuję? Że mnie wywiozą któregoś dnia na sygnale? To nie jest największe ryzyko w moim życiu, zapewniam cię.

W dalszym ciągu nic nie miał. Przesłuchiwał wszystkich, których potrafił wymyślić w związku ze sprawą i których nie potrafił, lecz podsuwali się sami. Najprzykrzej wspominał rozmowę z Jankiem Pawlickim, chłopakiem tej Kulok. Przez dwie godziny miał przed sobą szczupłego bruneta o twarzy, na której wypisane było wszystko, co go ostatnio dotknęło. A jednocześnie wśród ogromu rozpacz, niezrozumienia i bezradności emanował z niego niesamowity, nienaturalny spokój, jakby wpadł w jakiś trans i nie docierały do niego bieżące bodźce. Opowiadał z ożywieniem i niemalże wesołością o ich życiu, o France, o codziennym zmęczeniu pracą i chwilach odprężenia, gdy byli razem w nielicznych momentach zbiegu takich samych zmian. O tym, jak mijali się w drzwiach i jak najlepiej znali swoje śpiące twarze. Zalewski słuchał go, nie przerywając, miał uczucie, że gdyby próbował wtrącać się w narrację, spokój chłopaka prysłby i rozsypał się na jego oczach w drobne kawałki bólu. Wysłuchał więc wielu zbędnych z punktu widzenia śledztwa informacji, ale nie miał serca przerwać, bo mógłby go potem nie pozbierać. Zapamiętał powtórzoną chyba ze trzy razy frazę:

- Kanapki jej robiłem, a ona je nadgryzione przynosiła z

powrotem... Ona mi nie robiła... nawet niedobrych... Kanapki, wie pan, z serem...

- Wiem, wiem - odpowiadał Zalewski i cierpliwie naprowadzał chłopaka z powrotem na główny tor opowieści o dwojgu młodych, za wszelką cenę budujących swoją samodzielność życiową, której budowy nie będzie im dane razem zakończyć.

Nie mieli wrogów, za to sporo przyjaciół ze studiów, bo większość z nich z racji zawodu trafiła razem na Śląsk. Spotykali się sporadycznie w jakimś pubie czy knajpce, jeździli niekiedy na nostalgiczne spotkania z rówieśnikami do Krakowa, aby pooddychać ulatniającą się już atmosferą niedawnych, lecz definitywnie minionych czasów. Zalewski znał ów stan łapania resztek czasu beztroski, prób odnalezienia tamtego studenckiego luzu, gdy człowiek coraz bardziej brnie w codzienność i zatracą się w zawodowej rutynie. Każdy przez to przechodzi, czas zakończenia studiów i rozpoczęcia pierwszej pracy jest najboleśniejszą, najbardziej brutalną cezurą, która oddziela od młodości. Z tymi wszystkimi kumplami będzie musiał porozmawiać, choć nie miał wielkiej nadziei, że czegoś konstruktywnego się dowie. Czuł, że nie tędy droga, że to nie ten trop, ale intuicja nie mogła zastąpić procedury.

Wyszedł z biura, gdy prawie zmierzchało. Od dwóch tygodni, od chwili, gdy go Benek, komisarz Kaleta znaczy, oderwał od nudnej sprawy lewych faktur paliwowych i wrobił w zabójstwo na Gertrudzie, wychodził tak niemal codziennie. Duśka znosiła to cierpliwie, przyzwyczała się. Starał się tego nie nadużywać, ograniczając nadterminowe

zaangażowanie do najtrudniejszych śledztw, ale nie wychodziło mu to za bardzo. A już ta...

Najgorsze, że z tego siedzenia po godzinach nic nie wynikało, nie pojawił się żaden godzien uwagi trop, żadna myśl genialna nie rozświetliła mu mroków niewiedzy i tylko papier szedł ryza za ryzą na tony zbędnej dokumentacji. Precyzyjnie dokumentował bezradność swoją i policji, tworząc kolejne tomy pustych treściowo akt.

Skręcił w stronę parkingu i tuż za rogiem zauważył stojącego pod drzewem typa w pomiętej zielonej drelichowej bluzie, nieogolonego, z rękami w kieszeniach i papierosem w zębach. Znał go. W pierwszym odruchu miał ochotę przejść na drugą stronę ulicy, ale tamten go dostrzegł i głupio byłoby teraz tak ostentacyjnie demonstrować niechęć. Nakonieczny, nieciekawo osobnik. Dziś prywatny detektyw i właściciel małej firmy ochroniarskiej, typowy przedstawiciel tego fachu, który przygarnął całe rzesze takich jak on ludzi o szemranej przeszłości, naznaczonej licznymi skazami w życiorysie, skazami na tyle istotnymi, że albo sami nie przystąpili do procesu rozgrzeszania z esbeckiej karty, albo go nie przeszli. Nakonieczny nie przystąpił do weryfikacji, dobrowolnie zrezygnował ze służby, ale Zalewski wiedział, że raczej nie miał co liczyć na przychyłność weryfikatorów. Zbyt dobrym był psem na usługach tamtego systemu, niezaprzeczalny talent śledczy ulokował po fatalnie niewłaściwej stronie. Dziś chronił drugorzędne obiekty przemysłowe, na Gertrudzie, dzięki znajomości z Bugdołem, dostał do strzeżenia ośrodki szkoleniowe; zatrudniał głównie emerytowanych milicjantów, dorabiających do

obciętych emerytur. Osobiście trudnił się odzyskiwaniem długów i śledzeniem niewiernych małżonków. Kokosów pewnie z tego nie miał, zwłaszcza że firma była na spółkę z jeszcze jedną esbecką popłuczyną, niejaka Zocha, której nazwiska Zalewski nie znał. Wiedział tylko, że w służbach pracowali razem i razem z nich w dziewięćdziesiątym odeszli na swoje.

Nie lubił Nakoniecznego także z tego powodu, że uzmysławiał mu, iż przeszłości nie da się unieważnić. Zalewski był starym prokuratorem, oskarżał również w czasach, gdy dowodów dostarczali tacy właśnie Nakonieczni. Och, nie był żadnym szczególnie transparentnym reżimowym cynglem, wiek młody i początki średniego spędził, wsadzając do mamra złodziei rowerów i zbieraczy aluminiowych klamek z działkowych altan. Akceptację w nowym ustroju uzyskał więc bez większych problemów, mimo że opozycyjną kartą pochwalić się nie mógł. Jak się jednak przekonał, taka karta do niczego nie była potrzebna, wystarczyło nie wychylać się po żadnej ze stron; niekiedy wręcz niewskazane było mieć za sobą okres większego zaangażowania, gdy okazywało się, że władzę sprawują byli opozycjoniści innego odcienia od poprzednich i gorzej mieć odmienne koncepcje nowej Polski niż brak jakichkolwiek.

Kaca jednakże z powodu kolaboracji się miało, a wzmacniał go fakt posiadania czerwonej legitymacji aż do września '89, gdy już na pewno stało się wiadome, że ustrój zawalił się i nic nie powstrzyma wyniesienia sztandaru. Z tą legitymacją był zresztą niezły kabaret, bo partyjność uwierała Zalewskiego od czasów solidarnościowego entuzjazmu, zwłaszcza gdy

zgasił go stan wojenny. Jako modelowy konformista przyjął jednak konformistyczną i tchórzowską metodę rozwiązania tego mariażu: po zmianie pracy nie zgłosił się do POP w nowej i przestał płacić składki. Wydawało się to skuteczne, partia się nie upominała i wyglądało, że zapomina o swym nielojalnym członku. Przypomniła sobie, gdy obradował już Okragły Stół. Dostał wezwanie do opłacenia zaległości za trzy lata. W tym czasie nietrudne i mało ryzykowne było granie na zwłokę i po czerwcowych wyborach ostatecznie odesłał legitymację. Nie dało mu to jednak satysfakcji, w tym momencie żaden to był heroizm, pozwoliło jednak pozostać uczciwym we własnych oczach. Sam mianowicie zdążył z partii zrezygnować, zanim posypała się do reszty i zniknęła z historycznej sceny.

Nakonieczny oczywiście dojrzał go w tej samej chwili. Uśmiechnął się poprzez papierosa i ruszył z wyciągniętą ręką. Nie dało się nie przyjąć.

- Witam pierwszego oskarżyciela Rzeczpospolitej! - zaczął ni to kpiarsko, ni przymilnie. - Cóż tam słyhać u gończych psów Temidy? Przystępność maleje?

- Dzień dobry, panie Nakonieczny. Dawno pana nie widziałem. Biznes kwitnie? - odpowiedział pytaniem na pytanie, kryjąc w nim drobną uszczypliwość, związaną z nie do końca dobrowolnym sprywatyzowaniem śledczej kariery byłego esbeka.

Tamten zrozumiał.

- Radzę sobie. Skoro mnie ojczyzna nie chce, sam zagospodarowuję kawałek działki w naszej wspólnej branży. Z umiarkowanym powodzeniem, ale przynajmniej bez

zobowiązań.

- Duże słowa, panie Nakonieczny. My nie robimy w tej samej branży. Już nie.

Nakonieczny spojrział ironicznie spod przeredzonej grzywki.

- Dobrze, że pan to dodał na końcu.

- Nie miejsce to ani czas na słowne przepychanki, panie Nakonieczny. Spieszę się, obiadu jeszcze nie jadłem.

- Nie przeszkadzam już, nie przeszkadzam. - Detektyw wznosił obie dłonie w obronnym geście. - Chciałem tylko zapytać, jeśli pan pozwoli, nic zobowiązującego, czysta zawodowa ciekawość: pan prowadzi sprawę morderstwa na Gertrudzie, prawda? Proszę nie odpowiadać, wiem, że prawda. Ciekawi mnie to profesjonalnie. Dzieje się coś konstruktywnego? Bo na oko wygląda mi, że ciężko będzie.

W pierwszej chwili Zalewski chciał się ostentacyjnie zachnąć, bo co go to obchodzi, zełomowanego łapsa, ale zrezygnował. Pełen był bezradności i ona miała ochotę wyłączyć się z niego, niechby nawet przed takim Nakoniecznym. Ten przynajmniej zrozumie.

- Dobrze pan zgaduje, jest ciężko. Zero punktów zaczepienia. Przy takiej liczbie zatrudnionych w kopalni mętów najprościej byłoby przyjąć, że to sprawka któregoś z nich - ładna dziewczyna się napatoczyła, tym bardziej kusząca, że sztygar, pan szarej górniczej masy. Zemsta, może za obcięcie dniówki czy czegoś w tym stylu, i pokazanie, kto tu rządzi, logika ludzi z pierdła. Tylko konsekwentny byłby w takiej sytuacji gwałt. A tu nic. Kliniczne okrucieństwo, bez motywu, bez konsekwencji materialnych, bo co można

ukraść sztygarowi na dole? Notes?

- A ukradli notes?

- Nie, nawet tego. Notes miała przy sobie, nic w nim ciekawego. Pusty był tylko chlebak, w środku okruszki i resztką coli, pewnie zjadła drugie śniadanie, a papier wyrzuciła. Ale co ja panu opowiadam, przepraszam. Nie będę już zajmował czasu.

- Ależ skąd, niczego pan nie zajmuje. W pracy tu jestem, popatrzeć muszę na to i owo, to mi się chwilowo nigdzie nie spieszy.

- A co? Żonę jakąś u kochanka pan śledzi? - Zalewski uśmiechnął się z przymusem.

- Coś zbliżonego. - Nakonieczny odpowiedział uśmiechem.

- To nie przeszkadam, zwłaszcza że Duśka czeka z obiadem, pewnie już ze dwa razy odgrzewała.

- I tu objawia się wyższość samotniczej kuchni: na mnie czeka pizza, do odgrzania w dowolnej chwili, zawsze taka sama, niezależnie od godziny powrotu. Broń Boże, żebym namawiał do rozwodu, stwierdzam tylko, że czasem dla nerwów i dla żołądka lepiej jest, gdy nikt o nie zaledo nie dba.

- E, tam, plecie pan, Nakonieczny. Idę już, bo noc nas tu zastanie.

- Proszę pozdrowić panią Dusię.

Kiwnął mu głową i przeszedł na drugą stronę ulicy do zaparkowanego samochodu. Odnalazł parkingowego, pokazał abonament. Wyjeżdżając z uliczki przed prokuraturną, widział w lusterku, że Nakonieczny patrzy za

nim, dłużej niżby wynikało z czystej ciekawości. Co go zirytowało i wyładował się dopiero na niczego nierozumiejącej Duście, zakończył więc wieczór nieplanowaną awanturą, czyli odpowiednio do potrzeby chwili.

„Coś zbliżonego” nosiło ksywę „Golo” i przypadkiem było winne niemałą kasę łódzkiemu bossowi, z którym miał przyjemność nie tak dawno temu. Ledwie mu siniec pod okiem zżółkł. O bossie przypominał nie tylko on; cztery dni temu zgłosił się do biura znajomo wyglądający łysol. Nakoniecznego nie było, gościa przyjęła Zocha, jak to ona, w klimacie peerelowskiej komórki paszportowej, czyli idź pan stąd, jak tylko skończę z panem to minimum, do którego zmusza mnie poczucie obowiązku wobec szefa, tu jeszcze podbudowane świadomością, że jest się szefem dla siebie i zarobić coś by trzeba czasem. Łysol spławić się nie dał, był uprzejmy, elokwentny i zupełnie nienerwowy, ku zaskoczeniu Zochy, nienawykłej do takich klimatów. Zaczekał na Nakoniecznego, siedząc na krzeselku w korytarzu przed wejściem do biura, i nawet nie miał pretensji, gdy się w końcu po godzinie Nakonieczny zjawił. Metamorfoza łysola nie dziwiła, chłopcy mafijni byli gięscy i podatni na bieżące zapotrzebowanie szefa odnośnie do manier. Jak trzeba, nosili krawaty i czyste koszule oraz mówili „aczkolwiek”, w razie odmiennej potrzeby fachowo lali po mordzie. Dałby przecież Nakonieczny głowę, że to jeden z tych, którzy spuścili mu manto na schodach ele-

ganckiej łódzkiej kamienicy, ten konkretnie, którego obcas do tej pory czuł na żebrach w lewym boku. Miał oko do tych jednakowych z pozoru facjat i bezkarkich łysin.

- Pan Dziewkin przesyła wyrazy sympatii i pyta o zdrowie - zaczął wysłannik z miasta Łodzi. - Prosił przekazać, że ma nadzieję, iż pan wydobrzeł po niefortunnym incydencie, do jakiego doszło podczas pańskich ostatnich u niego odwiedzin.

„No i masz, a nie mówiłem?”. - Nakonieczny uśmiechnął się w duchu, usłyszawszy styl przemowy powitalnej łysola, bardzo kolidujący z resztą jego cech osobniczych.

- Rozumiem, że dokładnie powtarzasz słowa Dziwki, co, panie łysy...? Sorry, nie dosłyszałem nazwiska. - Kątem oka zobaczył w uchylonych drzwiach do sąsiedniego pokoju bezgłośnie chichoczącą w mankiet Zoche.

- Pan Dziewkin nie używa już i nie lubi ksywy „Dziwka” - poinformował łysol beznamiętnym tonem.

- Wcale mi nie dziwno. Też bym nie lubił. Na szczęście od nazwiska Nakonieczny trudno wymyślić obraźliwe pseudo. A wracając - jak do ciebie mówić? Chyba że lubisz „łysy”?

- Jak pan woli. Ale ludzie mówią na mnie Chlast.

- Oryginalnie. Pewnie od nazwiska?

Łysol nie odpowiedział.

- Tak więc, panie Chlast, o co chodzi Dziwce? Bo o coś chodzi, nie tylko troska o moje zdrowie kazała mu ciebie do mnie przysłać.

Sprawdził go. Dziewkin był dawniej dość znaczną, choć nieformalną figurą w łódzkim Wydziale III, potem szybko, już w osiemdziesiątym dziewiątym, wyczuł zmianę wiatrów i

nie czekając na weryfikację, odszedł ze służby, by wypłynąć jako Dziwka, choć aż do tamtego spotkania Nakonieczny nie kojarzył ksywy łódzkiego bandyty z dawnym kolegą po fachu. Dziwka, jak słyszał, robił przede wszystkim w lewym alkoholu, na czym tak urósł, że od jakiegoś czasu uważano go za głównego rozdającego w łódzkim półświatku. Co detektywowi udało się boleśnie potwierdzić na własnej skórze.

- Pan Dziewkin uważa, że nie powinien pan marnować się za liche grosze, windykując pięciocyfrowe kwoty. Pan Dziewkin, z racji, jak powiedział, starej znajomości, chce dać panu zarobić. Trochę też w ramach zrekompensowania uszczerbku, jakiego pan doznał podczas ostatniego spotkania.

- Łapówka?

- Skądże. - Łysol wzruszył ramionami. - Pan Dziewkin nie ma zwyczaju dawać łapówek. Woli raczej je brać, choć oczywiście tak ich nie nazywa. Ale tu nie ma o tym mowy. Pan Dziewkin proponuje zwykły, uczciwy biznes. Leżący w zakresie pana kompetencji, panie Nakonieczny, i w zakresie działalności firmy, tak jak ją pan zarejestrował.

- To znaczy?

- Dziesięć procent.

-Od...?

Tu Chłast wymienił sumę, zaś Nakonieczny w pamięci próbował obliczyć swoje i od razu policzył po raz drugi, sądząc, że mylą mu się zera. Za tyle mógł pracować nawet dla Dziwki, oczywiście w granicach rozsądku, które to granice stawały się wszakże dość elastyczne w sytuacji, gdy w grę

wchodziły takie kwoty.

Sprawa była z pozoru prosta: dłużnikiem był wspomniany Golo, osobnik znany Nakoniecznemu ze słyszenia i z niedobrej strony, bowiem Nakonieczny prywatnie, niezależnie od wykonywanego fachu, nie lubił niesolidnych dłużników, zwłaszcza takich, którzy ze swej niesolidności uczynili sposób na życie. Z jakiego tytułu był dług - nie wnikał. Dla samej techniki pozasądowej egzekucji nie miało to znaczenia. Ciekaw był tylko, czemu akurat w tej sprawie Dziewkin wynajmuje jego agencję, zamiast posłać łysoli. Zadośćuczynienie, solidarność komuchów, to rozumiał, jednak nie uważał za powód wystarczający, zwłaszcza przy kwocie sześciu milionów brytyjskich funtów. Zastanawiał się, w jaki sposób mogło dojść do tak znaczącej pożyczki między panami, bowiem Golo to był gracz z innej ligi. Zawodowy wyłudzacz, bez trwałych powiązań ze śląską mafią, raczej indywidualista, jeśli współdziałający z grupą to dlatego, że grupie należała się dola od samego faktu osiągnięcia dochodu. Znaczy - za ochronę. Wyłudzić od bossa gangu znaczącego na skalę kraju to była albo głupota, albo fragment jakiejś większej całości, której Nakonieczny nie ogarniał. I ogarnąć nie chciał; pragnienie zrozumienia istoty sprawy nie spędzało mu snu z oczu. Miał zamiar zarobić to niemałe swoje i wrócić do pilnowania przykopalnianego parku. Emerytura za progiem, akurat będzie na wspomnienie obu państwowych filarów.

Trochę dziwiło go w tym tylko, że odzyskanie długu nie pasjonowało Dziwki do tego stopnia, by choć zapytać czasem, niechby przez telefon, jak mu idzie i kiedy zamierza

wywiązać się z obowiązków. Może to nie była dla łódzkiego gangstera duża kwota, ale ludzie tej proveniencji nie odpuszczali pożyczki pięćdziesięciu złotych i nawet za tyle można było nie doliczyć się niektórych zębów, co dopiero za takie miliony. A Dziwce nie zależało. Chciał jedynie wiedzieć, co Golo porabia na co dzień, z czego raz na tydzień odpytywał go poznany łysol Chłast. Raz na tydzień Chłast wręczał mu także kopertę, którą nazywał zaliczką na koszt, a Nakonieczny próbował wyobrazić sobie, co musiałby robić, żeby takie koszty ponosić, i nie bardzo dawał radę.

Zosze nie podobał się ten kontrakt. Nie z powodu osoby zleceńodawcy ani też, broń Boże, kwoty. Nie podobało się jej, że za ową obiecaną prowizję, ba, nawet nie za nią, nawet za cotygodniowe zaliczki, coś za mało mieli do zrobienia. A nikt nie rozdaje kasy za darmo, nawet w imię tajniackiej solidarności. Marudziła jednak jedynie pod nosem, gdyż po pierwszych wyartykułowanych obiekcjach Nakonieczny kazał jej schować je w najgłębsze miejsce, jakie mogła sobie wymyślić. No to schowała. Wracała do nich, gdy wydawało się jej, że współnik nie dostrzega, bo czuła coś niepokojącego. Rozglądała się więc dyskretnie dookoła sprawy, o czym Nakonieczny dobrze wiedział i w duchu był jej za to wdzięczny. Parasol ochronny Zochy minimalizował możliwość niespodzianki, istniało bowiem duże prawdopodobieństwo, że w razie zagrożenia grubą wtopą Zochy dowiedzie się o niej odpowiednio wcześniej i wyciągnie siostrzaną dłoń.

Gdy napatoczył się Zalewski, detektyw rozważał właśnie konsekwencje ewentualnego zejścia z posterunku

obserwacyjnego ze względu na zapadający zmrok i chęć pokrzepienia się czymś odpowiednim dla rozpedzenia nadciągającego chłodu. Wahał się, Golo mógł wyjść lada chwila i straciłby ciągłość obserwacji, z drugiej strony mógł nie wyjść wcale, bowiem Nakonieczny wiedział, że w kamienicy naprzeciwko mieszka pewna rozwódka, u której śledzony nierzadko nocował. Z trzeciej irytowała go ta pusta i bezcelowa obserwacja, znał już wszystkie zwyczaje i miejsca Gola, mógł zacząć planować operację Odzysk, gdy tylko uda się odkryć coś godnego odzyskania. Nie będzie najłatwiejsza, bowiem Golo miał pretensje, wyniesione z filmu „Ojciec chrzestny”, do pozwania na bossa lokalnej rodziny i w związku z tym otaczał się grupką zdeprawowanych nastoletników, terminujących u niego w charakterze ochroniarzy. Poza tym jakoś nie mógł sobie wyobrazić, gdzie tamten przepuścił tak ogromną kwotę, bo Zocha przejrzała wszystkie jego legalne i półlegalne interesy, wszystkie kanały pralnicze, konta w bankach, dostępne księgi prowadzonych przez Gola interesów, śledząc wszystkie, najdrobniejsze odchylenia standardowych przepływów. Nic. Przecież nie trzymał sześciu milionów funtów w skarpecie, gdzieś je musiał aktywować. Wywiózł w walizce? Możliwe. Ale żeby wszystkie? Nie pasował mu obraz drobnego śląskiego cwaniaka, od lat ślizgającego się na pograniczu legalu i kryminału w dość szerokim spektrum interesów, nietrącających jednak o najpoważniejsze paragrafy, jak wchodzi w mafijny biznes na międzynarodową skalę. Robił za słupa? Za wykonawcę przekrętu, którego ofiarą stał się łódzki gangster? Nic nie trzymało się kupy i Nakonieczny

miewał niekiedy chęć, by spróbować to rozwikłać. Tłumił ją w sobie, po co miałby się angażować? Płacił mu ktoś? Ojczyzna dawno już nie. Więcej, płacił ten, którego miałby rozgryzać, płacił nie za rozgryzanie, tylko za współpracę.

Pomyślał, jak też w praktyce zakończy się ta windykacja. Golo kasy nigdzie nie miał, można mu zająć rachunki, wybebeszyć sejfy, rozpirzyć szafy i komody – jego, kumpli czy kochanki – można go postraszyć i potrząsnąć kieszeniami, ale wiele z nich nie wypadnie. Dziewkin pewnie miał swoje sposoby na odstraszenie kolejnych amatorów jego pieniędzy, jak i na nakłanianie ich do zwierzeń, a jednak ich nie stosował. Zamiast tego wynajął jego. Czemu? Nakonieczny po tych kilku dniach inwigilacji już doskonale wiedział, że ani siłą, ani groźbą, ani obietnicą nagrody nic wielkiego z Gola nie wyciśnie. On tych pieniędzy zwyczajnie nie miał. Pewnie uda się wyjaśnić, co z nimi zrobił, czy to wszakże pomoże w odzyskaniu?

Jakoś w to wątpił. No i nie wiedział, czy bardzo jest zdrowe takie dopytywanie się, o radykalniejszej perswazji nie mówiąc. Wszystko to razem brzydko pachniało. Jednak wycofywać się nie miał zamiaru, zlecenie to zlecenie, a on umiał unikać kłopotów, jeśli nie dotyczyły go bezpośrednio. W razie czego niech się Dziwka martwi.

Ulica powoli zanurzała się w mroku, jedna po drugiej rozbłyskały uliczne lampy. Nakonieczny spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta. Stał tu już trzy godziny, zmieniając od czasu do czasu lokalizację, aby nie wzbudzić czyichś podejrzeń. Po sąsiedzku miał budynek prokuratury, jakiś ciekawski strażnik mógłby się zainteresować. Ziewnął

szeroko i sięgnął do kieszeni po kolejnego papierosa. Paczka zaplątała się w podszewce, więc przez chwilę skoncentrował się na jej wydobyciu i gdyby nie głuchoe echo trzaśnięcia drzwi, byłby przegapił. Podniósł jednak głowę. Z bramy naprzeciwko wyszedł puciołowaty blondyn w jasnym prochowcu i skierował się w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu. Nakonieczny wyrzucił niezapalony papierosa i szybko ruszył do swojego leciwego volkswagena polo. Przekręcał właśnie kluczyk w drzwiach, obserwując wsiadającego po drugiej stronie ulicy do kawowego bmw Gola, gdy poczuł szarpnięcie za ramię. Odwrócił się.

- Ciekawski jakiś. - Stało za nim, po obu jego bokach, dwóch wyrostków w jednakowych niebieskich dresach z białymi lampasami. - Co się, dziadek, interesujesz? - spytał wyższy, po którym znać było efekty codziennego pizgania żelaza na siłowni.

- Ja? Ja nic, do domu jadę - próbował ściemnić, bez wiary w skutek.

„Jasny pieron, znowu dwóch - przemknęło mu przez głowę.

- Nieszczęścia chodzą parami”.

- Do domciu? - odezwał się niższy, mniej napakowany, ale żylasty i zwinny, jak można było ocenić po sylwetce.

- To spierdalaj do domciu, kutasie.

Kop z kolana wylądował na kroczu Nakoniecznego, który zwinął się z bólu i przyklęknął. Nie dążył jeszcze jęknąć po pierwszym ciosie, gdy na ustach poczuł uderzenie kłykciami dłoni. To ten pierwszy, wyższy, zarejestrował, padając na

plecy. Poczł kopnięcia: w nerki, w wątrobę. Nie bronil się, skulił się tylko, osłonił przedramionami twarz i podciągnął kolana pod brodę. Dostał jeszcze raz i drugi, a potem usłyszał suchy trzask, jak z korkowca, a po nim wycie i tupot kroków. Podniósł głowę. Napastnicy uciekali. Jeden, ten mniejszy, szybko, z głową wtuloną w ramiona, zygakował między samochodami. Drugi, napakowany, kuśtykał zdecydowanie wolniej, wlokąc za sobą bezwładną nogę i znacząc chodnik krwawą smugą. To on wył i kłął bez składu, wyrzucał z siebie wulgaryzmy, niepowiązane w żadne związki fleksyjne, w przerwach pomiędzy kolejnymi napadami wycia, kiedy to w zasadzie powinien nabierać oddechu, a zdawało się - nie nabierał. Nakonieczny spojrział za siebie. Łysoł Chłast szedł szybko w jego kierunku, chowając do kabury pod marynarką pistolet. Pochylił się nad nim, ujął pod pachy i postawił na nogi.

- Jak tam? Żyje pan? Lepiej, żeby tak, trzeba się stąd zmywać.

Nakonieczny skinął głową. Poczł smak krwi na wardze.

Oblizał ją.

- Trochę pana uszkodzili - skonstatował Chłast tonem bez emocji. - Da pan radę jechać sam? Ja bym wolał, rozumie pan, nie afiszować się tu.

- Nie wiem, może dam, zwłaszcza jak trochę posiedzę. - Detektyw, krzywiąc się z bólu, otworzył drzwiczki volkswagena i, stęknąwszy, opadł na siedzenie. Ostrożnie dotknął językiem przednich zębów. Jeden się ruszał. - Kurwa mać, ile razy w miesiącu może chory człowiek po sześćdziesiątce brać w dziób i potem sprawnie wykonywać

swój niełatwy zawód, co, panie Chłast? – Wykrzywił się do łysola, czując ból w rozciętej wardze.

- No to trzym się pan, ja chwilowo znikam, bo tu zaraz gli-niarnia się zjawi. Panu też radzę, stróż z prokuratury na pewno zawiadomił, kogo trzeba.

- Idź pan, idź, ja nie muszę, w końcu poszkodowany jestem, to mnie pobili.

- Ale jakby co, pan wie, mnie tu nie było.

- Wiadomo – Nakonieczny skinął głową. Popatrzył, jak Chlast szybkim krokiem przechodzi na drugą stronę jezdni i znika za rogiem. Z oddali dobiegł odgłos policyjnej syreny.

- Znowu? – Zocha aż uniosła się z krzesła na widok jego rozkwazzonej twarzy.

- Ach, daj spokój. Coraz mniej mam serca do tej roboty.

Nakonieczny podszedł do stolika, nalał sobie kawy z dzbanka. Wrócił z nią do swojego biurka i usiadł, z trudem powstrzymując jęk. No, to załatwili mu żebra na sto procent. Po pracy zapisze się do chirurga.

- Kto tym razem? – spytała Zocha.

- Wstyd powiedzieć. Takie łebki od Gola.

Prawda, że wstyd. Jeszcze pięć lat temu nie potrzebowałby interwencji Chlasta, sam dałby sobie radę. Ale to pięć lat temu. Za następne pięć da mu radę małaletnia wnuczka Zochy. O ile on doczeka takiego upokorzenia, bo szanse miał marne.

- Biedaku... – W głosie Zochy zabrzmiało autentyczne współczucie. To ważne, bo równie dobrze mogła to być

kpina. Znaczy, przejęła się. - Może byś tak broń zaczął znowu nosić?

- Żeby ukradli? Jeszcze mi tego brakuje. Co ja szeryf jestem? Wystarczy, że ty nosisz.

- I mnie nikt nie bije co dwa tygodnie.

- Jakoś nie widzę związku.

- No właśnie.

- Co „no właśnie”? Coś sugerujesz nieprzyjemnego?

- Nic nie sugeruję. - Zocha miała poważną minę. - Tylko myślę, że powinieneś zmienić profil działalności. Na mniej konfliktowy.

- Żarty.

- Nie żartuję. Jasne, że łapsem jesteś i łapsem pozostaniesz, podobnie jak ja. Nic innego nie umiemy robić, a do emerytury trzeba jakoś doczekać. Ale może wyłącz się z tych asocjacji z mafią? Mamy ochroniarzy, parę spraw rozwodowych niekiedy wpadnie, starcza na życie. Musisz na starość ryzykować?

- Zauważ, za ile.

- Andrzej, Andrzej, nie bądź naiwny. Myślisz, że odzyskasz dla Dziwki te miliony? Ja w ogóle nie wiem, czy one istniały.

- Też mam niekiedy wątpliwości - przyznał Nakonieczny.

-Ale zaliczki na kosztą również nie są do pogardzenia. Więcej z tego mamy tygodniowo niż miesięcznie ze służby dziadków w kopalnianym parku.

- Warto za to brać w gębę co parę dni? Raz od klienta, raz od obiektu, na zmianę?

Nakonieczny zastanowił się.

- Dobra - rzekł. - Dobra. Może masz rację. Należy wyha-

mować. I się wyhamuje, stopniowo. Tylko nie wiem, czy nam Dziwka pozwoli wycofać się ot, tak, bezboleśnie. Sporo w nas zainwestował.

- No to jeszcze Dziewkina zrealizujemy, tylko, na miłość boską, nie angażuj się tak. I ustal z nim jasne zasady. Na dziesięć procent nie ma co liczyć, tak myślę. Możemy więc pośledzić mu za te zaliczki, może je nawet obciąć o połowę, tylko niech się w tym jakiś sens objawi. Niech wiem, co robię i do czego to zmierza. Odtąd dotąd. Zamiar i cel. Tak, żeby dobrać odpowiednią do okoliczności metodę pracy, inaczej znów ktoś cię obije, albo co gorsza mnie, a ja nie chcę na starość wydawać na operacje plastyczne. Kobieta jestem, chociaż może nie widać, i nie będę straszyć wnuczki pokiereszowaną twarzą.

- Dobrze, Zocha, dobrze. Sama mądrość przez ciebie przemawia. Pogadam z Chłastem, może do Łodzi wyskoczymy, na rozmowę z bossem. Masz rację, tak być nie może, kasę bierze się za coś, nie za udawanie Philipa Marlowe'a. Spróbujemy to coś dookreślić.

- No. - Zocha odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Ale wiesz... gdyby to trochę trwało... albo gdyby Dziewkin nie chciał... te parę groszy...

- Andrzej!

- Okej, dobra, już nic nie mówię...

- Puk, puk! - Nakonieczny wsadził głowę przez obite wytłumiającym skajem drzwi do gabinetu.

Sekretariat był już pusty; wszedł bez większego trudu, por-

tier na dole znał go, wiedział, że ma z kopalnią umowę i może mieć do dyrektora sprawę, nawet o tak dziwnej popołudniowej godzinie. Zresztą pracował kiedyś, krótko, u niego jako ochroniarz parkingu, zanim znalazł lepiej płacącą i oferującą spokojniejsze zajęcie konkurencyjną firmę. No i spotkali się znowu, u wspólnego klienta. Portier lubił swego byłego chlebodawcę, bo choć ten źle płacił, szefem był ludzkim i nie wymagał ponad normę, w przeciwieństwie do obecnego, u którego nawet siedzenie w ciepłej dyżurce kopalnianego biurowca bardziej stresowało niż niegdysiejszy dozór parkingu, gdzie i złodziej się trafił, i mróz włączący przez szczeliny blaszanego kiosku, w którym pełnili służbę. Życie wszakże trzeba, zwłaszcza gdy ma się na utrzymaniu bezrobotną rodzinę z wnukami. Minimalna brutto u Nakoniecznego plus nadgodziny nie wystarczała.

- Jędrus? Wchodź, wchodź! - Bugdoł nie był zaskoczony.

Zaskoczenie miał za sobą, gdy w południe odebrał telefon z propozycją następnego sentymentalnego wieczoru przy szklaneczce czegoś odpowiedniego do okoliczności. Nie żeby nie miał ochoty, zastanawiał się tylko, czy nie powinien nieco ochłodzić tej znajomości. Wspólne studia, akademik, obiady z jednego garnka i tak dalej - owszem, należy jednak brać poprawkę na bliższą przeszłość kamrata z roku. Bugdoł wiedział o nim dużo, a jeszcze więcej się domyślał. Z pewnością nie wszystko, co do tego nie miał złudzeń, ale widział i przede wszystkim wiedział, słysząc to i owo, o roli i zadaniach Nakoniecznego, gdy po nastaniu stanu wojennego władza przydzieliła go na kopalnię Gertruda. Bugdoł był wówczas dopiero kierownikiem oddziału

wydobywczego, z perspektywami na rychły awans na nadsztygara, nie miał więc bezpośredniego kontaktu z wojskowo-milicyjnym nadzorem nad kopalnią. Bardziej pewnie ówczesne kierownictwo, dyrektor, kadry... Zakład zmilitaryzowano, jawnie dostał wojskowego komisarza, a dyskretnie – opiekuna z SB. Tym opiekunem został Jędrus Nakonieczny i dopiero ten fakt, który dotarł do niego pocztą szeptaną, uświadomił Bugdołowi, czym się rzadko ostatnio widywany kumpel zajmuje. Początkowo nie chciał uwierzyć, choć wszystko się zgadzało: widział go parę razy z daleka, wchodzącego lub wychodzącego z dyrekcji, a przecież tu nie pracował – wiedziałby przecież. Przez dłuższy czas nie miał okazji z nim porozmawiać, zapytać osobiście, Nakonieczny przelatywał przez kopalnię jak perszing, nie rozglądając się na boki, i chyba go nawet nie widział. Udało się w drugim roku militaryzacji, spotkali się przed bramą, po kilku chwilach zwykłych w takich sytuacjach powitań wstąpili na piwo do przykopalnianego kiosku i od słowa do słowa... „Pracuję w służbach” – po prostu powiedział Nakonieczny. Nagle, bez uprzedzenia, bez słowa wstępu. Bugdoł przyjął to w milczeniu, omijając wyznaczenie niczym kałużę. Pomilczał chwilę, pociągając piwo z butelki, a potem próbował zmienić temat. Nie dało się, nie tak od razu. „W SB robisz, wiesz o tym?” – Nakonieczny nie dał za wygraną, jakby poprzez to ostentacyjne przyznanie się chciał oswoić fakt, nadać mu zwyczajny, niesensacyjny wymiar. Bugdoł pokiwał głową dopiero, gdy padły słowa następne: że tylko rozmawia z dyrektorem, wypytuje o nastroje... „Wiesz, Mieciu, takie tam, rutynowe pytania, rytuał, milicyjna

liturgia...”. Kazali, to chodzi, był górnikiem, myślą, że lepiej się dogada. „Pierdoły, Mieciu, mówię ci”. Dopiero wtedy Bugdoł dał znać ruchem głowy, że wie. I że nic mu do tego. Potem gadali już tylko o studiach, o dawnych czasach, trochę nieszczerze, trochę zbyt pospiesznie, zagadując tamte słowa, które musiały paść, ale należało je usunąć z pierwszego planu, spróbować zapomnieć, przynajmniej na tę chwilę, bo inaczej z przyjaźni nie zostanie nic, a inaczej może ona to przeżyje, przetrwa, nie takie przeciwności losu przyjaźń potrafi przetrwać. Byle się nie zastanawiać za głęboko, byle machnąć ręką, nie zwracać uwagi. Dało się, w tym dniu się dało. A potem... Potem już nie rozmawiali. Kilka miesięcy później przez kopalnię przetoczyła się fala aresztowań, ludzi wybierano nieraz prosto z łaźni, niemal spod pryszniców. Nawet on, pracujący tu od kilku lat, od samych studiów, nie wiedział za wiele o konspiracyjnej Solidarności, której komórka istniała w zakładzie. Owszem, chodziły plotki, także o ludziach z jego brygad, czasem czytywał ulotki, sporadycznie wydawane numery podziemnej gazетки, ale ulotek było sporo wszędzie, nie wiązał tego z kopalnią. A jednak ich wyjęli. Wśród dozoru mówiło się, że to właśnie on, ten esbek, milicyjny opiekun, że to jego sprawa. Bugdoł słuchał, nie komentował, w głębi duszy czując protest i chłód, w ustach niesmak jak po nadmiarze wypalonych papierosów, syf taki, i ból, fizyczny ból z tyłu głowy, u podstawy czaszki, gdzieś tam, za uszami, gdzie zaczyna się kark. Przecież wiedział. Czy mógł coś zrobić? Pewnie nie, w nic się nie mieszał, był biernym kibicem, co kómu do jego z Nakoniecznym znajomości, jego

dawnych przyjaźni? Przedstawił mu się jako urzędnik, inna wersja NIK-u, do zrozumienia, jeśli nie akceptacji, bo wiadomo, władza wzięła za mordę, to z jej punktu widzenia powinna mieć jak najwięcej pod kontrolą, wiedzieć, co w trawie piszczy. Kontrolerem miał być Jędrus, nie kapusiem, nie szpiclem.

Po tych zdarzeniach Nakonieczny zniknął z kopalni. Nie widzieli się ponad dwadzieścia lat. Znów zetknął ich przypadek, na ulicy. Przywitani się sztafpowem, chłodno dość i ostrożnie, ale Bugdoł wbrew sobie poczuł radość z tego, że go widzi. Nic z tego spotkania nie wynikło, poza tym że nakreślono nowe ramy znajomości. Od dawna nie było już SB, dawno Nakonieczny z żadnymi służbami nie miał nic wspólnego, prywatna inicjatywa, nawet fajny fach, taki książkowy, egzotyczny. Detektyw. Bardziej ochroniarz, z tego miał więcej niż ze zleceń śledczych, ale to tak dobrze nie brzmiało, więc detektyw. A Bugdoł był już naczelnym inżynierem, już do dyrektorskiej nomenklatury trafił. Pogadali, nie za długo, bo się Bugdoł spieszył, na zakończenie padło oczywiście, że gdyby jakaś fucha, coś do ochrony, to wiesz... „Jasne, Jędrus, jasne, będę pamiętał”. I rozeszli się. Widywał go potem przelotnie od czasu do czasu, niezbyt często. Mieszkali na przeciwnych krańcach miasta, to i nie było okazji.

Dwa lata temu zapukał do jego gabinetu, już dyrektorskiego, ciągle na tej samej Gertrudzie. Ciężki czas nastał dla firm ochroniarskich, rynek przejmowali więksi, wchłaniali jedną po drugiej małe konkurencyjne firemki, sami też łączyli się ze sobą, a ci niepokorni prędzej czy

później wylatywali z głównego obiegu, wegetując gdzieś na coraz odleglejszym marginesie. Źle wyglądał. Lata ostrego alkoholizowania, połączonego z ekstremalnie nieregularnym trybem życia, zrobiły swoje. Był poważnie chory, choć nie chciał o tym słyszeć. Pogadali, z początku beztrzesko, potem jednak Andrzej stawał się coraz bardziej zasępiony, bezskutecznie próbując powstrzymać falę pesymizmu, jaka mu spod maski wylała. Wreszcie wyjawiał, po co przyszedł, a czego się Bugdoł od początku domyślał. Może miałby jakąś robotę? Ochronę jakąś albo odzyskanie zaległości płatniczych? Dał mu robotę. Wymyślił pilnowanie przykopalnianego ośrodka szkoleniowego, który po prawdzie wielkiej ochrony nie potrzebował, wystarczyło go zamykać na noc na klucz i tyle. Ale na osiedlu parę band bloker- skich się kręciło, w dwóch Domach Górnikarza też anioły nie mieszkały, a ośrodek posiadał trochę sprzętu... Uzasadnienie ściślejszej ochrony było łatwe. Od czasu do czasu zlecał mu także nakłonienie niektórych dłużników do szybszych płatności, chodziło o niewielkie stosunkowo kwoty od prywatnych firm, bo na zalegającą mu najwięcej państwową elektrownię przecież by go nie nasłał.

I tak leciało, aż do teraz. Teraz nie bardzo miał do niego głowę ani też specjalną ochotę na spotkania. To jedno, jakiś czas temu, dobrze mu zrobiło, opili się niewąsko, na chwilę wróciły dawne czasy, dawni Miecio i Jędrus po dawnemu objęci pijackim uściskiem ryczeli: „Przy piecu stoła, krupnioki grzoła, a jo ją majt, majt, majt, a ona się śmiała!”, aż zwabili zaniepokojonego portiera, którego Bugdoł zaraz wygonił machnięciem ręki. Wieczór mijał godzina za

godziną, potem noc, w końcu obudzili śpiącego w służbowym fordzie kierowcę i Bugdoł kazał rozwieźć się po domach. Ale to była okazja szczególna, nie każdemu i nie co dzień przydarza się zabójstwo pracownika w miejscu pracy, zwłaszcza tak szczególnym, jak kopalniane podziemia. Bardzo potrzebował odreagowania, odprężenia, zapomnienia na chwilę i do tego się Jędruś z nostalgią nadawał idealnie. Nie miał jednak ochoty na trwałe wznawianie dawnej zażyłości - pamiętał. Pamięć przeszkadzała. Nie dawał mu tego odczuć, nigdy nie wspominał tamtego spotkania pod bramą ani tych kilku feralnych dni stanu wojennego i podejrzewanej w nich roli Nakoniecznego. Dni, gdy zawałiła mu się młodość.

Tym razem wprosił się Nakonieczny. Zadzwoił, a w głosie miał takie zmęczenie i zniechęcenie, że się Bugdoł ulitował. Umówili się jak poprzednio, po południu w gabinecie, a flaszkę obiecał Jędruś, poczuwał się do rewanżu, choć nie musiał. Bugdoł żałował, że na to przystał, w ogóle nie miał chęci na spotkanie ani na wódkę. Pocieszał się, że takie niechciane imprezy udają się najlepiej, ale słabo pomagało, czekał więc zrezygnowany, nie mogąc skupić się na codziennych zajęciach. Czekanie było najgorsze, gdy więc rozległo się owo „puk, puk”, odetchnął z ulgą. Zaraz zaczyna, im szybciej, tym szybciej się skończy.

- Co słyhać, Jędruś? - zapytał, wyciągając kieliszki i sok. - Rany, kto cię tak urządził? - Przyjrzał się siniakowi pod okiem i rozbitej wardze. - Nie za stary jesteś na boks?

- Za stary - przytaknął Nakonieczny. Usiadł w fotelu, odpako- wał z papieru litrową butelkę Finlandii. - Ale co

robić? Taki zawód.

- Zawód? Klient tak cię urządził?

- Klient czy bandyta, co za różnica? Tak samo boli. - Ostrożnie pomacał opuchliznę i oblizał gulę na ustach. Potem odkręcił zakrętkę, zabełtał i szybkim, barmańskim ruchem nalał.

- Będzie piekło - uprzedził Bugdoł, gdy podnieśli kieliszki.

- Co...? Jakie piekło? Aua! - Nakonieczny wyciągnął serwetkę z serwetnika i, krzywiąc się, przycisnął ją do rany.

- Mówiłem, że będzie piekło. Wódka na wardze, znaczy. Nie piekło z diabłami.

- Psiakrew, ale boli.

- Musisz ostrożniej, od razu do gardła, omijając usta. O, właśnie tak.

- Kurde, jakie sztuki trzeba wyczyniać, żeby się kulturalnie zalkoholizować. Jakbym pił z dzioba, toby nie piekło.

- Z dzioba nie wypada w tym wieku.

- Nie wypada.

Znów przechylili kieliszki i znów Andrzej musiał szybko osuszyć wargę.

- No, teraz lepiej. Odpuściło - powiedział przez serwetkę.

Bugdoł spojrział na niego uważnie.

- Stało się coś?

- Stało, nie stało - czy koniecznie musi się coś stać, żeby człowieka w moim wieku, fachu i stanie gryzły jakieś mole? Samo życie jest gryzące. - Nakonieczny zamilkł na chwilę i popił sokiem. - Zresztą racja, stało się, ale nie będziemy tu roztrząsać moich problemów.

- Jędrus, godejże po ludzku. Mosz kłopoty?

- „Kłopoty” to złe słowo, bardziej „dylematy”. Z gatunku moralnych.

- Żarcisz, synek, ty i dylematy? W twoim, jak sam godosz, fachu? Mnie się wydawało, że takie ślizganie po granicy mosz do kontraktu wpisane.

- Bo mam. Co nie zmienia faktu, że czasem mogę mieć dość.

-A, no tak. To ci powiem, Jędrusiu, że tak jest wszędzie, nie tylko w tych twoich psiarniach. Mnie też nie jest łatwo. Stres mi żołądek zżera, ciśnienie podnosi, ale trudno. Mogłem się w dyrektory nie pchać, zostać sobie sztajngrem, też nerwy, ale nie takie. Atu jeszcze ta Kulok... Co mnie podkusiło zatrudniać dziouzkę, na jej zatracenie? Co mnie podkusiło...?

- Wiem, Mieciu, wiem. - Nakonieczny rozlał po kapce. - Nie masz lekko. To było wiadome od początku, od kiedyśmy studia skończyli. Myślisz, że dlaczego z dołu uciekłem? Bo mi zdrowia było szkoda, spokojniejszej fuchy szukałem, hy, hy. - Skrzywił się w uśmiechu.

- Ja, i znoloz żeś - roześmiał się Bugdoł.

Nakonieczny zamilkł na chwilę. Pokręcił wódką w kieliszku.

- Mieciu, wiesz... różne momenty miałem w życiu.

- Jak każdy. - Bugdołowi nie podobał się kierunek, w którym skręcała rozmowa.

- Tak, wiadomo, każdy ma, może i tak...

Nie każdy i nie takie. Ale nie chciał mu o tym mówić, przynajmniej nie dziś. Dość miał własnych dzisiejszych zmartwień, nie miał zamiaru dokładać do nich jakichś

trupów z zaprzeszłej szafy.

Ale Nakonieczny nie dał się zniechęcić.

- Chciałem powiedzieć, że gdy się zabrniesz za daleko, to trudno zawrócić, przeważnie nie można. A ja wlałem daleko. Powiesz: nie powinienem mieć skrupułów, za późno na nie. I będziesz miał rację. Za późno. Jeśli ich nie miałem trzydzieści lat temu, to czemu teraz? A wiesz, powiem ci. Przeszłość mam, że sam o niej nie mogę myśleć. Do tego dokładam sporo dzisiejszego. Bez skrupułów czy wątpliwości. Tylko czasem... Wiesz, Mieciu.. . Wiesz, jak ja lubiłem filmy sensacyjne? O detektywach, co siłą intelektu zwyciężali zło. Dedukcja, intuicja, egzystencjalne szarady, od których zależy ludzkie życie, a ty je rozwiązujesz, na sekundy przed katastrofą. Detektywem chciałem zostać, Mieciu, gangsterów, szpiegów łapać. Po to tam poszedłem. Do służb.

- Dobra tam, nie będziemy tu robić rachunków sumienia. Niech się one same robią, w środku. Po co mi wiedzieć? Po co ci wiedzieć o mnie? Jesteś tu, jesteśmy razem jak kiedyś, pijemy, zaraz się nam języki zaczną plątać, i niech tak zostanie. Przemilczmy to, Jędrus, ja? Niech zostanie za milczeniem. Polewaj.

Wypili.

- Myślisz, że długo da się tak milczeć? Co?

Brak odpowiedzi, bo jaka by miała być?

Nakonieczny wziął do ręki leżącą na blacie gazetę, kolorowy tygodnik z pretensjami. Na okładce szczyły starszy facet w galowym górniczym mundurze, wmontowany w zdjęcie wyspy na lazurowym morzu, całe w palmach i błękicie.

- A, znam to, czytałem. - Pokazał fotkę Bugdołowi. -

Wiesz, o co chodzi? Gość wyszedł po papierosy i ich na jakichś Bahamach czy innej Jamajce szukał.

- Czytałem. - Mietek kiwnął głową. - W Nepalu. I powiem ci, że mnie to nie dziwi. Robiłeś na dole, to wiesz. Nie ma bardziej wkurwiającej monotonią roboty niż ta. Dzień w dzień, dzień w dzień...

- To nawet nie monotonia, Mieciu. To ciągle oczekiwanie na koniec. Koniec szychty, koniec tygodnia, koniec pracy, penzy jo. Życie robi się strasznie krótkie.

-A potem i tak bez gruby żyć nie umieją. Słyszolech o takim, co na penzyi dziennie schodził do piwnicy i tam siedziół. A że szychta minęła. Bele ćmok był, bele węgla powąchać, niech nawet takiego na kupce, do palenio.

Nakonieczny lubił, gdy Bugdoł przechodził na śląski. Robił to chyba bezwiednie, skakał pomiędzy gwarą a literacką polszczyzną w niespodziewanych momentach. A najbardziej fascynujące było, że gdy mówił po polsku, nie można się było w jego mowie doszukać najmniejszego śladu regionalnego akcentu, po którym zwykle rozpozna się Ślązaka.

-A wiesz, że on jest stąd? - kontynuował dyrektor. - Klemens Lipniok. Tu, na Gertrudzie, robił, za przodowego na przygotówkach. Piętnaście ostatnich lat, do samej emerytury. A przedtem na Czerwionce.

- Cały czas na dole?

- Ja. To oczywiste. Gdyby choć na pięć lat przerwał, toby mu tak nie odbiło.

- Oczywiście, mówisz. Swoją drogą niech każdemu tylko tak odbija, żeby w ciepłe kraje przyskał.

- No, ekskluzywny fijoł. Mówili tutejsi, że jakby przed wy-

jazdem nie wyczyścił starej konta, toby się nawet nie zmar-
twiła.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

- E, Janoscha się naczytałeś.

- Owszem. A to nieprawda? Oświeć mnie, gorola.

- Hm, tego, wiesz... Prowda, dyć nie zawsze i nie całko
prowda.

- Ściemniasz, Mieciu, zaraz mi tu Tischnerem pojedziesz, a
to jest prosta prawda psychologiczna: górnicze małżeństwa
śląskie to w większości umowy ekonomiczne.

- A ty skąd taki biegły w śląskiej psychologii? Znaczą się
znalazł. A o miłości słyszał żeś?

- A jakże, słyszałem, zdarza się, tylko tu jakby niekoniecznie
jako motor ożenku.

- Też mi! - pogardliwie prychnął Bugdoł. - Bo w Polsce to
same Romee i Julie, kochają się po grób.

- Mieciu, nie irytuj się, mnie się to nawet podoba, takie
jasne zasady, wiadomo, czego się trzymać. Nie takie
gorolskie zakłamanie, że śmierć rozłączy, a potem jedno
drugie w samych gatkach zostawia i opluwa jeszcze przed
światem.

- No, tu też się zdarza - mruknął Bugdoł, trochę
udobruchany. - Nie same anioły Ślązoki.

- W każdym razie zazdroścę temu, jak mu...?

- Lipniokowi.

- ...Lipniokowi takiej determinacji i odwagi ciepnięcia
wszystkim dla realizacji marzenia.

- Jesteś pewien, że on marzył, żeby zostać międzynarodowym
kloszardem, globalnym włóczykijem? Czy tylko w ciem-

no pojechał ciepłe kraje obejrzeć, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, co zrobi, gdy mu się forsa skończy? Bo jak znam tych ludzi, to się nie zastanawiał.

- Może masz rację, w każdym razie niejeden zagoniony biznesmen miewa marzenie, by rzucić to wszystko i wyjechać w Bieszczady. Ten Nepal to tak samo Bieszczady, jak te prawdziwe.

- Tylko lepsze.

- Z rozmachem.

Wypili.

rozdział II

Bez twarzy

Czy można żyć bez ciemności? Czy można istnieć, gdy w ciemność na stałe wgięza się blask, gdy ją dominuje, spycha w zakątki zapomniane i zbędne? Dlaczego krainy ciemności i światła nie mogą pozostać rozłączne, ingerując w siebie tylko w chwilach niezbędnych, w sytuacjach bez kompromisowego wyjścia? Dlaczego to właśnie światło musi zwyciężać? Dlaczego?

Skołtuniony kłęb ciemności mknie upadową w górę, rozciąga się w pędzie w postać potężnej smugi na podobieństwo dymu, opada ku spągowi niczym czarny, postrzępiony wąż. W pędzie ociera się o stal obudowy, o betonowe okładziny, zostawiając na nich ślad. Tego śladu nie dostrzegą oczy ukształtowane w święcie światła, nie ujrzy wzrok światłu przypisany. To znak, to trop dla tych, którym na co dzień oczy do niczego potrzebne być nie muszą. I dla tych, którym świat na gorze, świat słońca, jawi się jako zbyt cenny i nawet szkodliwy, bo przez lata, gdy dokonywał się wybór, wybrali. Biegają za nim.

Setki metrów, kilometry pędu, w górę, w rejony stare, mało uczęszczane, bo tam najłatwiej jest przejść do pierwotnego

świata, ukryć się w swoim środowisku, syty i zaspokojony, już bez gniewu i nienawiści. Spełniony na jakiś czas, choć jeszcze nie na zawsze. Jeszcze pewnie trzeba będzie wrócić, trudno uwierzyć, że zwycięży się po tak krótkiej walce, mimo spektakularnego sukcesu. Jeszcze będzie trzeba, bo nikt nie odpuści, nie zrezygnuje, nie wierząc. Tak, zwycięstwem będzie, gdy uwierzą.

Smuga czarnego cienia, który wysnuł się z pierwotnej chmury, gdy rozpoczął się powrót, jest długa i cienka. Taki sam: smukły i nieznaczny, jest teraz pozostawiony ślad. Taki wystarczy, ci, którzy go potrzebują, odnajdą go i tak, reszty nie musi obchodzić. Ciemność cienką strużką mija kolejne wyrobiska, coraz starsze, coraz bardziej puste, aż wnika tam, gdzie już od dawna nikt nie bywa, gdzie tylko krople wody od czasu do czasu zakłócają ciszę, której ciemności potrzeba, która ją uzupełnia niczym bliźniacza siostra. Tu pęd się kończy, czarne smugi rozplývają się w naturalnym środowisku, w resztkach starego powietrza, w szczelinach skalnych za zmurszałą obudową. Ci, którzy bezwiednie przyjdą tu za śladem, jaki pozostawiam dla nich, zastaną tylko bezgłośnie echo, cień w osieroconych umysłach. Oni: dziesiątki chudych myszy i jeden człowiek. Moja świta.

Znaleźli go wieczorem, trzecia zmiana, szli od kolejki na ładownię oddziału. Leżał we wnęce na głównym przekopie, nie w żadnym nieuczęszczanym zakamarku. Przed nimi musiało przechodzić tędy mnóstwo osób, dziw, że nikt nie zauważył. Usprawiedliwiać mógł tylko fakt, że ludzie tam i

nazad pędzili, nie patrząc na boki, najpierw do roboty, bo tam licznik kasy był włączony i stukał, a potem z powrotem, gdy się marzy już tylko o szoli na górę, gorącym prysznicu i potem rosole na obiad. Może też i widzieli, tylko nikt nie zwrócił uwagi, nie przyjrzał się siedzącemu z opuszczoną głową chłopinie, może śpiącemu, może wczorajszemu, kto to wie (a jak nie wie, nie wnika).

Zjechała zaraz cała ekipa, celem głównie zabezpieczenia miejsca zdarzenia, bo nie od śledztwa przecież są pracownicy kopalni: ratownicy, lekarz, nadsztygar kierujący zmianą najbliższego oddziału, tego, którego ludzie znaleźli delikwenta. Lekarz obejrzał, stwierdził zgon. Inni na oglądanie nie mieli odwagi; wystarczyło z grubsza popatrzeć. Krwi była pełna wnęka. Bugdoł zjawił się na kopalni tuż przed inspektorem z OUG i ekipą policyjną. Ledwie zdążył przebrać się w roboczy kombinezon, gdy dyspozytor zawiadomił go telefonicznie, że są. Kazał ich wyposażyć i zwieźć na dół. Sam zczekał na podszybiu. Starał się na razie o niczym nie myśleć, nie wyciągać żadnych wniosków ani nie zadawać sobie żadnych pytań, niczego nie próbować wyjaśniać. Starał się być tylko zły z powodu wyciągnięcia z domu w porze, gdy już prawie do spania się zbierał, kończąc oglądać jakiś nudny francuski film w telewizji. Co za filmy puszczają teraz, doprawdy. Oglądać się nie da. Ale abonament by chcieli. Bugdoł płacił abonament, a jakże, choć nie bardzo wiedział za co, ale nie czuł się tu osamotniony - w tym kraju chyba nikt tego nie wiedział.

Przewyciężając senność, w pół godziny przeleciał samochodem dystans między Katowicami, gdzie mieszkał, a

Gertrudą. Wcale nie chciało mu się mniej spać, gdy słuchał raportu dyspozytora: mechanik z międzymiany coś tam miał do podłubania w kołowrocie, zanim zjawi się brygada ryli z wydobycia i zacznie od opieprzania pierwszego, kto im się nawinie i na kogo można będzie zwalić niemożność ruszenia o czasie. Musiał zakończyć robotę, bo kołowrót działał; pewnie zamierzał grzać pod szyb pieszko, aby zdążyć wyjechać szolą zwożącą na dół kolejną zmianę. Senność Bugdołowi minęła dopiero, gdy owiał go zimny prąd powietrza w klatce wiozącej go w czeluść i gdy gwałtowna zmiana ciśnienia zatkała mu uszy. Pod szybem był więc już zupełnie otrzeźwiony, kiedy witał się ze sztygarem oddziału szybowego, który nań tam czekał. Cekał też specjalny zestaw kolejki, mieli nią dojechać do tamtego miejsca.

Ekipa zjawiła się niedługo potem. Inspektor Nowik z Okręgowego Urzędu Górniczego, komisarz Kaleta, którego poznał przelotnie podczas sprawy z Franką Kulok, prokurator Zalewski, technicy kryminalni. Przywitał się ze wszystkimi; podczas ściskania dłoni inspektorowi uciekł oczami spod jego uporczywego spojrzenia, pod którym poczuł się mniejszy i dziwnie słaby. Drugie zabójstwo – będzie tłumaczyć się w Urzędzie, a skutek tłumaczenia dziś nie był wiadomy. Niczego wesołego,go wszakże nie mógł się spodziewać.

- Fatum jakieś nad wami, dyrektorze. - Nowik był przyjazny i współczujący, co Bugdoł przyjmował z rezerwą: doświadczenie uczy, że wszelkiej maści inspektorom i kontrolerom nie należy ufać, szczególnie gdy odzywają się ludzkim głosem. - Seryjny morderca się wam trafił? Bo w

przypadek raczej nie wierzę, co, prokuratorze? – zwrócił się z kolei do Zalewskiego i Bugdoł obserwował, jak ten pospiesznie zmienia minę z udręczonej na zainteresowaną.

– Zobaczmy, zobaczmy – mruknął w odpowiedzi prokurator. – Nigdy nie należy wyciągać przedwczesnych wniosków, historia zna nie takie zbiegi okoliczności. – Wyglądał na mocno niewyspanego. Odpowiadał wyraźnie wyłącznie z grzeczności i poniekąd obowiązku, koledze śledczemu w końcu, choć uwarunkowanemu na zgoła inny target fatalnych przypadków.

„A tak nawiasem mówiąc, co Nowik ma tu do roboty? Prawo górnicze nienaruszone, kopalnia cała i zdrowa, a ten ubity dał się ubić akurat tu przypadkiem, równie dobrze mógłby za bramą” – myśli biegły Bugdołowi w dziwne rejony, nawet nie próbował dociekać ich genezy.

– Pan wie, dyrektorze, moja rola tu dziś tylko symboliczna. – Inspektor jakby czytał w tym myślotoce, aż się Bugdoł wzdrygnął. – Dla porządku tu jestem i dla zasady, w końcu śmierć na kopalni, a czy bez związku z ruchem, to się okaże na końcu, zakładam, że bez.

Wsiedli do ciasnych, żółtych wagoników, przez chwilę układali kolana, potem zadzwoniło, szarpnęło i osobówka pokolebała się po torach, trzęsąc i szarpiąc na rozjazdach i złączach szyn. Bugdoł z trudem odpędził instynktowną chęć drzemki, jaką ma każdy górnik w pociągu, gdy ten wiezie go w głąb przekopu, a tuż obok monotonnie migają szeregi żeber obudowy, pod podłogą stukają kółka i wzdłuż jadącego składu z rzadka przesuwiają się wyspy światła nielicznych lamp. Jedziesz tak i jedziesz, i masz uczucie, że

jazda nigdy się nie skończy - uczucie wywołane osobliwą odmianą nadziei. Kończy się zwykle w chwili, gdy się tego nie spodziewasz, i znów gramolisz się na zewnątrz, rozplątując wypracowany układ kolan, by wyjść w nowy kawałek podziemnego świata, od poprzedniego oddzielony kilkunastoma minutami jazdy w zamkniętym, klaustrofobicznym kuble wagonika, jakbyś ten czas spędzał w zawieszanej poza czasem kapsule temporalnej maszyny.

Stanęli stłoczeni w wąskim przejściu pomiędzy wagonami a ociosem.

- To tam. - Umorusany górnik z obsługi ładowni wskazał ręką kierunek. - Z drugiej strony przesypu.

Bugdoł spojrział.

- Zróbcie przejście - poprosił komisarz Kaleta. - Ekipa musi dojść.

Dyrektor spod oka przyglądał się, jak komisarz walczy z paskami sprzętu, którym był obwieszony. Starał się zwalczyć w sobie mimowolny odruch rozbawienia, bo śmiesznie z tym wyglądał, niezdarnie, a przecież nie było się z czego śmiać, przywyknięcie do pochłaniacza, akumulatora, lampy, pętających ruchy i płaczących się w ciasnocie, wymaga paru dni stałego używania, a on nie dość, że przywyknąć nie miał kiedy, to jeszcze jakąś swoją cywilną raportówkę zabrał i teraz najwięcej ambarasu miał właśnie z nią.

Bugdoł odsunął się, przepuszczając policjantów i prokuratora. Nie miał chęci przyglądać się zbyt dociekliwie, wystarczyło mu, co opowiedział dyspozytor i co zapamiętał z wizji lokalnej tej Kulok. Sądząc z opisu, przypadek był bliźniaczo podobny, także pod względem drastyczności. A

on nie był z tych, po których takie widoki spływają bez konsekwencji.

Dojrzał stojącego na uboczu młodego sztygara oddziału. Pamiętał go, rezolutny inżynier, dwa lata po studiach. Podszedł.

- Szczęść Boże - przywitał się, wyciągając rękę. - Witam, inżynierze Witkowski.

- Szczęść Boże - odpowiedział inżynier, potrząsając dyrektorską dłonią. - Po prawdzie już nie w'szystkim, taka tragedia.

- Tragedia - przytaknął Bugdoł. - Wy go znaleźliście?

- Nie ja osobiście, przodowy był tam pierwszy, ale ja zaraz potem, widziałem... - Sztygar wyraźnie wzdrygnął się. - Pan wie, dyrektorze, człowiek naogląda się horrorów, strzelańek, w różne gry na kompie giywa, gdzie krew się leje jak ze szlauchu, i wydaje mu się, że nic go nie ruszy, że jest odporny, tyle widział. Ale to nic nie znaczy. Trzeba zobaczyć prawdziwe zwłoki, takie jak te tam... - Wskazał ręką za siebie, nie patrząc. -...w takim stanie. To jest dopiero szkoła odporności.

- Wie pan, kto to był?

- Ślusarz, takie włoskie nazwisko, Rebelii czy podobnie... Słabo go znałem, tyle że czasem mijaliśmy się na ładowni, parę słów się zamieniło, ja przed pracą, on po, albo odwrotnie, pan wie, on robił na międzyzmianie, to się na wyjazd spieszył, więc długie te gadki nie były. Takie tam trzy słowa, trochę na tematy zawodowe, trochę nie. A tu masz...

Bugdoł zauważył, że Witkowskiemu zatrzęsły się wargi, widział, z jakim trudem się opanowuje.

- Spokojnie, inżynierze, idźcie może do ściany, robotę pozwoli przygotujecie, do normy trzeba wrócić.

- Pójdę, za chwilę. - Tamten przytaknął skwapliwie, jakby dyrektor proponował wyjazd i trzy dni urlopu, a nie kolejny dzień orki z dodatkowym stresem na karku. - Muszę tylko poczekać, prokurator prosił telefonicznie, że chce przepytać. Zaczekam, a potem pójdę. Ruszymy, gdy go zabiorą. - W dalszym ciągu nie patrzył w stronę wnętrza.

- Trzeba, inżynierze, trzeba. Normalne życie, obowiązki najlepiej przywracają równowagę.

Witkowski bez słowa kiwnął głową. Nie było po nim widać, czy wziął sobie do serca maksymę szefa. Bugdoł sądził, że raczej nie. On w każdym razie na jego miejscu by nie wziął.

Podszedł do nich Zalewski. Bugdoł przez chwilę przysłuchiwał się rutynowym pytaniom prokuratora i odpowiedziom sztygara, z jednych ani drugich nic nie wynikało, ot, takie ustalenie faktów, opisanie punktu wyjścia.

- Jest coś ciekawego? - zapytał, gdy wstępne przesłuchanie skończyło się i Witkowski, zabierając załogę, zniknął w głębi chodnika podścianowego.

- No... generalnie... Wszystko jest ciekawe. - Wyczuł w głosie Zalewskiego nutę drwiny. - Miało miejsce morderstwo, jak pan pewnie zauważył.

- No tak, źle się wyraziłem. Chciałem powiedzieć...

- Wiem, co pan chciał powiedzieć. Chce pan zobaczyć?

- Nie bardzo. - Bugdoł znów poczuł drganie żołądka.

- Bez obawy. - Zalewski bezbłędnie wyczuł stan dyrektora.

- Denat już w worku, krwi tylko trochę, ale już w większości wsiąkła. Potem trzeba ją będzie zasypać jakimś piaskiem. Lu-

dzie nie czują się komfortowo w pobliżu takiej kałuży, a pewnie chcielibyście trochę pofedrować?

- Wypadaloby. - Dyrektor kiwnął głową.

- Zaraz się zbieramy, jeszcze tylko ekipa zabezpieczy parę dowodów, załadujemy pana ślusarza do wagonu i pod szyb. Kraj wszak czeka na czarne złoto, nie będziemy wkładać kija w szprychy gospodarki, nieprawdaż?

Bugdoł uśmiechnął się krzywo.

- Pan pokaże te zwłoki.

Faktycznie, do oglądania zostały już tylko rozległe brunatne plamy na spągu i ociosie. Na torowisku, między szynami, leżał czarny foliowy worek z zamkiem błyskawicznym, wypełniony podłużnym kształtem, o którym dla bezpieczeństwa nerwów lepiej było zbyt szczegółowo nie myśleć. W pobliżu zobaczył Bugdoł otwartą torbę narzędziową i wystający z niej zmięty, tłusty papier pełen okruszków chleba. A pod ociosem - zielony hełm górniczy i obszytą skórą lewą rękawicę. Drugiej nigdzie nie widział, może to... coś... w worku miało ją na ręce? Po drugiej stronie torów zauważył duży, przyrdzewiały klucz francuski, też pewnie z tej torby. Wypadł? A co to za różnica, wypadł czy go ten Rebelii sam tam rzucił? Dla Rebellego żadna, może się śledczy przez parę dni podoktoryzują nad jego położeniem oraz przyczyną, dla której się tam znalazł.

- Znał go pan? - zapytał zza pleców Zalewski.

- Nie... Witkowski, ten sztygar, mówił, że nazywał się Rebelii, ale nigdy nie słyszałem...

- Zgadza się. - Zalewski kucnął nad workiem, jakby miał zamiar rozpiąć zamek i Bugdoł ledwie powstrzymał się od

protestu. Ale nic się nie stało, prokurator siedział tylko na piętach i patrzył. - Adam Rebelii, ślusarz. Kołowrót naprawiał na tej ładowni.

- Wiem. - Dyrektor kiwnął głową. - Jak zginął?

- Według oceny waszego lekarza rozległe rany głowy i brzucha, ponadto liczne rany cięte pleców i ramion. Jakby go ktoś aeratorem do trawnika zajechał na odlew.

- Wypadek wykluczony?

- Raczej. Chyba że macie tu latające luzem kombajny zbożowe.

- Może wpadł pod pociąg?

- Nie ten typ ran - wtrącił stojący z boku doktor Jabłoński, kopalniany lekarz. - Nie ma zgnieceń, zmiążdżeń, uderzenia tęnym narzędziem, które ewentualnie można by podciągnąć pod kolizję ze składem pociągu, tylko dwa, oba w głowę, reszta rany cięte. Ktoś go popruł nożem lub czymś w tym rodzaju. Nie za ostrym nożem, trzeba dodać.

- Co to znaczy? - zapytał Zalewski.

- Rany są cięte, ale skóra i mięśnie raczej porozrywane, nie gładko przecięte. Narzędzie tnące z grubym, tęnym ostrzem.

- A konkretnie?

- Nie wiem, niech się wasz patomorfolog wypowie. Ja się na medycynie sądowej nie znam. - Jabłoński wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że i tak wykazał się inwencją. On był od wypadków, nie od morderstw.

- Coś to panu przypomina? - odezwał się komisarz Kaleta do prokuratora.

Zalewski skinął głową.

- Poprzednia denatka.

- Rzeczywiście, rany niemal identyczne - potwierdził doktor Jabłoński. - Też wtedy byłem na dyżurze.

- Czyli można już raczej wykluczyć przypadek? - zapytał Bugdoł.

- Niestety. - Zalewski wstał i rękawicą otrzepał kolana. - Macie tu jakiegoś ciekawego pracownika, z miłymi skłonnościami.

- Na pewno pracownika? Ludzi z zewnątrz nie można przecież definitywnie skreślić.

- Niby nie, ale gdyby na France Kulok się skończyło, wtedy ewentualnie... Ale to już drugi... Chce pan, dyrektorze, zasugerować, że do was można tak sobie zjeżdżać prosto z ulicy, kiedy się komu zachce?

- No nie...

- Powiem więc tak: niczego nie wykluczamy, ale prawdopodobieństwo udziału osoby spoza kopalni jest minimalne.

- To i tak daje ze dwa tysiące podejrzanych - zauważył Kaleta.

- Tyle może nie, ale około tysiąca na pewno - potwierdził prokurator. - Zgadza się, dyrektorze?

Bugdoł pokiwał w zamyśleniu głową.

- Praktycznie każdy, kto ma prawo zjechać, mógł to zrobić - powiedział.

- A ci, co nie mają, nie? - zapytał komisarz.

- Hm... właściwie też. Gdy zna się organizację zjazdów, można się przemyścić. Tyle że wymaga to trochę zachodu. No i ktoś mógłby rozpoznać i zdziwić się.

- Czyli prawdopodobieństwo małe. Krąg tych ze zwiększonym trochę się zawęża.

- Ale nie nadmiernie - mruknął pod nosem Kaleta.
- A czy ja twierdzę, że nadmiernie? - prychnął prokurator.
- Fakt stwierdzam. Tak czy siak - roboty huk. Skończyliście swoje?

Kaleta potwierdził.

- Zabieramy więc pana i zmywamy się. To... - Zalewski wskazał ręką na bryzgi krwi na spągu i ociosie. - ..można już zlikwidować. Piaskiem zasypać albo zmyć szlauchem najlepiej. Pan zostaje? - Zwrócił się do inspektora Nowika.

- Nie, nie, jadę z wami. - Inspektor pospieszenie wycofał się w stronę kolejki.

- Dobrze, a pan, dyrektorze?

- Co? - ocknął się z zamyślenia Bugdoł. - Tak, zostanę jeszcze, przejdę się przez ścianę, skoro już tu jestem. Nadsztygar panów wywiezie.

- No to spadamy.

Bugdoł patrzył, jak ładują zwłoki na nosze i umieszczają na platformie z tyłu składu. Potem elektrowóz zadzwonił i pociąg odjechał, migocąc czerwonym światłem końcowego wagonu, aż skrył go zakręt i ciemność.

- Rychtyk ciulstwo tu mamy, co, derechtorze? - odezwał się górnik z obsługi ładowni.

Popatrzył na niego.

- Dobrzeście to ujęli, Gałuszka. Trafnie. Rychtyk ciulstwo, iże świot nie widzioł. - Bugdoł przeszedł pod wysięgnikiem transportera i wspiął się do wlotu chodnika. - I zmyjcie to tam, a potem pioskiem zasujcie, coby ludków nie straszło - rzucił jeszcze przez ramię, a potem, idąc w głąb mroku, długo słyszał szum silnego strumienia wody, bijącego o obudowę.

Pociąg kolebał się na rozjazdach, mijał rozdzielnie stacji Łódź Kaliska, szarpał i skrzypiał. „Za parę minut podróż się skończy i trzeba będzie wysiąść” – uświadomił sobie Nakonieczny i poczuł niechęć. Najchętniej siedziałby tak dalej, czując jednostajny ruch wagonu i postukiwanie kół na szynach. Podróż rozleniwiała, zniechęcała do działania, sprawiała, że człowiek nabierał ochoty na wtopienie się w rytm jazdy na wieczność, na zawsze. Koniec drogi był nieprzyjemnie otrzeźwiający, zwłaszcza dla kogoś, komu już nie za bardzo chciało się uaktywniać po długim bezruchu z licznymi drzemkami, bo sześćdziesiąt trzy wyniszczające lata na karku nie były elementem zanadto dopingującym do życia, a te kilka godzin w przedziale to był jakby substytut emeryckiego fotela i tylko kapci mu w tym było brak.

Westchnął, zebrał kurtkę i podniszczoną skórzaną teczkę z papierami, po czym ruszył do wyjścia. Stojąc przy drzwiach, patrzył, jak za oknem przesuwa się płaszczyzna peronu, coraz wolniej i wolniej, aż zastyga z ostatnim szarpnięciem hamującego pociągu. Nacisnął klamkę i wysiadł. Odetchnął dworcowym powietrzem, w którym, mimo dziesiątków minionych lat, ciągle dawało się wyczuć nutę dymu tłustych parowych lokomotyw, niczym rozcieńczony w nieskończoność, a wciąż istotny homeopatyczny marker, bez którego dworce nie byłyby dworcami. Przez wiek nasączał mury, torowiska, konstrukcje, tworzył miejscową endosferę, mieszając się z zapachami otaczającego dworzec miasta; wsiąkł w to wreszcie na stałe, by przez kolejne lata po

odejściu parowozów przypominać o nich wtrącanymi w powietrze cząsteczkami charakterystycznej woni.

Nakonieczny wszedł do budynku, przeciął halę kas i wyszedł na ulicę. Rozejrzył się. W ogóle nie znał tej okolicy, pierwszy raz wysiadał na Kaliskiej. Znał trochę dworzec Łódź Fabryczna, ale z powodu przebudowy pociągi tam nie jeździły; rolę głównego przystanku dla ruchu od strony Katowic przejęła właśnie Kaliska. Zupełnie nie wiedział, jak mają się te strony względem centrum. Daleko czy blisko? Dostrzegł postój taksówek i ruszył ku niemu. Wsiadł do pierwszej.

- Piotrkowska - rzucił, mając nadzieję, że nie jest to ulica za najbliższym węgłem.

- Piotrkowska gdzie? - Taksiarz obejrzał się. - To długa ulica, wie pan?

Podał numer i ruszyli. Na szczęście nie było blisko ani też przesadnie daleko, jechali bez obciachu paręnaście minut, zanim fiat zatrzymał się przed budynkiem, który Nakonieczny już znał i zbyt dobrze nie wspominał. Zapłacił i wysiadł.

Zadarł głowę. Dom był pięknie odnowiony, fasada lśniła nowością, sztukaterie wyglądały jak świeżo zrobione, jakby rzeźbiarz tylko co odjął od nich dłuto. A przecież kamienica miała ze sto lat, a może i więcej. Powiódł wzrokiem po sąsiednich budynkach - wszystkie tak wyglądały. Poprzednio był tu wieczorem, za dużo widać nie było, teraz więc podziwiał precyzję odnowienia i szczerze się zachwycił. Lubił ładną architekturę, stare domy, autentyczny kunszt dziewiętnastowiecznych mistrzów budził w nim rodzaj

onieśmielenia, miał wobec nich kompleksy, choć przecież nie jego branża, był zupełnym dyletantem, podziwiał tylko czystym dziewczym podziwem, bez wnikania w detale, bez roztrząsania szczegółów. Jak autentyczny amator oceniał całość i kochał się w bryłach, a te wszystkie symetrie i niuanse, w które starzy majstrowie wkładali duszę, znajdował jako jedność.

Pokiwał głową i poszedł do wejścia. Nie dla podziwiania architektury tu przyjechał. Zaraz za drzwiami natknął się na pierwszego łysola, choć był to łysol jedynie nominalny: facet w oszklonej dyżurce miał czarną, starannie ułożoną czuprynę, trochę w stylu Presleya, tylko nie tak lśniąca. Ubrany był w granatowy uniform ochroniarza i robił za samozamykacz.

- Pan do kogo? - zabrzączał w głośniczku domofonu.
- Do pana Dziewkina.
- Umówiony?
- Jasne.
- Nazwisko?
- Nakonieczny. Ze Śląska.
- Pan poczeka.

Głośniczek trzasnął i teraz Nakonieczny widział tylko poruszające się niemo usta „samozamykacza”, mówiące coś do słuchawki. Potem przestały się ruszać, w zamian podrabiany Presley kiwał tylko energicznie głową jak tukan, jakby tamten, z drugiej strony drutu, mógł to jego kiwanie zobaczyć. Potem odłożył słuchawkę i głośniczek znów zatrzeszczał:

- Otwieram.

Zabręczało, Nakonieczny pchnął szklane wierzeje i wszedł do holu.

- Pierwsze piętro, korytarzem w lewo do końca, tam pokażą. Winda tu, w rogu.

- Pójdę pieszo. - Skierował się w stronę schodów.

- Jak pieszo, to ze schodów w prawo - usłyszał jeszcze za sobą.

To pamiętał. Choć miał prawo nie pamiętać, miał prawo wyprzeć. Wlekli go tędy, nie pofatygowali się do windy, zdawało mu się, że pamięta każdy stopień, wyliczony na goleniach. Niemal pamiętał liczbę.

Łysol numer dwa siedział przy stoliku w połowie drogi do drzwi. Na jego widok wstał. Tym razem był to łysol kanoniczny, typowy produkt siłowni i elektrycznej maszynki do golenia.

- Ręce - powiedział i dla lepszego zobrazowania, o co chodzi, wsunął mu dłonie pod pachy, po czym lekko popchnął jego ramiona ku górze.

Nakonieczny rozumiał i bez tego, posłusznie rozłożył ręce i uniósł je na wysokość barków. Został wprawnie obmacany, a potem gestem skierowany do wejścia. Nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się z szelestem starych, dobrze naoliwionych zawiasów; wszedł.

Pamiętał i to: wielkie biurko dziesięć metrów od drzwi, droga ku niemu wyścielona pretensjonalnym bordowym chodnikiem. Zanim się dojdzie, wszelka pewność człowieka opuszcza, zwłaszcza za pierwszym razem. Lecz on już tu był, inicjację długiego podejścia miał za sobą. Nie był z tych, co się peszą za każdym razem, nawet za cenę połamanych żeber.

- Pan porucznik! - dobiegło go zza biurka, zza opuszczanej właśnie gazety. „Teatr” - pomyślał. - Pan kolega porucznik Nakonieczny! Zapraszam, panie poruczniku, proszę się tu rozgościć, czuć jak u siebie. Zaraz podadzą coś do picia. Kawy?

Może być kawa. Kiwnął głową i zapadł się w głęboki fotel przed biurkiem.

- Z mlekiem. Wrzody mam - sprecyzował.

-Ależ nie, chodźmy do stolika, będzie wygodniej.

Dziewkin wstał, pokazując dłonią szklany jamnik między takimi samymi fotelami z brązowej skóry. Uprzejmie poczekał, aż się Nakonieczny przemieści, a potem sam usiadł naprzeciw niego. Skrzypnęły boczne drzwi i młoda dziewczyna w pieprzowej garsonce wniosła tacę z kawą.

- Pozwól, poruczniku, przedstawię: moja asystentka. Pani Joanna Skrypek, prawnik. - W głosie Dziewkina brzmiała wyraźna duma, chciał się pochwalić, zaimponować. - Doktorant wydziału prawa na Uniwersytecie Warszawskim, oczywiście zaocznie, bo tu u mnie pracy huk, na dzieńne studia czasu nie ma. Moja prawa ręka w dziedzinie kontaktów z Temidą. Bo widzisz, Nakonieczny, mnie niepotrzebni są licencjonowani adwokaci, och, oni też, a jakże, ktoś w końcu w razie czego powinien mieć odpowiednie papiery dla sądu, ale nie w tym sedno. Mnie jest potrzebna głowa. A pani Joanna ma głowę, że proszę siadać.

Nakonieczny spod oka otaksował dziewczynę, która właśnie rozstawiała filiżanki, dzbanuszek z mlekiem, cukiernicę z brązowym cukrem. Bardzo elegancka, zgrabna.

Świetne nogi. Na oko trzydzieści, góra trzydzieści pięć. Włosy upięte w koczek, atrakcyjna, pociągła twarz. „Przeleciał ją?” – samo mu się pomyślało i poczuł niestosowność swych myśli. Nawet jeśli, to w ogóle nie miało to wpływu na klasę dziewczyny i emanujący z niej profesjonalny dystans.

- Będę jeszcze potrzebna, panie prezesie? – Głos miała niski, matowy, fascynujący. W samym takim głosie można by się zakochać, gdyby człowiek miał śmiałość do takich kobiet.

- Nie, pani Joasiu, dziękuję.

Obaj popatrzyli, jak odchodzi, precyzyjnie stawiając długie nogi w szpilkach, jedną stopę przed drugą, wzorem najlepszych modelek na wybiegu. A potem boczne drzwi zamknęły się cicho i świat wrócił do normy.

- Co powiesz, Nakonieczny, co? – Dziewkin porozumiewawczo mrugnął do detektywa. – Klasa sama w sobie, co?

Przytaknął.

- Klasa. Do wypitki i do wybitki, że tak metaforycznie określe.

Dziewkin wyraźnie posmutniał.

-A widzisz, poruczniku, nie. Do wybitki, do roboty czyli, to owszem. Tytan intelektu i mrówa w jednym. Ale nic ponadto. Niedostępna.

- Niedostępna? Dla ciebie? – zdziwił się Nakonieczny.

- A co? Że jak mafia, to zaraz cham i brutal? Ja szanuję kobiety, Nakonieczny, zwłaszcza takie. Nie każdą zaraz muszę przez łóżko przepuszczać, i bez tego mam kogo. Pani Joanna to zawodowiec, a ja nie mam interesu, żeby ją z tego zawodowstwa rozdziewiczać poprzez jakieś niepotrzebne

spoufalanie. Mam tę satysfakcję, że wszystkich zatyka na jej widok, a jeszcze bardziej, gdy się z nią potem pobokują na paragrafy. Uroda i klasa, a także dystans i szacunek dla szefa to dodatkowe i niespodziewane atuty.

- I nie szkoda ci?

- Tak po męsku, po prostu? Jasne, że szkoda. Ale umiem sobie odmówić. Zwłaszcza że najpierw odmawia ona.

- To jest argument - przyznał Nakonieczny, w ogóle bez ironii. - Ten ostatni.

Pomilczeli chwilę w geście solidarności męskiej.

- Tak... - pierwszy przerwał Dziewkin. - No to co ciebie do mnie sprowadza?

- Interesy.

- Abardziej precyzyjnie?

- Nie domyśla się pan, panie Dziewkin?

- No... Może się trochę domyślam. Dziwisz się.

- Dziwię. I myślę.

- A może lepiej nie myśl?

- Kiedy się nie da. Takie zawodowe skrzywienie, powinieć się wiedzieć. W pewnych sytuacjach pewni ludzie, gdy muszą się zdziwić, zaczynają myśleć. Odruch, w dużej mierze niekontrolowany.

- Ale to szkodliwy odruch.

Nakonieczny wzruszył ramionami.

- Co z tego? Papieros też szkodzi, a jeśliś palący, uniknąć się go nie da. A propos... - Rozejrzał się. - Mogę tu zapalić? Jest gdzieś popielniczka?

- Nie ma. Ale pal, pal, spodek weź.

- Ty nie?

- Od sześciu lat. Olśniło mnie, że to straszne świństwo, i z dnia na dzień... Choć, nie powiem, ciągnie czasem.

Zaciągnął się z przyjemnością i ulgą. Wypuścił dym przez nos, kaszlnął.

- I co wtedy robisz?

- Żuję gumę albo cukierki jem.

- Cukierki też szkodzą.

- Ja ci powiem, Nakonieczny, w ogóle świat jest szkodliwy.

- No to w czym różnica, co mi zaszkodzi: papieros, cukierek czy myślenie?

- Ciekawa konkluzja. - Dziewkin uśmiechnął się. - Pamiętam, że zawsze byłeś wygadany.

- Pamiętasz? - z powątpiewaniem spytał Nakonieczny. - Krótko się znaliśmy.

- Nie szkodzi. W naszej byłej firmie długość znajomości nigdy nie była czynnikiem decydującym o jej głębi. Powinieneś o tym wiedzieć.

Nic nie odpowiedział, pokiwał tylko głową.

- Byłeś interesującym typem, bystrym, takich zawsze miało się na oku, do potencjalnego wykorzystania.

-Tia...

- Ci nowi... - Dziewkin skrzywił się pogardliwie. -.. .w ogóle nie potrafiać wykorzystać talentu ani umiejętności, dają zmarnować się w imię jakiejś naciąganej ideologii.

„Może nie aż tak bardzo naciąganej - pomyślał. - Nie wszystko, z czym się nie zgadzasz, musi być niesłuszne. Ale że marnują, to prawda”.

- A przecież my co? - kontynuował Dziewkin. - Zwykle psy, każdej władzy potrzebne. Co nam do ideologii?

Mieliśmy tropić, ścigać i gryźć. Władza wskazała lisa, a my za nim. Taka psia rola, nie jakieś tam idee. W psiarni idee zostawia się w domu.

Znał tę argumentację, także przeszedł etap, gdy przy jej pomocy usprawiedliwiał przeszłość przed sobą i innymi. Ale to nie działało. Głównie dlatego, że prawdziwe było dopiero dziś, z perspektywy dwudziestu przegranych lat. Wtedy, gdy się działo, nie. Owszem, wewnętrzna kontestacja była w modzie, ironiczne spojrzenie na ustrój i jego sługi, w tym siebie, ale w głębi duszy musieli być po odpowiedniej stronie, w tej specyficznej branży nie dało się stać okrakiem na barykadzie. Udawało się jednostkom, a i im niedługo. Zawsze w końcu trzeba było opowiedzieć się jednoznacznie i opowiadali się. Wszyscy, nie ma co udawać. A figa w kieszeni? Żarty. W tej robocie obie ręce należało mieć na widoku.

- Trochę odbiegliśmy od tematu - powiedział.

- Wbrew pozorom nie bardzo. - Dziewkin znów się uśmiechnął.

- Co masz na myśli?

- Gdy mi tu wlałeś w mój zagonik, przypomniałem sobie opinię, jaką firma miała o tobie. Pomyślałem, że może to właśnie ten etap, gdy niewykorzystaną fachowość należy wykorzystać. Skoro inni nie chcą.

- I w ramach tego wykorzystania spuściłeś mnie ze schodów - przypomniał Nakonieczny.

- Ach, to wcześniej. - Dziewkin machnął lekceważąco ręką. - Zresztą taka nauczka dobrze robi na każdym etapie, priorytety ustawia, hierarchię buduje. Ale nie będę tu robił z

siebie geniusza dyplomacji, najpierw mnie wkurwiłeś, a dopiero potem doszedłem do wniosku, że może by od innej strony do ciebie przemówić, bardziej po ludzku, z obopólną korzyścią. Mam nadzieję, że nie żywisz urazy?

Gdzieżby.

- No to tło mamy rozjaśnione - powiedział. - A przechodząc do konkretów, to...?

Dziewkin przez dłuższą chwilę przyglądał się mu.

- Jest sprawa - rzekł wreszcie. - Interes. Duży. Mam w nim udział... - Przerwał i zamyślił się, jakby formułował sobie w myśli sposób przekazania informacji i ich zakres.

-I...?

- Mówiąc w skrócie: chciałbym mieć większy.

- To rozumiałe. A co do tego ma Golo?

- Specyficzny rodzaj słupa.

- Tak myślałem. - Nakonieczny kiwnął głową. - A na czym polega specyfika?

- Nie musisz za dużo wiedzieć. Taki rodzaj alibi.

-Aha.

-No.

- I to ja robię ci to alibi?

- Poniekąd.

- Wrabiamy go?

Dziewkin roześmiał się.

- Nawet specjalnie nie musimy. To bardzo pazerna gnida.

- Czyli tak naprawdę moja rola to...?

- Ta, którą fachowo pełnisz. Śledź go. Łaż za nim. Szperaj po majątku, po kontaktach. Zwindykuj, jak coś się da. Niech cię czasem widzi. Niech ci nawet mordę czasem obje.

- O, pardon, na to już się nie piszę.
 - Nie bój się, Chlast nie da ci zrobić dużej krzywdy. A jak będzie trzeba, to się Gola skutecznie zniechęci do rękoczynów.
 - Ten wariant podoba mi się bardziej.
 - Nie wątpię.
 - Wiesz, Dziwka, ja jestem dość chory, nie przeceniaj mojej kondycji, już nie te czasy.
- Dziewkin cmoknął z dezaprobatą.
- Nie nazywaj mnie tak.
 - Wynagrodzenie?
 - Jak dotąd, piątek tygodniowo. Mało ci?
 - Wystarczy. A co z prowizją? - przypomniał. - Miało być dziesięć procent.
 - Będzie - zgodził się Dziewkin. - Jak wyjdzie, będzie. Ale sprawa jest trudna, delikatna, a prawdopodobieństwo? Na dwoje babka wróżyła. Może być i tak, że w ramach premii będziesz miał tylko szansę zniknąć z tego interesu bez szkody. Wiesz, to biznes na szeroką skalę, międzynarodowy. Az partnerami zagranicznymi należy grać poważnie i ostrożnie. Zwłaszcza to drugie.
 - Od tamtej kwoty? - upewnił się Nakonieczny.
 - Od tamtej.
 - Strasznie to brzmi tajemniczo. Rebusy jakieś. Na więcej info liczyć nie mogę, co?
 - Lepiej nie. Dla twego zdrowia. Mniej wiesz - spokojniej żyjesz. Wrzody się nie odnawiają, nerwica przygasa i w ogóle sielanka. W naszym wieku to niebagatelna wartość, większa niż wiedza dla samej wiedzy, nieużyteczna. To co? Pasuje?

Nakonieczny zgasił papierosa i wstał.

- Pasuje.

- No to super. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Z psa gończego nigdy nie da się zrobić stróża, nawet na starość. - Dziewkin wstał również i wyciągnął rękę nad stołem. - Kontakt jak dotąd, raportujesz przez Chłasta, wszystko, nawet o błahostkach, nawet jeśli coś wyda ci się nieistotne. I niczemu się nie dziw.

- Długo to potrwa?

- Jakies pół roku, może krócej. Będiesz wiedział wcześniej, że kończymy.

Uściskał wyciągniętą dłoń, idąc do wyjścia, zsalutował jeszcze kpiarsko do gołej głowy. W drzwiach odwrócił się, ale Dziewkin już nie patrzył, przerzucał kartki w tekturowej teczce ozdobionej reklamą jakiejś firmy, z daleka nie dało się rozpoznać logo. Machnął mu na pożegnanie ręką, na rzucone od drzwi „do widzenia” - nie odpowiedział.

Nakonieczny wyszedł na ulicę. Świeciło słońce, na twarzy poczuł lekki, chłodny powiew wiatru. Ruszył przed siebie, na razie nie myśląc o kierunku ani celu. Wokół kipiła ulica, ludzie spieszyli się dokądś, czas na nowo nabrał tempa. O mało nie potrącił go przejeżdżający riksarz, obejrzał się z wyrzutem, puknął w głowę i pojechał dalej, nie zwracając uwagi na pokazanego „faka”. Nakonieczny szedł wolno, wolniej od przechodzących obok fal przechodniów; patrzył w mijane witryny, lecz nie widział niczego za nimi, jedynie własne ciemne i niewyraźne odbicie w szkłe. Twarzy nie dostrzegał, tylko w jej miejscu rozmyty owal pod zarysem czapki, lecz nie było mu z tym źle.

Następny, następny... psiakrew, kurwa, następny... Tylko tyle. Zalewski nie mógł skupić się na niczym, nawet na prowadzeniu samochodu. Już dwukrotnie o mało nie wjechał w bagażnik poprzedzającym go autom, raz jakiś starszy mężczyzna na pasach uskoczył mu sprzed samej maski i coś krzychał za nim, wymachując rękami. Wystraszył się na chwilę, starał się wyrzucić z głowy to jednostajne samobiczowanie, tę dramatyczną bezmyślność bez prób powrotu do jasnego rozumowania, do stawiania hipotez i wyciągania wniosków. Nie potrafił. Jeszcze póki był wśród ludzi, z ekipą, rozmawiał ze świadkami, zwyciężał profesjonalizm, zawodowa rutyna, działała wdrukowana w świadomość procedura. Dopóki nie został sam. Teraz, gdy jechał do domu po prawie dobrej nieobecności, gdy powinien wyłączyć się z zawodowych spraw, nakierować myśli na prywatność, na Duśkę, czekającą z obiadem i pewnie już złą o te codzienne spóźnienia, na Karola, egzamin dziś miał, z wytrzymałości materiałów (studiował na politechnice, nie chciał iść za ojcem na prawo), gdy jak zawsze dotąd brud i emocje prowadzonych ciemnych ludzkich spraw powinny spływać, zamknąć się w odrębnej szufladce, nie mącąc myśli ani sumienia, nie mieszając się z osobistą sferą uczuć - nie potrafił tego. Czuł się jak praktykant, stażysta, aplikant zaczynający dopiero kontakt z szumowiną tego świata i jeszcze nieumiejący radzić sobie z oddzieleniem ich od prywatnego „ja”.

Mimo długoletniej kariery prokuratorskiej nie zetknął się

dotąd z taką sprawą, nigdy nie miał do czynienia z morderstwem powtarzalnym, do tego tak okrutnym, tak bezcelowo krwawym. I to miejsce... Nie słyszał, żeby ktoś kogoś wcześniej z rozmysłem zabił w kopalni. Wypadki się zdarzały, dużo, górnictwo to bardzo ryzykowny zawód, mimo drakońskich reguł bezpieczeństwa pracy. Często zresztą łamanych, nierzadko bez ominięcia przepisów nie dało się z sensem fedrować, miał tego świadomość, nawet gdy w majestacie prawa wsadzał winnego do więzienia. Co innego jednak wypadki, co innego zbrodnia. Świadoma, bestialska zbrodnia: zmiażdżone głowy, wyprute wnętrzności... Dwa razy, oba identyczne. Zalewski nie miał wątpliwości, że to robota jednej i tej samej osoby, mniej prawdopodobne, że grupy osób. Seryjny morderca. Nie miał w tym osobistej praktyki, mało kto zresztą miał, takie rzeczy nie dzieją się często. Próbował to racjonalizować. Dziwił się nawet swojej reakcji, nie spodziewał się jej. Oszukiwał się tym zdziwieniem, głównie po to, by narzucić sobie pozę chłodnego zawodowca, który ma sprawę do rozwiązania, a potem cel w ukaraniu sprawcy. Nie udawało się tym razem, co go gniewało. Cóż z tego, skoro ani zdziwienie, ani gniew na siebie nie przywracały równowagi i spokoju. Będzie więc musiał zmierzyć się nie tylko ze sprawą, nie tylko ze zbrodniarzem, lecz także, a może przede wszystkim, ze sobą. I wcale nie był pewien wygranej.

Wjechał w osiedlową uliczkę, ciemną i cichą, gęsto zastawioną samochodami. Na końcu był parking strzeżony, miał tam wykupione miejsce. Podjechał pod szlaban, machnął kartą przed czytnikiem, zapiszczało. Wjechał, przez okno

kiwnął głową strażnikowi, zaparkował na pierwszym wolnym miejscu. Wsiadł. Blok, w którym mieszkał, ciemniał wielką, zwalistą bryłą naprzeciw niego. Popatrzył w górę. W oknach na siódmym piętrze paliło się światło. Poczłwał falę miłego ciepła, uśmiechnął się. Co tam jakiś dewiant podziemny, szlag niech trafi krew i brud, i wszystkie trupy na Ziemi. Wyobraził sobie małą, pulchną już trochę kobietkę, kręcącą się tam, za tymi jasnymi oknami, przy kuchni, złą z powodu jego spóźnienia i trzaskającą talerzami trochę za głośno. Za pięć minut wejdzie tam, obejmie ją, pocałuje w nachmurzoną buzię, a ona już tylko dla formalności, dla zachowania twarzy pogdera jeszcze trochę i zacznie się wieczór. Poczłwał naraz, że musi się to stać natychmiast, już, jakby od wejścia w tamten świat zależało jego trwanie w całości, w jednym kawałku, bo tylko tam mógł posklejać się na nowo, połatać owe odpadające od niego coraz większe skorupki, niczym z pękającego glinianego garnka. Był wdzięczny Duście, że od tylu już lat niezmiennie i cierpliwie dzień w dzień składała go do kupy, by następnego ranka mógł zacząć rozpadać się na nowo. Ruszył szybkim krokiem ku domowi.

Kolacja minęła w milczeniu po wymianie kilku zdawkowych zdań dla upewnienia się, że dzień rodzinie minął bez większych wzburzeń. Karol egzamin zdał, na trójkę, ale zawsze, miał to już za sobą, wytrzymałość materiałów nie była jego ulubionym przedmiotem. Duśka jak zwykle połatała kilka zębów, nic nadzwyczajnego. Jednak to milczenie i te błahe zdarzenia, które rodzinie wypełniły dzień, miały działanie kojące i już wewnętrzne rozedrganie minęło, adrenalina, utrzymująca się od minionej nocy, od

wizji lokalnej, opadła, już mógł na sprawę popatrzeć z oddalenia, zmniejszyć ją i zrutyinizować. Odetchnął głęboko i odłożył sztucce. Pociągnął duży łyk wina z kieliszka. Duśka spojrzała na niego znad talerza.

- Ciężko jest? - zapytała, gdy Karol poszedł do siebie i zza zamkniętych drzwi dobiegły dźwięki muzyki.

Kiwnął głową.

- Ciężko - potwierdził. - Drugie zabójstwo na Gertrudzie. Takie samo.

- O, cholera. Seria?

- Nie wiadomo. - Zalewski wzruszył ramionami. - Dużo na to wskazuje, ale za wcześnie, żeby stwierdzić jednoznacznie.

- Też taka masakra?

-Też.

- I znów dziewczyna?

- Nie, więcej ich tam na dole nie mają, jeden motyw więc odpada. Zemsta na przełożonym też, tym razem to zwykły ślusarz.

- To ci się krąg rozszerzył?

-Właśnie, odpadają racjonalne motywy. A jeśli nie ma logicznego wytłumaczenia, standardowej ludzkiej przyczyny, zaczynają wchodzić w grę powody nieracjonalne. Takich sprawców znacznie gorzej się szuka.

- Bierzesz pod uwagę psychologa?

- Coraz bardziej. Ale każdy wariant jest możliwy. Najgorsze, że to takie niezwykle środowisko, trudne do obserwacji, żadnych normalnych metod operacyjnych zastosować się nie da, policja mi na nic, a samymi

przesłuchaniami nic nie działałam.

- Jakichś agentów Kaleta nie może tam posłać? Żeby rozejrzeli się, popytali nieoficjalnie na miejscu?

- Myślę o tym. Boję się tylko, że łatwo ich zdemaskują i roznieś się, a wtedy cała akcja na nic, sprawca się wycofa, skryje. Kopalnia to nie jest zwykły zakład pracy. Dyskretne wprowadzenie agentury to zadanie na długie miesiące, a to jest seria i nie da się wykluczyć, że się nie skończyła. Raczej przeciwnie. Muszę coś zrobić szybko, żeby do tego nie doszło.

- Biedaku. - Duśka pogłaskała go po policzku. Odruchowo przytulił twarz do jej dłoni. - Daj już spokój dziś. Napijmy się jeszcze wina, jutro będziesz miał mnóstwo czasu na zmartwienia.

Miała rację, jak zwykle. Nic już dziś nie wymyśli. Gorzej, że najpewniej nie wymyśli też jutro. Ani pojutrze. A potem mogą znaleźć trzecie zwłoki i... Co stanie się później, wolał sobie nie wyobrażać.

- Panie dyrektorze...! - Sekretarka bez pukania wbiegła do gabinetu. - Dyspozytor dzwoni, a u pana zajęte... Mówi, że pilne!

- Przepraszam, zadzwonię później - powiedział Bugdoł w słuchawkę i odłożył ją na ładowarkę. - Co się stało? - zwrócił się do pani Steni.

- Nie wiem, już łączę.

- Sam zadzwonię.

Wystukał numer dyspozytorski.

- Mamy strajk, panie dyrektorze - zameldował dyspozytor.
- Co?
- Strajk. Dwa oddziały wydobywcze, pierwszy i trzeci, oraz pierwszy przygotowówek, a ponadto jacyś pojedynczy ślusarze, elektrycy... Odmawiają zjazdu.
- Z powodu...?
- Nie jestem pewien... Podobno boją się.
- Boją się?!
- Właśnie. Że wariat grasuje na dole i nikt z tym nic nie robi.
- No tak... Zaczęło się. - Bugdoł przygryzł wargę. - Można się było spodziewać.
- Pójdzie pan do nich?
- Pójdę. Idę się przebrać, niech tymczasem sztygarzy spróbują jakoś uspokoić towarzystwo.
- Już do nich dzwonię, uprzedzę. - Dyspozytor rozłączył się.
- Dyrektor wybrał numer prokuratury.
- Z prokuratorem Zalewskim - rzucił nerwowo w słuchawkę.
- Zalewski - usłyszał po chwili.
- Bugdoł. Panie prokuratorze, jest źle.
- Witam, dyrektorze. Co się stało? Następny?
- Nie, nie, aż tak źle, to nie. Mam strajk.
- Strajk? A co mnie do tego? Strajki są na ogół legalne, jak pan pewnie zauważył.
- Nie wszystkie i nie zawsze, ale mniejsza o to. Nie o to chodzi. Ten strajk powinien pana obejść.
- Niby czemu?

- Bo jest ze strachu.

- Ze strachu? A, z powodu tych nieszczęść... Ludzie odmówili zjazdu? - domyślił się Zalewski. - No cóż, przykra sprawa. Współczuję i nie zazdroszczę.

- Ładnie pan to ujął: przykra. Ale mnie nie pocieszenia potrzeba.

- Mogę jakoś pomóc?

- Ma pan coś, co im można powiedzieć, uspokoić?

- Niespecjalnie... Sprawa jest świeża, na wstępnym etapie śledztwa, choćbym i miał, to powiedzieć mi nie wolno. Wie pan, tajemnica służbowa, a poza tym zwyczajnie: on może być wśród nich, ten zabójca. Mam go informować, co mam na niego? A raczej czego nie mam? Bo nie mam, śledztwo drepce w miejscu, powinno się wysłać na miejsce detektywów, żeby powęszyli, ale nie dadzą sobie rady oficjalnie ani nieoficjalnie. Najchętniej wprowadziłbym kogoś pod przykryciem, w zamkniętych środowiskach to najlepszy sposób, ale zanim się taki glina przyuczy fedrowania, zanim go zaakceptują... Sam pan wie najlepiej. Nie mam tu górników śledczych, żeby tak z marszu... Przesłuchujemy więc wszystkich, jednego po drugim, Kaleta prawie z komendy nie wychodzi. To robota na miesiące. Nie wiem, co panu poradzić.

- Nie pomaga pan.

- Bo nie mam jak. Niech pan z nimi po ludzku pogada, powie, że policja jest na tropie, tylko tajemnica śledztwa, niech się starają nie oddalać od grupy, zwłaszcza samotnie, i będzie dobrze. A jakby co, jakieś podejrzone zdarzenia, niech od razu zgłaszają. Na ambicję im pan wjedź, w końcu to twardzi

ludzie, byle wariata się boją?

- Wie pan już, że to wariat?

- Nie wiem, ale co innego można powiedzieć?

No właśnie. Pożegnał się, odłożył słuchawkę i poszedł do szatni.

Na nadszybiu szumiało jak w rozbudzonym ulu. Ludzie stali ściśnięci wzdłuż stalowych barier, wydzielających trasy dojścia i wyjścia między windami a lampownią i łaźnią. Sporo ich było, około setki - ocenił. Szybkim krokiem przeszedł trasą wyjściową pod klatkę wyciągu i wspiał się na szczeble barierki.

- Ludzie! - krzyknął, podnosząc dłoń. - Ludzie! Cichejcie! Dejcie coś pedzieć!

Szum trochę przycichł. Najbliżej stojący pierwsi go rozpoznali i niczym rozchodząca się fala przez tłum poszło:

- Derechtor, cichejcie, derechtor!

Na ich twarzach nie było niechęci, odnotował tylko ciekawość, co powie.

- Szczęść Boże, chopy! - powiedział najgłośniejszy, jak potrafił.

- Szczęść Boże - odezwał się nieskładny chór.

- Słyszolech, że fedrować nie chcecie?

Gwar umilkł całkowicie, zapadła cisza. Z niej, z głębi tłumy, rozległ się po chwili pojedynczy głos:

- Życie nom miłe.

Bugdoł pobiegł wzrokiem za tym głosem, ale nie znalazł właściciela. Za daleko.

- Kurwa mać - powiedział spokojnie, a w odzewie usłyszał kilka nerwowych śmieszek. - Kurwa mać, czy jo dobrze sły-

szą? – Śmieszków więcej, to dobry znak. – Wy, górnik z wydobycia, z przygotówek, co się worn calizna na łeb dzień w dzień sypie i metan zadki przygrzewo, gdy po kątach kurzicie, a dla fedrunku metanomierze w lutnie tkocie... A co, myśleliście, że nie wiem? Jo wszystko wiem, gospodarz tu, do nędzy, jest zech. Pedzcie sami sobie, we własnym sumieniu: wieła razy żeście o włos francy z kosą uciekli? Roz do tydnia? Niech bydzie: do dwóch tydni? Szczęściarz, chto rzadzij. I wom, rychtyk prawdziwym ryłom, strach jakiegoś zboczonego popaprańca? Bo dzio- uszka pojedna na objeździe przyhoczył? Bo Rebellemu łeb rozbił, samemu na międzymianie? Chopy, wy się boicie?! W kupie, w piętnastu, dwudziestu, boicie się jednego jakiegoś ciula marnego? Ludzie, mie styd za wos!

Mówił swobodnie, lekko, ze swadą, a oni śmiali się, śmiali i popatrywali na siebie niepewnie, już bez uporu, bez sztrabnię- cia przeciw władzy, co ich do roboty goni, gdy w robocie śmierć cicha i nieznaną czyha w każdym niezmiernie ciemnym zakątku, byle nadeszła podziemna cisza, a mrok zza lampy oddzielił od grupy. Już nie było w nich pewności.

- A co? Nic ciule nie robiom! – Ten sam głos spomiędzy tłumu, a może tylko podobny. – Jeden trup, drugi i co? Momy tam jechać, żeby trzecim zostać? Nie jadymy!

Bugdoł jeszcze raz popatrzył nad głowami tłumu. Nie widział go, ale czuł w nim przeciwnika. To przeciw niemu tu jest, przeciw niemu mówi. Jeśli go pokona, reszta ulegnie.

- Nie jadymy, padosz? To, kurwa, nie jedź! Jo jada! Jo jada i byda fedrować z wami. Nikt nie powiy, że w gabinecie siedzą,

kiedy wy tam w niepewności. Tu worn godom: jada z wami i z wami wyjada, i zoden piżniynty mie nie strzymo! - Zesko-
czył z barierki. Zdecydowanym krokiem wszedł do otwartej
szo- li. - No co? Jedzie kery ze mnom?

Tłum jeszcze chwilę stał, ale już falował, a potem ruszyli, po jednym, dwóch, klatka zapełniła się, dyżurny zadzwonił, zjechali, ładowało się drugie piętro, potem trzecie.

- Odbijaj! - krzyknął Bugdoł z dołu, spod załadowanych do pełna kabin wyciągu.

Maszynista zadzwonił, szarpnęło, a potem znajomy ucisk w uszach i pęd w głąb, w czerń szybu.

- Sprawdźcie, ilu zostało - polecił sztygarom, gdy zjazd się zakończył i wysiedli na poziomie 400.

Stanął na uboczu i czekał, aż zmianowi policzą ludzi.

- Z pierwszego są wszyscy - zgłosił młody sztygar.

Znał go, a przynajmniej tak mu się zdawało. Rok temu przy-
szedł, po politechnice. Jeśli to ten.

- U mnie brak dwóch w porównaniu z podziałem na cechowni. - Szef zmiany oddziału robót przygotowawczych miał niewyraźną minę.

- To i tak nieźle. - Bugdoł poczuł, że powinien go pocieszyć, zbagatelizować absencję. - Au was? - zwrócił się do kierownika trzeciego oddziału.

- Nie ma jednego. Tego, który tak pyskował na nadszybiu. Jasiński, ładowacz, na przesypie robi. - Kierownik zidentyfikował krzykacza. „Gorliwie - ocenił w myślach Bugdoł. - Za bardzo gorliwie zrzucał z siebie odpowiedzialność, wskazywał winnego, a ty teraz, dyrektorze, decyduj o karze”.

- Dobra, na pociąg, bo późno. Straciliśmy kupę czasu. Ścia-

ny czekają.

Ruszyli bezładną hurmą w stronę dworca osobówek. Bugdoł szedł w środku grupy, wśród dozoru, i przez tę krótką chwilę, nim doszli na miejsce, poczuł się jednym z nich, jakby czas cofnął się o te trzydzieści lat górniczej kariery. Było mu z tym dobrze, lecz minęło, zanim doszli. To bez sensu, nie był jednym z nich, czasu się nie cofa. Ale nie da im tego odczuć, nie dziś. Wsiadali kolejno do wagonów, tłoczyli się w nich, układali. Potem maszyny zadzwoniły, składy szarpnęły i pojechali w głąb przekopów, przez czerń, wśród migania łuków obudowy, pobielonych kamiennym pyłem niczym piekarniczą mąką, w porwanych snopach światła ich lamp, wyglądających przez szczeliny w drzwiczkach przedziałów.

Został na ładowni, czekając, aż ostatni górnicy znikną w chodniku w drodze na stanowiska pracy. Odruchowo popatrzył w stronę wnęki po drugiej stronie przesypu. Piasek już zszarzał i zwilgotniał, zmieszał się z miałem, z błotem naniesionym nogami przechodzących, a jednak ciągle go widział, odróżniał od niemal identycznej ziemi obok. Gorzej, że widział także to, co było pod nim.

- Ciągle mi tu nieswojo. - Kierownik oddziału widocznie myślał o tym samym.

- Taaak... Im pewnie też. - Bugdoł wskazał brodą na ciemny i pusty już wlot podścianowego.

Kierownik bez słowa popatrzył na szefa.

- Jak pan myśli, na długo im wystarczy takich mobilizacyjnych gestów? - ciągnął dyrektor. - Czy może co dzień będę tu z wami zjeżdżał i świecił przykładem?

-No...

- Powiem panu. Pojutrze, choćbym znów odwalił taki spektakl, może nie zjechać pięciu. A za tydzień repertuar mi się skończy i autorytet też.

- Policja coś się guzdrze.

- A, tam, policja. - Bugdoł lekceważąco machnął ręką. - Rozmawiałem z prokuratorem. Nie wiedzą, jak się do tego zabrać, kopalnia im psuje szyki, zero pomysłu. Bo co? Mają tu zjeżdżać i węszyć? Nic w ten sposób nie wywęszą, co najwyżej go spłoszą. A zanim się jakiś agent przysposobi na tyle, żeby swobodnie tu działać, miesiące upłyną. A my nie mamy miesięcy.

- Może sami poszukamy?

- Kto? Pan? Ja? Ma pan kwalifikacje śledcze? Bo ja nie. Owszem, pewnie pan prokurator Zalewski będzie wdzięczny za jakiegokolwiek dodatkowe informacje, które mu dostarczymy, ale z naszej strony nie liczyłbym na obywatelskie aresztowanie mordercy. Możemy tylko zaszkodzić.

- To co robimy?

- W kwestii dyscypliny i mobilizacji liczę na pana i resztę dozoru, zresztą pogadamy o tym jutro na odprawie. Jak w ogóle mogło do tego dojść? Strajk ze strachu, uśmieć się można! Musicie wziąć ludzi za twarz, nie dopuszczać do takich scen jak dziś. Nie tylko zresztą gonienie ich do roboty się liczy, wręcz bym powiedział, że w mniejszym stopniu, bardziej wasz osobisty przykład i rozładowywanie napięć, a nie ich piętrzenie. Jeśli wypuścicie ich z rąk, cała robota się nam posypie, pamiętajcie o tym. Nie chcę być tu za jedyne go dyżurnego strażaka i rozganiacza strachów.

- Jasne. - Kierownik kiwnął energicznie głową. - Damy radę, dyrektorze. A z tym wariatem, co tu morduje, kto sobie poradzi?

- Nie wiem, nie wiem... - Dyrektor zasępił się i zamyślił. - Omnibus by się przydał, taki cif dwa w jednym: górnik i gli-na. .. Że też nie mają takich. Przecież ludzie idą do policji z różnych zawodów. Z górnictwa nie idą?

- Pewnie nie za bardzo. Nie opłaca się. - Kierownik wstał z ławki i ruszył w stronę wejścia do pola. Tam zatrzymał się i popatrzył wyczekująco. - Idę, nic tu nie wysiedzę, mogę? Będę nad ścianą, jakby co.

Bugdoł siedział przez dłuższą chwilę, myśląc o czymś intensywnie.

- Idź, idź - powiedział w końcu do cierpliwie czekającego szygara. - Dojdę tam za moment, muszę tylko zadzwonić.

Począł, aż kierownik zniknie w chodniku, a potem uniósł słuchawkę i zadzwonił do sekretariatu.

- Pani Steniu - powiedział. - Niech mnie pani umówi na dziś z prokuratorem Zalewskim. Wyjadę o pierwszej, mogę być u niego o wpół do trzeciej, ale lepiej, żeby on do nas przyjechał, spotkamy się szybciej. Pani powie, że pilna sprawa i że mam pomysł na jego problemy. No, niech coś pani wymyśli, aby go zwabić, rzecz jest ważna i w jego interesie... Nie, na razie żadnych szczegółów. Dowie się, jak przyjedzie. Już pani tam potrafi.

- Pan wie, jaką on ma przeszłość? - Zalewski zabębnił długopisem w blat stolika.

Bugdoł kiwnął głową.

- Nie gorzej niż pan.

Prokurator popatrzył na niego.

- Chyba jednak gorzej.

- To esbek - powiedział dyrektor. - I do tego z parszywą kartą z czasów stanu wojennego. Nadzorował wtedy Gertrudę.

- Rozpracował tutejszą Solidarność.

- Wiem.

- Nie wie pan wszystkiego.

- Możliwe. Ale go znam.

- Tak, tak, wiem. Kolega ze studiów, słyszałem. Myśli pan, że nie wiem, skąd on tu ma różne fuchy dla tej swojej firemki? Bez pana dawno na kuroniówkę by poszedł.

- Albo do mafii.

- Albo do mafii.

- Kiedyś - powiedział Bugdoł - był więcej niż kolegą. Przyjaźniliśmy się.

- To go rozgrzesza?

- Skąd. Tyle że wiem o nim trochę więcej niż to, że swego czasu był kanalią.

- Myśli pan, że przestał?

- Czas dla kanalii minął. Teraz to drobny ochroniarz ze zwichniętym życiorysem.

- Tak pan myśli?

- Tak myślę.

- Ma pan dobre serce, dyrektorze Bugdoł.

- Wie pan... - Bugdoł pochylił się nad stołem. - ...może Nakonieczny to szuja, ale myślę, że ja mu mogę zaufać. A on

mnie. Pan nie musi, nikt inny też nie musi. Może nawet nie powinien. Ale ja mogę. I to jest ten pierwszy atut. Inne zna pan lepiej ode mnie.

Zalewski zagryzł wargę.

- Nie można mu odmówić - zaczął wolno, z wahaniem - talentu śledczego. Pamiętam kilka spraw, w których uczestniczył. Nie łapał złodziei ani morderców, SB nie była od tego, jak pan pamięta, ale pomijając obrzydliwość tego wszystkiego, obiektywnie patrząc, to był wówczas najlepszy oficer śledczy w całych śląskich organach ścigania. A że ścigał niesłusznie - cóż... jego pech.

- Do tego ma parę ładnych lat pracy w górnictwie. Był sztygarem na wydobywaniu, potem na robotach przygotowawczych. Jego uczyć górnictwa nie trzeba. I nie jest od was, może się ładnie wkomponować w tę górniczą rasę, nikt mu w życiorys zaglądać nie będzie. A ja zapewnię mu możliwość powęszczenia wszędzie, gdzie będzie to konieczne, bez zwracania uwagi.

- Może to niezły pomysł... - Zalewski jeszcze się wahał, ale Bugdoł wyczuł już w nim gotowość do podjęcia ryzyka. - Ale jeśli nawet byśmy na to poszli, to oficjalnie nic nie wiem. Nie mogę wiedzieć, załatwiliby mnie na cacy, gdyby to się wydało. Nie dość, że cywila angażuję, to jeszcze takiego... Strach myśleć.

- Jasne, sam to z nim załatwię, zresztą panu nie zaufa. Obawiam się, że mnie, niestety, też, ale spróbować można. Ma pan inny pomysł? Bez niego nie dacie rady.

- No dobra. Pogadamy z nim?

- Niech pan dzwoni.

-Ja?

- Ja śledztwa nie prowadzę. Ale oczywiście będę tu, może się pan na mnie powołać. I niech tu przyjdzie, na kopalnię, będzie lepiej niż do tych pańskich kazamat.

- Cholera, nie ma go. Tylko ta jego współniczka. Nie ma pan numeru jego komórki?

Bugdoł sprawdził.

- Jakoś nie, jedynie stacjonarny do biura.

- Nie chciała mi dać. „Szef oddzwoni”, powiedziała.

- To co? Czekamy?

- Szkoda czasu. Niech pan teraz spróbuje, może panu da. Tę komórkę.

W powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny, drażniący zapach środków dezynfekcyjnych. Aparat szumiał, krew w przewodach pulsowała jednostajnie, Nakonieczny bezmyślnie patrzył na galerię lampek i płynący na oscyloskopie wykres. Przed chwilą odłożył książkę, nudziła go już „Ascanio” Aleksandra Dumasa. Nie znał tej powieści, wziął z biblioteki, skuszony nazwiskiem autora. Zawsze brał coś do czytania, dializy strasznie się dłużyły, do tego to sterylne biało-seledynowe otoczenie, nieruchome brakiem pośpiechu i rutyną powtarzalnych czynności, wykonywanych przez znudzony tą jednostajnością biało-seledynowy personel. Czytał więc, dzięki temu czas przyspieszał i te trzy godziny jakoś schodziły. Tym razem źle trafił. Okazuje

się, że Dumasowi nie wszystkie powieści wyszły - „Ascanio” to był romans jakiś niemożliwy, rozwlekły i naiwny, i nie ratowały go nawet liczne misternie wymyślone intrygi. Męczył się z nim przez dwie godziny, potem się poddał. Co za różnica jak się nudzi: poznając niemrawe awantury Benvenuto Celliniego czy gapiąc się na monotennie pracującą sztuczną nerkę? Nerka była nawet lepsza, nie miała pretensji rozrywkowych, nudziła z założenia, taka była jej nudna rola. Poza oczywiście czyszczeniem jego krwi. No właśnie. Ascanio nawet tego nie potrafił.

Cicho weszła pielęgniarka, popatrzyła na niego, na nerkę, sprawdziła wenflony. Następnie podeszła do urządzenia i coś tam przy nim poprawiła. Obserwował ją spod oka. Puknęła lekko palcem w jedną lampkę, ciemną, która po jej puknięciu mrugnęła dwa razy i znów zgasła. Wzruszyła ramionami i dla formalności dotknęła mocowań wężyków odprowadzających krew do dializatora. Znów bez słowa spojrzała na niego, a potem wyszła, równie bezszelestnie, jak weszła.

W kieszeni zadzwonił mu telefon. Przez długą minutę wyplątywał się z poł szlafroka i zanim się do niego dokopał, melodyjka umilkła. Wyciągnął, spojrzał na ekran. Zocha. Oddzwonił.

- Co jest?

- Kończysz już? - zaszemrał w głośniku niewyraźny głos współniczki.

- Jeeszcze... - Spojrzał na zegarek. - ...ponad godzinę. A co?

- Szukali cię.

- Kto? Dziwka? Chlast?
- Tym razem nie. Nie zgadniesz.
- Bugdoł.
- On też!
- Zocha, nie denerwuj mnie.
- Zalewski.

Trochę go zatkało.

- Ten prokurator?
 - On sam.
 - Czego chciał?
 - Widzieć się z tobą. Jak najszybciej, najlepiej zaraz.
 - Już lecę - mruknął Nakonieczny. - A Bugdoł?
 - To samo. Zaraz, już.
 - Hm... Znasz kawał o żabie? No przecież się nie rozerwę!
- Zocha zachichotała w słuchawce.

- Nie ma strachu, obaj chcą ciebie w to samo miejsce.
- Gdzie znowu?
- U Bugdoła w gabinecie. Mam przekazać, że pilne. To przekazuję.

- Czego chcieli?
- Nie mówili.
- Czemu do biura, a nie na komórkę?
- Żaden nie miał numeru.
- Bugdoł też nie?
- Też.
- Dziwne.
- Ale prawdziwe.
- Kurde, nic szacunku dla chorego - zamruczał, niezadowolony, szukając w kontaktach numeru komórki

dyrektora Gertrudy. Nie znalazł.

- Masz numer Bugdoła? - zapytał, gdy Zocha odezwała się ponownie.

- Mam. Wysyłam wizytówkę.

Począł trochę, odebrał, wgrał do książki, a potem zadzwonił.

- Cześć, szukałeś mnie. Tak, tak, Nakonieczny. - Słuchał przez dłuższą chwilę. - Coś ty, nie mogę, na dializie siedzę. Jeszcze trochę ponad godzinę. Mogę za... - Spojrzał na ścienny zegar nad skrzynią sztucznej nerki. - .. trzy godziny? To co, że noc? Wcześniej się nie da. Mam być? To będę.

Czego mogą chcieć od niego?

Przebiegł w myślach wszystkie aktualnie prowadzone sprawy, policzył wszystkie grzechy strażników („Nie, nic takiego nie zmalowali, żeby aż prokuratora...”), potem przejrzał co ważniejsze sprawy nieaktualne - nic. Czyli coś nowego.

Co nowego może spotkać byłego szpicla ze strony obecnego śledczego? I Bugdoł w tym jeszcze... Co ten tu robi? Coś z Gertrudą...?

Czas zaczął mu się dłużyć, już chciał wyjść, już dowiedzieć się, zobaczyć... Nic z tego. Jeszcze go czekała nieskończoność bezmyślnego wpatwienia w rytmiczny puls czerwonych plastikowych żył, w zieloną, skaczącą nitkę oscylogramu i wysłuchiwanie pomruków z wnętrza maszyny, której nie cierpiał, lecz która przedłużała mu życie. Nieskończoność odżywiania. Jeszcze ją tolerował, jeszcze uznawał niezbędność, choć z coraz większym trudem i mniejszą determinacją oraz zrozumieniem i akceptacją sensu. Ile to może potrwać? Ile żyje się pod dializą? Na nową nerkę stracił

nadzieję, zwłaszcza że nie tylko nerki... Szkoda zdrowego organu na tę chwilę, zanim wysiądzie inny. Skoro on doszedł do tego wniosku, on, najbardziej zainteresowany, on, który, jak każdy w takiej sytuacji, będzie się czepiać każdej ułudy, każdego zwiду nadziei, dokąd tylko się da, to do jakiego mogli dojść lekarze?

Na ostatnie pół godziny udało mu się wyłączyć. Wyłączyć z otoczenia, z teraźniejszości, i przenieść w myślenie. Błąkał się między zagadkowym zleceniem Dziwki, w którym nic mu się nie zgadzało, nic nie trzymało kupy, poza również nieoczywistą, lecz w wymiarze materialnym konkretną kasą, a Gertrudą, gdzie - czuł to coraz wyraźniej - jego sielanka w postaci spokojnego stróżowania nikomu niepotrzebnego majątku właśnie dobiegała końca i nie mógł zrozumieć dlaczego. Niczego od nikogo nie chciał, tylko przeżyć jakoś te parę lat, gdy świata wypełnionego zrozumiałą treścią już nie było i pozostało mu dociągnąć do czasu, gdy będzie mógł z ulgą zamknąć interes i w ciszy zakończyć to wszystko, bez fanfar, jak najdalej od ludzi, którzy mogliby pamiętać. Czy się uda? Bugdoł dał mu nadzieję, że tak, a teraz ten sam Bugdoł mu ją odbierze? Budził się w nim bezsilny protest, o którym wiedział, że jest na nic, że jego osobista historia, jeśli zechce skrzyć, to skrzy i on nie będzie mieć na to żadnego wpływu. Zbyt wiele działo się w przeszłości, zbyt wiele spraw nieodwracalnie się stało, by mógł spokojnie w każdej chwili powiedzieć „nie”. Przeszłość miała go w łapach; gdzie by się nie zwrócił, szczyrzyła ku niemu szczyrbaty, ironiczny uśmiech. A może wcześniej go te nerki wykończą i w ogóle nie będzie tematu? Prawie szczyrze pomyślało mu się: „Oby”.

Było już ciemno, gdy zaparkował swojego polo pod samą bramą kopalni. Z dyżurki wyleciał ochroniarz, z protestem, ale nie dał mu dojść do głosu.

- Dyrektor Bugdoł wezwał mnie w pilnej sprawie. Powinnoś właściwie wpuścić mnie samochodem do środka - powiedział, mijając strażnika z konkurencji i machając mu stałą przepustką przed nosem.

Nie odwracał się, idąc przez bramę, ale czuł na sobie jego wściekłe spojrzenie i bezsilność wobec faktu powołania się na najwyższą kopalnianą władzę, i brak odwagi dla jego zweryfikowania. Tu wszyscy wiedzieli, że Nakonieczny u dyrektora ma specjalne fory i wstęp na kopalnię zawsze, gdy dyrektor jest w biurze. Już parę razy dyrektorski ford wywoził go w postaci nietrzeźwych zwłok - dyrektorscy kierowcy byli dyskretni, ale nie im jednym wszak dane było widzieć. Koledzy z dyrekcji - nej dyżurki do dyskrecji zobowiązani nie byli. To, wbrew intencjom Bugdoła, ale ku pożytkowi Nakoniecznego, zbudowało jego pozycję wobec odpowiednich oczu, należących szczególnie do tych, od których zależała jego swoboda poruszania się po zakładzie. Nikt więcej go chyba już nie znał, tylko kierowniczka administracji, sekretarka, dwaj kierowcy i ochrona. To wystarczało, aby od czasu do czasu zajrzeć tu bez stresu, że ktoś rozpozna i wyrzyga w twarz to rozpoznanie. Nie żeby go to mogło dotknąć - swoją porcję upokorzenia za czas uprzedni już otrzymał, co go uodporniło i pozwoliło podchodzić bez ekscytacji, nawet gdyby ktoś jeszcze

kiedykolwiek zechciał. Nie o to chodziło. Nakonieczny miewał chwile, gdy najbardziej pragnął dla terażniejszości zniknąć, stać się niewidzialnym, przezrystym, nieistotnym cieniem ponurej, ale dziś odchodzącej coraz dalej przeszłości. Nie łudził się specjalnie, że uda się zupełnie usunąć, byłby usatysfakcjonowany, gdyby nie pamiętano o nim na co dzień.

Wszedł po kilku lastrykowych schodkach i pchnął szklane drzwi biurowca. W portierni siedział ów stróż, którego znał – ten sam, który kiedyś krótko u niego pracował. Kiwnął mu przyjacielsko dłonią i skierował się ku schodom, odruchowo oczekując reakcji. Nie było jej – stwierdził z zadowoleniem. Ruszył korytarzem w stronę dobrze znanych drzwi. Minął tablicę ogłoszeń, górniką z plakatu z ostrzegawczo wyciągniętym palcem, drewnianą ławkę dla interesantów, i wszedł. W sekretariacie nie było już nikogo, mimo to drzwi od gabinetu były zamknięte. Zapukał we framugę. Nie było odzewu, więc bez dalszych ceregieli nacisnął klamkę i zajrzał.

Zalewski stał przy oknie, tyłem do niego. Bugdoła w pierwszej chwili nie dostrzegł, dopiero chwilę później zobaczył go, siedzącego w fotelu przy szklanym blacie, bokiem do drzwi. Odwrócił się, gdy Nakonieczny wsunął głowę.

– O, wreszcie jesteś – stwierdził. – Wchodź, wchodź. Czekamy na ciebie.

– Sorry, z dializy nie da się wyjść tak od razu.

Nakonieczny przywitał się z nim, potem wyciągnął rękę do prokuratora, którą ten przyjął z wyraźnym ociąganiem. „Demonstracja” – skrzywił się Nakonieczny w duchu, na twarzy miał jednak neutralny uśmiech.

- Kawa jest... - Bugdoł potrząsnął metalowym termosem.
- ..była. Wyszła, sam sobie jesteś winien.

- Dobra. - Nakonieczny machnął lekceważąco dłonią. - Nie potrzeba, nie mam ochoty na kawę.

- Pani Stenia poszła do domu, na nic gorącego nie masz. co liczyć. Koniak mam, chcesz?

-Trochę nie bardzo, dopiero co mnie odpięli od pompy. Masz wodę?

- Tam stoi, nalej sobie. - Bugdoł wskazał tackę z butelkami i szklankami na bocznej szafce, pod prymitywnie malowanym obrazem świętej. „Pewnie Barbary” - uznał Nakonieczny, podchodząc. Obejrzał etykiety, wybrał niegazowaną, nalał.

Zapadło milczenie, nikt nie chciał zacząć pierwszy. Nakonieczny stał oparty o szafkę, pociągając wodę małymi łyżkami, i obserwował obu mężczyzn, nie mając zamiaru niczego im ułatwiać. W końcu to oni mieli do niego sprawę.

Wreszcie Bugdoł przerwał tę niezręczną ciszę, która zalegała między nimi niczym dywan z pajęczyny.

- Jak się czujesz?

-A jak mogę się czuć? Dobrze, cholernie dobrze, wyczyszczony jestem przecież. Czyściutki. - Nakonieczny zaśmiał się sarkastycznie.

- Ale możesz z tym funkcj onować? W tym stanie...? - Bugdoł płatał się trochę, a Nakonieczny jakoś nie miał ochoty mu pomagać w gładkim obejściu jego problemu.

- Bez nerek? Jasne. Dwa razy w tygodniu maszyna się za mnie wysika i już. Nie martw się tak. - Zaśmiał się na widok miny dyrektora. - Aż tak źle nie jest, mogę normalnie pracować.

wać, tyle że co jakiś czas muszę zrobić sobie przerwę na randkę ze sztuczną nerką. Niezbyt często na razie.

- Ale co? Nie ma na to rady? Przeszczep jakiś czy coś...?

- Najlepsze będzie „czy coś” - prychnął Nakonieczny. - Wzywaliście mnie, żebym wam opowiedział o moim stanie zdrowia? Wystarczyło przez telefon zapytać.

- Powiedziałbyś?

- Nie. Zupełnie tak samo jak teraz, a o ile mniej zachodu.

- No dobra - odezwał się po raz pierwszy Zalewski, odchodząc od okna. Podszedł do fotela za biurkiem i usiadł w nim.

Co nie spodobało się Bugdołowi, jak zauważył Nakonieczny. No tak, to prawie tak, jakby założył jego buty. - Panie Nakonieczny, wie pan zapewne, że mamy tu, na Gertrudzie, mały problem.

- Owszem. Mały. - Nakonieczny kiwnął głową. - Sztajgerkę wam ubili.

Bugdoł bez słowa popatrzył na prokuratora.

- Nie tylko - powiedział do Nakoniecznego.

- Nie? - zdziwił się tamten. - A co jeszcze?

- Jest druga ofiara.

- Ofiara?

- Ofiara. Trup. Zwłoki. Wybierz sobie - złym już głosem powiedział Bugdoł.

- Kto tym razem?

- Nikt ważny, ślusarz z międzyzmiiany. Czy to istotne kto? Zabity na dole, tak samo jak pani Kulok. Wczoraj.

- Może ważne, może nie. To dopiero ludzie pana prokuratora stwierdzą. - Nakonieczny ukłonił się Zalewskiemu.

- Prawda - potwierdził prokurator. - Aczkolwiek...

- A co mnie do tego?

Zapadła chwila ciszy, podczas której Zalewski i dyrektor wymienili szybkie spojrzenia.

- Wiesz, Jędrus... - powiedział powoli Bugdoł, a Nakonieczny odruchowo zachnął się na to zdrobnienie, wyróżnik ich przyjaźni, której zostało już tak mało. - Potrzebowalibyśmy ciebie.

- Mnie? Do czego?

- Niech pan mówi - Bugdoł zwrócił się do Zalewskiego. - To w końcu pańska sprawa.

Zalewski wstał z fotela i zaczął krążyć po pokoju. Nie odzywał się, widać było, że układa coś w głowie. Nakonieczny czekał cierpliwie.

- Widzi pan, panie Nakonieczny - zaczął w końcu prokurator - powiem otwarcie: nie idzie nam śledztwo. Nie ma jak posprawdzać tego czy owego, popytać dyskretnie, bez wzywania na oficjalne przesłuchania, rozumie pan, to nie park chorzowski ani katowicki Rynek, żeby się moi ludzie mogli dyskretnie rozejrzeć czy poszukać nowych świadków, zorganizować obserwację, podsłuch, i w ogóle...

- Racja, agentura tu na nic, nie można poszwendać się bez zwracania uwagi, zwłaszcza gdy się na dole nie orientuje - przytaknął Nakonieczny. - Współczuję.

- Dziękuję, choć wołałbym co innego zamiast współczucia.

- Co pan ma na myśli?

- Potrzebujemy zaufanego człowieka wśród górników, takiego, który zjechałby choćby jutro i, nie zwracając na siebie uwagi, popatrzył w różne miejsca, i posłuchał, co ludzie

gadają.

- Jednym słowem: wtyki?

- Niech pan to nazywa, jak chce, wie pan równie dobrze jak ja, o co chodzi.

- Tak. I co w związku z tym...? - Nakonieczny zaczął się domyślać.

- Pan dyrektor Bugdoł pomyślał o panu.

- Ty, Mieciu? - detektyw zwrócił się do milczącego od dłuższego czasu dyrektora. Ten kiwnął głową. - Uważasz, że nadawałbym się na szpicla, co?

- Andrzej... - odezwał się Bugdoł cichym głosem. - Odsuwając na bok epitety, w obecnej sytuacji bardzo byś się nadawał.

- Pan prokurator też jest tego zdania? Bo, zdaje się, ledwo mnie poznaje.

- Andrzej...

- Proszę zostawić - powiedział Zalewski i podszedł do Nakoniecznego. - Tak, ma pan rację. Obaj wiemy dlaczego. I pan dyrektor też wie, choć ze względów, które tylko z trudem rozumiem, nie podziela mojego o panu zdania. Nie ma tu co owijać w bawełnę. Pan ma nieszczęśliwą przeszłość, panie Nakonieczny, pan nie jest ulubieńcem dzisiejszych czasów, ma pan przecież tego świadomość.

- Był czas, gdy to panu nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, rzekłbym. - Nakonieczny wykrzywił się ironicznie.

- Panie Nakonieczny, liczy się pan...

- Panowie, panowie! - Bugdoł podniósł głos. - Bez takich mi tu. Zebraliśmy się, żeby sobie grzechy wypominać?

- Łagodnie pan to nazywa: „grzechy” - burknął Zalewski.

- Niech się pan nie czepia słówek. I do rzeczy, panie prokuratorze, podobno to panu potrzebny sprzymierzeniec. Bardzo go pan zręcznie pozyskuje, nie ma co. - Bugdoł był wyraźnie wściekły i z trudem powstrzymywał wybuch. Nakonieczny znał tę jego minę, zawsze mu w takiej sytuacji schodził z drogi. Kiedyś.

- No dobrze - sapnął prokurator. - No dobrze. Panie Nakonieczny, chcielibyśmy wykorzystać pańskie umiejętności śledcze oraz doświadczenie górnicze.

- Nie mam doświadczenia górniczego, trzydzieści lat dołu nie widziałem - odburknął detektyw.

- Masz wystarczające, Jędrus. Najlepsze z możliwych na dziś do uzyskania wśród ludzi, którzy mają jakieś pojęcie o pracy śledczej - powiedział, już spokojnie, Bugdoł.

- Ja jestem tylko marny prywatny detektyw i ochroniarz, jakie ja mogę mieć pojęcie o śledztwie?

- Niech się pan nie kryguje - wtrącił Zalewski. - Wszyscy tu dobrze wiemy, że nie zawsze tak było.

- Moje metody śledcze z dawnych czasów chciałby pan wykorzystać? No, no... Co na to powiedzą pana szefowie?

- Rzecz jasna, nie wszystkie. Powiedziałbym nawet, że tych najbardziej charakterystycznych nie. A o szefów niech się pan nie martwi. Nie muszą się dowiedzieć.

Nakonieczny nic nie powiedział. Patrzył z uwagą na nieruchomą, bez wyrazu twarz Zalewskiego. Zastanawiał się, co też on naprawdę myśli i jaki jest prawdziwy cel jego propozycji. Potem pomyślał o sobie: o tym wszystkim, czym żył przez ostatnie dwadzieścia lat, a raczej o tym, co pomagało mu stopniowo z życia zniknąć. Zobaczył nagle, że to znikanie było

całkiem wygodnym sposobem egzystencji, że nie jest pewien, czy cokolwiek pragnie w tym zmieniać. Ratować reputację? Po co?

Czy jest tu cokolwiek do uratowania? Nie mógł mieć złudzeń, że go to zrehabilituje, nie po tym wszystkim, w czym uczestniczył, co się stało. I chory był do tego. Gdzie mu, pólinwalidzie, wracać w ekstremalne warunki kopalni? Po tylu latach, gdy zdążył na szczęście zapomnieć o liczeniu godzin i dni, by na dłużej niż ćwierć doby zobaczyć trochę nieba nad sobą? Nienawidził wówczas górnictwa, tęsknił za normalnym światem, który istniał na górze, bez niego. Gdy służba wyciągnęła do niego rękę, przyjął ją niemal z wdzięcznością, jak ratunek. Potem... Co było potem, może nie w tej chwili. A gdyby jednak...? Przecież nikt, cholera, nie lubi, gdy na niego przez pół życia plują. Może byłby to początek i na starość doczekałby, że przestaną? Może niechby choć trochę mniej...?

- Andrzej...? - Bugdoł potrząsnął go za ramię.

Nie zauważył nawet, kiedy do niego podszedł. Potarł dłonią twarz.

- Przepraszam - powiedział. - Zamyśliłem się.

- Cóż więc pan wymyślił? - zapytał Zalewski. - Zgadza się pan?

Jeszcze raz popatrzył na niego.

- Nie - odpowiedział.

Z przekopu na chodnik, z chodnika w przecinkę, upadową kawałek w dół, do tamy. Potem jeszcze jedna tama, szczelna i

do niedawna zamknięta na głucho, ale kłódka ukrecona, dla niepoznaki założona nowa, klucz jednak nie w dziale wentylacji, tam to zdziwiliby się chyba - przyszliby, a tu kłódka nie do otwarcia... A może nie, zardzewiała, pomyśleliby, ktoś następnego dnia przyjechałby z laubzegą i nową kłódką, a to dałoby czas. Za tamą długie, zaciśnięte wyrobisko; łuki obudowy kostropate od warstw rdzy, zamki na nich to już jedynie bezkształtne bąble tlenu żelaza, śrub, nakrętek trudno się w nich domyślić, a najsilniejsze wrażenie to takie, że to wszystko trzyma się na słowo honoru, że byle przesunięcie uskoku gdzieś w pobliżu, a zmurszałe stalowe wręgi zasuną się całkiem lub skruszą i z chodnika zostanie tylko przesmyk, w sam raz dla wszędobylskich myszy.

Ktoś odważny mógłby tędy przejść aż do czynnych wyrobisk sąsiedniej kopalni. Chodnik został odkryty pięć lat temu przez firmę rozcinającą złoże: drążąca przekop alpina zgrzytnęła nagle, z głowicy odpadły ukruszone o stal noże, a przed brygadą chodnikową w miejscu calizny łupków otworzył się otwór do zapomnianego świata. Tego wyrobiska nie mieli na żadnych mapach. Według stanu zrujnowanej obudowy można było przypisać mu co najmniej z pięćdziesiąt lat, może nawet więcej. Gdy odważnie i nielegalnie niektórzy tam weszli, pod ociosem znaleźli niezdemontowany ciąg przenośników, wydawałoby się gotowy, by go włączyć i rozpocząć transport urobku, gdyby nie rozpadająca się taśma i posklejane rdzą stalowe elementy napędów i toczenia. Wyglądało, że ktoś kiedyś zostawił uzbrojone wyrobisko razem z zamontowanymi w nim

urządzeniami, gdy dalsza eksploatacja pola okazała się niemożliwa lub nieopłacalna. Nikt nie wyciągnął sprzętu nawet na złom, nikt nie zarabował zbędnego chodnika, po prostu został tu, zdany na pastwę sił natury, która wolniej, w procesie obliczonym na dziesiątki, może setki lat, sama zrobiłaby to, co się ludziom kiedyś nie kalkulowało według obowiązujących wówczas zasad specyficznej ekonomiki górnictwa.

Powietrze tu niedobre, stojące. Tlenu mało, po paru godzinach człowiek robi się senny, ale jednak jest go wystarczająco, aby móc przebywać tu dłuższy czas i nie zasnąć na wieki, jeśli tylko nie jest się wybrednym koneserem świeżych powiewów porannej bryzy i stare, kilkudziesięcioletnie smrody zgnilizny nie przeszkadzają. Do tego zresztą można się przyzwyczać; najgorszy jest brak przewiewu, ale tu przewiew był, powietrze ledwie wyczuwalnym podmuchem przemieszczało się gdzieś w głąb starych korytarzy, strumieniem dodatkowo zasilanym z nowego przebicia do Gertrudy. Otamowanie w teorii powinno być szczelne, powinno odcinać powietrzne ciągi czynnej kopalni od niekontrolowanych zawirowań i zakłóceń. Ale to w teorii. W praktyce sączyło się różnymi nieszczelnościami w tamten stary świat; nieszczelnościami, z których jedno wynikały ze zwyczajnego niedbalstwa budowniczych śluzu, a inne nie.

Myszy, penetrujące najdalsze zakątki podziemi za czymkolwiek do jedzenia, do niedawna zaglądać do odkrytych wyrobisk nie bardzo miały po co. Jedyne organiczne elementy tutaj stanowiły resztki przegniłych ze szczętem

sosnowych kuloków, stosowanych jako okładzina lub rozpory między kręgami obudowy. To nie był atrakcyjny pokarm dla myszy. Ostatnio jednak to się zmieniło. W starym chodniku pojawiły się strzępy tłustego papieru, bywało nawet, zawierające resztki zapomnianych okruszków. Nowe jutowe worki też dawały się zjeść, choć nie było tego dużo i nie był to jakiś nadzwyczajny mysi przysmak. Nie przychodziły więc tłumnie, lecz parę z nich znalazło tu posiłek i schronienie na stałe. Były bowiem pożądanymi towarzyszami, zabijającymi samotność, dając się nawet oswoić, bo czegoż taka głodna mysz nie zrobi dla kawałka chleba.

Obecność myszy zabijała też strach. Cisza, mrok i poczucie izolacji zawsze i wszędzie są znakomitą pożywką dla wyobraźni i zaludniających ją lęków, co dopiero taka cisza, taki mrok i takie osamotnienie. A jednak uczucia te były ceną, którą, jak się mogło wydawać, niekiedy warto zapłacić, choć może niełatwo to zrozumieć. Tym bardziej że w tej ciszy, tym mroku i tej samotności chyba nie wszystko było produktem pobudzonej fantazji. Mimo niedogodności tych odczuć i ich fatalnego wpływu na samopoczucie były one bardziej przyjazne i bezpieczne niż ich w taki sposób prowokowany brak. Czasem nawet w kopalni, nawet w zapomnianym, zaciśniętym starym chodniku, człowiek wolałby być sam, niż tak czuć czyjeś towarzystwo, czyjąś nieprawdopodobną obecność. W nieskończenie głębokiej ciemności, kiedy gasła lampka, gdzieniegdzie znaczonej iskierkami fosforyzujących paciorków oczu głodnych myszy.

rozdział III

Ludzie i zwierzęta

W zasadzie... W zasadzie nie miał powodu do narzekań, sytuacja ułożyła się nieomal modelowo. Miał pracę (niewymagającą jak na rodzaj zawodu, jakim się parał), kasę (dużą jak na zakres obowiązków) i spokój. Brak stresu. Wszystko było oczywiście względne; może dla kogoś, kto dotychczas przewracał papiery na biurku albo rowy kopał, ten rozmiar stresu byłby zabijający. Ale dla niego? Spacerki. Długi urlop, na który sobie zasłużył. Odprężenie i luz. Czasem mógł sobie nawet pozwolić, jak dziś, na pasjansa na laptopie, uwielbiał pasjansa, wolał je co prawda w wersji naturalnej, karcianej, ale i komputerowy substytut był nie do pogardzenia w taki nudny nieoperacyjny dzień jak ten dzisiejszy. Nudny biurowy dyżur. Zocha w terenie, z lornetką, aparatem fotograficznym i dyktafonem; wpadła taka mała, nieabsorbująca fucha: mąż podejrzewa żonę, a może już tylko dowodów potrzebuje do rozwodu, nieważne, dowiedzą się czego trzeba, Zocha jest w tym dobra, sprawi się raz-dwa i skasują gościa na parę tysięcy, a on będzie miał co pokazać adwokatowi. Raczej nie dopuszczał, że nic nie znajdują, że żonka czysta jak lelija, a tylko mąż chorobliwie i

bezpodstawnie zazdrosny. Tacy nie przychodzą do nich i nie wpłacają dwóch kawałków zaliczki. Oni przeważnie już wiedzą i nawet gdyby się mocniej sprężyli, sami zdobyliby dowody. Tacy potrzebują nie dowodu, tylko świadectwa profesjonalisty, który ich upewni, że było warto, że skala występku jest taka, iż skrzywdzony mąż już tylko przed sądem może odzyskać twarz i osiągnąć publiczną satysfakcję w oczach świata. No i uniknąć alimentów, a może nawet zyskać podstawę do ich zasądzenia na swoją rzecz od występnej zdziury, jaką okazała się połowica.

W rzeczywistości układał tego pasjansa bezmyślnie i bez zaangażowania. Myślni błędził trochę bez składu pomiędzy propozycją, którą właśnie odrzucił, a dziwnym zleceniem Dziewkina i jego niejasnymi oczekiwaniami. W tym pierwszym nie miał dużych wątpliwości, że uczynił słusznie. Nie chodziło tu nawet o urażoną dumę czy ambicję. Takich już nie miał, a przynajmniej nie przyznawał się do nich, nawet przed sobą. Nie widział jednak specjalnego powodu, by raptem, po latach ostracyzmu, angażować się po stronie tych, którzy nim jawnie gardzili, a tolerowali tylko dlatego, że nie dał im powodu do satysfakcji z wywalenia go na zbity pysk jak tyłu innych. Co z tego, że – obiektywnie patrząc – może i mieli rację? Obiektywna racja słabo daje się stosować w subiektywnych sytuacjach, zwłaszcza o tak ostatecznym, cezurującym charakterze.

Bardziej niepokoił go Dziewkin. Na próżno tłumaczył sobie, że nic mu do jego machinacji, dostał zadanie, dobrze płatne i niezbyt trudne, do tego niewymagające nadmiernego zaangażowania i z ryzykiem zredukowanym do

potencjalnych utarczek z gówniarzami z obstawy Gola. Wbrew logicznemu uzasadnieniu nie lubił, gdy sprawa, w którą się angażował, nie była do rozwikłania, gdy miał robić swoje i nie myśleć za dużo. Nie wtykać nosa gdzie nie trzeba. Powinien to przecież umieć, w służbach nierzadko był pionkiem w dużej rozgrywce, której cały sens znali tylko szefowie, a i to pewnie nie zawsze z tego bliższego mu w hierarchii szczebla. Tam jednak był elementem struktury. Struktura działała wspólnie, we wspólnym zamierzeniu, wymagając lojalności w osiąganiu generalnie nakreślonych celów, i to wystarczało. Teraz natomiast struktury nie było, przynajmniej takiej, z którą mógłby się utożsamić. Robił coś, co nie miało widocznego sensu ani nie składało się w rozumianą na wyższym szczeblu uogólnienia całość. Idea mogła zastąpić szczegóły, o ile była, o ile miał szansę ją zaakceptować. Tu nie miał.

Czy jednak warto było wnikać, szukać sensu? Po co? Dla paru chwil wątpliwej satysfakcji? Że nie jest z tych, którzy dla kasy zrobią wszystko, istotę sprawy pozostawiając tym, dla których jest ważna? Przecież to nieprawda, od dawna, może od zawsze.

I wiedział o tym, nie musiał sam siebie przekonywać, udowadniać sobie. Wybór dokonał się wieki temu, dziś był małym, pozbawionym skrupułów facecikiem do wynajęcia, a jego jedyną zaletą była fachowość. I talent, tak, talent także. Żadna z tych zalet nie wymagała od niego jakiejś szczególnej szlachetności. W ogóle niczego nie wymagała. Myśl ta sprawiła mu ulgę, dość nieoczekiwaną, nie spodziewał się znaleźć w sobie jeszcze jakieś skrupuły. Ale skoro znalazł i

skoro się z nimi uporał, więcej do tego wracać nie było potrzeby. Nie będzie więc dociekać, za całe uzasadnienie wystarczy kwota, należy bowiem ona do kwot tego rodzaju i wysokości, które w jego przypadku uzasadnią wszystko. Na tym trzeba filozofowanie zakończyć.

Na razie od sprawy Gola miał wolne. Obiekt wyjechał, chyba za granicę, i Chłast przekazał Nakoniecznemu polecenie, żeby się chwilowo wyłączył, że na razie kto inny się tamtym zajmie. Nakonieczny wróci do pracy, gdy Golo znów pojawi się na Śląsku. Nieobecność obiektu i zawieszenie czynności śledczych wobec niego nie zawieszały wypłaty zaliczek, co Chłast dwukrotnie podkreślił. No to fajnie. Nic tak nie cieszy człowieka, jak forsa za bezczynność.

Bezczynność jednak oznaczała nudę, a nuda prowokowała do gonitwy myśli, z której Bóg wie co mogło wyniknąć, w Bóg wie jakie rejony mogło go to myślenie ponieść. Nie chciał być nigdzie niesiony, zwłaszcza ku Gertrudzie. Nie chciał. Niech się pieski Zalewskiego wysilają, co go to...? On w kopalni nie robi, jego nikt nie przyhaczy. Nie jego cyrk, nie jego małpy, jak to się mówi. Raptem przyjaciele się znaleźli, grzechy będą odpuszczają, bo im się śledztwo nie dopina. Spadać na drzewo. Jeszcze może gdyby zapłacili... Ale za darmo? Dla idei? Paszli won, dla idei już się działało i źle się skończyło. On nie jest szlachetny kapitan Sowa czy inny James Bond, tylko współwłaściciel firmy ochroniarskiej, od którego wymaga się pilnowania, żeby dziadki na służbie nie spały. I za to niedużo płaci. Przez moment poczuł niesmak, nie bardzo wiedział z jakiego powodu. Takie poczucie, że coś jest nie tak z moralną

motywacją. Tylko czyją? Jego czy ich? Kurde, Mieciu przyjaźń wykorzystuje, aby go skaptować na jasną stronę Mocy? Pomyślał o tym i miał nadzieję, że trafił. Nie trafił, nic mu się po tej konstatacji lepiej nie zrobiło. No to chyba on sam... Diabli nadali, jeszcze mu moralniaka brakowało. Do tego myśli, a miał nie myśleć, przejmuje się, a miał nie przejmować, obchodzi go, a miało... Przecież odmówił.

Westchnął. Napiłby się czegoś. Wstał i podszedł do starej meblościanki, pełniącej tu uniwersalną rolę regału na papierzy, barku i kwietnika na pelargonie Zochy. Otworzył drzwiczki, wyciągnął zaczętą butelkę czystej, odkręcił i pociągnął z szyjki. Palący strumień pociekł wewnątrz przełyku, rozgrzał żołądek. Skrzywił się. Nie znosił ciepłej wódki. Pociągnął jeszcze raz, solidnie, po kres oddechu, i odstawił z powrotem. Otrząsnął się, chuchnął, wyciągnął z szuflady kanapkę z kiełbasą, powąchał, a potem ugryzł. Od razu lepiej. Jak to było? Paszli won.

Zadzwonił telefon. Spojrzył na niego z niechęcią. Kto mógł dzwonić? Zocha raczej nie, na co on Zosze? Bez niego da sobie radę nawet lepiej. Podniósł słuchawkę.

-Agencja Anzo.

- To pan, Nakonieczny? - Usłyszał w słuchawce niewyraźny głos, nie potrafił go zidentyfikować.

- Tak, słucham. Kto mówi?

- Chłast.

- Co jest?

- Golo wrócił.

- Już? Nie nasiedziałem się.

- Też się nie spodziewaliśmy.

- I co w związku z tym?

- Jak co? Do roboty się pan bierz.

- Dobra. - Nakonieczny wstał i nie odejmując słuchawki od ucha, zdjął kurtkę z wieszaka, po czym, płacząc się w rękawach, zaczął ją nakładać. - Gdzie?

Wysłuchał instrukcji, rozłączył się i od drzwi rzucił słuchawkę na biurko. Nie trafił, skrzywił się, widząc, jak spada na siedzisko krzesła, odbija się i ląduje na wykładzinie. Nie sprawdzał już, czy cała, wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Z daleka dostrzegł bmw Gola, zaparkowane na podjeździe willi. Minął go, po czym zatrzymał się na poboczu pięćdziesiąt metrów dalej, zgasił silnik, otworzył okno i ustawił lusterka, następnie rozsiadł się wygodnie. Uliczka była prosta, łatwa do obserwacji, żadnego ruchu, pusto, tylko nieliczne samochody stojące przed domami właścicieli i pojedynczy przechodnie. Przez chwilę przyglądał się mężczyźnie z psem, idącemu chodnikiem obok domu Gola. Pies biegł luzem, obwąchiwał co parę metrów murek otaczający posesję, szukał na nim tajemnych psich sygnałów. Zatrzymał się dłużej przy samochodzie gangstera i metodycznie, jedno po drugim, obsikał wszystkie cztery koła. Nakonieczny uśmiechnął się w poczuciu solidarności. Chętnie by też coś tu obsikał.

Mężczyzna z psem przeszedł i zniknął w najbliższej przecznicy; na prawie piętnaście minut krajobraz zastygł w bezruchu. Potem minęła go dziewczyna na rowerze, ubrana w kask i obcisły czerwono-czarny kolarski kombinezon.

Wyglądała jak profesjonalna kolarka, gdy tak pedałowiała niezbyt szybko, w równym, wyliczonym rytmie. Przez kilka chwil przyglądała się w lusterku wstecznym jej miarowo pracującym zgrabnym łydkom, aż zniknęła za sznurem parkujących samochodów. Potem wyciągnął z kieszeni pojedynczego marlboro, zapalił, wydmuchnął dym przez otwarte okno.

Nie zdążył się nadmiernie wynudzić. Nie minęło pół godziny, gdy usłyszał stłumione odległością trzaśnięcie drzwi i wyszedł z nich Golo, a za nim dwaj znani Nakoniecznemu młodziankowie w dresach. Jeden z nich jeszcze wyraźnie utykał, co sprawiło detektywowi niejaką satysfakcję i na jego twarzy zagościł mściwy uśmiech. Młodziankowie poszli na tyły domu, skąd przydzwigali podłużną drewnianą skrzynię; musiała być ciężka, bo szli z pewnym wysiłkiem, odgięci, szybko stawiając kroki. Golo pchnął furtkę, zbliżył się do bmw, otworzył bagażnik i czekał na tragarzy, bębniąc niecierpliwie palcami w karoserię. Szczyłe wreszcie podeszli, trochę rozbujali i podnieśli wyżej skrzynię, wsunęli ją pod klapę, Golo zatrasnął. Następnie wsiadł za kierownicę, a tamci na tylną kanapę, po sekundzie silnik zaskoczył – samochód ruszył. Gdy zbliżył się do volkswa- gena, detektyw schował głowę poniżej deski rozdzielczej; następnie też uruchomił pojazd, odczekał jeszcze i ruszył powoli za kawową limuzyną.

Zaczęło padać, włączył wycieraczki, oczywiście jedna nie działała i oczywiście lewa, usłyszał tylko bezsilne chrobotanie spod maski. Pięknie, nie ma to jak śledzić samochód zza mokrej szyby na ruchliwych ulicach, gdy jadący z

naprzeciwka nieustannie wałą ci reflektorami po oczach, a światła rozpraszają niezebrane z szyby krople, przemienione w setki mokrych, spływających w dół mignięć. Kilka razy omal nie zgubił śledzonych tylko dlatego, że wśród rozmazanych czerwonych plam tylnych lamp przed sobą nie potrafił rozpoznać, za którymi jedzie. Z bezsilną złością gapił się przed siebie, pochylony nad kierownicą, z nosem w przedniej szybie, co nie zdawało się na wiele, może tylko krople widział większe. Na szczęście nie trwało to długo: po kilku minutach kluczenia katowickimi ulicami skręcili z Francuskiej w prawo, w Warszawską, i, przyspieszając, pojechali dalej, na 1 Maja. Tu Golo wjechał w bramę starej, dawno nieod- nawianej czteropiętrowej kamienicy, czarnej od wieloletniego smogu. Mijając ją, Nakonieczny dojrzał kątem oka, że bmw zatrzymało się w podwórzu, tuż za bramą, a pasażerowie właśnie otwierali bagażnik.

Znalazł kawałek miejsca na chodniku, zaparkował, wysiadł i narzuciwszy kaptur na głowę, szybkim krokiem ruszył z powrotem. Zanim doszedł, dobiegło go wzmocnione echem trzaś- nięcie zamka. Wkroczył w ciemne przejście; na podwórku nie dostrzegł już nikogo. Rozejrzył się. Brama była odrapana, z po- odbijanym tynkiem, pomazana bohomazami kibolskich graffiti. GKS pany, myślałby kto. Tuż za wlotem kończył się asfalt, dalej, aż na podwórko, ciągnęły się krzywe kocie łby, w wyrwach wypełnione deszczówką, która sączyła się już także rynsztokami po obu stronach bramy. Po bokach miał dwa przeciwległe wejścia na klatki schodowe, na chybił trafił otworzył prawe. Ciemno i cisza. Poszedł do lewego, tu paliło się światło i usłyszał od-

dalający się ku górze odgłos licznych kroków. Starając się nie trzasnąć drzwiami, wszedł i ostrożnie spojrzął w szczelinę przy schodach. Na wysokości pierwszego piętra zobaczył sunącą po poręczy dłoń jednego z wchodzących. Popatrzył, jak wspinają się wyżej, wciąż dobiegały go ich wolne, ciężkie stąpania, musieli dźwigać tę skrzynię, domyślił się. Na drugim piętrze dłoń zniknęła, stuknęły wewnętrzne drzwi od korytarza. Skacząc po dwa stopnie, najciszej jak potrafił, wbiegł za nimi. Oszklone drzwi były zamknięte, przez szybkę dojrzał trzech mężczyzn, stojących przed drzwiami jednego z mieszkań, a obok nich, na podłodze, znajomą skrzynię. Odsunął się pod ścianę, oparł plecami o namazaną czarną farbą szubienicę z wiszącym na niej godłem Legii Warszawa i wychyliwszy nieco głowę zza załomu, obserwował, jak Golo szuka po kieszeniach, a potem wkłada klucz do zamka. Policzył w myślach, poczekał, aż wejdą, po czym, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, zbiegł z powrotem na ulicę.

Zdążył znaleźć się na trotuarze pod kamienicą i zadrzeć głowę, by zobaczyć, jak w oknie na drugim piętrze zapala się światło. Zweryfikował swoje obliczenia - tak, to tam. Rozejrzał się, popatrzył na drugą stronę ulicy. Tam będzie dobrze. Przeciął szybko jezdnię na ukos, pchnął drzwi przeciwległej kamienicy i wszedł do sieni. Klatka schodowa była tu dużo porządniejsza, widać niedawno odmalowana, żadnych wytrysków kibolskiej twórczości, miała po dwa mieszkania na kondygnacji z wejściami wprost ze schodów i wysokie półpiętra o szerokich łukowo zwieńczonych oknach, wspartych na niskich parapetach. Zatrzymał się na platformie poniżej drugiego piętra i wyjrzał: przed sobą, po

drugiej stronie ulicy, miał rozjaśnione światłem tamto okno. Było daleko, ledwie widział czyjaś w nim sylwetkę. Sklął w duchu sklerozę i zawrócił. W bagażniku powinien mieć lornetkę.

Gdy ponownie usadowił się na parapecie, ledwie zipał ze zmęczenia. Ile można tak ganiać w jego wieku? Serce trzepotało mu nieregularnie w piersiach, czuł pulsujące tętno pod mostkiem i w skroniach. Spojrzał. W oknie naprzeciw ciągle paliło się światło, ktoś siedział przy stole. Przyłożył lornetkę do oczu - od razu lepiej. Poznał w siedzącym Gola, dostrzegł też jednego z młodzików, opartego o framugę drzwi vis-à-vis okna, drugiego nie było widać. Oczekiwali kogoś, uznał, ten ktoś zapewne wkrótce się zjawi, należało więc obserwować nie Gola, lecz bramę.

Czekał cierpliwie, od czasu do czasu popatrując przez lornetkę. U Gola nic się nie działo, prawie żadnego ruchu, tylko raz w polu widzenia pojawił się drugi gówniarz, ten mniejszy, i wyszedł z pokoju. Wrócił po pięciu minutach. Fizjologia, domyślił się Nakonieczny i uświadomił sobie, że w zasadzie też nie miałby nic przeciwko temu, by udać się gdzieś na stronę. Zżymnął się na siebie - najgorzej jest sobie przypomnieć, teraz pęcherz już mu nie da spokoju.

Na którymś z wyższych pięter trzasnęły drzwi. Usłyszał powolne kroki, ktoś schodził, ktoś chyba niemłody, bo kroki były ostrożne, niepewne, słyszał też skrzywienie balustrady, idący widocznie wspierał się na niej całym ciężarem ciała. Schował lornetkę pod kurtkę, wstał i na palcach zszedł kilka stopni w dół, poczekał, a następnie energicznie począł kroczyć z powrotem. Minał swoje półpiętro, w połowie

schodów dostrzegł starą kobietę z pustą torbą z logo jednego z supermarketów w prawej ręce, lewą trzymała się poręczy i powoli, patrząc pod nogi, stąpała w dół stopień za stopniem. Pewnym krokiem ruszył naprzeciw niej i grzecznie się jej uklonił. Odpowiedziała, patrząc na niego wzrokiem pełnym niepewności i podejrzeń. Uśmiechnął się, przepuszczając ją na zakręcie, odpowiedziała uśmiechem, następnie poszła dalej, już nie patrząc, już zajęta trafianiem stopami w stopnie. Powoli wszedł jeszcze jedno piętro wyżej, tam zatrzymał się, nasłuchując. Trzasnęły drzwi wyjściowe; dopiero wtedy wrócił na swoje stanowisko obserwacyjne.

W końcu doczekał się. W coraz głębszej szarości zmierzchu zobaczył, jak pod bramę podjeżdża czarny jeep grand cherokee, wsuwa się w nią jakby bez dźwięku i niknie z oczu. Zdążył dostrzec żółtą holenderską rejestrację, lecz wszystkich znaków nie zapamiętał, tylko początkowe cyfry 78 i V po myślniku.

Przeniósł uwagę na okno. W mieszkaniu, gdzie czekał Golo, dotychczasowy spokój trwał jeszcze przez chwilę, po czym raptem zrobił się ruch. Otwarły się drzwi i w polu widzenia pojawił się obcy mężczyzna, brunet w czarnym prochowcu, a z nim dwóch byczków: jeden w zielonej ortalionowej kurtce flejerce, drugi w popielatym polarze. Czarny podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko Gola, pozostali stanęli za nim. Przez chwilę tak siedzieli, przyglądając się sobie, wreszcie przybysz odezwał się pierwszy, co dało początek ożywionej konwersacji: brunet coś mówił długimi zdaniem, Golo odpowiadał, obaj gestykulowali. Byczki uśmiechały się grzecznie. W końcu

brunet schylił się pod stół i położył na blacie srebrną walizeczkę. Dreszcz podniecenia przebiegł detektywowi po plecach, podkręcił zoom lornetki. W samą porę - wieko walizki uniosło się i zobaczył we wnętrzu, niczym na kryminalnym filmie, ułożone równo szarozielone banknoty. Dużo banknotów. Dolary? Ile tego mogło być? Nie zdążył się przyjrzeć, bo widok przesłoniła mu potylicą pochylającego się nad walizką Gola. Kasa! Golo dostaje kasę! Nie miał co do tego wątpliwości, rozgrywająca się przed jego oczyma scena była jednoznaczna. Holenderski brunet za coś Golowi płaci, pewnie za tę skrzynię. Co tam jest? Diabli wiedzą, może narkotyki, może coś innego, czy ma to jednak jakieś znaczenie? Nie siedzi tu, aby odgadywać szarady Golowych szemranych transakcji, klient zlecił namierzenie kasy, więc namierza. W końcu na coś się to jego snucie się za śląskim gangsterkiem przydało, miał nosa Dziwka, gdy kazał go śledzić. Może jakiś cynk? Kto to wie. Nieistotne.

Patrząc ciągle przez szkła lornetki, zastanawiał się, co robić dalej. Fajnie byłoby wejść z buta i zwindykować, rozstawiając panów po kątach, na to jednak potrzebna byłaby ekipa antyter- rorystów albo chociaż paru drabów od Dziwkina. Mógłby zadzwonić do Chlasta, coś zmontować, wówczas jednak mamę byłyby szanse na jego dziesięć procent. Powinien odzyskać to dla Dziwki sam, wtedy nie będzie wątpliwości.

Za tamtym oknem Golo właśnie zamknął walizeczkę i kiwnął dłonią gdzieś poza swoje plecy. Młody spod drzwi mszył się, zniknął na chwilę z pola widzenia, następnie wrócił z tym drugim, znów obaj przygięci pod ciężarem skrzynki.

Postawili ją przy nogach Holendra, po czym obaj odeszli poza zasięg wzroku obserwatora. Teraz skrzynką zajęli się tragarze bruneta: podeszli z dwóch stron, równocześnie dźwignęli bez widocznego wysiłku i raźno wyszli. „Czyli nie tyle było to ciężkie, co Golowi goryle słabi” – skonstatował. A kiedy go bili, słabości nie stwierdził, ciekawostka taka. Skierował szkła na twarz gościa. Ujrzał na niej szeroki, przyjazny uśmiech, błysnął równy, wpędzający w kompleksy garnitur zębów. Holender znów coś mówił, a Golo się śmiał, Nakonieczny poznał to po trzęsących się barkach. Po chwili konwersacji obaj wstali, równocześnie wyciągnęli ku sobie dłonie i wymienili długi, serdeczny uścisk. Rozmowa trwała jeszcze przez pół minuty, potem Holender uklonił się, zapiał guzik w płaszczu, odwrócił się i wyszedł, zamykając drzwi za sobą; moment później ruszył za nimi jeden z chłopców Gola.

Scena za oknem utraciła swój dotychczasowy dynamizm. Golo siedział przy stole, tyłem do szyby, drugi chłopak pojawił się obok i też usiadł. O czymś rozmawiali, paląc papierosy. Nakonieczny poobserwował ich jeszcze przez parę chwil, a potem, kątem oka dostrzegając ruch na dole, zerknął ku bramie. Czarny jeep już wyjechał tyłem, świecąc jaskrawo białym wstecznym, i teraz manewrował na chwilowo pustej ulicy, usiłując zawrócić. Jeszcze kilka sekund i czerwone światła jadącego w stronę Warszawskiej samochodu zniknęły między innymi, wtapiając się w wieczorny ruch.

Nakonieczny opuścił posterunek obserwacyjny i zszedł na dół. Zajrzał do bramy; w kawowym bmw pracował silnik i paliły się reflektory, jeden z młodych siedział za kierownicą.

Na schodach w sieni po lewej słycać już było kroki. Cofnął się i podbiegł do swojego samochodu, nie mógł pozwolić, by mu teraz Golo gdzie się urwał, nie mógł stracić z oczu swoich obiecanych dziesięciu procent. Żadnego na nie planu na razie nie miał, liczył, że coś wymyśli, zanim Golo gdzieś zakotwiczy z forszą na dłużej. Doszedł do wniosku, że nie może odpuścić takiej okazji, że jeśli chce coś z tego mieć, musi zadziałać jeszcze dziś. Nerwowo przetarł rękawem przednią szybę, miał świadomość bezskuteczności tego zabiegu, deszcz padał nieustannie. Zrzucił wilgotną kurtkę na tylne siedzenie, wsiadł.

Po jakichś dziesięciu minutach w bramie pojawiło się światło samochodowych reflektorów. Maską bmw powoli wyłoniła się z ciemnej czeluści i samochód wytoczył się na chodnik. Stał chwilę z włączonym prawym kierunkowskazem, potem, korzystając z przerwy w ruchu, wtoczył się na jezdnię i ryknął silnikiem, gwałtownie przyspieszając. Przemknął obok rżęącego rozrusznikiem grata Nakoniecznego, zakręcił ostro w lewo, tuż przed maską jadącego z naprzeciwka samochodu, który zatańczył, piszcząc oponami podczas nerwowego hamowania, i zniknął w Bogucickiej. Nakonieczny także wcisnął gaz i kłął potoczyście, próbując nadążyć, lecz po chwili musiał zrezygnować. Światła. Stał na czerwonym, potem, gdy zgasło, skręcił w ślad za Golem. W perspektywie Bogucickiej po bmw nie zostało śladu, pozostało mieć nadzieję, że chłopcy nie będą szwendać się po Katowicach z teczką pełną kasy, tylko pojedą grzecznie do domu i tam ją ukryją. Co prawda teoretycznie mogli równie dobrze ukryć ją gdzie

indziej, a wówczas gdzie – tego już nawet wszyscy święci by nie odgadli. Tymi ulicami można było jednak swobodnie do Gola dojechać, nie nadkładając drogi, nadzieja Nakoniecznego nie była więc tak zupełnie bezpodstawna. W dodatku popierała ją intuicja, a jej detektyw wierzył najbardziej.

I nie zawiodła go. Gdy po kilkunastu minutach przejechał pod posesją gangstera, zobaczył za płotem, na podjeździe garażu, kawowe bmw. Zatrzymał się na dawnym miejscu. Gdyby ktoś go zapamiętał, istniała szansa, że weźmie go za tutejszego. Deszcz przestał padać, siąpił tylko zamierającym kapuśniaczkim, wysiadł więc i rozejrzał się. Na dworze było już zupełnie ciemno, ulicę rozświetlały na pomarańczowo mleczne kule ulicznych lamp, okolone aureolami wodnego pyłu. Przeszedł na drugą stronę i ruszył wzdłuż płotu. Gdy dotarł do ogrodzenia willi Gola, zwolnił. Chodnik przed nim był pusty, nikt widać nie miał ochoty na wieczorne spacerować w taką pogodę, wszyscy miejscowi pewnie zdążyli już wrócić do domów, mokrą rzeczywistość zostawiwszy za drzwiami. Idąc niedbałym krokiem, zerknął ukradkiem na drugą stronę parkanu, na rozświetlone panoramiczne okna, na trawnik i kępy ozdobnych krzewów. „Ładnie Golo mieszka” – stwierdził z podszytą zazdrością niechęcią. Przez okna nie dało się zajrzeć, były daleko, wszystkie przysłonięte jasnymi, beżowymi zasłonami. Nie martwiło go to zbytnio, wiedział, gdzie Golo trzyma pieniądze i wartościowe przedmioty, dwukrotnie podczas pracy dla Dziewkina penetrował willę pod nieobecność gospodarza. Poznał system alarmowy i rozkład czujek, wiedział też, że na noc

Golo alarmu nie zbroi nawet częściowo, mimo wyodrębnionych kilku jego niezależnych stref, a to z powodu miłości żony Gola do kotów, których miała dwa. Koty po domu buszowały swobodnie, a każdy wie, że w takim przypadku skuteczność stref alarmowania do niczego przydać się nie może, bo koty na alarmach się nie znają. Alarm mógł działać tylko pod nieobecność zwierząt, czyli nieomal nigdy. Gdy wyjeżdżali na dłużej, koty oddawano komuś pod opiekę i jedynie wtedy dom był elektronicznie chroniony. Na co dzień musiała wystarczyć obecność ludzi i psa na podwórku.

Nakonieczny znał także szyfr do sejfu, co prawda nie z własnej zasługi, Zocha go zdobyła swoimi metodami, gdy na zmianę zajmowała się tym domem. Zocha była w tym dobra, podobnie jak dobra była w wielu innych przydatnych dziedzinach, a także w niektórych już nieprzydatnych, co może i dobrze.

W każdym razie Golo prześwietlony był gruntownie, dlatego fakt, iż przywiózł pieniądze tutaj, a nie zamelinował ich w jakiejś dziupli, był sporym handicapem. Co prawda Nakonieczny znał Gola na tyle, że wątpił, iż ten zdecydowałby się spuścić oko z holenderskiej walizeczki, zwłaszcza gdy wiedzieli o niej jego dresiarscy mołojcy. Lojalność takich ma swoje ściśle wyliczone granice, o czym Golo z pewnością zdawał sobie sprawę nie gorzej od Nakoniecznego. Kwota w walizeczce, szacując w przybliżeniu, bez wątplenia te granice przekraczała, lepiej więc było licha nie kusić.

Aby wykorzystać tę przewagę, należało jedynie nie

spuszczać Gola z oka i nie pozwolić, by niepostrzeżenie wywiózł gdzieś pieniądze, gdzie ich już nie znajdą. Trzeba więc było rozmówić się z Zochą.

Przyszła pieszo. Czarna w mroku, smukła kobieca sylwetka sunęła niczym bezpański cień na tle ogrodzeń jednorodzinnych domków, aż doszła do skraju, gdzie od kamiennego słupka zaczynał się ciąg stalowych, kutych przeseł. Popatrzyła wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów; w jednym z nich krótko mrugnęły światła awaryjne. Podeszła.

- Tylko z żoną. - Z otwartego okna dobiegł jej uszu znajomy cichy głos.

- Coś pilnuje? Jakies psy, gęsi, aligatory? - zapytała.

- Jest pies, z tyłu, od podwórza, jeszcze w kojcu. Przed północą wypuszczają.

- Chachar?

- Nie testowałem. Mordziasty, czarny. Dużo zębów.

- Co ty powiesz.

- Mówię ci.

- To idę.

- Masz coś dla niego?

- Nie.

- Weź to. - Przez okno wysunęła się dłoń z kilkoma krążkami psich ciasteczek. - Tylko sama nie jedz. Gdzie sejf pamiętasz?

- Pamiętam.

- Złam kark.

Puknęła lekko dłonią w czarnej rękawiczce w dach samochodu i poszła. Mężczyzna wysunął nieco głowę przez okno, zerknął za nią, a potem zakręcił szybę. „Nikt by jej nie dał pięćdziesiątki” – pomyślał. A przecież obchodzili ją hucznie już osiem lat temu.

Zocha sylwetkę i sprawność zawdzięczała diecie i morderczym treningom. Ćwiczyła od zawsze: gimnastykę akrobatyczną, krav magę, wspinaczkę, biegi. Startowała nawet czasem w maratonach, a na pięćdziesiąte urodziny zafundowała sobie wejście na któryś z tych ośmiotysięczników o skomplikowanych nazwach, co prawda w mocnej asyście zawodowców, bo to mimo wszystko była góra nie dla ośmiotysięcznikowego nowicjusza, ale jednak. Lubiała wyzwania, lubiała się sprawdzać. Owo zamiłowanie do wyczynu przydawało się niekiedy, choć częściej w dawnych czasach, kiedy była oficerem operacyjnym, teraz, w prywatnej psiarni, zdecydowanie rzadziej. Trochę więc zaczęła sobie folgować, brak codziennej motywacji działał dekoncentrująco. To jednak, co po owym folgowaniu jeszcze zostało, niejednego by zabiło, acz na kolejny maraton było już nieco za słabe. Na dyskretną penetrację uśpionej willi wystarczało wszakże w sam raz.

Zocha weszła w cień rosnącego za płotem olbrzymiego świerka i chwyciwszy dłońmi pręty ogrodzenia, lekko, niczym tyczkarz, przesadziła parkan, lądując na trawniku, pod drzewem. Śladem swego cienia od ulicznych lamp i jak ów cień bezszelestnie pobiegła w stronę narożnika willi, by zniknąć za węglem. Tam, skryta w mroku, najpierw sprawdziła stopą i dłonią stopień śli- skości rynny, wytarła o

spodnie wilgoć z rękawic i wspięła się po rurze na dach, a jedynym dźwiękiem tej wspinaczki było dwukrotne ciche skrzypnięcie blachy w uchwytach, całkiem naturalny odgłos, jakich noc ma w sobie zatrzęsienie. Wydostała się na dach, podpełzła do komina i przycupnęła za nim, na długie dwie godziny znikając z widzialnego świata. Siedząc, słuchała odgłosów domu: dźwięków telewizora na dole, cichego pobrzękiwania naczyń od strony kuchni, monosylab wymienianych z rzadka pomiędzy małżonkami, pomruków psa z kojca na podwórzu. Nie marzła mimo lekkiego ubrania i mżawki - komin był ciepły, pewnie Golo napalił w kominku, kombinezon sechł na niej, zanim zdążył mocniej namoknąć. Drzewny zapach dymu otulał ją i usypiał, potrzasała więc niekiedy głową i szczypała się w policzek. Mogła zasnąć i spaść, a wtedy ewentualne urazy po upadku byłyby błahostką w porównaniu ze skutkami demaskacji.

W końcu noc zrobiła swoje. Telewizor ucichł, odgłosy zasygnalizowały trochę wzmożonego, niespiesznego ruchu wewnątrz domu, potem trzasnęły drzwi od podwórka. Dobiegł ją stamtąd głos Gola:

- Cześć, Wacek, dobry pies, dobry - ...i skrzypnięcie furtki kojca oraz radosne psie skomlenie i poszczekiwanie. - No dobra, zostaw. Chodź, Wacek, biegaj na wolność.

Furtka znowu skrzypnęła, towarzyszyło temu basowe szczekanie i tupot psich łap po deskach. Następnie zaszurały ponownie drzwi, trzasnęły, dwukrotnie szczęknęła zasuwa zamka.

Zsunęła się nieco i wyjrzała poza obrys dachu. Świetlny ślad witryny na trawniku zgasł, rozświetliło się za to okno

dachowe na prawo od niej. Trochę niedobrze, siedzi wprost nad sufitem sypialni. Poczekała na szum wody z łazienki i przesunęła się na drugą połąć dachu. Tu też w jednym z okien paliło się światło, na szczęście daleko od niej. Najbliższe dwa były ciemne, bez najmniejszego poblasku. „Nieużywane pomieszczenia” – pomyślała. Tędy spróbuje. Łatwiej byłoby z parteru, sejf był w gabinecie, ale pies... Nie żeby się bała, ale narobi hałasu, profilaktycznie musiałaby coś z nim zrobić, a do zwierząt Zocha miała słabość, nie to, co do ludzi.

Dom powoli cichł. Pierwsze zgasło okno obok komina, to, obok którego poprzednio siedziała. Nagle znikła żółta poświata na drzewach i zrobiło się tam ciemno. Czekwała dalej. Okno po jej stronie dachu nie zgasło od razu. Najpierw bijący z niego blask ściemniał i stał się pomarańczowy. Domyśliła się, że zmieniono górne światło na nocną lampkę. Paliła się długo, Zocha przypuszczała, że ktoś tam coś przy niej robi: czyta, może dzierga na drutach sweter. Musiała to przeczekać, wchodzenie, nawet najbardziej profesjonalne i ciche, było zbyt dużym zagrożeniem. Znów więc zamarła w bezruchu, delikatnie i bez hałasu masując palcami drętwiejące uda. Czas zaczął zwalniać, musiała uzbroić się w cierpliwość do tego bezruchu i ciszy, pogodziła się z nimi, wyłączywszy organizm, zastygając niczym element otoczenia. Tak miało być przez jakiś czas, aż uzna, że wystarczy, że można wracać do życia. Wówczas dobiegł ją dźwięk z dołu, spoza krawędzi dachu. Burkliwy, niski, jeszcze niepewny, lecz już wyczuła w nim pierwsze tony złości. Głęboki, cichy warkot psa.

Obsunęła się na skraj, aż do rynny, wychyliła się, spojrzała. Pies siedział pod nią i patrzył w górę. Wielki czarny rottweiler. W świetle podwórzowej lampy widziała jego drgającą i unoszącą się co jakiś czas górną wargę, spod której wyglądały wówczas końce kłów. To jeszcze nie była wściekłość, ta zdecydowana rozszarpać zlokalizowanego i rozszyfrowanego co do intencji intruza. Jeszcze nie był pewny, czy ma być wściekły i czy jest przed czym bronić powierzonego mu terytorium. Cmoknęła cicho. Pies umilkł, popatrzył w jej kierunku i przekrzywił głowę w tym śmiesznym psim wyrazie ciekawości. Uśmiechnęła się. Każdy pies tak samo zabawnie przekrzywia głowę, w ten sam sposób, zdziwiony i zaciekawiony. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła psie ciasteczko, cmoknęła jeszcze kilka razy i ostrożnie mu rzuciła. Pies wydał dziwny dźwięk, jakby szczechnął z zamkniętą paszczą, a było w tym coraz większe zważenie w konieczność interwencji. Kłapnął pyskiem, złapał ciastko w locie, ale jednak wypuścił i pozwolił, by spadło na ziemię obok niego. Powąchał, polizał i dopiero po tej ceremonii rozpoznawczej ujął w zęby i rozgryzł. Znowu spojrzął w górę. Rzuciła mu drugie – tym razem już się nie wahał, złapał, zanim spadło i sapnął z satysfakcją. Cofnęła się tak, aby stracił ją z oczu i zerknęła za siebie. Okno było już ciemne. Posłuchała: pies siedział cicho. Na czworakach zbliżyła się do szklanej połaci, zapaliła latarkę i poświeciła do środka. Światło rozproszyło się na wieszakach z odzieżą, szafkach z butami, półkach pełnych bielizny i ręczników... Garderoba. Dobrze i źle. Dobrze, bo nocą nikt tu na pewno nie wejdzie, źle – bo nie wiadomo, dokąd prowadzą tamte drzwi... Mogły

do sypialni, wprost do łóżka Gola. Przesunęła się do sąsiedniego okienka. Też od początku było ciemne, lecz świecenie weń nic by nie dało, zaciągnięto na nim roletę. Nie mogła ryzykować, pozostawała garderoba.

Z torby, przytroczonej do pasa, wyjęła brzeszczot na cyrklu, zakończony diamentowym grotem. Rozłożyła go, następnie przykleiła przyssawkę. Wykroiła kółko w pierwszej warstwie szkła, puknęła w nie kilka razy, a gdy puściło, wyciągnęła i położyła obok siebie. Następnie zmniejszyła średnicę wykroju i powtórzyła zabieg na szybie drugiej warstwy. Potem włożyła dłoń w otwór i przekręciła klamkę. Pociągnęła ramę do góry, okno uchyliło się. Poszerzyła szczelinę i wślizgnęła się do środka.

Zeskoczyła pomiędzy wieszaki na kółkach, pełne koszul i marynarek. Kilka z nich obsunęło się z metalicznym brzękiem, złapała je, zanim dosięgły podłogi i powiesiła z powrotem. Zastygła na chwilę, nasłuchując. Nic, cisza. Wysunęła się spomiędzy odzieży i na palcach zbliżyła do drzwi. Przyłożyła ucho - nic nie usłyszała, żadnego oddechu, skrzypienia, nic. Powoli nacisnęła klamkę. Poddała się, lecz drzwi nie ustąpiły. Zakląła bezgłośnie. Traci czas. Zamek był na szczęście prosty, co jej nie zdziwiło, nikt nie montuje pancernych rygli w drzwiach do garderoby. Uniwersalny wytrych załatwił sprawę raz-dwa, bez hałasu i mitręgi. Ponownie uruchomiła klamkę i tym razem drzwi otwały się. Pchnęła je lekko do pierwszego oporu, potem milimetr po milimetrze przesunęła przez strefę skrzypienia, która dzięki temu zmieniła się w zaledwie cichutką serię pojedynczych trzasków. Gdy wyczuła, że jest już lżej, znów popchnęła

je łagodnym ruchem, aż otworzyły się na oścież. Za nimi był korytarz. Odetchnęła z ulgą.

Po cichu wyszła na zewnątrz. Idąc przy ścianie, minęła jedne drzwi, potem drugie, stanęła nad schodami. Też były, jak podłoga, drewniane, bała się, że zaskrzypią. Postawiła ostrożnie stopę na brzegu stopnia, obok słupka. Cisza. Postawiła drugą. Raptem coś ciemnego przemknęło przed nią po schodach, bezgłośnie niczym duch. Zatrzymała się, tłumiąc odruch lęku. Kot. Siedział pośrodku stopnia, w połowie drogi na dół. Uśmiechnęła się. Mimowolny sprzymierzeniec, dzięki niemu nie musi obawiać się uruchomienia monitoringu na parterze, bo go na pewno nie włączono. Byle mu tylko nie nadepnąć na ogon. Poszła powoli skrajem schodów, za każdym razem omijając uginający się środek deski, ostrożnie przeszła obok kota, który powiódł za nią lśnącymi w ciemności oczami, aż wreszcie poczuła pod stopą szorstkość kafla. Była na dole.

Gabinet znajdował się po lewej, obok otwartych drzwi do łazienki. Znów, starając się nie skrzypnąć, nacisnęła klamkę, a drzwi otworzyły się z szurnięciem. Wsunęła się do ciemnego wnętrza pokoju. Sprawdziła szczelność zasłony okna, poprawiła kotarę, następnie zapaliła latarkę i cofnęła się. Sejf zainstalowano w biblioteczce naprzeciw wejścia. Bez hałasu otworzyła boczne drzwiczki i, odetchnąwszy z ulgą, przyjrzała się klawiaturze. Poprzednim razem było łatwiej, weszła tu za dnia, normalnie, drzwiami, Golo z małżonką w mieście na zakupach, o psie nawet nie wiedziała, nie dał znaku życia, może go nie było, może spał zamknięty. Golo nie pilnował się specjalnie, jak osobiście stwierdziła - nie

miał wówczas powodu, sejf był wtedy pusty, w całym domu znalazła jedynie trzy stówki w szufladzie etażerki. Tym razem, jeśli się Andrzej nie pomylił, nie powinna wyjść z pustymi rękami. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni bluzy i wyjęła pomietą kartkę. Poświeciła, następnie wstukowała szyfr w klawisze. Zamek zabrzączał, na wyświetlaczu zapaliły się cyfry, poczuła, że rygiel się odsunął. Pociągnęła za uchwyt, otworzyła i skierowała światło do środka. Papiery, trochę pieniędzy różnych nominałów. Pistolet. Na najniższej półce srebrna aktówka. Bingo. Wyciągnęła ją, nacisnęła zamknięcie. Nie otworzyło się. Obejrzała zamek – szyfrowy. Nie ma czasu, potem się tym spokojnie zajmą. Miała nadzieję, że Golo walizeczki nie opróżnił. Zabrała ją i skierowała się do wyjścia. Od drzwi zawróciła. Krytycznie oszacowała wzrokiem pozostałą kupkę banknotów, po czym zabrała je także i zamknęła sejf, a następnie drzwiczki regału.

Kota na schodach już nie było. Wróciła na górę, weszła do garderoby. Podstawiła sobie krzesło, wyslizgnęła się na dach. Zostawiła walizkę obok okna i poczołgała się do krawędzi. Pies leżał w miejscu, gdzie go widziała poprzednio, wielki łeb miał wyciągnięty na przednich łapach i wyglądał, jakby spał. Jednakże tylko wyglądał – dwie sekundy po tym, jak wyrzała, zadart głowę i pufnął basowo. Rzuciła mu jeszcze dwa ciastka i ucieszyło ją, że energicznie zamerdał kikutem ogona. „Chyba mam nowego kumpla” – pomyślała.

Wróciła po walizkę i przesunęła się na brzuchu na przeciwległą połąć dachu. Zsunęła się wzdłuż komina do rynny, przerzuciła nogi przez skraj i namacała stopą rurę spustową. Ostrożnie zeszła na dół, zeskoczyła na trawnik. Należało

mieć nadzieję, że Wacek w dalszym ciągu ją lubi, ciasteczek już nie miała. Pobieгла na przełaj pod świerk. Gdy wspinała się na podmurówkę płotu, usłyszała za sobą miękki galop i pierwsze szczeknięcie. Nie ociągała się dłużej. Przesadziła płot i pobiegła w stronę samochodu Nakoniecznego. Za nią Wacek rozdarł się wściekle i basowo, a po chwili obok komina zapaliło się światło w oknie.

- Spadamy - sapnęła, wsuwając się na tylną kanapę.

- Masz? - zapytał Nakonieczny trochę bez sensu, równocześnie przekręcając kluczyk.

Bez słowa podniosła walizeczkę. Wystartowali ostro, zapiszczały opony, gdy skręcili w pierwszą przecznicę.

- Zuch-dziewczyna - powiedział Nakonieczny.

Na kopalni dużo było paskudnych robót, do których nikt nie pchał się dobrowolnie, a do najpaskudniejszych należało oczyszczanie rząpia pod odwadniającą upadową z naniesionego szlamu. Robota durna i brudna, pracowało się w wodzie, błocie i bez powietrza, do tego żadnego akordu, tylko goła dniówka, więc zarobek marny. Nic dziwnego, że sztajger wysyłał tu ludzi o najniższych kwalifikacjach, starszych albo słabych, którzy w pracujących na akord brygadach chodnikowych najmniej byli przydatni. Chodzili tu też nowo przyjęci, w myśl zasady, że najlepiej nauczysz się pływać rzucony na głęboką wodę. Albo utoniesz, czyli po wyjeździe spluniesz za bramą i więcej tu nie wrócisz. Czyściec takich robót jak ta był skutecznym filtrem, odcedzającym przyszłych górników od lewusów bez nadmiernej chęci do

pracy, co przyszli tu z myślą, by jak w innych, powierzchniowych firmach, które zaliczyli, zarobić, a się nie narobić.

Rząpie stanowił kilkunastometrowy odcinek poziomego, zakończonego ślepo chodnika, wypełnionego czarną mazią niemal po zamki obudowy. Pracowały tu dwie duże pompy, wypełniając powietrze monotonnym dudnieniem, jakie takie oddychanie zapewniał podwieszony pod stropem lutniociąg z elastycznego tworzywa, którym tłoczył powietrze wentylator umieszczony za skrzyżowaniem, w chodniku powyżej, dwadzieścia metrów od rząpia. Pracowano łopatom, ładując szlam do wozów, które wyciągano kołowrotem do chodnika i stamtąd wypychano na przekop. Żadna filozofia, jedynymi ludźmi z kwalifikacjami, których tu potrzebowano, byli operator kołowrotu i przodowy brygady.

Dziś brygada liczyła pięciu ładowaczy, w tym przodowego i dwóch nowo przyjętych. Poza nimi facet przywrócony kopalni wprost z półrocznego zwolnienia i przed następnym, z którego już nie wróci, przepoczwarzając się w zasłużonego emeryta, oraz człowiek, który z reguły nie nadawał się do niczego innego, lekko przygłupi, dla którego nawet dokręcanie śrub w zamkach stanowiło wyzwanie intelektualne, klasyczny zapchajdziura, jednak starający się, zawsze trzeźwy i akuratywny, choć powolny, wykonujący polecenia na miarę niewygórowanych możliwości, acz nie zawsze w zgodzie z intencjami przełożonego. Do tego dyżurny ślusarz, którego w ramach wykorzystania wolnych mocy produkcyjnych posadzili na kołowrocie, bo własnego

operatora szkoda było sztygarowi tu posyłać. Przyszli chodnikiem z przekopu na poziom 400, skąd do rząpia było najbliżej. Czasem brygady zjeżdżały poziom wyżej i schodziły potem upadową, ale była to droga dłuższa i niewygodna, z tym że dająca więcej leserskiego komfortu psychicznego, bowiem poziom 300 był poziomem technicznym, mało kto ważny tu zaglądał i dyscypliny, w tym także czasu dojścia do błotnego przodka, nie było komu pilnować. Był to więc poziom wśród załóg pomocniczych lubiany, gdy jednak zależało komuś na tempie pracy, wykorzystywano poziom 400.

Odmulanie rząpia do bardzo ważnych górniczych dzieł nie należało, wysyłano więc tu ludzi doraźnie, gdy przypadkiem absencja chwilowo zmalała i było kim obsadzić łopaty. Ostatnio jednak komuś na górze przypomniało się, że przy takim podejściu wkrótce nie będzie gdzie odprowadzać szlamu, bo żadne pompy nie dadzą rady tej sinoczarnej mazi. Ponadto należało zacząć przygotowywać się do zmiany funkcji tego wyrobiska, które w nieodległej przyszłości zamierzano przedłużyć w dół, na poziom 600. Brygady zaczęły więc jeździć tu na każdej rannej zmianie i z wolna cuchnącego ciasta zaczęło ubywać.

Rozebrali się z bluz, kufajek i koszul przy kołowrocie, bo już nawet tu było ciepło - w przodku temperatura przekroczy trzydzieści stopni. Obwiesili śruby zamków torbami, w których mieli drugie śniadania: kanapki zrobione przez żony albo przez nich samych, jedne smaczne, inne nie, z wędliną, serem, smalcem.. . Jaśku, ten przygłupi, miał suchy chleb z kiszonym ogórkiem, na taki zestaw wpadł dziś rano, gdy

okazało się, że mu ktoś w Domu Górnika mielonkę z lodówki wyżarł. Ogórek nie był jego, uważał bowiem za sprawiedliwe wyżreć komuś, jak jemu wyżarto. Cała sztuka polegała na tym, żeby nie dać się złapać, sprawiedliwość nakryta przestawała być sprawiedliwością, stawała się zbrodnią. Akurat nic innego poza tym ogórkiem do wyżarcia nie było.

Ślusarz Gwidon zasiadł na ławce przy kołowrocie i patrzył, jak idą w głąb chodnika i znikają za zakrętem, schodząc w dół, do rząpia. Dziesięć metrów od niego ryczał wentylator, który włączyli, zanim poszli. Naprzeciw stał pusty wóz górniczy. Gdy dojdą i klupną w rurę, zapnie hak z liną do odbojnicy wozu, podtoczy go do pochyłości i ostrożnie manewrując kołowrotem, spuści im go na dół. Posiedział jeszcze chwilę, potem zadzwonił do warsztatu i zameldował się. Następnie wstał, zwolnił hamulec i ujął ciężki hak kończący linę; zapierając się i stękając pociągnął zaczep ku wozowi, a za nim zaskrzypiała odwijana szpula kołowrotu. Z wysiłkiem dotarł do wozu, zapiął zaczep, sprawdził mocowanie. Lepiej, żeby się to w drodze nie odpięło. Na dnie pochylni byli ludzie, teoretycznie, gdy będzie im opuszczał wagonik, powinni schować się do wnęki, ale kto takich ryli wie. On, ślusarz, należał do wyższej kasty, zwłaszcza w porównaniu z tymi tutaj. Od nich myślenia nikt nie wymagał, wymagano od niego. Był o tym przekonany.

Ledwie zapiął hak, usłyszał metaliczny odgłos uderzeń, niosących się po rurze nad głową. Już czas. Nateżył wszystkie siły i, przełamując bezwładność, popchnął po szynach wóz w stronę pochylni. Zatrzymał go, zapierając się piętami, na

samym zakręcie, a następnie, zostawiając go w stanie powolnego samoistnego staczania, ruszył biegiem do kołowrotu. Zaciągnął hamulec, zanim wóz nabrał prędkości. Uruchomił kołowrót; hamując silnikiem począł staczać wagon w ciemność upadowej, w stronę migoczących w dole górniczych lampek.

Wkrótce lina zauważalnie poluzowała się i zaraz znów usłyszał stukanie w rurę. Zatrzymał kołowrót. Wóz był na miejscu. Nadeszła pora, gdy głównym problemem Gwidona staną się próby przyspieszenia gwałtownie zwalniającego czasu. Poszedł do swojej torby, wyjął z niej gazetę, wrócił, umościł się wygodnie na drewnianym siedzisku, podkładając sobie czyjaś kufajkę, i zagłębił się w lekturze.

Kilkanaście metrów poniżej łopaty z mlaskiem zagłębiły się w ścianie błota. Galaretowata maź była tak zbita, że dawała kroić się jak masło, pozostając w kształcie niemal niezmienionym, jak skalna calizna. Z tego powodu wyciągnięcie z niej każdej pełnej łopaty wymagało wysiłku, większego niż z pozoru mogło się wydawać. Wbijali więc hercowy w czarny kisiel, każdy niemal zamach, a po nim wysilone szarpnięcie i bełtliwe zaraz potem chlapnięcie wewnątrz wozu kwitowali swojskim „kurwa!”, przy czym przodowy, jako człek inteligentniejszy i o bogatszym słownictwie rodem spod Sieradza, dodawał do tego środkowopolskie „mać!”, a Jaśku, Ślązak, było nie było, kwitował odmiennie, po tutejszemu: „ciulów sto...!”. I z towarzyszeniem owych urozmaiconych odgłosów, tak ludzkich, jak maziowych, posuwali się naprzód, licząc postęp w centymetrach, jednakże nieustępliwie.

Pracowali tak przez godzinę, potem jako pierwszy wyłamał się Jaśku.

- Ida, hajer, trocha ku luftowi, śmierdzi tu kieby capowi z jajec, strzimać nie mogą. - I ciepniejszy hercową pod ocios, skierował się w górę, ku wylotowi rząpia.

Przodowy nawet nie zareagował, z Jaśkiem dyskusja była skomplikowana, łatwiejsze było olanie, zwłaszcza że z nim czy bez niego postęp pracy był niemalże taki sam, czyli żaden. Reszta bez zwracania uwagi na przygłupa mieszła dalej błoto łopatomi, równo, niespiesznie, klnąc monotennie i bez inwencji.

Na górze ślusarza śpiak morzył. Już dawno litery w gazecie mu się rozmazywały, odłożył więc czytanie i z nudów odkręcił dekiel przekładni, skąd czasem coś rzeziło, by powoli zacząć w niej grzebać. Po dwudziestu minutach przykręcił dekiel z powrotem. Dolał oleju. Włączył kontrolnie na jałowym biegu - dalej rzeziło. Machnął ręką i usiadł znów na ławeczce.

Po lewej, od strony przekopu, z głębi chodnika błysnęło słabo raz i drugi. Ktoś szedł. Ślusarz przyjrzał się bez ekscytacji i bez entuzjazmu. Kogoś diabli niosą, nie wiadomo po co. Nic tu nie było do oglądania, czort wie, po co białych nosi tam i na- zad po zakazanych zakamarkach kopalni. Bo że był to biały, dałby sobie rękę uciąć. Tymczasem zaświeciło się z prawej. Gwidon spojrział i tam. Ktoś wygramolił się z pochyłości prowadzącej do rząpia i szedł tu, powolnym krokiem ryła dniówkowego. Gwidon wkrótce poznał: głupi Jaśku.

- Co to, Jaśku, dość masz? - zapytał życzliwie.

- Pierdoła. Napić się musza, na dole łośzkiwie capi.

- To pij i dymaj z powrotem, kogoś tu niesie, sztajgra jak nic.

-Aco to mie sztajger? Pojeść, popić nie mogą, abo co?

- Pij, Jaśku, pij, byle niedługo.

Popatrzył za nim, gdy ten szedł w kierunku wiązek toreb i kaftanów, obwieszających obudowę za kołowrotem. Potem skupił się na nadchodzącym. Miał rację - w ciemności za lampą majaczył już biały sztygarski kask.

- Szczęść Boże - odezwał się przybysz, gdy doszedł do kołowrotu.

Gwidon poznał: sztygar zmianowy z przygotówek, od tych kopaczy tam, na dole, Szymkiewicz.

- Szczęść Boże - odpowiedzieli obaj z Jaśkiem nieskładnym chórem.

- Co tam, Gwidon? W porządku?

-W porządku, sztajger. Wóz na dole, chopy łopatami machają, aż tu słyhać.

- No, dobra. A ty, Jaśku, co tu? Osłabłeś?

- Kaj tam jo bych osłabnął. Pojeść zech prziszol - Jaśko gadał niewyraźnie zza sznity.

- Sam tak? A reszta?

- Niegłodni pewnie.

Szymkiewicz pokiwał głową, straciwszy nagle chęć do dyskusji z Jaśkiem. Zamiast tego zwrócił się do ślusarza:

- Gwidon, weź pyrlik i idź tam, ku rozjazdowi, szyna tam poluzowana, nogą można przewrócić. Pewnie wozami rozkolebali na nocce. Dobij gwoździe, żeby ci tu wozu mi nie wyrócili, bo dopiero będzie zabawa.

- A jak będą klupać, żeby wyciągać?

- To usłyszysz po rurze. Ja zresztą idę do nich, powiem, że chwilowo cię nie ma.

Gwidon kiwnął głową, uniósł się ze stęknieniem i podszedł do skrzyni, skąd wyciągnął młot. Zarzuciwszy go na ramię, ruszył w ciemność korytarza.

- Aty, Jaśku, pojod' eś już?

- Ja, prawie. - Jaśku kiwnął głową, wbijając zęby w kromkę.

- To jak pojesz, zasuwaj na dół i żebyś nie czekał za długo.

- Szymkiewicz skierował się w stronę upadowej. - Będę w rzapiu, Jaśku, miej na uwadze.

- Ja, sztajger, przida zaniedługo.

Jaśku ułamał kawałek chleba i rzucił go myszy, która nie wiadomo skąd bez strachu siedziała pod jego nogami w słupka, śledząc przenikliwymi czarnymi oczkami ruch kanapki w dół i w górę, jakby kontrolowała pozostałą do zjedzenia ilość. Mysz powąchała okruch, ujęła go w ząbki i pociągnęła w swoją część ciemności.

Szymkiewicz westchnął i począł schodzić po podkładach torowiska. Nie łudził się, że zmobilizował Jaśka choć trochę. Niereformowalny przypadek.

Gwidon, klnąc w duchu, walił pyrlikiem w gwoździe oblu-zowanej szyny. Formalnie mógł powiedzieć sztygarowi, żeby się wypchał, nie był jego podwładnym, ale taki konflikt do niczego mu nie był potrzebny. Wiedział przecież, że jeden telefon Szymkiewicza do warsztatu i usłyszałby to samo od swojego zmianowego i też by teraz kuł te hacele, a w o ileż gorszej pozycji interpersonalnej. W delikatnych kopalnianych powiązaniach zawsze lepiej być po stronie

szttygara prowadzącego oddział, bowiem na końcu tych powiązań były pieniądze. Dobit gwózdź, wyprostował się i otarł rękawem pot z czoła. Potem spojrział w czeluść chodnika przed sobą. Od przekopu znów ktoś szedł. Oparł się na stylu młota i czekał. Ciekaw był, kogo niesie, choć nieprzesadnie.

- Szczęść Boże - usłyszał zza żółto świecącej lampy.

„Słabo naładowana” - skostatował.

- Szczęść Boże - odpowiedział nieznanomemu górnikowi z workiem na plecach.

Odwrócił się za nim i popatrzył. Starszy facet, drobny i zniszczony, garbił się pod ciężarem tego worka, ale szedł pewnym krokiem człowieka, który przez całe życie nic innego nie robił, tylko po wyrobiskach chodził jak po rodzinnej wiosce między kościołem a knajpą, ścieżkami wpisanymi w podświadomość.

Pewnie wysłali go z czymś do ryli w rzapiu, a może do jakiejś brygady na poziomie 300, nad upadową? Nie był zbyt ciekaw, gdzie detalicznie. Nachylił się ponownie, wziął zamach i łupnął, aż echo poniosło po chodniku i nawet górnik, choć już trochę oddalony, odwrócił się w jego stronę. Znów się zamachnął i znowu łupnął. Czekalo go jeszcze dobre pół godziny takiego łupania, zanim będzie mógł wrócić do kołowrotu i znów podrze- mać, czekając na klupanie po rurach.

Niedługo potem, gdy odpoczywał między kolejnymi zrywami do kucia, zjawił się elektryk. Znał go, czasem mieli wspólne zmiany. Tamten przysiadł przy nim na desce, pozdrowił, wyciągnął papierosy.

- Sztajger tam jest - uprzedził Gwidon.

- To co? - Elektryk wzruszył ramionami. - Przyleci tu? Będzie mu się chciało?

- Łażą tu też dziś różni, nie wiadomo kto jest kto. Trochę strach tak w głównym lufcie. Jakby znów jakiś biały szedł, nie zdążysz zgasić. Ognik zobaczy.

- A, tam, pieprzyć to. Dziś tu więcej nikt nie przyjdzie, zjeżdżałem pierwszą szolą, widziałem, kto gdzie się wybierał. Zresztą jak nie chcesz... - Elektryk cofnął rękę z papierosami.

- Zaraz, chwila, kto powiedział, że nie chcę?

Zapalili, chowając żar w dłoniach. Wokół rozszedł się duszny aromat taniego tytoniu. Niedługo wszyscy, od rząpia po podszybie szybu wentylacyjnego, dowiedzą się o ich przestępstwie. Papierosowy dym w stu procentowej koncentracji powędrował zwartym kłębem z wiatrem przez wyrobiska, drażniąc służby i kusząc następnych.

Wypalili, posiedzieli, pogadali. Wreszcie elektryk wstał i poszedł w stronę upadowej, gdzie go gnał jakiś tajemny elektryczny obowiązek, a Gwidon z westchnieniem zabrał się do roboty, której koniec, choć pozornie bliski, wcale nie chciał nadejść.

Sztajger pokręcił się po rząpiu, wachając smrody i dla formalności patrząc, jak kroją ten kisiel, pogadał z przodowym. W międzyczasie wrócił Jaśku i dwukrotnie beknąwszy od wody sodowej, co sobie jej do flaszki zamiast kawy nalał i mu teraz po żołądku harcowała, bez słowa podjął hercówę i

jakby wcale stąd nie wychodził, równo z innymi począł wgrzyzać się w szlam. Szymkiewicz chciał nawet coś mu powiedzieć, ale zrezygnował i rzuciwszy jeszcze na odchodnym dwa mobilizujące słowa ha- jerowi, ruszył ciężkim krokiem pod górę. Po paru minutach był już tylko rozmytym kręgiem światła na spągu kilkadziesiąt metrów powyżej nich. Zabrali się do roboty i żaden już nie widział następnych kręgów pnących się po torach upadowej, tym bardziej że jeden z nich był żółty, jak z wyładowanej lampy, i trudny do zauważenia.

Po kolejnej godzinie odezwał się o mało co emeryt:

- Zigmont - to do przodowego - pojedli by my co?

Na to hasło zgodnie odpadły łopaty od wszystkich rąk, nawet od Jaśkowych, choć ten ledwo co zszedł z chodnika. Ruszyli zaraz wszyscy pod górę, lecz przodowy był czujny.

- A ty kaj? - warknął do Jaśka. - Dopieroś wrócił. Nie jadłeś?

- Jod żech.

- To czego? Siadaj na łopata i do przodu! I żeby mi tu porządnie ubyło, zanim wrócę.

- Ja, hajer, jo nie chciał cale iść z wami, ino tak żech tylko, odsapnąć trocha. O, tu, przy łociosie. - Jaśku na potwierdzenie własnej deklaracji odszedł na bok i wsparłszy się na sztylu łopaty, począł demonstracyjnie sapać. - Dychna trocha i już.

- Dychaj, dychaj, byłem cię tu na tym dychaniu nie zastał.

- I przodowy podążył za oddalającymi się towarzyszami.

Jaśku popatrzył za nimi, pomruczał coś pod nosem i bez entuzjazmu grzebnął łopata w błocie. Potem jednak zapął mu

wrócił i stanąwszy w rozkroku, począł wrzucać szufłę za szufłą do stalowej michy wózka, co drugi rzut stękając dla kurażu:

- Ciulów sto...!

Przodowy Zigmont z trzema ładowaczami wygramolili się na górę. Przy kołowrocie ślusarz Gwidon drzemał oparty o obudowę, w dłoni wspartej na brzuchu trzymał napoczętą kanapkę w przybrudzonym papierze. Poniżej kanapki dostrzegli mały, szary kłębek - mysz przykucnęła na opinającej tors koszuli i skubała chleb tuż nad kciukiem śpiącego.

- Te, patrz ino - zaszeptał z przejściem jeden z nowo przyjętych. - Myszą mu na brzuchu sznita zere!

- Zmyślne bydlę - półgłosem potwierdził stary ładowacz. - Skąd taka wie, że on twardo śpi i jej zaraz czymś nie praśnie?

- Ryzykuje. - Przodowy wzruszył ramionami. - Dla żarcia taka kotu do miski by wlaża.

- Ja - przytaknął emeryt. - Kopalniane myszy strasznie dożarte. To z powodu, że za dużo tu nie ma do jedzenia. A wyprowadzić się trudno.

- I dupcyć się chce - zarechotał przodowy - więc dziecków kupa. To i ich nie ubywa.

- To co robimy? Budzimy go?

-Trzeba. Sznity szkoda. Te! Gwidon! Nie śpij, myszą cię zere! - Przodowy trącił butem nogę ślusarza. - Pobudka!

Mysz zrobiła półsekundowego słupka i smyrnęła w bok, jednym susem pokonując odległość między brzuchem śpiącego a torowiskiem. Gdy Gwidon usiadł gwałtownie i wypuścił chleb z dłoni, nie było po niej śladu.

- Co jest? Kurde, chleb zmarasiłem. By cię pieron, głupie

żarty. Co z wami, odbija od tego smrodu? – Ślusarz podniósł kanapkę i bezradnie ją oglądał, próbując nieskutecznie oczyścić z brudu.

- Daj se spokój, synek – powiedział stary. – Myszą ci ją żarła, będziesz się dzielił z myszą?

- Jak żarła? – zbaraniał Gwidon. – Co wy...?

- Normalnie: wlała ci na kałdun i gryzła, aż mlaskanie w rzępiu było słychać – potwierdził przodowy, a brygada ryknęła śmiechem.

- Pieprzycie – rzekł Gwidon niedowierzająco i powiódł wzrokiem po roześmianych twarzach.

- Naprawdę – potwierdzili chórem dwaj nowo przyjęci.

- Aż do wiary, chopie. Siedziała ci na brzuchu i spod palca żarła. Obejrzyj sznitę, sam zobacz, ile zjadła. – Emeryt wyjął kromkę z dłoni Gwidona i pokazał mu wygryzione miejsce.

Tutaj, widzisz?

- O w mordę! – Ślusarz wykrzywił się. – Teraz już do gęby nie wezmę, nawet jeśliście mnie ociulali. Zbrzydziliście mnie. Tfu! – Zamachnął się i cisnął chlebem w kąt, za wozy.

Po chwili zachrumkotało tam, zaszeleściło papierem.

- Wyszło na ich – parsknął o mało co emeryt. – Ryzyko się opłacało. Cwanie to wymyśliły.

- E, tam – burknął ślusarz ze złością. – Pojeść nie zdążyłem.

- Było nie spać w pół sznitki.

Brygada rozeszła się do swoich tobołków. Zdjęli torby z zamków, rozsiedli się na deskach, na kulokach.

- Kurwa, gdzie moje śniadanie? – zapytał nagle przodowy.

- He, he, zgubił żeś? Pan Bóg pokarał za prześmiewki ze

mnie - zaśmiał się ślusarz.

- Ty, mojego też nie ma - powiedział jeden z nowo przyjętych, przerzucając bez sensu kłamoty w chlebaku, bo wszak szni- ta nie szpilka, a torba nie stóg.

- Gwidon! Co jest? Robisz sobie jaja? - Emeryt zerwał się na nogi. - Gdzie nasze żarcie? Oddawaj!

- Moje jest - powiedział drugi nowo przyjęty. - Ale flaszki z kawą nie ma.

- Bo żeś nie brał - przypomniał mu kolega.

- Prawda, mieli my się podzielić.

- To co dupę trujesz?! - wrzasnął na niego przodowy. - Tu poważna sprawa jest. Gwidon, bez żartów, dawaj śniadanie.

- Co wy? Porąbało? O głupie żarty mnie posądzacie? Mnie tu zresztą pół szychty nie było, sztajger mnie do poprawienia toru wysłał.

- A był tu kto inny?

- Był - przytaknął ślusarz. - Sztajger.

- Co ty? Sztajger by śniadania wyjadł? Tyle naraz? Kromkę by mógł wziąć, gdyby zgłodniał nagle, ale wszystkie?

- Fakt, niewiarygodne - przyznał Gwidon.

- I co? Tylko on?

- No nie, Jaśku był na śniadaniu i jeszcze taki jeden przechodził. A po nim elektryk.

- Jaki jeden? Od nas? Bo Jaśku by chyba nie zjadł, aż taki durny nie jest.

- Nie znam, może od was, może nie od was, cholera że go wie. Tory kułem, to się nie przyglądałem. Nie był u was na dole? O, worek miał z czymś. „Szczeńć Boże” powiedział i poszedł. Nie wnikałem po co. Mało się to różnych wszędzie

kręci? Pewnie na trzysta szedł, skoro nie do was.

Przodowy popatrzył po twarzach brygady.

- No, synki - powiedział. - Aferę kryminalną mamy. Albo Jaśku, albo ten obcy, albo elektryk. Który elektryk? - zwrócił się do ślusarza.

- Kalinowski. Do trafoka szedł, na trzysta.

- No to, skoro obcego ani elektryka dawno nie ma, mus przesłuchać Jaśka.

- Albo sztajger jeszcze... - nieśmiało wtrącił pierwszy nowo przyjęty.

- Z byka spadłeś, pacanie? - oburzył się emeryt. - Sztajger w życiu nie wziął. Choćby wziął. Rozumiesz? Nie rozumiesz. To przyjmij na wiarę do pamiętania. Zasada taka.

- Dobra, nie mędrkować, wracamy. Jaśka naprzód trza wziąć na męki - zdecydował przodowy.

Pompy huczały monotennie, Jaśku pracował, powoli, lecz równomiernie wygryzając z błotnej calizny kolejne pajdy szlamu.

Ciurkała woda. Ten jednostajny hałas był jednakże tylko czymś w rodzaju nakładki, zewnętrznej powłoki, sztucznie i niedokładnie nałożonej na pierwotne tło. A tym tłem była cisza. W takich miejscach jak to właśnie cisza do spółki z tak samo skrytą pod naskórką ze światła osobistych lamp ciemnością były sednem natury, to była ich domena, ich pierwotny świat. Dopóki byli tu ludzie, owo tło praktycznie nie istniało, owszem, było sobie gdzieś tam, nierealne i omal nieprawdziwe; zbiorowa praca, zbiorowe bycie je niweczyło,

unicestwiało, oddając dominację naskórkowym sztucznościom. Ale teraz ludzi nie było. Jaśku był sam i ta pojedyncza, osobna bytność stopniowo, w miarę upływu czasu i pogłębiania się poczucia osamotnienia, stawała się czynnikiem odwracającym hierarchię i przywracającym znaczenie tłamszonemu na co dzień naturalnemu podkładowi z ciszy. Ciamkał Jaśku hercową, wrzucając szlam do coraz pełniejszego wozu, wrzucał i kłął nieagresywnie, raczej dla podtrzymania tradycji. Robił łopatą ciężko, mięśnie mu na karku grały, a oddech w piersi nie gorzej, a co podniósł głowę, dźwigając kolejną pacę błota, by ją wrzucić do wagonika, to mu wzrok nad powierzchnię szlamu, którą miał na wysokości głowy, trafiał, a tam prosto w ciemność, z której za każdym spojrzeniem większy sączył się niepokój. Łapał się na tym, że coraz mniej chętnie odrywa wzrok od spągu, od błotnistej przodki; coś go powstrzymywało przed z początku bezmyślnym, a potem coraz bardziej niespokojnym zaglądnaniem w wąski przesmyk czerni pomiędzy stropem a szlamem. Nie mógł pozbyć się uczucia, że stamtąd, z bezdennej czerni, snuje się ku niemu coś, czego nazwać nie potrafił, niczym pasma niewidzialnego dymu o kolorze próżni – gdyby próżnia miała kolor, wyglądałby on właśnie tak. Pasemka snuły się niewidocznymi strużkami wzdłuż ociosów, pod stropem, płynęły po powierzchni szlamu, nawet go nie muskając. Nikły, gdy dotknęło je światło lampy, ale nie ginęły; cofały się tylko, jak mróz przed dotknięciem gorąca. Coraz częściej czuł Jaśku na plecach dreszcz, jakby mu się od lęku włoski na karku jeżyły. I to tak z niczego, przecież nawet gdy mocno

wpatrzył się w mrok, niczego tam nie widział, wszystko, czego doświadczał, miał w sobie, w rozumie, nawet on to wiedział, to rozum kłamał wzrokowi, mając go dymnym zwidem. Lecz skąd ten zwid, od czego...?

W końcu nie wytrzymał. Strach – bezmyślny i bezprzyczynny – wypełnił go całego, a od strachu miał tylko krok do paniki. Jeszcze siłą rozpędu wrzucił jedną łopatę, drugą, a gdy wbił trzecią, już jej nie wyciągnął. Odstąpił nagle, wlepiając wzrok w tę ciemność, gdzie nie było NIC, i poczuł na sobie coś jak dotyk spojrzenia. To czarne NIC z głębi rząpia słało ku niemu zimny wzrok, nieruchomy i posepny, a Jaśku zaczął się cofać, bojąc się odwrócić. Kablem przypiętej do hełmu lampy zaczepił o coś na ociosie, hełm spadł, Jaśku nadepnął nań i wyrwał akumulator z kabury. Nagle zrobiło się ciemno, tak ciemno, jakby ktoś zarzucił Jaškowi na głowę czarny worek. Tego mu było za wiele. Jaśku wrzasnął:

– Kurwów milion...! – Odwrócił się i, potykając, pognał ku górze, gdzie wlot chodnika transportowego zaznaczał się mdłym, żółtym blaskiem wśród powszechnej ciemni.

Brygada, w komplecie zła i głodna, zeszła do rząpia niedługo potem, dysząc żądzą pomsty, a przynajmniej sprawiedliwego sądu nad sprawcą ich głodu. Mało kto z nich wątpił w winę Jaśka – wszystkiego można się było spodziewać po tym przy- głupie. Bo obcego nikt poważnie nie brał pod uwagę, tym bardziej elektryka – jak kopalnia kopalnią obcy śniadań nie kradli, zwłaszcza nie wiedząc, czy ktoś gdzieś zza wozów nie patrzy. Tak, to na pewno ten matoł, bo kto inny?

Sztajger? No, może jeszcze ewentualnie sztajger, ale to się właśnie z Jaśkiem wyjaśni.

Już idąc, przodowy poczuł niepokój. W dole nie było widać ruchliwego światełka lampy z Jaśkowego hełmu. Jakiś mały, na granicy złudzenia punkcik świetlny jarzył się jedynie pod lewym ociosem. Niepokój rósł w miarę, jak schodzili, zaś cała prawda stanęła przed nimi w pełni swej oczywistości, gdy znaleźli się na dole. Jaśka nie było. Co gorsza - pod ociosem znaleźli jego kask i lampę, która świeciła z poświęceniem, bez świadomości, że świeci już nadaremno.

- Uciekł, chachar - stwierdził o mało co emeryt. - Mieli my słuszność, podejrzewając.

- Bez lampy uciekł, bez hełmu? - powątpiewająco spytał przodowy. - Czemu my nie widzieli z chodnika? Musiał przechodzić.

- Bo bez lampy właśnie był.

- Istny debil. Tak się nas wystraszył? Co by my mu zrobili? W kinol najwyżej, jeśli by okazało się, że faktycznie to jego tak apetyt ogłupił. Co pewne nie jest.

- Co nie jest? Sam się przyznał, uciekając - powiedział pierwszy z nowo przyjętych.

- Nie wiesz tego.

- Trzeba by sztygara powiadomić. Jeszcze wlezie gdzie po ciemku. Dokąd Szymkiewicz poszedł? - spytał emeryt.

- Do przodka nad ścianą czterysta trzystaście. Potem na wyjazd miał iść, ale pewnie jeszcze nie doszedł.

- Zadzwon, Zigmont, do tamtych, powiedz, co i jak, niech się Szymkiewicz odezwie, opowiesz mu.

- E, pewnie głupek na wyjazd poleciał - próbował zbagate-

lizować drugi z nowo przyjętych.

- Pewnie poleciał - przytaknął przodowy. - Ale lepiej mieć pewność. Tu jest dół, tu śmiechu nie ma.

Poszedł na górę zadzwonić, a reszta brygady zabrała się do roboty, która, choć początkowo nie kleiła się, później jednak nabrała dawnego wigoru i znów były błota poczęły lądować w misie wozu w równym, choć skomplikowanym, potrójnym rytmie.

Przodowy zszedł po dwóch kwadransach, zamyślony. Ujął łopatę, lecz zamiast dołączyć do kopaczy, usiadł na odbojnicy wozu, brodę wsparł na opartej o stylisko dłoni. Tamci kopali, nie zwracając uwagi, aż w końcu emeryt przerwał, odwrócił się i spojrzał na siedzącego.

- Co ci to, Zigmont? Stało się co?

Przodowy podniósł na niego oczy. Patrzył przez chwilę, milcząc, a potem powiedział:

- Sztajgra na czterysta trzynaście nie ma.

- Już nie ma?

- W ogóle nie było. Nie doszedł.

- No i co? Pewnie miał co do załatwienia po drodze. Wiadomo to, gdzie tam białych nosi? Pewnie jeszcze dojdzie.

- O tej porze? Za pół godziny na wyjazd trza się zbierać.

- No to co? Mógł tak mierzyć, żeby z tamtymi wyjechać.

- Może i tak, ale co ja mam zrobić z Jaśkiem?

- Jak co zrobić? A co byś chciał?

- Franc, fanzolisz, choćbyś pierwszy raz zjechał. Jo tu żech jest hajer, rozumiesz? Odpowiadam za tego głupka. Straci się gdzieś po ćmoku, zrobi sobie coś, a mnie prokurator będzie ciągał. Mój obowiązek sztygara powiadomić.

-A jak sztajgra nie ma, to co zrobić? Nie twoja wina. Każdy tu poświadczy.

- Pierdzielisz, Franc. Tu nie o winę chodzi. Chłop mi zgiął, kapujesz?

Emeryt zamilkł. Pomyślał trochę.

- Ty wiesz co, Zigmont? Idź ty jeszcze raz do góry, zadzwon na podszybie. Zapytaj, czy taki nie wyjeżdżał o pierwszej albo czy gdzieś tam nie siedzi. Jak był, zauważyli na pewno, nie ma hełmu ani lampy, trudno na takiego nie zwrócić uwagi. A jeszcze jak sobie rozbił nochal gdzieś po ciemku, to dopiero.

- Mosz recht, Franc. - W przodowego wstąpił nowy duch. Wstał i odstawił łopatę. - Ida. Poróbcie jeszcze trochę, a potem wyłaźcie też. Zaraz szychta, nadgodzin robić nie będziemy.

Gdy po kilkunastu minutach opuścili rzapie i wspięli się do chodnika, przodowy siedział z Gwidonem i palili papierosy, chowając je w dłoniach.

- Co z Jaśkiem, Zigmont? - zapytał emeryt Franc, przysiadając obok. Wyjął z taszy butelkę z zimną kawą zbożową, odkręcił, pociągnął solidnie, sapnął.

Przodowy uśmiechnął się.

- Znalazł się. Dobrze żeś poradził, Franc. Faktycznie widzieli go na podszybiu, łeb se rozwalił, dość okrwawionego jakiś górnik go przytaczał. Nawet awantura była, bo ciule sygnaliści kartkę na wyjazd koniecznie chcieli zobaczyć, aż się ten, co go sprowadził, wkurwił i obryczał ich, że rannego wiezie. Nadsztygary, co na szolę czekali, też kazali go wypuścić i tak to pierdolony Jaśku zakończył dziś szychtę.

-A ten co go znalazł - co za jeden? - zapytał jeden z nowo

przyjętych.

Przodowy wzruszył ramionami.

- Abo wiadomo? Starszy jakiś gość, pewnie z której firmy, tam co drugi na penzyi dorabia po tym, jak z kopalni odszedł.

- Może ten, co tu był? - zapytał Gwidon.

- Może i ten, a może inny. Ludzi dość tu robi. I dobrze, że go jaki znalazł, spokojnie mogą wyjechać. Mówię ci, Franc, już mi resztki kłaków dęba pod kaskiem stawały, co z tym ciulem mogło być. Dobra - zakończył relację. - Hak wy do wozu zapięli?

- Zapięli - potwierdził Franc.

- To dawaj, Gwidon.

Brygada pozbierała kłamoty, poubierali się w bluzy i kufajki, bo najgorzej wyjść z ciepłego w przeciąg na przekopie, pokleli jeszcze trochę na tego istnego, co im sznity wyjadł, Gwidon włączył kołowrót, wyciągnął prawie pełny wóz z rzapia. A potem w sześciu zaparli się, pchnęli i potoczyli wóz przez mrok chodnika, migając lampkami, sapiąc z wysiłku i żartując. Aż dobili go na wylocie do kilku innych, czekających na skompletowanie składu, po który będzie sens wysłać elektrowóz. Potem jeszcze odpoczęli trochę i poszli przekopem na dworzec, gdzie kolejka już czekała na schodzące się z wyrobisk brygady.

A trochę później ktoś spóźniony, kto klnąc, bo mu stemplowanie wnęki nad ścianą wyjątkowo nie szło i na kolejkę nie zdążył, więc deptał pod szyb pieszo, znalazł Szymkiewicza.

-Panie prokuratorze... - Komisarz Kaleta miał głos zmęczony i pełen tajonego zniechęcenia. - Mamy kolejną ofiarę.

- Na Gertrudzie? - upewnił się Zalewski.

- A gdzieżby? Chwilowo nie mamy na rozkładzie innych miejsc z seryjnymi ofiarami.

- Ty się, Benek, nie mądrz, tylko opowiadaj ze szczegółami. Kto, co, kiedy i tak dalej. Też jestem zmęczony, wyobraź sobie. Trup?

- Na szczęście nie. Godzinę temu znaleźli sztygara, niejakiego Szymkiewicza, nieprzytomnego, z rozbitą głową, w przecince między upadową odwadniającą a chodnikiem prowadzącym do przodka, gdzie pracowali jego ludzie.

- Całe szczęście. - Prokurator odetchnął. - Benek, jest szansa, że ruszymy. Widział napastnika?

- Nie wiadomo, jest ciągle nieprzytomny.

- Gdzie go mamy?

- Powieźli go karetką do Zabrza.

- Niech medycy dadzą znać, gdy oprzytomnieje.

- To może nie być szybko, solidnie oberwał.

-A co z miejscem zdarzenia?

- Kopalnia zabezpieczyła, ekipa w drodze, powinna już dojeżdżać.

-A ty?

- Czekam na nich.

- Dobrze, też niedługo będę. - Zalewski odłożył słuchawkę. Wstał zza biurka, założył płaszcz. Wyjrzał przez okno. Siąpił szary jesienny deszczyk, chmury wisiały nisko, w powietrzu polatywały pojedyncze liście. Otworzył szafę, wyjął parasol.

Wyszedł, zamykając drzwi na klucz. Oddał go portierowi na dole i wyszedł przed budynek.

Na zewnątrz było gorzej, niż wyglądało z okna. Skulił się pod parasolem, który w zasadzie nie spełniał swej roli - drobna, ostra mżawka, kręcona zmiennymi porywami wiatru, dopadła go ze wszystkich stron. Wyrzał z za swej iluzorycznej osłony i zlokalizował samochód, a potem szybkim krokiem na granicy biegu podążył w jego stronę. Przez krótką chwilę szarpał się z drzwiczkami, potem, gdy ustąpiły, wgramolił się do wnętrza. Zaklął przez zęby, gdy struga z zamykanego mokrego parasola wylała mu się na spodnie. Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył ostro naprzód.

Jadąc, umówił się z Bugdołem, gdy więc prosto z samochodu udał się do szatni dla gości, dyrektor już tam na niego czekał.

- Właściwie powinienem mieć tu już swoją szafkę - powiedział Zalewski, witając się z gospodarzem i towarzyszącym mu naczelnym inżynierem kopalni, Janem Adamcem, z którym dotąd mało miał do czynienia.

- Mam nadzieję że jednak nie będzie potrzebna. - Bugdoł uśmiechnął się kwaśno. - Proszę się przebrać, zaczekamy w korytarzu.

Potem długo milczeli, najpierw w ciemnej, kołyszącej się klatce wyciągu, w rozkolebanym wagoniku kolejki, podstawionej specjalnie dla nich, następnie idąc kolejnymi korytarzami, w których Zalewski stracił orientację i nawet pomyślał sobie, że gdyby przypadkiem odłączył się od grupy, pewnie by stąd sam nie wyszedł. Gdy doszli, znów miał mokrą koszulę na plecach, identycznie, jak za poprzednim

razem i za poprzednim.

Na miejscu zastali jakiegoś nieznanego prokuratorowi sztygara z dwoma ludźmi, którzy zgodnie z instrukcjami pilnowali, żeby nikt niczego nie ruszał w miejscu, gdzie Szymkiewiczowi rozbito głowę. Ekipa zabrała się do pracy, fotograf zaczął robić zdjęcia.

- Gdzie leżał? - zapytał komisarz Kaleta sztygara.

Tamten pokazał.

- Tu miał głowę, tu nogi. Hełm mu spadł, leżał tam, pod ociosem, ale go zabrali. Została lampa. - Sztygar wskazał na plastikowy reflektorek, połączony czarnym kablem z leżącym nieopodal akumulatorem bez pokrowca, identycznym jak ten, który ciążył Zalewskiemu na pasku.

Komisarz pochylił się i podniósł go ze spągu. Pokręcił wyłącznikiem - bez efektu. Lampa pozostała ciemna. Pokręcił jeszcze raz.

- Ile czasu minęło? - zapytał.

- Jakies trzy godziny, nie więcej.

- Te lampy tak krótko się palą?

- Nie, powinna jeszcze spokojnie świecić przez parę ładnych godzin. Ten typ daje pełne światło przez dziesięć - dwanaście ciągłej pracy, potem też nie gaśnie od razu, a dopiero dziesiąta godzina mija od zjazdu pierwszej zmiany.

- To czemu nie świeci?

- Pewnie była niedoładowana. Trafiają się też felerne.

- Na pewno nie był tu dłużej niż przez jedną zmianę?

- Na pewno.

- I co? Pewnie nikt nic nie widział? - odezwał się Zalewski z sarkazmem w głosie.

- Nie, ale... - Sztygar zawahał się.
- Tak...?
- Wcześniej mieliśmy incydent na podszybiu.
- Jaki incydent?
- Ludzie spotkali jednego ślepra, szedł pod szyb bez hełmu i lampy, z rozbitą głową. Zaprowadzili go na wyjazd, bo sam by nie trafił.
- Tu, na tym poziomie?
- Na tym.
- Co to był za jeden?
- A, taki, nie za mądry, ale dość porządny. Dotąd raczej nie było z nim problemów. Człowiek od Szymkiewicza, „Jaśku” na niego wołają, nazwiska nie znam.
- Ktoś będzie wiedział coś bliższego?
- Pewnie chłopcy, z którymi robił, ale nie wiem kto. Ja jestem z przewozu, nie znam ludzi z przygotówek. Tylko niektórych.
- Może mi pan go odszukać? - Zalewski zwrócił się do dyrektora.
- Jasne. - Bugdoł zawrócił do telefonu.
- Weźcie tę lampę do sprawdzenia i sprawdźcie też, czy Szymkiewicz rzeczywiście tak krótko jej używał. Coś tu nie pasuje, nie, Benek? - Prokurator spojrzał na komisarza. Ten kiwnął głową.
- Nie pasuje. Może to lampa tego Jaśka?
- Jaśka by chyba świeciła, byli na jednej zmianie. No i gdzie w takim razie lampa Szymkiewicza? - Prokurator powątpiewająco pokręcił głową.
- Innej tu nie było - potwierdził jeden ze stojących obok

górników.

- Da się to posprawdzać? - Zalewski znów zwrócił się do towarzyszącego im sztygara przewozowego.

- Pewnie, każdy ma przypisaną lampę, z którą zjeżdża. Konkretny numer. W lampowni należy pytać.

- I co, dyrektorze? - Zalewski skierował światło lampy na nadchodzącego. - Znalazł się ten Jaśku?

- Znalazł. - Bugdoł kiwnął głową. - Wyjechał normalnie, potem go opatrzyli w ambulatorium, nic poważnego, rozcięta skóra; jak sam mówił, świeknął gołą głową w zamek obudowy. Wypuścili go do domu, ale łatwo go ściągnąć z powrotem, mieszka tu, przy kopalni, w Domu Górnika. Posłałem po niego, będzie czekać, gdy wyjedziemy.

- To chodźmy, nic tu po nas. Panie Władeczk... - Prokurator skierował się do fotografa, który pstrykał zdjęcie za zdjęciem, co chwila rozjaśniając półmrok chodnika jaskrawymi błyskawicami flesza. - .. .tradycyjnie: gdy pan skończy, kopia od razu dla mnie, będę w dyrekcji. Benek, jedziesz? - zwrócił się z kolei do komisarza, siedzącego w kucki nad miejscem, gdzie zaznaczono przybliżone położenie Szymkiewicza w momencie znalezienia.

- Co...? Nie, nie, jeszcze zostanę, poprzyglądam się.

- Jak wyjedziesz, nie zapomnij sprawdzić te lampy.

- Nie zapomnę.

Jaśku siedział na ławce przed gabinetem. Ławka była drewniana i jej słoje pamiętały jeszcze paznokcie Franki Kulok, ale tego Jaśku nie wiedział. Z daleka bielił się bandaż, którym

mu pielęgniarka suto owinęła rozbitą głowę, na tej ławce wyglądał z nim niczym pracownik dozoru w białym kasku przed audyencją u dyrektora. Gdy podeszli bliżej, Zalewski dojrzał czerwoną plamę przesączającą się krwi tuż powyżej prawej skroni - efekt bliskiego spotkania ze śrubą M24, typową dla strzemion, którymi skręca się elementy obudowy chodnikowej, tyle już prokurator wiedział. Jaśku pogryzał spore pęto kiełbasy, którą zaraz schował do papierowej torby, gdy tylko idący od strony schodów orszak znalazł się w zasięgu jego wzroku.

- Szczęść Boże derechtorowi - powiedział niewyraźnie, popieszczeni przełykając ostatni kęs. - Nie zdążył żech pojeść. - Gestem usprawiedliwienia pokazał na torbę.

- Szczęść Boże - odpowiedział Bugdoł i zapytał: - Ty jesteś Jan Koniowodziec? - A gdy Jaśku przytaknął, dodał: - Pan prokurator chce z tobą gadać. - Tu wskazał na stojącego obok Zalewskiego.

- Prokurator? - Jaśku wyraźnie zeszywniał. - Za co prokurator? Za wcześniejszy wyjazd zamykać mie bydziecie abo jak? Nic żech nie zrobił. Gowa rozbił żech, to mie się wyjazd nalezoł, nie?

- Nikt cię, Jaśku, nie będzie zamykał - odezwał się Zalewski. - O co innego chciałem cię zapytać, nie o wyjazd. Posiedź tu trochę, zaraz cię poprosimy.

Panowie weszli do sekretariatu, a Jaśku posłusznie usiadł. Słowa prokuratora wcale go nie uspokoiły, nie tylko bowiem wyjazd przed czasem miał na sumieniu. Z przodka uciekł, przodowemu nic nie powiedział, lampę zostawił - to było gorsze niż sam wcześniejszy wyjazd. Ale żeby go mieli

zamykać? Może nie, może z szychty tylko obetną. Do tej pory nie zdarzały mu się takie ekscesy. Jaśku był spokojnym chłopcem, powolnym na ciele i umyśle, nieskłonny do konfliktów, i dlatego wśród górników tolerowanym, mimo że gdy robili na akord, trzeba było nieraz dużo robić za niego. „A, co będzie, to będzie, nie zwolnią może” – pocieszył się w myślach i znów wyciągnął kielbasę z szarej torby. Obiad miał dziś z głowy, dobrze że w kopalnianym sklepiku taki fajny wurszt mieli. I że zdążył kupić. Kto wie, jak długo będą go tu trzymać.

Na razie nie było długo. Ugryzł ledwie dwa razy, gdy z sekretariatu wyjrzał dyrektor Bugdoł i kiwnął na niego.

- Chodź, Jaśku, prokurator cię prosi.

Jaśku schował kielbasę i wszedł. Prokurator siedział za dyrektorskim biurkiem, dyrektor siadł obok, w fotelu pod palmą. Poza nimi nie było nikogo, co zdziwiło Jaśka, z dyrektorem na korytarzu oprócz prokuratora byli też inni, był naczelny inżynier, Jaśku nie zauważył, kiedy się stracili. Obaj obecni popatrzyli na wchodzącego, a gdy ten trochę bezradnie rozejrzał się, gdzie ma siąść, Zalewski wskazał fotel przed biurkiem.

- Tutaj – powiedział. – Proszę.

Jaśku posłusznie usiadł, fotel był miękki, zapadł się w nim głębiej, niż się spodziewał, co go zdeprymowało i pozbawiło resztek śmiałości.

Zalewski obserwował Jaśka spod oka. Widział jego tremę i poczucie winy. Po ludzku mu współczuł, a jednocześnie było mu to na rękę, ze speszonego łatwiej wyciągać prawdę, łatwiej nie pozwalać kłamać. Otworzył laptop.

- Jan Koniowodziec - powiedział wolno, stukając w klawisze. - Tak?

Jaśku przytaknął.

- Urodzony?

- W lipcu siedemdziesiątego dziewiątego, trzynastego lipca.

- W...?

- Radzionkowie.

Zalewski poczuł neodpartą chęć, by go zapytać, jak go w szkole przezywali. Z takim nazwiskiem. Oczywiście nie zapytał, zamiast tego odsunął laptop.

- Powiedz mi, Jaśku, co się stało.

Jaśku spojrzał, nie rozumiejąc.

- Jak co? Łeb strzaskołych w chodniku nad upadową, na zoli zech siedziół z kołatkim w gowie, krew mie na koszula... coł- kiem nowo koszula zmaraszono... Jeden mie jakiś znod i pod szyb zatachoł. Więcy nie wiem.

- A czemuś był bez hełmu, bez światła?

Jaśku zawahał się.

- W przodku zostali.

- W przodku? - zdziwił się Zalewski. - Dlaczego?

- Wicie, my w starym rzapiu na trzista robilim, pod Zigmontem, znaczy: hajerem. Maras ładowalim do woza, taki gęsty, cho- by ciasto. Smród był przy tym łoszklivy, nie szło dugo strzimać. Jo zech wcześnij pojod, to mie Zigmont zakazoł iść z nimi, ino robić samemu. To robilech, ale tam straszno jakoś się stało, gdy nie było nikogo, ino jo, choby kto spojierół na mie znad szlamu, jakiś martwieć abo co. Tak mie wzięło, zech udek. Hełm straciłech i lampa. Anim zech się przy chodniku nie strzimoł, ino pognołech do góry

jak gupi jakiś. Terozki widza, żech gupi boł, ale wonczas... Coś mie przelętkło okrutnie, panie prokurator, aże som się terozki dziwią.

Jašku przerwał, na twarzy miał dziwny grymas, jakby na nowo przeżywał tamto swoje przerażenie.

- I co dalej? - obudził go Zalewski.

- Daliż? Godołech: po ćmoku ciułnołech łbem w zamek, aże mie oćmiło. A już ino kawałek do przekopu było, a tam światła trocha i zarozki pewnie kto by szoł pod szyb, to bych się zabroł. Abo i poczekoł na swoich, tam niedaleko nasi drażą nadścianowy, wracaliby, to by i jo z nimi. A tak padłech jak sznita i dopiero mie ten stary znod i pomog. Żeby nie łon, pewnie bych tam do ty pora leżoł.

- Tak... I lampę, mówisz, w przodku zostawiłeś?

- Ja, z hełmem razem.

- To ją pewnie twoi z brygady znaleźli?

- A bo jo wiem? - Jašku wzruszył ramionami. - Może tak być, że znodli. Na zoli pewnie leżały, tam miejsca dużo nie ma, żeby nie dojrzeli. Ja, na pewno znodli.

- A ten stary, co cię znalazł - co za jeden?

Jašku wzruszył ramionami.

- Nie znom. Tyla tu rostomajtych robi, firmy obce, a i do nos nowych co i roz bierom... Kto by wszystkich spamiętoł.

- To niedobrze, Jašku. Gdybyś go znał, mógłby potwierdzić, że mówisz prawdę, a tak...

- Prowda godom! Po co bych mioł cyganić? - W Jańkowym spojrzeniu pojawiło się święte oburzenie. Na ile Zalewski znał się na ludziach - szczerze.

- Zobaczmy... Sztygara Szymkiewicza znasz? - zmienił

temat.

- No jakże. - Tym razem Jašku w spojrzeniu miał coś na kształt politowania z powodu ignorancji. - W oddzielę u niego robią, na jego zmianie. Nawet był dziś tam u nos, w rzapiu, ino wcześniej.

- A widziałeś go potem?

- Kiedy potem?

- No... jakżeś z rzapia uciekł.

- Ni.

- Nie spotkałeś go gdzieś na trzysta? Poszedł tam przecież.

- Ja, jo wiem, do naszy brygady w nadścianowym. Ale to wcześniej, nimech stamtąd... no, wiecie...

- Zanim uciekłeś.

- Ja. - Dużo łatwiej przechodziło Jaškowi przez gardło przytakiwanie niż osobiste przyznanie się do winy, choć już o tej winie wiedzieli wszyscy.

- Powiedz mi jeszcze... - Zalewski zajrzał do laptopa. - Jak już szedłeś chodnikiem nad upadową, tam jest takie skrzyżowanie, przecinka, do przodka podobno...

- Ja, wiem. To tamtędy szło się do naszych.

- Właśnie. Minałeś ją. Nie widziałeś tam czego?

- Czego ale?

- Nie wiem, ludzi, światła, głosów nie słyszałeś?

- Ni. Gdzie mie tam było do patrzenio abo słuchanio. Ciemno miołech jak w rzici, myślołech tylko, coby dojść na przekop jak najszybcij, w przecinka zech nie zaglądoł, ino gowy strzegł. A i tak zech nie ustrzegł, prasnołech w mutra pora metrów dalij.

- I tam was ten drugi znalazł?

-Ja.

- Tak zaraz znalazł?

- Panie, ja nie wiem. Ja tam siedział i o czasie zapomniałem, czarno wkoło, krew mi ciecze, łeb boli jak szlag, czerwone mroczone w łoczach... Wraz przyszedłem, wzion pod pachy i my poszliśmy. Nawet dużo my drogą nie godziliśmy, mie do godki nie było, a łon ino stękał, bo nieduży był chop, a ja - sami wejrzejcie - niemały. Potem wsadził me do szoli, wywioz na góra i tylech go wi- dział. Ktoś me do ambulatorium zaprowadził, nawet nie wiem kto, biały jakiś. Tam łeb zawięli i do dom puścili. Cała sprawa.

- Panie dyrektorze... - Przez półotwarte drzwi zajrzał nieznanym Zalewskiemu mężczyzna. - Sprawdziłem lampy...

- Tak? - Bugdoł wstał i wpuścił przybysza. - I co z nimi?

- To tak... - Mężczyzna wyjął kartkę. - Lampa Koniowódz- ca wisi.

- Łoddoli - ucieszył się Jaśku.

- Na stojaku jest też lampa sztygara Szymkiewicza.

- Jak to? - zapytał Zalewski. - Skąd ona tam?

- Nie wiem. Ktoś powiesił.

-A ta, która została przy Szymkiewiczu, ta rozładowana?

- To lampa górnika z pierwszego oddziału wydobywczego, Józefa Żołądzia.

- Czy to znaczy, że ten Żołądź mógł tam być? - W głosie Zalewskiego pojawiła się nadzieja.

- Mało prawdopodobne. Od tygodnia chodzi na nocy, fedrują na poziomie sześćset. Lampę zdał po wyjeździe i pewnie jest w domu. Do roboty ma przyjść dziś na dwudziestą pierwszą.

- To skąd, do cholery, jego lampa u Szymkiewicza?! - zdenierwował się Bugdoł.

- Nie wiadomo. Może się Szymkiewicz pomylił.

- Czy te lampy wiszą obok siebie?

- Nie, na sąsiednich stojakach.

- To jak się pomylił? Zaćmienia dostał?

- Nie mam pojęcia, panie dyrektorze. Może ktoś mu złą wydał, może awarię jakąś miał? Nie wiem.

- Sprawdźcie, Kalarus, dokładnie - zadysponował dyrektor. - Kto brał którą lampę i kiedy, czy zgłaszane były usterki i w ogóle jak to możliwe, żeby lampa chłopca z nocki znalazła się na dole na pierwszej zmianie dwa poziomy wyżej u sztygara innego oddziału. I żeby to było wyjaśnienie racjonalne. Czekam.

Mężczyzna bez słowa wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Dobrze, Jaśku - powiedział prokurator, włączając drukarkę. - Przeczytasz teraz zeznanie, sprawdzisz, czy się zgadza, i podpiszesz. A potem możesz iść do domu. Może być tak, że jeszcze będziemy cię potrzebować, więc na żaden urlop się nie wybieraj.

Podał Jaškowi dwie strony A4, na których zamieścił formularz przesłuchania. Jašku długo studiował tekst, czasem o coś zapytał, aż w końcu podpisał i wstał.

- To co? - zapytał. - Mogą iść? Mroczy się już.

- Proszę bardzo, możesz - odpowiedział Zalewski, starannie wpinając zeznanie do foliowej teczki. - I smacznego, bo pewnie pójdiesz na obiad, co?

- Kaj tam łobiod - westchnął Jašku z rezygnacją. - Wurszt zjem i będzie. Tyju sie zrobią, bo ciepłego mi się chce. A

jutro mie nie ma - poinformował, patrząc na dyrektora, jakby to on liczył mu szychty. - Rewir mom na ta gowa. - Wskazał na bandaż. - Pięć dni.

- Dobrze, Jašku, w porządku. - Dyrektor pokiwał głową. - Wydobrzej tylko. A nie zapomnij L4 planiście oddać, bo ci bumelki policzy.

Jašku uklonił się i wyszedł. Bugdoł spojrział na prokuratora.

- I co pan o tym myśli?

- Jeszcze nic - powiedział tamten. - A pan? Ma pan jakąś sugestię, pomysł, przypuszczenie?

- Nie bardzo - przyznał dyrektor. - Te pomieszane lampy mnie trochę niepokoją, ale wyjaśnienie pewnie będzie banalne i zwykłe. Wie pan, procedury procedurami, a w życiu różnie się kombinuje, szczególnie w tak błahych sprawach, jak lampa.

- Przesłuchałbym może jeszcze ludzi z oddziału Szymkiewicza, zwłaszcza tych z rząpia. Wygląda, że to oni widzieli go jako ostatni. Da się to zrobić dziś?

- Wątpię, wszyscy dawno w domu.

- No to ich sobie Kaleta pościąga. - Prokurator zamyślił się na chwilę. - Ten Jašku - powiedział - coś wspomniał o obcych górnikach na kopalni. Są tu tacy?

- Owszem - przytaknął Bugdoł. - Zatrudniamy do niektórych robót firmy zewnętrzne. Wie pan, nie wszystko opłaca się wykonywać własnymi siłami, zwłaszcza takie prace, które wymagają specjalistycznego sprzętu czy doświadczenia, a nie wykonuje się ich rutynowo.

- Jak tu trafiają?

- Robi się przetarg i wybiera.

- I duże mają tu załogi?

- Nie tak bardzo, po kilkadziesiąt osób. Czemu pan pyta?

- Tego górnika, co Jaśka odstawił, chciałbym odszukać.

To możliwe?

- Pewnie możliwe - odpowiedział Bugdoł. - Musiałby pan porozmawiać z ich dozorem. Niech panu pokażą swoich ludzi.

- Musieliby raczej Jaśkowi pokazać.

- Racja. Powiem jutro sekretarce, skontaktuje kogoś od was z tymi firmami.

- Ile ich jest?

- Dwie na stałe. Jedna duża, drażąca u mnie od lat wyrobiska w kamieniu, i mniejsza, do takich drobniejszych zleceń. Jest jeszcze trzecia, serwis kombajnu ścianowego.

- I to tyle?

- Obecnie tak. Czasem dorywczo zlecamy coś jeszcze innym, ale teraz żadnej poza tymi nie ma.

- Aten serwis? Też, rozumiem, doraźny? Jak liczny?

- Też. Dwóch ślusarzy, automatyk i inżynier. I jeszcze taki młodziak stażysta, wie pan, taki do podawania śrubokrętów, uczy się, świeżo po studiach. Jeśli chce pan przesłuchiwać, sugerowałbym zacząć od nich, bo wyjeżdżają za dwa dni. Można to zrobić już dziś, mieszkają w Domu Górnika na osiedlu przy kopalni. Inżynier Makowski z Kopexu, proszę pytać na portierni.

- Dziękuję, tak zrobię. Pójdę już, nie będę dłużej blokować gabinetu. Od jutra będziemy wzywać na komendę. Mam w związku z tym prośbę. - Zalewski pozbiierał swoje rzeczy z blatu i nałożył płaszcz. - Oczywiście wszystkie formalności

związane z przesłuchaniami zostaną dopełnione, przyjdą oficjalne wezwania, ale zależy mi na czasie. Zadzwonimy jutro rano – ja albo komisarz Kaleta – z listą osób, które potrzebowalibyśmy już jutro po południu i pojutrze przed. Czy byłby pan tak uprzejmy powiadomić ich i zorganizować zwolnienie ich z pracy bez tego papierka? Wiem, że to nieproste, bo gdy już zjadą, trudno ich ściągnąć z powrotem, lepiej więc, żeby wiedzieli przed zjazdem.

- Oczywiście, nie ma sprawy. Jeśli jutro zadzwoni pan odpowiednio wcześniej, każę tych z pierwszej zmiany wysłać na wcześniejszy wyjazd i mogą być u was gdzieś na piętnastą, szesnastą.

- Doskonale. Po przesłuchaniu wydamy im zaświadczenia dla kadr.

- Panie prokuratorze... - Bugdoł zatrzymał zbierającego się do wyjścia Zalewskiego – mam jeszcze prośbę.

-Tak?

- Wie pan, te zabójstwa narobiły mi tu fermentu, ludzie chcieli strajkować, ledwie udało się to zażegnać. Było parę tygodni spokoju, wszystko wracało do normy, a tu znowu... Mam obawy, że gdy się rozejdzie, znów pojawią się kłopoty.

- Co mogę zrobić?

- Proszę unikać ostentacji w śledztwie, jeśli można, najlepiej w ogóle nie sugerować napadu czy próby zabójstwa. Bo mi przestaną zjeżdżać.

- I tak się rozejdzie. Ludzie widzieli.

- Spróbujemy to wyciszyć, będziemy rozgłaszać wersję nieszczęśliwego wypadku.

- Kupią to?

- Mam nadzieję. W każdym razie lepiej sprowadzić to do rozmiarów szeptanej plotki niż jawnie straszyć seryjnym mordercą. Mogę potem nie opanować paniki.

- Dobrze - odrzekł Zalewski po krótkim namyśle. - Może to nawet lepiej, sprawca też zostanie uspiiony, gdy nie będzie oficjalnego zamieszania i tabunu policji w zakładzie. Może go to trochę zdezorientuje.

- Będę wdzięczny. Ze swej strony zrobię wszystko, by pomóc.

Zalewski pożegnał się i wyszedł. Mimo dzisiejszego incydentu humor miał znacznie lepszy. Coś jakby drgnęło, jeszcze nic konkretnego, ale miał przeczucie, że o coś zdołał zaczepić się na tej dotychczas gładkiej jak szkło ścianie niemożności. Czy zabójca popełnił błąd? Jeśli sprawcą napadu na Szymkiewicza była ta sama osoba, istniała duża szansa, że tak. Ofiara żyje - nie ma większego błędu dla mordercy. To otwiera mnóstwo różnych możliwości: począwszy od autentycznych doświadczeń i obserwacji samej ofiary po rozmaitego rodzaju prowokacje i blefy. Można zacząć coś robić, coś, co nie będzie należeć do ruchów pozornych, coś, z czego może wyniknąć inne coś, być może ważne, być może decydujące. Nie jest źle móc tak myśleć, mając do tego podstawę, a nie tylko życzenia z gatunku pobożnych.

Z samochodu zadzwonił do Kalety. Ustalili wstępnie kolejność czynności na jutro i umówili się w komendzie na piątą rano. Dowiedział się też, że Szymkiewicz nie odzyskał przytomności, ale była to sprawa godzin. W szpitalu siedział bez przerwy ktoś z dochodzeniówki, pilnując maszynierii na

OIOM-ie bardziej gorliwie niż szpitalny personel. Będą mieli informacje najszybciej, jak to będzie możliwe.

Wyjeżdżając z uliczki dojazdowej do bramy kopalnianej, odruchowo skręcił w prawo, do miasta. Zorientował się po stu metrach - prawda, miał odwiedzić tego Makowskiego z serwisu. Skoro już tu jest. Zawrócił w najbliższej zatoczce. Nie ma co odkładać do jutra, jutro będą mieli pełne ręce roboty. Pierwszy krok można zrobić już dziś.

Pięć dni rewiru to dla każdego dar niebios. Jaśku Koniowodziec zamierzał wykorzystać ów niespodziewany dar w sposób właściwy. Nic mu specjalnie nie było, rozbita głowa bolała umiarkowanie, całe zdarzenie z wolna odpływało w niepamięć, jako że pamięć miał Jaśku krótką i nieskomplikowaną. Najważniejsze było wolne i sposób, w jaki zamierzał je spożytkować.

Zaczął zaraz pierwszego dnia, gdy tylko wstał po przedłużonym o trzy godziny śnie, jaki sobie zafundował, wyłączwszy budzik i uprzedziwszy portiera, żeby mu w szybkę w drzwiach przez najbliższe dni nie walił. Zjadł byle jakie śniadanie, popił cienką herbatą, zapalił i rozsiadł się w starym fotelu naprzeciw okna, wsparty łokciami o parapet, gapiąc się przed siebie na puste uliczki osiedla. Mimo późniejszego wstania godzina była jeszcze dość wczesna, żadnych atrakcji nie można było się spodziewać, chyba że flaszkę jakąś w osiedlowym sklepie by kupić i rozpić ją w samotności. Nawet bowiem na towarzystwo innych mieszkańców Domu Górnika nie mógł liczyć - dzień był powszedni, nocna

zmiana właśnie zaczynała odsypiać szychę, a druga powoli szykowała się do wyjścia. Tak, normalni ludko- wie wrócą z roboty dopiero po rannej zmianie. Wtedy się skoczy gdzieś na piwo, tym chętniej, że właśnie wśród nich miał Jaśku najwięcej kolegów, z oddziału i nie tylko.

Posiedział więc z godzinę, ciesząc się nieróbstwem. Potem włączył sobie mały telewizorek, popatrzył na reklamy, na wesołe panienki gotujące dziwne rzeczy z brokułów, wyłączył. Przeniósł się na wersalkę, położył w ubraniu na pościeli, wsunął ręce pod głowę i zapatrzył się w popękana farbę na suficie. Nie było co robić. Wstał, zajrzał do lodówki. Przejrzał swoje wiktuały, przejrzał pudełko współspacza, młodego ślusarza, który akurat wyjechał na tydzień do rodziny pod Łomżę. Znalazł butelkę piwa. Wahał się tylko dwie sekundy. Odkupi mu. Otworzył, wypił połowę duszkiem, sapnął, otarł dłonią pianę z ust i ułożył się z powrotem, butelkę stawiając wygodnie w zasięgu ręki na podłodze. Ani się spostrzegł, jak spał.

We śnie wróciło. Kopał we śnie Jaśku szlam w rzapiu, sam w ciemności, której nie mogła rozświetlić lampa, jakby zamiast zwykłej ciemności otulała go zewsząd czarna mgła. Machał łopata, starając się nie zwracać na nią uwagi, rzucał pacie szlamu na oślep za siebie, gdzie, jak pamiętał, stał zaszybowany na pochyłości stalowy wóz. Słyszał stamtąd mlaśnięcia, gdy buła błota lądowała w skrzyni, czasem czuł na twarzy mokre drobiny roz- pryśniętej mazi. Wokół nie było nikogo, tylko on, gdzie reszta brygady - nie wiedział, zostawili go, miał dojmujące poczucie porzucenia, zostawienia na pastwę nieprzeniknionej ciemności. Machał

łopatą w przekonaniu, że nie może przestać, bo wówczas ta ciemność, ta mgła, w której bez reszty tonął, przestanie odbierać mu jedynie wzrok. Zapowiedź tego czuł wokół, za ową czarną kurtyną rosło ciśnienie, coś próbowało przebić się przez, nią i jakby tylko wysiłek Jaśka, te jego mlaszczące pajdy i granie mięśni szarpiących sztyl powstrzymywały przed wybuchem niszczycielskiej siły. Machał więc łopatą, czując, że tym się broni, że jedynie tym wysiłkiem odpiera moc zza mroku.

Jednak męczył się. Łopata odrywała kromy szlamu w coraz wolniejszym rytmie, coraz większego wysiłku wymagało podniesienie jej powyżej barków i machnięcie za siebie, w noc, ku wozowi. Poczul, że nadchodzi moment, gdy będzie musiał przestać, odpocząć, a to będzie kapitulacja, to będzie koniec. Ogarnął go strach. Dzięki niemu zerwał się jeszcze do walki, rytm rzutów łopaty wzmógł się na chwilę i na chwilę czerń odpuściła. Lecz tylko na chwilę. Nadszedł moment, gdy Jaśku uświadomił sobie, że już nie da rady dźwignąć następnej pajdy, ręce mu omdlały, łopata brzęknęła o szyny.

Czarna mgła raptem ustąpiła. Snop światła lampy uderzył na wprost, w czarną jamę nad powierzchnią szlamu. Pełznął stamtąd ku niemu delikatny dym, rozsnuwając się w poszarpanych kłaczkach, które już znał, już kiedyś widział. Cofnął się z krzykiem, potknął i przewrócił. Hełm mu spadł jak wtedy i tak samo odpadła lampa. Cofał się rakiem, odpychając nogami od podkładów, kłaczki sunęły za nim cieniutkimi smużkami, oplatając stopy. W panice podniósł wzrok, skierował do ku górze, pod strop. I zobaczył.

Krzyknął przenikliwie, szarpnął się i z brzękiem przewracanej butelki wyładował na podłodze. Cały bok miał mokry od piwa, lecz to nie miało znaczenia. Patrzył przed siebie, na nogi stołu, i oddychał z ulgą, szczęśliwy.

- Jo pierdoła - szepnął cicho i zaśmiał się. Usiadł. - Śniło mi się...

Wstał, otrzepał spodnie. Będzie trzeba zmienić koszulę, wytapiał się w rozlanym piwsku, śmierdzi jak z browaru. Popatrzył na cyferblat budzika. Dochodziła szesnasta, ładnie sobie pospał, gdyby tylko nie te senne mary... Westchnął. Czas by co zjeść, a potem do piwiarni zajrzeć, Pod Kasztany. Na pewno już tam swoi siedzą. Coś strzyknęło mu w głowie, skrzywił się i pomacał biały zawój. Prawda, łeb ma rozbity, prawie o nim zapomniał. Poszpanuje się rewirem Pod Kasztanami, takie rany, zwłaszcza owocujące dłuższym zwolnieniem, budziły respekt i szacunek.

Pod Kasztanami był tłok, jak zwykle o tej porze, gdy pierwsza zmiana tych, na których nie czekał obiad z rodziną, świętowała koniec szychty. Jaśku stanął w drzwiach, rozejrzał się. Przy stoliku między oknem a kontuarem dostrzegł Gwidona, znajomego ślusarza, który często pracował z jego brygadą. Wtedy, w rzapiu, też, przypomniało mu się i aż się wzdrygnął. Poszedł ku niemu. Gwidon też go dostrzegł i gestem ręki przywołał do swojego stolika, gdzie poza nim siedziało jeszcze dwóch nieznanym Jaškowi chłopów i stało jedno wolne krzesło.

- Trzymej mi miejsce, wroz ida po piwo! - zawołał Jaśku

ku niemu, przekrzykując hałas.

Gwidon kiwnął głową, a Jaśku poszedł do baru. Zamówił od razu dwa i parówkę na gorąco, potem, nie czekając na realizację zamówienia, klapnął ciężko na stołek obok Gwidona.

- Rewir mom. - Pokazał na bandaż, uprzedzając pytania.

- Ja. - Gwidon zaśmiał się. - Cała gruba wie, jakieś po ciemku z przodka nawiał.

Jaśku z miejsca chciał zaprotestować, ale coś go powstrzymało, coś ze spodu paMieci.

- Nie ma co prawić... - powiedział tylko i zanurzył nos w przyniesionym przez barmana kuflu, a następnie zabrał się za parówkę.

Sąsiedzi nie przeszkadzali, przyglądali się, jak je, bez słowa. Potem Jaśku duszkiem wychylił pierwsze piwo i napoczął drugie. Dopiero teraz odchylił się na krzesło i rozejrzał po towarzyszach.

- Jaśku jestem - powiedział w kierunku nieznanymych.

- Wiemy, wiemy. - Szeroko uśmiechnął się siedzący bliżej, niski i pękaty. - Sławę, Jaśku, zdobyłeś na kopalni.

- Co sława? - zaperzył się Jaśku. - Nie był żeś tam, nie wiesz, łatwo się śmiec terazki.

- Nie miej za złe, ja nie w złości. - Pękaty poklepał Jaśka po ręce, ten cofnął ją z urazą. - Mów mi Tadek, z trzeciego wydobywczego jestem, za cieślę robię. A ten tu - wskazał na towarzysza - to Szczurek, mój pomocnik.

- Szczurek - przedstawił się Szczurek. - Znaczy Jurek, ale gadają na mnie we ścianie Szczurek, taka ksywa.

- No, tośmy się poznali - wtrącił Gwidon. - Jeszcze po jed-

nym? - Nie czekając na odpowiedź, kiwnął na barmana.

- To co? Powiesz, Jaśku, czemuś spieprzył pod szyb bez lampy? Trza by to jakoś wytłumaczyć, co by się gruba z ciebie nie śmiała - zagaił w połowie kufla.

Jaśku zanurzył usta w pianie, jakby chciał przedłużyć czas, który dzielił go od momentu, gdy będzie musiał Gwidonowi odpowiedzieć.

- Złego żech widzioł - mruknął w końcu, ale tak cicho, że tylko siedzący obok Szczurek cokolwiek usłyszał.

- Co? Gadaj głośniej, tu nie słyhać. - Gwidon pochylił się ku niemu przez stół, ale Jaśku już się nie odezwał.

- Złego, pado, ujrzoł-wyręczył go Szczurek, prychając przy tym w pianę, aż prysnęła na blat.

Tadek zarechotał do wtóru, ale Gwidon się nie śmiał. Patrzył na ukrytą w kuflu twarz pod białym turbanem i jakoś mu nie było tak zupełnie do śmiechu.

- Złego, gadasz? - zapytał prawie poważnie. - Jak to złego? Kogo złego?

Jaśku wzruszył ramionami.

- Normalnie. Nie ma co godać po próznicy, nie chcecie - nie wiercie.

- A nie drzemnął żeś się? Nie śniło ci się co? - zapytał kpiąco Szczurek.

- Ja, drzemnąłech się na sztylu od hercowy. - Jaśku popatrzył na niego z politowaniem. - Robota żech mioł, hajer kozoł jechać z przodkiem, to żech jechoł.

- I co? - zapytał gruby Tadek.

Jaśku pomilczał trochę, popijając piwo.

- I widziołech - powtórzył.

- Gdzie ale?

- Znad szlamu wyłoz.

Zapadła cisza. Coś takiego było w głosie Jaśka, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby dalej obracać to w żart.

- E, pierdolisz - powiedział w końcu Gwidon. - Ducha żeś zobaczył? W kopalni? Nie ma już duchów na dole, przed wojną wyginęły, razem z końmi.

- Nie ducha. - Jaśku pokręcił głową. - Duchy tak nie wyglądają.

- Znaczy jak? Znasz się na duchach, widziałeś kiedyś jakiegoś?

- Nie.

- To skąd wiesz?

- Wiem - powiedział cicho Jaśku. - Zły to był, nie żaden duch.

- Jaśku Koniowodziec, znawca upiorów - próbował obrócić wszystko ponownie w śmiech Szczurek, ale nie wyszło, nikt się nie zaśmiał.

- No dobra - rzekł w końcu Gwidon, przerywając dziwną ciszę. - Duch czy inny diabeł, zdawało się Jaśkowi czy nie, nieważne. Każdy powód jest dobry, żeby się napić. Ściepa na flaszkę?

Ściepnęli się, a potem już nikt nie miał głowy ani chęci, by o Jaśkowym złym łozprowiać. Zwłaszcza że barman puścił telewizor, a tam Górnik grał z Piastem i zaraz się sala podzieliła na pół, do tego stopnia, że potem parę głów trzeba było połatać na podobieństwo Jaśkowej. Ale ziarno zostało zasiane, w kilku głowach nawet na dłużej, z czego potem dziwne wynikły konsekwencje, urodziły się plotki i wice,

niektóre zupełnie fantastyczne i niewiarygodne, ale inne nie.

Nakonieczny siedział w biurze i gapił się przez okno na ciemniejące stopniowo miasto. Po drugiej stronie ulicy lekko kołysały się korony lip. Były coraz rzadsze, jesień pozbawiała ich liścia za liściem, unosząc je na podmuchach wiatru, któremu do tej destrukcji potrzeba było coraz mniej siły. Drzewa jeszcze broniły się, jeszcze nie cała zieleń je opuściła, lecz z dnia na dzień liście słabły, żółknąc, i coraz łatwiej je zrywał byle powiew.

Nie lubił jesieni. Nie lubił jej tym bardziej, że tak szybko przychodziła. Coraz szybciej. Stawała się w jego życiu dominującą porą roku, miał wrażenie, że wydłuża się kosztem dni urywanych latu i anektowanych z czasu zimy. Starzał się, to pewnie dlatego. Jesień widać lubiła starość, mimo iż bez wzajemności.

Dziś miał święto byka. Byka, od byczenia - tak w umownym slangu, jaki w okresie wielu lat wspólnej pracy wyrobili sobie z Zochą, nazywali przerwę na odpoczynek i przemyślenie paru spraw, wymagających przemyślenia. Ostatnie dni pełne były działań, które wywodziły się raczej z domysłów, z odruchów, dyktowanych rutyną i doświadczeniem. Nie kombinował wówczas za wiele, nie w sensie analizy i budowy strategii, tym bardziej nie nawiedziła go żadna myśl refleksyjna, którą mógłby nazwać twórczą. A przecież dobrze jest, gdy się już pobiega za faktami, powypełnia żyły adrenaliną i jaki taki sportowy sukces osiągnie, poukładać

sobie to i tamto, pododawać i poodej- mować, nie chodząc dalej niż do toalety. No to dziś dodawał. I odejmował, a nawet niekiedy dzielił i mnożył.

Zochy nie było, ciągle jeszcze goniła za tą swoją rozwodówką, robiąc jedynie przerwę na nocną ekwilibrystykę dachową. Ale to Nakoniecznemu nie przeszkadzało, wręcz nawet przeciwnie. Z Zochą musiałby rozmawiać, co podniosłoby temperaturę dociekań, niekoniecznie przybliżając rozwiązanie. Bez Zochy mógł bez przeszkód włączyć samo myślenie, a gdy mu się odechciało, mógł zaprzestać i tego, pozostając przy bezmyślnym gapieniu się na jesień. Jedno i drugie było mu w tej chwili tak samo potrzebne.

Wreszcie mógł się przed Dziwką pochwalić wymiernym sukcesem. Prawie pół miliona baksów to co prawda nie była jeszcze kwota, której docelowo łódzcy chłopcy oczekiwali, ale też suma nie do pogardzenia. A dziesięć procent od niej, nawet po potrąceniu dotychczasowych zaliczek, również wyglądało przyjemnie. Od razu poczuł się lepiej, nie tyle z¹ powodu oczekiwanego wynagrodzenia, co możliwości pokazania, że skoro został już wynajęty, to nie dla pozorów i dręczenia dłużnika, a dla konkretnych rezultatów.

Pieniądze odwiózł osobiście. Dziewkin, uprzedzony przez Chłastę, powitał go wylewnie i zaprosił na obiad, ozdabiając go obecnością swojej atrakcyjnej asystentki. Wieczór w Ambasadorze był miły, panna Joanna uroczą, Dziewkin dystygowany, dania wyszukane, ceny niewiadome. Trochę się Nakonieczny czuł ubogo w swojej sztruksowej marynarce z łatami na łokciach i w starych džinsach nie pierwszej

świeżości, ale nie tak znów przesadnie. W końcu to nie było jego zmartwienie, z kim miejscowi zobaczą w knajpie pana Dziewkina, znanego powszechnie i szanowanego biznesmena. Wcześniej, w gabinecie, Dziewkin wypłacił mu trzydzieści sześć tysięcy dolarów, odliczając je od razu z walizki, gdy tylko usłyszał od detektywa sumę. Na swoje pytanie: „Nie przeliczysz?” - usłyszał: „A oszukałbyś mnie?”. Racja, nie oszukałby.

Przenocował w tymże Ambasadorku, pokój fundował gospodarz. Trafił tam dobrze po drugiej w nocy, pijany, z ciężką od gatunkowych, pomieszanych alkoholi głową, i spał do południa, kiedy obudziła go pokojówka. Wymeldował się pół godziny później i na piechotę poszedł odszukać parking, gdzie zostawił samochód. W domu był przed wieczorem, w kondycji niewiele lepszej, niż gdy opuszczał hotel. Następnego dnia miał przewidzianą dializę - całe szczęście, bo noc przetrwał w fatalnym stanie i nawet chwilami zastanawiał się, czy nie wezwać pogotowia. Powstrzymał go tylko wstyd przed tym, co miałby im powiedzieć. Lekarz zabronił mu pić, zwłaszcza takie ilości i takie trunki. Nie bardzo się tym przejmował, jednak miarę swoją znał i w dodatku nie robił tego nigdy dalej niż pięć kilometrów od domu.

Czy warto było w ogóle drażyć ten temat? Zgodnie z przewidywaniami po akcji u Gola i wizycie w Łodzi wszystko wydawało się znacznie prostsze i mniej tajemnicze niż na początku. Był windykatorem mafii, tylko tym. Tego od niego oczekiwano: by odzyskał rzeczywistą, dużą kwotę. Pierwszy etap - weryfikacji realności zlecenia - właśnie

zakończył, przekazał zleceniodawcy zdobycz. Otrzymał wynagrodzenie. Okazało się, że dłużnik bywa okresowo zasobny, że jest z czego odzyskiwać, resztę wątpliwości mógł więc sobie Nakonieczny darować. I zrobił to, bez skrupułów i wątpliwości.

Na betonowym słupku ogrodzenia posesji naprzeciwko przycupnął kot. Był czarny, z białą kryzą na piersi, miał też dwie białe skarpetki na przednich łapkach. Jedną z nich mył sobie prawe ucho, nie spuszczać wzroku ze stadka wróbli, które obsiadły płot i chodnik dwa przęśła od niego. Nie zauważał wiatru, przelatujące liście kwitował ledwie ćwierćsekundowym rzutem oka, a i to tylko jeśli przelatywały bliżej niż metr od niego. Cały skoncentrowany był na wróblach, choć na pierwszy rzut oka niespecjalnie go interesowały. Ot, patrzył sobie, bo co miał nie patrzeć, skoro ich kłótnie i bójki były jedynym obiektem godnym kociej obserwacji. W rzeczywistości Nakonieczny wiedział, że pod pozorem spokoju i lenistwa ukryta jest zwierzęca napięta do granic sprężyna, że pod lśniącem futrem drgają stalowe mięśnie, że uroczy pyszczek jest w istocie narzędziem bezlitosnego mordy i że teraz, skryty za niewinnym spojrzeniem, za skupieniem na prozaicznych czynnościach higienicznych, pracuje organiczny komputer, który kalkuluje możliwości i szanse, oblicza czasy sekwencji ataku i prawdopodobieństwo udanej ucieczki ofiary, komputer sprofilowany na zabijanie.

Nakonieczny obserwował zwierzę z fascynacją. Kiedyś, w normalniejszych czasach, miał kota, przez kilkanaście lat podglądał go w ramach ostrożnej przyjaźni, jaką zwierzęta te

darzą człowieka. Czuł teraz każdy koci mięsień, przewidywał niemal każde drgnięcie kocich wąsów. Wiedział, co wydarzy się dalej, każdy kociarz na jego miejscu by wiedział.

Obliczenia musiały dobiec końca, bowiem kot powolutku, ruchem dla kogoś, kto go nie obserwował od początku, niemal niezauważalnym, wyprostował łapy i uniósł się do półprzysiadu, a następnie, stawiając nieskończenie wolne, ostrożne kroki, zaczął sunąć po płocie w kierunku stadka. Był w połowie pierwszego przęsła, gdy zaszło kilka równoczesnych zdarzeń, które pokrzyżowały mu szyki. Ich jednoczesność nie była zapewne z kociego punktu widzenia oczywista, oddzielające poszczególne epizody sekwencje czasowe były tak nieznaczne, że tylko kot mógł je porozdzielać na osobne. Dla wróbla i dla człowieka wszystko stało się naraz.

Kot najpierw usłyszał ciche pyfnięcie, które nie przypominało mu niczego, także niczego złego, było więc impulsem jedynie do zwolnienia ruchu kolejno stawianej tylnej łapy. Tuż potem (wszystko zresztą działo się tuż potem) coś dmuchnęło i dziwnie warknęło nad jego głową, co już było alarmem: kot sprężył się, zwarł w sobie i jednym susem zeskoczył na ziemię, tak że następujący po tym ostry brzęk stali, wwiercającej się z ogromną siłą w szkło antywłamaniowe i wybijającej w nim otoczony pajęczyną szklistych pęknięć otwór, zastał go tuż nad ziemią. Gdy wylądował, w miejscu niedosłego polowania wzniosła się w powietrze rozwiewkana chmura, pokręciła się chaotycznie i pofrunęła w stronę korony najbliższego drzewa.

Tego już Nakonieczny nie widział; mniej więcej dwie

sekundy po tym, jak zgrzyt kuli o szybę spłoszył kota, a jemu spadł na włosy kawałek tynku, leżał z nosem przy podłodze pod osłoną parapetu i patrzył na przeciwną ścianę, na której pojawił się okrągły, zagłębiony stożkowo w cegłę odprysk. Tuż poniżej opierał przed chwilą głowę. Poczul dygot, dreszcz przebiegł od szyi po kość ogonową, krótki, lodowaty. Trzęsącą się dłonią sięgnął do kieszeni i wydobyl komórkę.

- Zocha... - zaczął, gdy usłyszał w słuchawce znajomy głos.

- Zocha... - Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie żadnego słowa więcej. - Zocha... Ktoś do mnie strzela...!

Wysłuchał kilku słów, sam powiedział kilka, równie lakonicznych, i rozłączył się. Następnie poczołgał się w stronę biurka, otworzył dolną szufladę, a w niej metalową kasetkę. Wydobyl pistolet, starą tetetkę, z którą kiedyś odszedł do cywila i nieczęsto od tamtego czasu brał do ręki, sprawdził magazynek, przeładował. Potem popętlął w stronę wyjścia. Tu obejrzał się na okno - drugiego strzału dotąd nie było. Sięgnął do klamki, wytoczył się na klatkę schodową, wstał, zatrzasnął drzwi i pobiegł kilka schodów w dół, a potem do drzwi wiodących na podwórko. Przeciął je po przekątnej, za trzepakiem wskoczył na murek z cegły, dzielący posesję od sąsiedniej, zeskoczył, pognął do bramy. Ostrożnie uchylił wrota i wyjrzał na ulicę. Przez jezdnię naprzeciw wejścia do kamienicy, gdzie miał biuro i gdzie przed paroma minutami siedział, obserwując jesień i kota, rażnym krokiem przechodziło dwóch mężczyzn w przeciwdeszczowych kurtkach, z kapturami naciągniętymi na głowy. Gdy weszli do środka, wyszedł na chodnik i ruszył

w stronę zaparkowanego nieopodal swojego volkswagena. Odjeżdżał, gdy wybiegli z powrotem.

Kot siedział na skraju chodnika i mył języczkiem łapę. Pieczołowicie czyścił poduszeczki, starannie wylizywał wszystkie zagłębienia między nimi, rytmicznie kiwając łebkiem i mrużąc ślepia. Na płot, jeden po drugim, wracały wróble.

rozdział IV

Dziesięć szczegółów

Zalewski nie lubił tu przychodzić. Komenda policji w całości sprawiała przygnębiające wrażenie: przedwojenny budynek z czerwonej cegły, przydymionej odwiecznym śląskim kopciem, smutny jak jego zawartość. W środku ponure beżowe korytarze, poznaczone brązowymi prostokątami drzwi, nieco odrapanych, z widoczną w rysach dolną warstwą białej farby olejnej z czasów chyba jeszcze Milicji Obywatelskiej. A pomieszczenia wydziału kryminalnego były koncentratem przygnębienia, jakby mało było tych smutno-beżowych, dawno nieodnawianych lamperii za drzwiami. Pokoje wewnątrz pomalowano dla odmiany na seledynowo, co u sąsiadów z prewencji, od strony słonecznej, jako tako wyglądało, jednak po północnej stronie, u kryminalnych, żałość opanowywała człowieka, ledwie zamknął drzwi za sobą. „Może tak powinno być – tłumaczył sobie Zalewski. – Dochodzeniówka to w końcu nic wesołego, różnych tu się sprowadza i często nie jest do śmiechu. A i poprawianie samopoczucia podejrzanym nie należało do podstawowych zadań pracujących tu policjantów. Wręcz, można powiedzieć, przeciwnie”.

Gabinet szefa wydziału, komisarza Beniamina Kalety (dla przyjaciół i przełożonych Benka), nie odbiegał wyglądem i nastrojem od reszty pomieszczeń wydziału, z pewnością zaś nie odbiegał na plus. Niebagatelną w tym rolę odgrywał fakt, że komisarzowi Benkowi, ogólnie mówiąc, wisi klimat pokoju, w którym pracował, zwłaszcza że wpływ na jego zmianę miał znikomy. Policja, jak wiadomo, była chronicznie niedoinwestowana, malowanie zaś należało do zadań ulokowanych na odległym miejscu listy policyjnych priorytetów. Tak się przy tym złożyło, że kobiet wśród współpracowników Kaleta nie miał, nie było więc komu zadbać choćby o pozór estetyki, troszcząc się o jakieś kwiatki czy obrazki. O kalendarzu sprzed dwóch lat, ozdobionym zdjęciem imponującej blondyny w stroju topless i reklamą producenta urządzeń o trudnym do odgadnięcia przeznaczeniu, szkoda było nawet gadać. Jednym zdaniem: brakowało kobiecej ręki, by z tego ponuractwa i zaniedbania wydobyć choć trochę podstawowego ciepła. Tyle że nie było bardzo brudno, ale większa w tym była zasługa wczesnej pory dnia niż gospodarzy. Śmietnik robił się tu bowiem stopniowo, stan krytyczny osiągał w okolicach osiemnastej, by potem, gdy przez pokoje przeszła drużyna sprzątaczek, wrócić do poziomu estetycznej przyzwoitości i wytrzymać w tym stanie do rana. Cykl ten trwał nieprzerwanie od zawsze, stając się cyklem permanentnym i naturalnym, który nie dziwił nikogo.

Od wczoraj gromadzili protokoły przesłuchań osób lepiej lub gorzej poinformowanych. Właściwie to od

przedwczoraj, wliczając spotkanie Zalewskiego z inżynierem Makowskim. Odwiedził go w Domu Górnika, gdy inżynier właśnie wybierał się do miasta, rozmowa była więc krótka i dość ogólnikowa. Dłuższa i bardziej szczegółowa nie miała zresztą sensu: Makowski z ludźmi tamtego dnia był w nowo uzbudowanej ścianie na poziomie 600, na pewno zaś żaden z jego podwładnych nie był człowiekiem starszym ani nawet w średnim wieku. Sami młodzi fachowcy. Nikt nic nie słyszał i nie widział. Ich za to widziało ze dwudziestu ludzi z wydobywania i obsługi – fakt do zweryfikowania, ale Zalewski nie miał wątpliwości co do rezultatu.

Wczorajsze spotkania z brygadą z rzepia wniosły nowe elementy, o których wcześniej Zalewski nie słyszał. Brygadzysta wspominał, że oprócz sztygara i górnika z workiem w okolicy kręcił się elektryk, a jeden z pracujących tam nowo przyjętych poskarżył się, że ktoś wyjadł im kanapki. To drugie rozśmieszyło Zalewskiego, ale dla porządku zapisał. Nigdy nie wiadomo, do czego może przydać się taki szczegół. Więcej spodziewał się natomiast po zeznaniu ślusarza, który pracował przy obsłudze kołowrotu i wędrówkę obcych przez miejsce pracy brygady obserwował z bliska. Ślusarz zamówiony był na dziś, potem czekało go jeszcze kilka rozmów z brygadą chodnikową, do której Szymkiewicz nie dotarł, oraz z obsługą podszybia.

Na krzesłach w korytarzu przed pokojami zespołu dochodzeniowego siedziało kilku mężczyzn, cicho rozmawiając. Na widok prokuratora umilkli, jednak ledwie przymknął drzwi za sobą, usłyszał na powrót ich ściszone głosy.

- Cześć pracy - rzucił w eter, przechodząc przez amfiladę pokoi do gabinetu szefa.

Paru podniosło głowy, dwóch - dłonie w powitalnym geście, żaden się nie odezwał. W obu pierwszych pomieszczeniach trwały przesłuchania, brak uprzejmości rzucił więc Zalewski na zajęcie uwagi czym innym. Tym razem byli więc usprawiedliwieni - ilekroć tu przychodził, odruchowo szukał dla nich takiego wytłumaczenia. Nie zawsze znajdował.

Zapukał w zasłoniętą żaluzją szybę trzecich drzwi.

- Wlazł! - usłyszał niewyraźny głos.

Komisarz Kaleta jadł sardynki prosto z puszką. Na widok prokuratora odłożył plastikowy widelec, wytarł usta serwetką i odsunął talerzyk z puszką.

- Powitać - rzekł z uśmiechem. - Spodziewałem się ciebie później.

- Jak idzie? - Zalewski rozsiadł się na krześle naprzeciw komisarza.

- Powoli. Obraz zaczyna się wypełniać. Co nie oznacza, że jesteśmy bliżej, bez przesady. Ale sporo już wiemy.

- Podsumuj - poprosił prokurator.

- Było tak: paru ludzi z oddziału przygotowawczego oczyszczało dno upadowej ze szlamu. Nazbierało się tego przez parę lat, a teraz ktoś wymyślił, że z tego rząpia można pociągnąć gdzieś dalej chodnik. Nie znam się na tym, zresztą to chyba dla nas nieważne, w każdym razie kazano wybrać to błoto do spodu. Robota taka sobie, ja osobiście bym się nie zamienił. Tamtego dnia chłopcy robiły, a w chodniku nad nimi siedział ślusarz, Gwidon Kuśnierz, który w ramach

przysługi i oszczędności kadrowych obsługiwał im kołowrót. Miejsce pracy do często nawiedzanych nie należało, gości więc mieli co kot napłakał. Odwiedzili ich kolejno: szczęśliwy niedenat, czyli Szymkiewicz, jakiś śleper w wędrówce na poziom trzysta i elektryk, Stanisław Kalinowski, też idący na trzysta, do transformatora. Przy czym w przodku, na dole, pojawił się tylko Szymkiewicz, o reszcie kopacze dowiedzieli się od ślusarza.

- Słuchaliście ślusarza?

- Jeszcze nie. - Kaleta pokręcił głową. - Czekałem na ciebie, przypuszczałem, że zechcesz przy tym być.

- Słusznie - przytaknął Zalewski. - Jest już?

- Czeka.

- Dobrze, weźmiemy go za chwilę. Dokończ.

- Potem było dziwnie.

- Dziwnie?

- Owszem. Wiesz zresztą, słuchałeś Jaśka.

- Owszem, od Jaśka wiem co nieco. A co mówi o tym reszta brygady?

- Podobnie. Był u nich Szymkiewicz, akurat Jaśku był na górze, przy kołowrocie, bo go zemdlilo czy coś. Szymkiewicz poszedł, Jaśku wrócił i robili jakiś czas wspólnie, a potem przodowy zarządził przerwę śniadaniową. Jaśka przodowy zostawił i kazał kopać samemu ze względu, że miał tę przerwę wcześniej. Wyleźli, a tam okazało się, że ktoś im zwędził prawie wszystkie drugie śniadania. Pytali ślusarza, ale tego sztygar wysłał do zakucia poluzowanej szyny, więc nic nie widział. W tym czasie w chodniku pojawiły się jeszcze dwie obce osoby: nieznanym Gwidonowi górnik, starszy, być może z

którejs z firm outsourcingowych, i elektryk. Załoga najbardziej o wyjedzenie śniadań podejrzewała Jaśka, no i trochę Szymkiewicza, bo sztygarowi ma prawo przyjść różna głupota do głowy - to ich własne słowa - poszli więc do rząpia przesłuchać podejrzanego, a tam po Jaśku tylko lampa i hełm zostały. Przodowy się wystraszył, poleciał dzwonić do sztygara, okazało się, że sztygar do przodka chodnikowego nie dotarł. I jak wiadomo - nie dotarł już nigdy.

- Czy do tej przecinki, gdzie leżał Szymkiewicz, można dojść inną drogą niż tylko z tego rząpia?

Komisarz pokiwał głową z rezygnacją.

- Niestety tak, i to z jeszcze trzech kierunków. - Wyjął z szuflady notes. - Jak mi podyktowali fachowcy, od przodka chodnikowego, a tam dodatkowo z dowiezchni ścianowej, i z chodnika nad upadową odwadniającą, który z jednej strony krzyżuje się z przekopem na poziomie trzysta, a z drugiej, za skrzyżowaniem z upadową, prowadzi do starych wyrobisk, już nieużywanych i otamowanych, ale owszem, przejść nimi można swobodnie, w dół, poziom niżej i do innych wyrobisk na tym samym poziomie.

- Cholera - powiedział Zalewski spokojnym głosem. - O jasna cholera. Czyli krąg możliwości znów się nam poszerzył.

- No, znacząco - przytaknął komisarz. - Atak już było miło.

- Tak czy owak - powiedział prokurator - musimy kontynuować nasz pierwszy trop. Choćby po to, aby go wykluczyć. Dawaj tu tego Gwidona. Aha... - Wstrzymał gestem wychodzącego Kaletę. - ...trzeba będzie zorganizować okazanie wszystkich pracowników obcych firm

Koniowodźcowi. I pewnie także ślusarzowi, ale to potem. Na początek wystarczą zdjęcia. Chciałbym spróbować zidentyfikować tych niektórych nieznajomych, bo coś za dużo ich się tu kręci.

-Taaa... Ale wiesz, że outsourcing nie ma wyłączności na zatrudnianie robotników w średnim wieku? Ci nieznajomi swobodnie mogą być z Gertrudy.

Prokurator popatrzył na komisarza nieprzyjemnym wzrokiem.

- Umiesz dodać otuchy - powiedział. - Owszem, wyłączności nie ma, ale dotąd nikt ich nie rozpoznał, co jest pewną wskazówką. Zresztą od czegoś trzeba zacząć.

- OK. Można od tego. - Kaleta wyszedł i Zalewski usłyszał, jak wydaje polecenia siedzącym za drzwiami wywiadowcom.

- Poszli wezwać Kuśnierza - powiedział komisarz po powrocie. - Mają także podzwonić po zdjęcia, pewnie w kadrach każda firma ma, może tylko nie zawsze aktualne. Myślę, że jutro lub pojutrze je dostaniemy.

- Zorganizuj okazanie tym dwóm, o których mówiliśmy.

- Zrobi się.

- W razie jakichś szczególnych okoliczności może potrzebna będzie konfrontacja na żywo, ale to ostateczność. Dopiero by huk po kopalni poszedł.

- Bugdoł by się wściekł.

- Dziwisz się? Bo ja wcale.

- Też nie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi prowadzących na korytarz. Kaleta wstał i poszedł otworzyć. Wpuścił przysadzistego bruneta w ortalionowej kurtce i dżinsach; pokazał mu

krzesło obok Zalewskiego.

- Dzień dobry - przywitał się brunet.

Zalewski podał mu rękę.

- Dzień dobry, Marcin Zalewski, prokurator nadzorujący śledztwo. A to pan komisarz Benjamin Kaleta. Pan Gwidon Kuśnierz, prawda?

Tamten kiwnął energicznie głową.

- Kuśnierz - potwierdził.

- Chwileczkę - powiedział komisarz, sadowiąc się za biurkiem. - Odpalę formularz. - Najechał myszką coś na ekranie komputera i kliknął. - Jest - stwierdził z zadowoleniem. - Możemy zaczynać.

Spisał dane ślusarza, pouczył go o paragrafach za składanie fałszywych zeznań.

- Proszę opowiedzieć o tym dniu - zachęcił.

- O tym, gdy ktoś napadł Szymkiewicza? - zapytał Gwidon.

- O tym samym - przytaknął Kaleta. - Choć jeszcze nie wiemy na pewno, czy napadł. - Zlekceważył zdziwione pojawieniem się zaskakującej sugestii, że może istnieć alternatywna przyczyna rozbitej głowy sztygara, spojrzenie Zalewskiego.

- Ale co? Nie wiem, od czego zacząć - zapytał Kuśnierz.

- Najlepiej od początku. Proszę opowiedzieć całą szychtę, od chwili gdy przyszliście do rząpia.

Gwidon więc opowiadał, a komisarz notował, od czasu do czasu pytając o coś, głównie dla uściślenia zapisu.

- Co się potem stało z lampą Jaśka... znaczy: Jana Konio-wodźca? - zapytał na koniec.

- Lepiej Jaśka, mało kto pamięta jego nazwisko, dziwaczne

takie, a powiesz: „Jaśku” i każdy wie.

- No to Jaśka - zgodził się komisarz. - Dla sprawy lampy nieistotne.

- Co? - nie zrozumiał Gwidon.

- Nieważne. Jaśka. Co z lampą Jaśka?

- A, z lampą. Prządowy chyba zabrał. Zigmont.

- Zigmont? To imię czy nazwisko?

- Chyba nazwisko. Ale w sumie nie wiem. Jak go znam dziesięć lat, zawsze każdy na niego wołał Zigmont.

- Aha. - Kaleta coś pracowicie wstukał w formularz zeznania, potem zajrzał do teczki obok. - Faktycznie, jest taki. Kazimierz Zigmont. Niedawno przesłuchany - zwrócił się z wyjaśnieniem do Zalewskiego.

- To co mnie pytacie? On zabrał lampę i oddał w lampowni. Musiał mówić.

- Pewnie mówił, nie czytałem tego. A świadek ma odpowiadać na pytania, a nie pouczać śledczego. - Komisarz zrobił groźną minę, aż Zalewski musiał odwrócić się do ściany, by jawnie nie parsknąć śmiechem.

Na Gwidona nie podziałało, z kamienną miną wzruszył ramionami.

- A tego Zigmonta znacie skąd?

- Stąd, znaczy: z roboty. A bo co?

- Panie Kuśnierz... - zaczął oficjalnym tonem Kaleta, ale Zalewski nie dał mu dokończyć. Benkowi skończył się koncept i należało to przerwać.

- Nieważne - powiedział. - Panie Kuśnierz, proszę raczej opisać ludzi, którzy byli tego dnia w miejscu pracy brygady. Oprócz, oczywiście, samej brygady.

- Jak mówiłem, najpierw był sztajger, Szymkiewicz.

- Sztygara znamy.

- Aż za dobrze - mruknął w ekran komputera Kaleta.

Gwidon zerknął na niego i kontynuował:

- Szymkiewicz posłał mnie do zakucia szyny, a sam pogonił do roboty Jaśka i szedł do rzapia.

- Widział pan go później?

- Nie. Poszedł upadową na trzysta. Do mnie nie wracał.

- Co było potem? Jak już pana wysłał do tej szyny?

- Najpierw przyszedł jakiś śleper, nie znam go. Nie zatrzymywał się, tyle że my „szczęść Boże” wymienili. Potem...

- Zaraz - powstrzymał go Zalewski. - Jak wyglądał? Proszę opisać.

- Wie pan... Dobrze nie widziałem, lampę miał na hełmie. Twarz była za światłem, a po oczach mu nie świeciłem. Na starszego wyglądał, i to dobrze starszego, a może zniszczonego robotą, nie wiem. Nieduży, chudy, przygarbiony. Kapotę miał luźną, jakby przywielką. Niósł worek na ramieniu, taki parciany, jak na kartofle.

- Pusty?

- Całkiem nie, coś tam było w środku, ale niedużo. Chociaż chyba dość ciężkie, bo go przyginało.

- Może słaby był - wtrącił półgłosem Kaleta.

- Może.

- A twarz? Nic pan nie widział? Jakieś wąsy, okulary, cokolwiek?

- Coś tam widziałem, że niemłody. Nie, żadnych wąsów ani innych. Chudy pysk, zajechane ryle takie mają.

- A głos?

- Zwyczajny, po Śląsku zaciągnął, ale na grubie każdy zaciąga po Śląsku, ledwie pięć dni przerobi.

Zalewski zamilkł na chwilę.

- Coś jeszcze? - zapytał wreszcie.

Teraz zamyślił się Gwidon.

- Lampę miał marną - przypomniał sobie. - Jak świeczka, ledwie się paliła. Nawet pomyślałem sobie, że głupio się chłop wybrał, może mu nie wystarczyć do szychty i za dwie godziny poświęci sobie oczami. Zwłaszcza że łązi sam.

- Pytaliście go czemu tak? - wtrącił Kaleta.

- Nie. - Gwidon pokręcił głową. - Nie gadali my ze sobą, a co mnie do jego lampy?

- A to się często zdarza, że komuś lampa nie świeci? - zapytał prokurator.

- Często nie, ale bywa.

- Z jakiego powodu?

- Różnie: stary akumulator, źle powieszona lampa na stojaku albo jak kto drugą szychtę baka... Nie wiem, lepiej was objaśnią w lampowni. Ja jestem ślusarz, na prądzie się nie znam.

- Dobrze... Co było dalej?

- No, ten poszedł, a ja kułem dalej. I zjawił się Kalinowski.

- A Kalinowski to... ?

- Elektryk.

- Imię pan zna?

- Stanisław.

- I co? Zatrzymał się?

- Zatrzymał. Usiedli my, pogadali chwilę, a potem poszedł i on.

- O czym żeście gadali?
- Nie pamiętam, o niczym, jak to w robocie.
- Długo był?
- Z dziesięć minut.
- A potem gdzie poszedł?
- W stronę przodka, ale nie miał tam zachodzić, nie do nas szedł, tylko na trzysta, do trafoka.
- A trafok to co takiego?
- Transformator po naszymu - uśmiechnął się Gwidon.
- Gdzie ten transformator, wie pan?
- We wnęce, w chodniku na prawo od wylotu upadowej. Mieli go likwidować, przenosić w inne miejsce. Tak mówił Kalinowski.
- I jego też pan później nie widział?
- Nie. Do dziś nie, bo przeszedł na drugą zmianę. Raz mi tylko mignął, jak szedł do szoli na późniejszy zjazd, a ja do łaźni.
- Od tego trafoka jak wracał pod szyb? Którędy?
- Nie wiem, na dół do nas raczej nie schodził, choć jeśli przybrał i został na międzyszymanię, to mogli my go nie widzieć. Ale raczej nie, raczej prosto na przekop na trzysta i przekopem.
- Obok przecinki do ściany czterysta trzyście?
- Ja - przytaknął Gwidon i bacznie spojrzał na przesłuchującego. - Myślicie, że on...?
- Nic na razie nie myślę - odpowiedział Zalewski. - Składam sobie fakty.
- On by nie mógł, co by miał do Szymkiewicza? Lata tu robi, a Szymkiewicz, choć ogólnie wredny, nigdy się z nim

nie konfliktowa!, nie słyzałem niczego takiego. Poza tym, gdzie on, taki grubas, do ganiania za kimś. Nie wierzę.

- Zdziwilibyście się, jakie przypadki się zdarzają - westchnął Zalewski. - Żaden z tych argumentów, co pan tu mówi, niczego nie wyklucza. To mówicie, że Szymkiewicz wredny...

- Nie, no, panie... - Gwidon zaczął się wycofywać, Zalewski odniósł wrażenie, że tamten uznał, iż chyba chlapnął za dużo. - Taka wredność w normie kopalnianej, jak to biały... Gorszi tu bywają.

- Ale mógł mieć wrogów?

- Pewnie, każdy dozór ma. Mało który długo się uchowa, żeby komuś nie wleźć za skórę. Taka to już sztajgerska fucha. Można powiedzieć: płacą im za to.

„Owszem, są takie zawody” - pomyślał Zalewski. Swój też do takich zaliczał. I Kalety.

- Dobrze - powiedział. - Na tym skończymy. Pan komisarz wydrukuje protokół, pan podpisze. Usprawiedliwienie do pracy...?

- Przyda się. - Gwidon kiwnął głową. - Wyszedłem dwie godziny wcześniej, może zmianowy chcieć.

- Gdzie masz bloczek, Benek?

Kaleta pokazał ręką na szafkę, równocześnie instruując Kuśnierza, co ma przeczytać i gdzie podpisać. Prokurator wyrwał druk z bloczka, wypisał, przybił pieczętkę.

- Proszę. - Podał ślusarzowi.

Gwidon wziął kartkę, obejrzał, przeczytał, po czym schował do kieszeni. Wstał i poszedł w stronę drzwi. Tam zatrzymał się na chwilę, obejrzał z wahaniem.

- Coś jeszcze? - zapytał Kaleta. Zaskoczył go wyraz twarzy

ślusarza. - Coś chcielibyście dodać?

- Wiecie... - Kuśnierz gryzł wargę i jakby sam siebie w duchu mitygował, że co on ma tu zamiar wygadywać. - Z tym Jaśkiem... Ten Jaśku...

- Co Jaśku? Coś jeszcze pan wie?

- Jaśku... - Gwidon zamilkł na chwilę. - Nie, nic. Głupek jakiś, przymuł. Nic takiego, bajki opowiadał.

- Jakie znów bajki?

- Pieprzył bez sensu o jakichś duchach czy innych. Przy piwie - wyjaśnił Gwidon. - Że go z rzapia pogoniły. Przepraszam. Takie tam gadanie.

- To co mi tu dupę trujecie? Do widzenia. - Kaleta demonstracyjnie odwrócił głowę w stronę ekranu komputera i puknął palcem w klawisz.

- Do widzenia. - Kuśnierz kiwnął głową w stronę jego pleców i nacisnął kławkę.

- Duchy, kurde - burknął komisarz z pretensją w głosie. - Jeszcze nam duchów do protokołu brakowało.

Zalewski uśmiechnął się.

- Słuchałeś już tego elektryka? - zapytał, gdy Gwidon wyszedł.

- Nie. - Kaleta zajrzał do papierów. - Nie mam go na dzisiejszej liście.

- A w ogóle masz?

Komisarz zaprzeczył bez słowa.

- Wezwij go jak najszybciej, jeśli się da - na jutro.

- Nie dam rady zawiadomić.

- Benek, jest taki wynalazek: telefon. Dzwon na kopalnię, do Bugdoła. On ci załatwi.

- Jak mu było? Kalinowski?

- Kalinowski. Stanisław.

-Elektryk... - Kaleta zapisał w notesie i wyszedł. - Nie wiesz, z jakiego oddziału? - Wsadził jeszcze głowę przez drzwi.

- Benek!

- Dobra, dobra. - Komisarz wycofał się i zamknął drzwi za sobą.

Zalewski otworzył pierwszą z góry teczkę z przesłuchaniami górników i zaczął czytać. Niewiele z nich wynikało. Dla wszystkich najbardziej godnym uwagi zdarzeniem tamtego dnia był Jaśku z rozbitą głową na podszybiu. O rannym sztygarze słyszeli tylko niektórzy, głównie ci z jego przodków, z rzapia i z nad- ścianowego. Nikt nikogo nie widział, jedynymi osobami spoza oddziału w tej okolicy były te, które widział ślusarz. Niczego to nie gwarantowało, mało co wyjaśniało. Zwłaszcza że żadnej z tych osób nie udało się jeszcze przesłuchać. Powiedzmy, że elektryka załatwi się jutro. A ten stary? Najpierw należy go zidentyfikować. Okazać zdjęcia kilkudziesięciu, a może nawet ze stu górników Kuśnierzowi, potem skonfrontować je z paMiecią Jaśka, by potwierdzić lub wykluczyć, że górnik z workiem i ten, który go taszczył pod szyb, to ten sam człowiek. No, może nie aż tylu - można będzie zrobić wstępną selekcję według wieku i wyglądu. Młodzi i młodo wyglądający raczej odpadają. Ale też bez przesady, identyfikacja wieku jest sprawą subiektywną, do tego w tych warunkach, po ciemku... A jeśli te konfrontacje nic nie dadzą? Zalewski westchnął. Trzeba będzie jednak wsadzić paru

wywiadowców na dół, niech się rozglądają, niech rozmawiają, choćby jako nowo przyjęci. Odkładanie tego jest igraniem z czasem i losem. Takie igraszki rzadko się wygrywa, wiedział o tym doskonale.

Najgorsze były nocki. Nie te wydobywcze - te niczym nie różniły się od dziennych zmian, z wyjątkiem większego po nich znużenia. Oprócz nich noc była jednak według zakorzenionego od dawna przekonania najlepszą porą do wykonywania różnych remontów, napraw i prac pomocniczych w miejscach na uboczu, często z dala od głównego frontu robót lub jeśli nawet w podstawowych przodkach, to na tę część nocy opuszczonych i cichych, z uśpionymi maszynami i tylko wśród szumu podziemnych przeciągów i szemrania strużek wody. W nocną ciszę wkraczały nieliczne, kilkusobowe grupki fachowców, by po- naprawiać, co było do naprawienia, coś uruchomić, a coś innego zatrzymać i zlikwidować. Prace to były terminowe, ale z reguły nieprzesadnie, czas więc był i na krótkie drzemki, i na rozmowy, nie tylko w przerwach, bo tu niejednokrotnie większość cyklu składała się z czegoś na kształt przerwy, zakłócanej jedynie mało forsownymi czynnościami technicznymi, do wykonania od niechcenia i niejako przy okazji.

Cóż więc się robiło, gdy pracę właściwą akurat się szanowało, a na drzemkę nie było ochoty? Gadało się. Gadało o wszystkim: o meczu, o babach, może nawet w odwrotnej pod względem hierarchii kolejności, o polityce czasem. I o

grubie. Gruba nigdy nie dawała o sobie zapomnieć, nawet gdy nic się na niej szczególnego nie działo. A Gertruda do takich nie należała, ostatnio działo się na niej tyle, że cały Śląsk można by wydarzeniami obdzielić, co dopiero jedną, niezbyt dużą kopalnię. Napady, śmierć były najlepszym, najbardziej aktualnym i nośnym tematem, o tym gadało się wszędzie: wśród huku i pyłu ścian wydobywczych, w zaciszach podziemnych warsztatów i wśród ciemności pustych wyrobisk, gdzie kilku - dwóch, trzech, pięciu - nocnych cieśli, ślusarzy i elektryków zabijało nudę dłużącej się zmiany opowieściami, od których niekiedy skóra cierpła ze strachu.

Najpierw psychopata. To był wniosek naturalny, rozwiązanie nasuwające się samo, tyle się przecież filmów o seryjnych mordercach oglądało, że każdy mógł się bez mała uważać za eksperta w tej dziedzinie. Sprawa psychopaty była poważna, bo realna i ludzie z początku autentycznie bali się zjeżdżać, dopóki czas trochę nie uśmierzył tego lęku, a proza codziennej harówki nie spacyfikowała go do reszty. Może tylko, zgodnie z zaleceniami policji, ludzie starali się nie łązić w pojedynkę, co jednak w rzeczywistości kopalnianej trudne było do wykonania, również więc te środki bezpieczeństwa z czasem przestano stosować rygorystycznie. Gadano jednak o tym często i chętnie, bo o niczym się tak dobrze nie gada, jak o prawdziwym, autentycznie czyhającym gdzieś w głębi chodników zagrożeniu, które może dotknąć każdego ze słuchających.

Od pewnego jednak czasu, niezauważalnie, do opowieści o mordującym kolegów z pracy psycholu zaczęły wkradać się

nowe, niepokojące tony. Kiedy i jak się to zaczęło, kto był pierwszy, trudno dziś stwierdzić, może źródłem były zwidy Jaśka Koniowódzca pod wpływem oparów starego błota z rząpia, może rozwinięte twórczo opowieści jego samego już później lub jego pierwszych w tej materii słuchaczy, powtarzających fantastyczną opowieść innym chętnym do słuchania, a może nie i tropu należałoby szukać zupełnie gdzie indziej, bo przecież sceneria i okoliczności sprzyjają takiej interpretacji tajemniczych faktów. Od pewnego więc czasu obok mrozących krew w żyłach, ale jednak racjonalnych teorii, zaczęto równoległe opowiadać historie nie z tego świata i te historie zaczęły mieć nie tylko słuchaczy, ale też wyznawców. Może nie afiszujących się ze swą wiarą zbyt ostentacyjnie, wierzących jednak nie mniej szczerze, choć skrycie, opowiadających o nich pod pozorem żartu czy bajki dla górniczych nowicjuszy. Brzmiały te bajki zaskakująco wiarygodnie, choć na żadnych faktach oparte nie były. I tak ludzie zaczęli wierzyć, zupełnie tak samo, jak dawni gwarkowie, dla których takie tłumaczenie niewyjaśnionych zdarzeń było zupełnie naturalne, bowiem dotyczyły ich one tak samo, w ten sam okrutny i tajemniczy sposób, dla ówczesnego świata wszakże całkiem zwyczajny, bo wynikający ze zwykłego porządku rzeczy.

Nakonieczny czwartą dobę mieszkał w altanie na działce Zochy. Altana była solidna, murowana, prawie jak domek jednorodzinny, nie dałby głowy, że postawiona zgodnie z prawem budowlanym i planem zagospodarowania

przestrzennego. Mimo to przyjemnie nie było. Na dworze panował jesienny ziąb, od ciągle padającego deszczu powietrze wypełniło się wilgocią, której z niepojętej przyczyny najwięcej było w środku. Grzał się farelką i jakoś dawało się wytrzymać, ale wszystko, co wykonano z tkaniny: pościel, zasłony, narzuty, ubranie, koc, stało się nieprzyjemnie mokre - może naprawdę, a może tylko w wyobraźni, na skutek sugestii, co nie zmieniało istoty rzeczy: wilgoć to wilgoć, niezależnie - prawdziwa czy wymaginowana, w obu wariantach tak samo paskudna.

Wprowadził się tu, gdy po powrocie do domu zastał mieszkanie w ruinie. Goście nie oszczędzili niczego, zrobili to świadomie, z premedytacją. Owszem, przeszukali wszystkie szuflady i szafy, w paru miejscach wypruli nawet panele z podłogi, ale widać było, że demolka sprawiła im niemałą frajdę, o czym mogły świadczyć wyrwane drzwiczki z pawlacza, porozbijane wszelkie szkło, jakie udało się im znaleźć, czy wyprute co do jednego klawisze pianina. Czasu mieli dużo, Nakonieczny z ostrożności, jak widać uzasadnionej, po incydencie w biurze noc spędził u Zochy. Nie wrócił więcej do niej, nie chciał narażać jej ani wnuczki, poszwendał się więc po mieście, zabijając czas i nigdzie nie bawiąc dłużej niż godzinę. Zocha także wykazała się przezornością: jemu dała klucz od działki, a sama spakowała się i wraz z dziecięciem wyniosła do matki. Miał nadzieję, że to wystarczy; nie powinno jej raczej nic grozić, nie uczestniczyła zbyt aktywnie w zleceniu od Dziwki, poza tym jednym epizodem w willi Gola, ale o tym nie wiedział nikt prócz Nakoniecznego. Bywała pomocnikiem, kierowcą, lecz poza

tym prowadziła tylko swoje małe detektywistyczne sprawy, o czym każdy, kto choć pobieżnie przyglądał się pracy ich agencji, musiał wiedzieć. Na pewno? A kto był tą jedyną osobą, która mogła znać jego miejsce pobytu, na kim wyłącznie miało sens wymuszenie informacji, gdzie szukać współnika? Tak, to był słaby punkt, ale nie każdy słaby punkt musi zaraz wywracać całą konstrukcję. Nie musieli na to wpaść, taką żywił nadzieję.

Nie miał sprecyzowanych planów na przyszłość, ani tę dalszą, ani najbliższą. Nie wiedział też, komu zawdzięcza swoją sytuację. Już stąd, z altany, próbował dodzwonić się do Chłasta, ale telefon milczał. Kto go tak urządził? Golo? Jego holenderscy współnicy? A może to robota ludzi Dziewkina? Kto wie, w jak skomplikowaną grę się wplątał. Czy raczej został wplątany, bardzo prawdopodobne, że z premedytacją. Co to była za forsa, za co, jaki związek miała z milionami Dziwki? Czy to jeden interes, czy może dwa niezależne, przypadkiem, przez niego – Nakoniecznego – splecione w fatalną całość? Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania, co gorsza nic nie wskazywało, że będzie miał w najbliższej przyszłości szansę na znalezienie odpowiedzi. Trudno rozwikłuje się kryminalne zagadki, siedząc kamieniem w ogrodniczej budzie na peryferiach Siemianowic, skąd wyściubia się nos tylko na dializę i szybkie zakupy w pobliskim sklepie. Czy da się to przeczekać, czy sprawa w dającym się przewidzieć horyzoncie czasowym przyschnie na tyle, że będzie mógł się stąd wykopać bez istotnego uszczerbku na zdrowiu? I wreszcie: czy straszili tylko, czy chcieli zabić naprawdę? Nie ma co się oszukiwać, nie sobie zawdzięczał, że

żyje, tylko niecelności strzału. Pozostawało kwestią, czy zamierzonej. Jakkolwiek było, perspektywy miał marne, jeśli coś się zmieni, to chyba nieprędko.

Dochodziło południe, co nie zaznaczało się jakoś szczególnie w przyrodzie: deszcz siąpił niezmiennie, było szaro i zimno. Z niechęcią wyjrzał przez okno; po szybie spływały krople, widział zza nich rozmazane kontury jabłunki. Prawie nie miała już liści, wisiało na niej jedynie kilka smętnych, zwiędłych brunatnych strzępków. Wstał z kanapy i wyszedł na ganek. Widok rozmokłego świata poszerzył się, dołączyły do niego dźwięki, w tym miejscu szczególne: wielotonowy świergot ptaków, skrytych gdzieś przed wodą, mokrych pewnie i zziębniętych, lecz nieustających w pełnej życia wrzawie. Szumiał deszcz, szeleściły łyse drzewa, pluskała woda w rynnie. Poza tym panowała cisza. Powiało ostrzej, zimny, mokry podmuch wsunął mu się pod bluzę, przesiał przez koszulę, dotknął ciała niczym mokrą, lepka dłoń. Przeszedł go dreszcz, cofnął się do wnętrza, usiadł z powrotem na kanapie, włączył mały telewizorek. Obraz śnieżył i pływał, dźwięk był burczący, ledwie dawało się zrozumieć słowa spikerki. „Pewnie wiatr przestawił antenę” – pomyślał. Nie miał ochoty wychodzić teraz i poprawiać, wzdrygnął się na samą myśl. Później to zrobi, gdy przestanie padać. Popatrzył na ekran, akurat leciały wiadomości, słuchał nieuważnie. Polityka, polityka, trochę katastrof i znów polityka. I jeszcze katastrofa, pożar tym razem. Wywiad ze strażakiem, zapłakani ludzie o pustych oczach. Starsza kobieta z małą dziewczynką.

Wyprostował się, jak ukłuty szpilką. Przypatrzył uważniej.

Szlag z tym obrazem. Ta kobieta... Znał ją, widział ze dwa razy. A dziewczynka...? Ją widywał częściej, znacznie częściej.

Rzucił się do wieszaka, nerwowo przeszukał kieszenie, znalazł. Wybrał znany numer. Nie powinien, wiedział o tym, jednak nic lepszego nie przyszło mu teraz do głowy. Kilka długich sygnałów, sekretarka. Wyłączył, znów wybrał. To samo. Powtórzył, już bez nadziei na sukces. W połowie komunikatu rozłączył się i rzucił komórkę na stół. Przesunęła się przez całą szerokość blatu, po czym spadła na podłogę, usłyszał niepokojący trzask, komórka zniknęła pod kanapą. Zaklął i schylił się, po omacku włożył dłoń pod frędzle narzuty, pomacał, natrafił, wyciągnął. Obejrzał telefon – nic mu się nie stało, wypadła tylko klapka od baterii. Podniósł ją i włożył na miejsce. Na próbę włączył pocztę głosową: działała. Ostrożnie położył aparat na blacie stołu. Jeszcze brakuje, żeby rozbił swój jedyny kontakt ze światem.

Zocha nie odbierała.

„Może to nic nie znaczy – próbował uspokoić sam siebie. – Może zbieg okoliczności, może była tam, tylko nie w kadrze, może to w ogóle nieszczęśliwy przypadek, pożary się zdarzają, codziennie pali się w kraju parę domów, padło tym razem na Zochy mamę. Może”. Zbyt długo jednak pracował w branży, by za pewnik i podstawę przyjmować optymistyczny wariant wydarzeń. Może i tak jest, lecz dopóki nie zdobędzie pewności, istnieje wyłącznie wariant najgorszy. Zdjął z szafy neseser, wysunął szufladę. Po upływie pięciu minut szedł mokrą alejką między działkami, chowając w kapturze twarz przed deszczem.

Na parkingu przed ogródkami wsiadł do samochodu; wykręcając w ciasnocie kabiny ramiona, niczym człowiek guma, zdjął mokrą bluzę, syknął z bólu, boleśnie zawadziwszy łokciem o kierownicę. Rzucił bluzę na tylne siedzenie, obniżył oparcie fotela i wyciągnął się wygodnie. Musiał pomyśleć, spokojnie pomyśleć co dalej.

Po półgodzinnym siedzeniu był w tym samym miejscu, co na początku. Co robić? Należało się gdzieś zamelinować, zyskać trochę czasu, o reszcie pomyśli, gdy będzie wystarczająco bezpieczny. Wyjechać ze Śląska? Można, miał ciotecną siostrę na wsi pod Radomskiem, nie utrzymywał z nią kontaktów, gdyby zaraz, nic nikomu nie mówiąc, wystartował, pies z kulawą nogą nie wiedziałby, gdzie się podział. To było rozwiązanie najbezpieczniejsze, z gwarancją skuteczności, coś go jednak powstrzymywało, nie miał ochoty zniknąć bez żadnej reakcji, nie lubił tak definitywnie przegrywać. Nie będzie przecież przez całe życie uciekać, ukrywać się przed jakimiś bandziorami, zwykle to on był w ostatecznym rozrachunku górą, nie bandziory. Teraz też miał taki zamiar, nie osiągnie go, macając kury na mazowieckiej wsi.

W kieszeni kurtki za plecami zapiszczał telefon. SMS? Sięgnął przez oparcie. Gdy uaktywnił ekran, najpierw zobaczył numer Zochy, a potem zdjęcie. Zocha, przywiązana do krzesła, z wykręconymi za plecy rękami, miała opuchniętą, zakrwawioną twarz i zmierzwione, pozlepiane włosy. Jej jasny T-shirt poznaczony był brunatnymi smugami. Gdy przesunął obraz dalej, na ekranie pojawił się tekst. Przeczytał go, rzucił telefon na siedzenie obok i przekręcił kluczyk w

stacyjce. Ostro, zgrzytając oponami po żwirze, zawrócił samochód i kolebiąc się na wybojach, pojechał w stronę szosy. W połowie drogi ze złością uderzył pięścią w kierownicę i dopiero wtedy, gdy poczuł ból stłuczonego nadgarstka, na głos wykrzyczał odpowiedź na przeczytane przed chwilą pytanie:

- Nie, kurwa, nie smakuje! Nie cierpię marchewki, gnoju!

Niedaleko miejsca, gdzie rzeka Kłodnica w sposób unikatowy przepływa pod Kanałem Gliwickim przez oryginalny przepust, zwany syfonem Kłodnicy, nurt wyrwał jedną z betonowych płyt, służących do regulacji brzegów tej narowistej rzeczki. Nie wyrwał jej niedawno, powstała tu dzięki uwolnieniu nurtu zatoka była zamulona, a jej brzegi zarosły sporymi chaszczami, wypełniając wyrwę po betonie zielonym, splątany gąszczem. Teren był zapuszczony i dziki, nikt tu nie zaglądał, wszelkie więc niespodzianki, jakie mogła zgotować rzeka, pozostawały nieodkryte całymi miesiącami. Taki też los czekał nawilgły, bury tłumok, który woda wyrzuciła w wyrwie po płycie regulacyjnej, zaczepiwszy go o nisko wiszące gałęzie i odłamki betonu ze sterzącymi z nich zardzewiałymi stalowymi prętami zbrojenia. Tłumok kołysał się na falach przez całą zimę, bowiem Kłodnica, z racji składu chemicznego swojej wody, jest rzeką od dziesięcioleci niezamarzającą nawet przy siarczystym mrozie. Napuchł w tym czasie, a związki chemiczne, dzięki którym Kłodnica nie tylko nie zamarzała, ale posiadała również wiele innych oryginalnych cech, jakimi nie mogła się pochwalić

chyba żadna inna rzeka, przyczyniły się do znacznego jego rozkładu, gdy więc z wiosną tłumok, do tej pory trzymający się brzegu, uwolnił się którejś nocy i popłynął dalej, do Odry, w niewielkim tylko stopniu przypominał ciało kobiety. Kiedyś tam, gdzieś, ktoś go wyłowi i pewnie dzięki postępom medycyny sądowej rozpozna, ale wówczas nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Motel znajdował się w niskim, parterowym baraczk, przypominającym niegdysiejsze prowizoryczne hotele robotnicze na wielkich budowach socjalizmu. Od tamtego hotelu odróżniał go nieznacznie standard i w większym stopniu widok zewnętrzny - ktoś, kto to odkupił od firmy państwowej, włożył trochę, choć nie za dużo, grosza w nowy makijaż, którym zapudrował z grubsza socjalistyczną siermiężność. Nie wysilił się przy tym, co było zgodne z filozofią funkcjonowania takich przybytków. Motel nie miał służyć turystom, a raczej znużonym długimi trasami kierowcom tirów, których kusił niewygórowanymi cenami i prostą, lecz smaczną kuchnią. Tego typu gości wabił również dużym utwardzonym placem do parkowania wielkich ciężarówek, na frekwencję nie mógł więc narzekać. Parking w zasadzie nigdy nie świecił pustką.

Pokój był wąską kiszka z dwoma jednoosobowymi tapczanami i stolikiem między nimi. Przy wejściu, za kotarą, znajdowała się umywalka i na tym kończył się luksus. Toaleta oraz łaźnia, wspólne dla wszystkich gości, ulokowane były na końcu długiego korytarza. Pokój

śmierdział starym dymem tytoniowym; przesiąkły nim elementy wyposażenia, które choćby w niewielkiej części składały się z jakiegoś rodzaju tkaniny: kotary, narzuty na leżankach, tapicerka leżanek i prostego fotela oraz siedziska dwóch starych krzeseł, pewnie też zasłonka oddzielająca umywalkę od reszty pomieszczenia. Nie znosił tego zapachu, choć sam dużo palił. Stary dym, podobnie jak stary smród nie- opróżnionej popielniczki, przyprawiał go o mdłości. Tak było zawsze, nawet gdy był jeszcze młody i palił od niedawna. Z czasem wrażliwość na papierosowy fetor wzrosła, dziś zaliczał go do najgorszych, jakie musiał wahać w życiu.

Otworzył okno i zapalił papierosa. Świeży dym przykryje ten stary, choć dla przyszłych lokatorów będzie dodatkowym jego składnikiem, gdy już wsiąknie w materiał i nawarstwi się na tamten, także przecież złożony z setek, a może tysięcy wypalonych tu porcji tytoniu. Dołączył więc do tych, którzy ów fetor tworzyli, twórczo kładli cegielkę do jego wieczystego utrwalenia. Pomyślał, że w gruncie rzeczy guzik go to obchodzi. Choć wołałby nie wdychać. Co będzie jednak znaczyć jego wyrzeczenie? Nic. Na przeszłych ani przyszłych palaczy, którzy dołożą się, jak on teraz, do piramidy smrodu, wpływu to mieć nie będzie. Nie uratuje ani cząsteczki świeżego powietrza, a papieros był mu teraz potrzebny.

Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym w ciemność za oknem. Patrzył, jak sine pasemka pętlą się przez chwilę na skraju blasku, a potem nikną w mroku, nie stopniowo, lecz nagle, jak gdyby odcięte ostrą krawędzią strefy światła. Wpatrzył się w niewidoczność nocy, słuchając szmeru

mżawki, a w niej narastających i gasnących smug dźwięku samochodów, gdy mijały zajazd, mknąc szosą, skrytą za linią czarnych drzew. To miejsce. .. Nieistniejący, nienazwany punkt na drogowej mapie kraju, gdzieś wśród kilometrów asfaltu, jeden z tysięcy podobnych. Tu był bezpieczny. Lecz jak długo można ukrywać się w bezimiennych motelach i zajazdach? Na jak długo wystarczy mu pieniędzy, lekarstw i sił? W jaki sposób przeżyć w tym stanie zdrowia, bez regularnych dializ i konsultacji lekarskich? Już opuścił jeden zabieg, kolejny przed nim, za dwa dni powinien znów przypiąć się do pompy. Poczul ucisk w piersiach. Zocha...? Nie miał złudzeń. On sam żył tylko dlatego, że jakiś głupekowaty mięśniak postanowił pochwalić się, że mają Zochę. Gdyby zamiast tego wsiedli w samochód, w najlepszym przypadku w krótkim czasie siedziałby na pokrwawionym krześle obok niej. Tak, zabawa się skończyła, nadszedł czas, by to przeciąć.

Cofnął się do pokoju i zamknął okno. Z kieszeni kurtki wyjął komórkę, przez chwilę się wahał, a potem wybrał numer.

- Marcin Zalewski... Tak. Świetnie. Kiedy...? Co...? Ma do mnie sprawę? Wie pan jaką... ? O kim? Dziwka... Ciekawe, nawet bardzo ciekawe... Nie, nie, to ksywa taka. Dobrze, panie dyrektorze, proszę mu powiedzieć, że czekam na kontakt... Tak, jeśli będzie konieczne, dostanie ochronę, schowamy go. Niech dzwoni jutro rano. Dobranoc.

Patrzył na postarzałego, zmęczonego, nieogolonego i pewnie niezbyt domytego typu w fotelu naprzeciw i łapał się, że musi mówić sobie, niemalże sam siebie przekonywać, iż to Jędrus Na- konieczny, ten sam Jędrus, druh z akademika, z którym morze piwa wypili i zaliczyli niejedną imprezę, na studiach i potem, aż się Jędrus okazał koniunkturalną esbecką szują i już o żadnych wspólnych imprezach mowy być nie mogło. I ten sam Jędrus, któremu w imię dawnej przyjaźni podał rękę, gdy go już jego sławna firma porzuciła, odchodząc w czeluście historii. Już nie kozak i fanfaron, ale przecież facet silny i życiem hartowany, a tym mocniej, że nie zawsze szlachetnie. Takiego go widział jeszcze parę tygodni temu, zanim zniknął mu z pola widzenia w tych swoich tajemnych szpiclowskich sprawach. Dziś był cieniem tamtego człowieka.

Przez chwilę popatrzył mu w oczy, a potem zmieszany odwrócił wzrok. Nie chciałby pewnie Jędrus wiedzieć, że zobaczył tam jego starannie skrywany strach.

- Nie pytaj czemu - powiedział cicho Nakonieczny. - Popracuję dla was. Warunki zna Zalewski. Ty daj mi tylko kąt w Domu Górnika na osiedlu przy kopalni i etat w jakichś służbach, które w zakresie obowiązków mają włączenie się po kopalni bez wzbudzania ciekawości.

Bugdoł popatrzył na niego bez słowa.

- W coś ty wdepnął, Jędrus? - zapytał po dłuższej chwili.

Nakonieczny pokręcił głową.

- Nie chcesz wiedzieć.

- Może powinienem?

- Na pewno nie.

- Jak uważasz. - Bugdoł wstał z fotela. - Pójdiesz teraz do kadr, jesteś zatrudniony jako sztygar bhp. Zaraz tam zadzwonię, będą wiedzieć, zanim dojdiesz. Specjalnie się z tym etatem nie afiszuj, możesz w ogóle nie pokazywać się w dziale, kierownik to zaufany facet. Potem idź do socjalnego, dadzą ci skierowanie do Domu Górnika. Od jutra zaczynasz.

- Mam zgłaszać komuś zjazdy na dół? Wolałbym nie.

- Dzwonź do mnie. Najlepiej zjeżdżaj z całą załogą, o szóstej, nie będziesz zwracał uwagi. Wiesz, później zjeżdża kadra, znają się w większości, ktoś może zapytać.

- Jasne, tak zamierzałem. W tłumie mało kogo będę obchodzić.

- Właśnie tak.

- Fajnie. - Nakonieczny wstał również i skierował się w stronę drzwi. - Jeszcze jedno... - Zatrzymał się z ręką na klamce. - Potrzebuję kogoś do kontaktów. Takiego, wiesz, do natychmiastowego użycia. Nie będę z każdą pierdołą dzwonił do ciebie czy Zalewskiego.

Bugdoł kiwnął głową.

- Pomyślę.

- Byle krótko. Zanim zjadę, chciałbym go już mieć.

- Zadzwonię do ciebie.

Dłuższą chwilę obserwował zamknięte za detektywem drzwi i ciągle go tam widział. Coś musiało się stać, coś ważkiego, może tragicznego, że się Nakonieczny zdecydował. Chyba z samego powodu kłopotów z klientem, niechby i najbardziej narwanym, nie uciekałby pod skrzydła policji i do tego do znienawidzonej przecież kopalni. No cóż, nie chciał mówić - jego sprawa. Bugdołowi, a zwłaszcza Zalewskiemu z

policyjną ferajną, dzięki tym kłopotom spadał jak z nieba. Bugdoł wierzył w talent śledczy byłego przyjaciela, zetknął się już z jego efektami, cóż ze wrednymi, skutecznymi przecież. Potrafił docenić profesjonalizm.

Podniósł słuchawkę.

- Pani Steniu, proszę z inżynierem Stasiakiem.

Podchodząc do okienka portierni, przez chwilę poczuł się jak w akademiku. Jakby wróciły dawne czasy. Ileż to razy pod takim samym okienkiem przemykał się z kolejnymi dziewczynami, cichutko, by nie obudzić drzemiącej na zapleczu portierki, a potem galopem po schodach, byle minąć pierwsze piętro; dalej, choćby się nawet wydało, nigdy żadna cerberka nikogo nie ganiała. Panowała niepisana i z nikim nieuzgadniana zasada, że jeśli nie udało się winowajcy przechwycić do pierwszego półpiętra, recepcjonistka uznawała się za pokonaną. Te gonitwy były zresztą jedynie formą rytuału, podkreślenia rangi i władzy, bowiem pudełko czekoladek od czasu do czasu albo paczka deficytowej kawy bardzo pogłębiały sen oraz psuły wzrok i tępiły spostrzegawczość służb portierskich. Ale to dopiero od trzeciego roku, dwa pierwsze roczniki mogły liczyć jedynie na szczęście w biegach po schodach.

Podał portierowi kartę meldunkową i odebrał klucze.

- Trafi pan? - usłyszał zza szyby i kiwnął głową. Budynek Domu Górników był z tego samego katalogu standardowych projektów, co jego dawny akademik i pamiętał zapewne te same lata.

Pokój znajdował się na drugim piętrze w lewej części korytarza, na samym końcu. Za jego drzwiami było już tylko okno. Zanim otworzył, machinalnie wyjrzał. Za szybą poruszały się łyse gałęzie drzewa, chyba lipy, bez liści nie potrafił rozpoznać. Dalej kawałek wydeptanego trawnika, ścieżka z betonowych płyt i szczytowa ściana sąsiedniego budynku z rzędem malutkich balkonów pośrodku. Na większości z nich suszyło się pranie, wywieszzone pewnie na zasadzie odruchu, osiedlowego uwarunkowania, stadności zachowań, bo pogoda nie sprzyjała schnięciu. Nie padało, ale w powietrzu wisiała późnojesienna wilgoć i było zimno, nie więcej pewnie niż pięć stopni powyżej zera. Stał chwilę, gapiąc się na ten osiedlowy pejzaż, w którym nie było żadnego ruchu, żadnej dynamiki poza rachitycznym drżeniem łysych gałęzi, co dało się pominąć jako dla statyki obrazu nie- znaczące, a potem przekręcił klucz w zamku.

Pokój też był typowy. Nieraz zdarzało mu się mieszkać w górniczych hotelach, gdy zaliczał kolejne praktyki wakacyjne, i wszystkie były takie same. Smutne. Zastanawiał się kiedyś, co takiego jest w duszach tych pomieszczeń, że mimo niemal identycznego wyposażenia i kolorystyki ścian pokoje studenckie miały w sobie życie i rodzaj nieożywionego humoru, a lokale robotnicze nie. Pokoje dla ludzi pracy były bezosobowe, wewnątrz szare, niezależnie od koloru użytej farby, i nieprzychylnie lokatorom. Może wpływ miał większy odsetek tymczasowości, jaki wnosili w te mury - dla studenta akademik był jednak domem. Ale to takie tylko bezpodstawne spekulacje, ćwiczenia z chałupniczej filozofii. Nigdy nie poszedł w nich dalej, nigdy nie doszedł do

żadnych wniosków. Bo i w gruncie rzeczy po co?

Rzucił nesesor na łóżko, podszedł do okna i wyrzał, odsuwając palcem brzeg firanki. Nic ciekawego, to samo osiedle, tylko z innej perspektywy. Pod oknem asfaltowy chodnik, dalej łysawy trawnik z klombem pełnym suchych badyli, potem osiedlowa uliczka, bloki. Nigdzie żywego ducha, co go nie zdziwiło, pora była południowa, pogoda pod psem, komu by się chciało wychodzić, jeśli nie musiał. Stał i patrzył w ten nieruchomy obraz, podświadomie oczekując zmiany. Dopiero po dłuższej chwili zza węgła sąsiedniego budynku wyłoniła się przygarbiona postać tęgiej kobiety w ortalionowym pikowanym palcie z kapturem, obciążonej równomiernie z obu stron tęgiego ciała parą siat z logo pobliskiego bieda-marketu, z których wystawały wiechcie zieleniny i długa bułka. Kobieta minęła Dom Górniką i zniknęła za zakrętem chodnika. Krajobraz ponownie zamarł, znieruchomiał jakby z ulgą, jak gdyby pozbywszy się intruza, powrócił do swego naturalnego stanu, do bezruchu i trwania. Tak, to dobre miejsce do zniknięcia, takie osiedle pośrodku hektarów pustkowia, gdzie tylko kopalnia i tuż przy niej kilka bloków na krzyż, zamieszkanymi przez ludzi, dla których kopalnia była całym życiem i niczego więcej od niego nie oczekiwali. Lepsze niż niejedna policyjna melina z programu ochrony świadków. Trafiał tu tylko ten, kto wiedział, gdzie ma trafić, większość, szczególnie spoza Śląska, o istnieniu takich miejsc nie miała pojęcia.

Były niczym osady Armii Radzieckiej z dawnych czasów. Anonimowe, nieistniejące.

Puścił firankę i odsunął się od okna, potem rzucił się na łóżko, obok neseseru, i w ciągu paru sekund zasnął. Nic mu się nie śniło.

Obudził go straszny łomot. Przez kilka długich chwil leżał z zamkniętymi oczami, niechętnie odganiając hałas, który wdzierał mu się pod obolałą czaszkę, potem jednak, uznawszy porażkę, podniósł się niechętnie, mamląc pod nosem jedno przekleństwo za drugim. Wstał i wyrzwał na korytarz.

Zdażył cofnąć się w głąb pokoju, gdy tuż obok, zawadzając o framugę, przeturlała się z hukiem blaszana śmietniczka. Za nią łomotnął w drzwi bezwładny kadłub czyjegoś pijanego ciała. Dryblasowaty osobnik wtoczył się za próg, na widok gospodarza cofnął się i ledwo zrozumiałe wybełkotał:

- Sorry... - A następnie zrobił zamaszysty wykop i śmietniczka poturlała się dalej, z brzękiem zatrzymując się na ścianie, pod parapetem. Osobnik chwiejnie podążył za nią.

- Kurwaaa!!! - rozdarł się ktoś niewidoczny. - Czy ciebie, luj, pogięło?!

- Co pogięło? - odwrzasnął dryblas i ponownie przyłożył śmietniczce z obcasa. - Nie spać mi w dzień, ryle! Pan Kaziuk z urlopu wraca!

Jakieś drzwi w drugim końcu korytarza otworzyły się z hukiem, na schodach załomotały szybkie kroki. Zamknął drzwi i usiadł na wersalce. Bezwiednie, wbrew chęciom wsłuchiwał się w przytłumione teraz odgłosy awantury, przekleństwa, szarpaninę, bełkot pijanego pana Kaziuka, potem miękkie hurkot padającego ciała. „Pewnie pan Kaziuk zarobił w dziób od niewyspanego ryła” - pomyślał. Zakłócanie

spokoju nocnej zmianie nie jest w hotelu robotniczym czynnością bezpieczną, zawsze się bowiem znajdzie ktoś większy i bardziej zdeterminowany od narąbanych pourlopowo i wypełnionych pijacką adrenaliną panów Kaziuków, których jest tu niemało, jednak przecież w mniejszości.

Gdy po kilku minutach ciszy ponownie wyjrzał na korytarz, nie było tam nikogo. W kącie poniewierała się rozdarta reklamówka, coś się z niej wylewało spośród kawałków powyginanego szkła z rozbitego słoika, z rozdarcia groteskowo sterczało ku górze zgniecione obcasem pęto kielbasy. Nie dowiózł więc pan Kaziuk ze swojej wsi wałówki, w którą na drogę wyposażyła go matka, może żona. Przyjrzał się zdemolowanej paczce: niewiele tam było do ocalenia, ale panu Kaziukowi, gdy się jutro obudzi i z kacem w ustach pogna spóźniony na zjazd, już tak bardzo nie będzie na niej zależeć. Paker zupka zastąpi matczyną czy też żoniną ogórkową, podwawelska z kopalnianego sklepiku – swojską z niedawnego świniobicia. I nawet nie będzie nadmiernie żałował, zupa regeneracyjna na Gertrudzie jest mięsna, smaczna i kaloryczna, zastąpi z powodzeniem obiad, Nakonieczny pamiętał z minionych czasów, jadał ją wówczas często, nie dla oszczędności, choć trochę też, bardziej jednak czasu niż pieniędzy. Nie ze skąpstwa więc ni z biedy, a dlatego, że ją lubił. Kopalniane zupki były jednym z plusów jego ówczesnej parszywej roboty. Przy czym parszywa to ona jest z dzisiejszej perspektywy, gdy czas potoczył się tak, a nie inaczej, wtedy parszywa nie była, gdzieżby. Może czasem. Ale się do tych jej parszywych elementów przyzwyczaił – nie, złe sło-

wo - raczej się pogodził. Zaakceptował jako koszt nieunikniony. I nie mógł dziś samemu sobie za bardzo ściemniać, że mu z tym było źle, bo nie było. Jeśli brzydził się czegoś, to w sposób, w jaki człowiek brzydzi się anatomicznego turpizmu: odchodów, krwi, męczenia zwierząt... Brzydzi się fizycznie. Wstrząsa nim organiczna odraza, mająca źródło w uwarunkowaniach estetycznych. Moralna, psychologiczna słabość z powodu konfliktu wartości? Nie doświadczył takiej wówczas. Dziś zresztą też nie - dziś może widział to inaczej, lecz raczej z punktu osobnika przegranego, który analizuje przyczyny porażki i uświadamia sobie, że w tym wyścigu idei postawił na złego konia, niż z racji wrodzonej wrażliwości. Odraza, jaką żywił do siebie, nie wypływała z bodźców instynktu, była trzeźwym uznaniem faktu zwycięstwa innego kanonu, innego zestawu przykazań. To umiał: pogodzić się, uznać wyższość. Elastyczność sumienia załatwiała resztę.

Wrócił do pokoju. Za oknem rozgościł się wieczór, paliły się osiedlowe lampy, pomarańczowy poblask zółcił firankę. Przespał ładnych parę godzin, teraz będzie problem z nocą. Otworzył torbę, wyjął z niej koszule, bieliznę, powrzucał byle jak do szafy, potem z dna wyciągnął laptop, ustawił na stoliku pod oknem, odpalił. Bez refleksji przeleciał kilka głównych witryn najpopularniejszych portali. Wszędzie to, co zawsze: wojna, przemoc, głupawe nowinki, tylko baby z brodą brak, przede wszystkim dlatego, że baba z brodą to już news mało medialny. Arsenal wygrał z Lazio, siatkarze niespodziewanie dostali łomot od Turcji, całe szczęście, że w drugorzędnym turnieju. Posurfował z godzinę po

darmowych stronach z ciekawostkami, obejrzał dwa filmiki o kotach, zajrzał do poczty, nic poza spamem, wyłączył, zamknął. Poleżał jeszcze, licząc rysy na suficie, po czym wstał, zdjął z wieszaka kurtkę i wyszedł.

- Spacererek? O tej porze? - Za szybą portierni siedział już inny portier, starszy, barczysty, pewnie dorabiający emeryt. Lub rencista - zamiast lewej ręki miał drewnianą protezę.

Odruchowo spojrział na zegar nad jego głową. Dochodziła dwudziesta pierwsza.

- Wcześniej jest - odpowiedział. - Muszę się przewietrzyć. Nie zasnę przez tę awanturę, a jutro rano do roboty.

- Pierwsza szychta?

- Pierwsza - przytaknął.

- Do awantur przywyknie, tu nie Marriott, byle się nie prali, a też się zdarza. Obudzić może rano?

- Mógłby pan?

- Jasne. Budzę połowę hotelu, to i jego mogę. Pokój który?

- Dwieście dwanaście.

Portier zapisał.

- Załatwione. Nie chodzi za długo, o dwunastej zamykam i będzie się musiał dobijać.

- Do tej pory na pewno wrócę - obiecał.

- Budzenie o pół piątej! - usłyszał jeszcze, wychodząc, zanim trzasnęły drzwi.

Wiatr odgiał mu połę kurtki, ledwie minął narożnik budynku. Mżawka, dotąd prawie niezauważalna, bardziej skroplona wilgoć niż deszcz, zacięła ostrzej, poczuł na twarzy siateczkę mokrych ukłuć. Nie spodziewał się takiej pogody, z okna nie wyglądało to tak źle, ale nie miał zamiaru wracać.

Trochę deszczu nikomu nie zaszkodziło, jesień jest ostatecznie, no i przecież nie leje, najwyżej mży. Nawet nie zmoknie za bardzo. Zasunął zamek, podniósł kołnierz.

Jeszcze sobie nie poukładał obecnej sytuacji, a może byłby czas? Dotąd koncentrował się na ucieczce, na poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby zniknąć w sposób trwały, zanim sprawa nie uspokoi się, jakoś nie unormuje, gdy będzie mógł uznać, że jest do tego stopnia bezpieczny, iż ukrywać się już nie musi, bo przy takim stopniu zagrożenia potrafi dać sobie radę sam. Pomysł z kopalnią wydał mu się nie najgorszy – jeśli nie będzie nigdzie łąził poza to zapomniane przez Boga osiedle, przez jakiś czas może uznać się za bezpiecznego. Zresztą wkrótce pewnie zjawią się tu różni smutni panowie, może już są. Organa w osobie prokuratora Zalewskiego obiecały ochronę w zamian za wystawienie Dziewkina, a jeszcze bardziej za pomoc w sprawie tych napadów, czego oczywiście nikt z nich głośno nie powie, lepiej zasłonić się rozpracowywaniem mafii, niż przyznać do bezsilności. No właśnie. Teraz, gdy osobiste bezpieczeństwo mógł odsunąć na drugi plan, wypadało zastanowić się nad faktycznym powodem troskliwości prokuratury. Miał w końcu coś do załatwienia i w tym celu od jutra znów będzie górnikiem. Bo też kłopot mają z tym niewąski...

Nie dziwił się, że szukają niekonwencjonalnej pomocy, prowadzenie nierzucającego się w oczy śledztwa w kopalnianych podziemiach to sprawa nietuzinkowa i niełatwa, a przecież stada tuzów inwigilacji i dedukcji w tutejszej policji raczej nie należy się spodziewać. Och, nie żeby zaraz sam się za tuza uważał, zdawał sobie jednakże sprawę, że posiadał atut

oprócz doświadczenia i umiejętności śledczych niebagatelny: w porównaniu z resztą zaangażowanych przy dochodzeniu znał środowisko, miał w nim praktykę. Może nie jakąś doskonałą, ale i tak lepszą niż ktokolwiek z nich. Dziś bowiem do policji z górnictwa się nie szło, ruch, jeśli był jakiś, to w odwrotną stronę. Dobrze... Dzięki tym atutom był im potrzebny, to już ustalono. Co natomiast wiedział o samej sprawie? Tu było gorzej, prawie nic. Jutro, zamiast pchać się na dół, powinien więc raczej poświęcić czas na zapoznanie z dotychczasowymi wynikami śledztwa. O ile znał się na tej robocie, nie było ich porażająco dużo. Trochę zdjęć, protokoły przesłuchań... Nikogo kluczowego, poza jednym. Ten sztygar, ten, któremu się udało. Słuchali go już? Dostał w łeb czymś ciężkim, przeżył, powinien więc chyba dojść już do przytomności?

Wyjął komórkę – przeczornie kupił nową, na kartę, nikomu jeszcze nie podał jej numeru – i wystukał numer, podany przez Bugdoła.

- Nakonieczny – powiedział, gdy usłyszał po drugiej stronie: „Słucham, Stasiak”. – Na jutro potrzebny mi będzie jakiś nie-krępujący pokój i parę rzeczy od prokuratora. On będzie wiedział co. Jak najszybciej, najlepiej rano.

Coś się strasznie tłukło, suchym stukiem wybijało skomplikowany rytm o nierównym interwale: trzy drewniane łupnięcia, cisza, trzy łupnięcia, cisza, ale ta cisza raz była dłuższa, raz krótsza, a niekiedy prawie wcale jej nie było, tercje stuknięć następowały po sobie nieomal natychmiast,

by znów się od siebie oddalić na nieprzewidywalną odległość. I zbliżało się. Łup-łup-łup, łup-łup-łup. Raz i drugi zabrzączało szkliście, potem znów drewno i znów... Sen spłoszył się, spadł niczym łuska, żadnego rozmamłanego półśnienia, wypływania na jawę jak spod wody, tylko od razu: ciach - i był na powierzchni, i już nie zanurzył się w nic.

Otworzył oczy, było ciemno, fosforyzująca tarcza budzika wskazywała prawie wpół do piątej, za minutę, dwie usłyszałby dzwonek. Zaklął w duchu - nie ma nic gorszego, niż obudzić się na pół chwili przed budzikiem. Łup-łup-łup, ŁUP-ŁUP-ŁUP - zadudniło w drzwi pokoju, jakby ktoś walił w nie kijem bejsbolowym, i po chwili ciszy znów łupnęło po drugiej stronie korytarza, o kilka drzwi dalej. Budzenie - przypomniał sobie. Uśmiechnął się złym uśmiechem. Choćby i nie zamawiał, byłoby już po spaniu. Wstał, wyjrzał na korytarz. Portier z nocnej zmiany minął już wyjście na schody i teraz łupał drewnianą protezą ręki w co poniektóre drzwi po przeciwnej stronie. Zza drzwi poczęły dobiegać odgłosy porannego ruchu, poprzedzane nieparlamentarnymi wiązankami pod adresem budziciela. Nie dziwiły go, chętnie puściłby mu podobną, powstrzymała go świadomość, że sam zamawiał... A gdyby nie zamawiał? O, wtedy puściłby bez zahamowań.

Przyglądał się dobiegającemu końca spektaklowi pobudki, aż portier doszedł do przeciwległego krańca korytarza. Wydawało się, że na tym powinien zakończyć, przynajmniej na tym piętrze, ale nie, budzenie musiało mieć finał, ukoronowanie cyklu. Budzący zatrzymał się przy parapecie,

odwrócił i wrzasnął:

- Pobudka!!! - A głos miał tubalny, dźwięczny niczym operowy baryton, do tego słowo to nie popłynęło zwyczajnie, jednotonowo, jak należało się spodziewać, tylko, poddane zawiłej modulacji, niczym zaśpiew domokrażczy zawibrowało przeciągłe na kilku wysokościach i dopiero wówczas ścichło.

- Szlag by cię...! - jakiś najbliżej obudzony podsumował zza swoich drzwi spektakl, czym nie skonfundował zupełnie portiera, który bez wzruszenia skierował się ku schodom, by ze swoistym namaszczeniem i poczuciem istotności powtórzyć procedurę piętro wyżej.

Zamknął drzwi i poszedł do umywalki. Zrzucił piżamę, ogolił się, umył, wyszorował zęby. Po rozespaniu nie został ślad, ubrał się, przycesał włosy grzebieniem. Włączył czajnik, z szafki wyciągnął bułkę, z lodówki kawałek kiełbasy. Zjadł na trzy kęsy, popił łykiem wrzącej herbaty, zdjął z wieszaka kurtkę, przez ramię przerzucił parcianą raportówkę i wyszedł, zamykając drzwi na klucz. Sąsiednie pokoje opróżniały się również, ich lokatorzy, kończąc śniadania w locie, ruszali na pierwszą zmianę. Nakonieczny dotarł do schodów, zatrzymał się i zawahał, po czym zawrócił. W pokoju z dna szafy wyjął neseser, a z niego tetetkę. Zatknął ją za pasek na plecach i dopiero teraz opuścił hotel ostatecznie.

Na dworze było jeszcze zupełnie ciemno, gdy w tłumie pracowników przekraczał kopalnianą bramę. Senni, milczący ludzie, w dyżurce senny ochroniarz, puste spojrzenie prześlizgujące się po szarych sylwetkach, gdy mij ały furtkę... Czy jest w stanie coś zobaczyć, wyłowić kogoś z przelewającej się tysięcznej bezimiennej masy, kogoś, kto tu z jakiejś

przyczyny nie pasuje, więc nie powinien się znaleźć? Żarty. Najpierw trzeba znaleźć taką przyczynę, powód odstawania, a o to niełatwo, wystarczy być zwyczajnym. Podejrzewał, że w stosowanych tu kategoriach zwyczajności może nie zmieściłby się człowiek innej rasy: Murzyn, Azjata; albo ktoś na wózku inwalidzkim, na dole jeszcze inwalidzi nie pracują. Do takiego może ktoś by wyszedł i przynajmniej zapytał. A może i to nie. Chyba że, ewentualnie, Murzyn na wózku... „Marny dowcip - ocenił sam siebie - ale na jakie dowcipy może być stać człowieka o piątej rano?”

Przy końcu alei odłączył od strumienia pierwszej zmiany i skręcił w kierunku biurowca. Kiwnął głową dyżurnemu, nie przyglądając się, czy ten bardzo zdziwił się na jego widok, i wszedł na schody. Dział bhp mieścił się na drugim piętrze, zapukał do pierwszych drzwi. Powitał go uśmiech puciołowatej pianistki.

- Pan inżynier Nakonieczny? Proszę tam, kierownik czeka.

- Wskazała drzwi obok szafy.

- Powitać. - Zza biurka podniósł się z wysiłkiem tęgi, łysawy mężczyzna. - Wyście som Nakonieczny, ja? Stasiak - przedstawił się, wyciągając ku niemu rękę. - Dyrektor o wszystkim mie godoł.

- Nakonieczny - mruknął w odpowiedzi Nakonieczny. - Mówił też, że mam się nie rzucać w oczy? - Miał nadzieję, że jednak nie o wszystkim.

- Ja, bydzie dlo vos kamerlik piętro wyży, mały, ale dyskretny. Numer trzysta siedym. Tu mocie klucz. - Rzucił mu przez blat. - Jest tam już cało tasza papierów od prokuratora.

- Papierów? - zdziwił się Nakonieczny. - O tej porze?

- Ja. W nocy przywieźli, padoli: pilne, mo być s rana u wos na biurku. To jest.

- Dobra, idę. Gdyby co, będę dzwonić.

- Dzwóńcie, dzwóńcie, jo zech jest od tego, by wom niczego nie brakło. Jak skończycie, by dymy organizować zjazdy na dół.

Wyszedł podniesiony na duchu. Na razie organizacja była bez zarzutu, nie spodziewał się takiego tempa ze strony organów. Starają się. Widać naprawdę ich przypiliło, stał się niezbędny. Lubił być niezbędny, a ostatnio rzadko miał okazję. Niechętnie przyznawał się do takich narcystycznych afektów, ale je miał, były w nim bez jego woli i zgody, tyle że po latach obcowania z nimi potrafił je nazwać, a to umożliwiało zachowanie ulubionej pozy zgorzkniałego cynika, którą chętnie mamił samego siebie. O czym wiedział; i tak się podwójnie sam oszukiwał, niekiedy nie wiedząc, jak jest naprawdę.

Pokoik rzeczywiście był mały, taki jaki powinien być kamerlik, jak sobie z perspektywy gorola wyobrażał pomieszczenie tak nazwane. Ot, niemal schowek na szczotki. Biurko, nie za duże, krzesło, drugie po przeciwnej stronie (Co oni tu robili na co dzień? Przesłuchania?), stolik pod gniazdkiem elektrycznym, a na nim elektryczny czajnik w plastikowej obudowie podejrzanej czystości, z wyglądu dość wiekowy, kolor bury seledyn, i na parapecie, w charakterze przyrodniczego akcentu, roślina doniczkowa o grubych, mięsistych liściach, diabli wiedzą co to, pewnie odmiana fikusa. W pokoiku było duszno, stęchli- zna jak od pleśni. Podszedł do okna, szarpnął klamkę, nie puściła,

szarpnął jeszcze raz. Zaskrzybiało i zadygotało, jakby miało wypaść mu na głowę, aż instynktownie wtulił ją w ramiona, ale uchyliło się i do środka wsączył się chłodny, świeży powiew. Dalej nie próbował. Podeszedł do biurka. Nie siadając, uchylił okładkę czarnego skoroszytu. W środku, porządnie powkładane w foliowe koszulki, były materiały ze śledztwa: formularze przesłuchań, sprawozdania z wizji lokalnych, zdjęcia. Formularze na razie sobie odpuścił, sprawozdania też. Przerzucił kilka wierzchnich koszulek wypełnionych tekstem - potem je przeczyta - i wydobyl spod spodu pękatą folię wypełnioną fotografiami. Przeczytał opis na przyklejonej etykietce: „Kulok Franciszka”. Pierwsza śmierć.

Wypiął koszulkę, wysypał zdjęcia. Rozpadły się w bezładną mozaikę, pełną złocistych plam od policyjnego flesza: kolory były zafałszowane, nieprawdziwe, brązy, przechodzące w czerń na krawędzi zasięgu lampy błyskowej, ostre żółcie w samym środku i tam tylko płaszczyzny wypełnione nienaturalnie wyostrzonymi barwami. Biały kask, dnem do góry, podwinięty rękaw białej, a właściwie burokremowej bluzy, pod nim żółto-czarna krata flanelowej koszuli. Czarne gumowce, jeden trochę zsunięty. Rude włosy, ta rudość też bardziej szara niż ruda, kolor więcej domysłany niż widziany. Brązowa, połyskująca krew. Na spągu prawie jej nie widać, ciemna plama, o ton ciemniejsza od tła, gdyby nie to, że wiedział o niej, bo wynikała z oczywistości kontekstu, wziąłby ją za cień. Plecy przecięte kilkoma krwistymi, nieregularnymi bruzdami (policzył: sześcioma), jakby ktoś zajechał z góry na dół widłami. Z boku, w zasięgu

odrzuconej ręki, parciany chlebak, szarozielony, z wojskowego demobilu. Otwarty. Na innym zdjęciu zbliżenie wnętrza: puste, trochę jasnych kropek, pewnie okruszki po kanapkach, butelka z resztką coli na dnie. W menisku coli surrealistycznie odbijał się flesz, efekt niemal artystyczny, gdyby fotograf chciał, nie uzyskałby takiego wrażenia nierealnego piękna. Martwa natura z trupem.

Zgarnął zdjęcia na jedną kupkę, odsunął na bok, przykrył koszulką, żeby ich nie pomieszać z innymi. Wyjął drugi zestaw. „Rebelii Adam, ślusarz”. Zaskakujące podobieństwo, wręcz powtarzalność ujęć. Różniły się szczegółami. „Znajdź dziesięć szczegółów...” – uśmiechnął się mimowolnie w duchu. Hełm zielony, tamten biały. Marmolada z czaszki, ale włosy nie te, ba, włosów niemalże brak, łysiał ślusarz Rebelii, te resztki wianuszka nad uszami – co to za włosy, umowne co najwyżej. Skąd takie nazwisko – Rebelii? Jakby włoskie... „Nie rozpraszaaj się” – skarcił się w duchu. Wszystko może mieć znaczenie, podobieństwo scenerii również. To może być przypadek, na pewno jest, ludzie na dół ubierają się podobnie, sprzęt mają taki sam i osobiste wyposażenie, sytuacja analogiczna, widok więc musi być zbliżony. W tym wyjątkowości nie ma co się doszukiwać. Pewnie tak. Ale nie dawało mu to spokoju. Z wahaniem zsunął zdjęcia, wyrównał w stosik, zapakował do koszulki.

Sięgnął do skoroszytu po następną paczkę. Była zdecydowanie cieńsza, cztery zdjęcia. Nic dziwnego, zwłok nie było, praktycznie nie było powodu do dokumentowania. Policijni rutyniarze pstryknęli jednak co nieco, w końcu też napad, seria, tyle że bez denata. Obejrzał uwiecznione

miejsce, pozostawione przez ofiarę sprzęty, bluzę, lampę... Podobno nie jego, będzie musiał dokładnie poczytać o tych skomplikowanych wędrówkach górniczych lamp między zamieszkanymi w zdarzenie dołowcami. Coś białego zauważył obok akumulatora. Przyjrzał się: papier. Urwany kawałek pomiętego papieru śniadaniowego. Znowu poczuł to wrażenie powtarzalności. Wrócił do zdjęć Rebellego. No tak.

Zaraz, ten Szymkiewicz żyje... Słuchali go? Poszperał między dokumentami. Jest. Rzucił okiem na treść. Mógł się spodziewać, ten nic nie pamięta, nagle z bliska zobaczył snop światła od tyłu, nie zdążył się odwrócić, dostał w łeb i tyle. Nie wie kto, nie słyszał żadnych kroków ani innych odgłosów. Nikogo nie podejrzewa, ale wiadomo – sztygar niejednemu się naraża, czasem nawet nie wie komu. Zaraz... Dostał w łeb...? Rozsunął kupkę zdjęć Franki Kulok, chwilę szukał, znalazł, wyciągnął, położył przed sobą. Potem powtórzył to samo ze zdjęciami Rebellego. Dołożył puste zdjęcie z miejscem po Szymkiewiczu. No tak. Co to znaczy? Skąd to podobieństwo? I dlaczego taka różnica, aż taka, że zabrakło zwłok?

Podniósł słuchawkę, wykręcił wewnętrzny Stasiaka.

- Od jutra pojechałbym na dół – powiedział do słuchawki.
- Najpierw w rejon oddziału trzeciego, tam, gdzie ta Kulok...
Tak.

A potem rozwinął rulon górniczych map i zagłębił się w studiowaniu układu wyrobisk. Wdrukowywał go sobie w pamięć: poła, poziomy, rejony, wentylacja... To wszystko musiał do jutra wykuć na blachę, znać, jakby pracował tu

lata, jakby na powierzchnię nie wyjeżdżał. Pomyślał sobie, że najbliższe tygodnie wbiją mu te wyrobiska w głowę lepiej niż najwnikliwsze studiowanie planów. Nie zamierzał wiele czasu spędzać na powierzchni, tym bardziej że nic miłego go tam nie czekało. Podziemia jawiły się przyjaźniejsze, choć tak bardzo ich nie lubił.

Pierwszy oddech... Jak oddech nurka. Już w pędzącej dieście metrów na sekundę klatce czuł jego zapowiedź, obietnicę charakterystycznego zapachu, którego dotąd nie zapomniał, bo nie potrafił zapomnieć. Wspomnienie narastało w miarę jak szoła zagłębiała się w czeluść szybu i powietrze z ziemskiego zamieniało się w podziemne. Zapachy są jednymi z najtrwalszych znaczników minionego, wpisanymi głęboko i na co dzień nieobecnyymi, ale zawsze, niezawodnie wynurzającymi się na powierzchnię, gdy przyjdzie ich czas: napęczniałe przeszłością niczym stare drewno wodą powoli wypływają z toni czasu. Ten zapach wynurzał się na przekór prawom fizyki: potężniał tym mocniej, im bliżej byli dna.

Klatka zatrzymała się z szarpnięciem i huśtaniem, sygnalista odbił, z hurkotem odsunęły się stalowe wrota i nim huśtanie ustało, wyszli do hali podszybia. Nakonieczny rozejrzał się z ciekawością. Było tak samo, jak wtedy, gdy wyjeżdżał po raz ostatni i ostatni raz obejrzał się, sam wówczas nie wiedział, w jakim celu. Aby zapamiętać? Czy by mieć co zapomnieć? Jeśli to drugie, to się nie udało. Szare, wysokie, katedralne sklepienie wlotu ginęło w ciemności; jarzeniówki rozjaśniały

ją kilka metrów niżej, wielki stożek zwiężał się przed nim do wysokości przekopu, tam zaczynał się ciąg wozów górniczych wypełnionych okładzinami, drewnem, elementami obudowy, które zjechały tu w nocy i jeszcze nie zdążyły dojechać do miejsc przeznaczenia. Idąc w rzędzie mrocznych postaci, cieni migających w rozdygotanych światełkach lamp, przeciągnął dłonią w rękawicy po chropawym rancie wozu. Dotyk tej grubej, zardzewiałej stali też miał w sobie. Tak samo, jak głęboki ton blachy, niczym dzwon obudzonej stuknięciem kogoś za nim. Wszystko pamiętał, paMiecią krótką, wczorajszą, jakby tych trzydziestu lat nie było. Pierwszy oddech tutaj, pierwszy rozbłysk lampy w ciemności je unieważnił.

Wygramolił się z wagonika na przekopie w pobliżu ładowni oddziałowej. Popatrzył na ocios. „Pokład 407” - przeczytał na zapyłonej tablicy, przymocowanej drutem do obudowy. Przysiadł na drewnianej ławce we wnęce i patrzył, jak górnicy z załogi ściany jeden za drugim znikają w ciasnym przejściu pod przenośnikiem. Nie chciał iść razem z nimi, musiałyby jakoś uzasadnić swój pobyt w wyrobisku, jeśli nie przed brygadą, to na pewno przed ich sztygarem. Przez całą drogę czuł na sobie ich ukradkowe spojrzenia. Rozumiał je. Był tu obcy, nosił biały hełm, nikt nie lubi obcych w białych hełmach na swoim stanowisku pracy. Nie wiadomo, czego taki szuka i jak się to potem uzewnętrznia na ich paskach z wypłatą. A sztygar miał wręcz obowiązek wiedzieć, kto przebywa w nadzorowanym rejonie, odpowiadał w końcu za ten przodek.

Poza tym chciał przez chwilę pomyśleć. I może trochę po-

gadać z obsługą załadunku.

- Szczęść Boże - zagał do szpakowatego, niskiego mężczyzny, który właśnie poprawiał linę na kołowrocie.

Tamten zerknął przez ramię, nie podnosząc się znad urządzenia.

- Szczęść Boże - mruknął chłodno, obcesowo. Nie było w tym zachęty do rozmowy.

Nakonieczny postanowił nie zrażać się. Przynajmniej nie od razu.

- Nakonieczny - przedstawił się. - Jestem z bhp, dziś pierwsza szychta.

- Witojcie, sztajger - odpowiedział tamten, nie podnosząc głowy. - Nowiście, ja?

- Nowy. - Nakonieczny kiwnął głową. - Z Bielszowic przeszedłem.

- A co? - w końcu zainteresował się górnik. - Tak źle wam tam było?

- Źle nie... Renty trochę miałem, potem zmieniliśmy mieszkanie, po teściowej, w Katowicach, bliżej tu do roboty. Trafiała się okazja, to przeszedłem.

- Ja, będzie dobre - ocenił szpakowaty swoją pracę, wyprostował plecy i wreszcie przysiadł na ławce obok detektywa. - Ziembra - przedstawił się. - Franc, z trzeciego oddziału, ładownia tukej obsługują - dodał, jakby to wymagało wyjaśnienia.

Nakonieczny pokiwał głową.

- Spokojna robota - ocenił.

- Ja, nie narzekom. - Franc Ziembra wyjął z taszy spory plastikowy kanister, odkręcił go i pociągnął słuszny łyk. - Jo

w przodku nie mogą - dodał tonem wyjaśnienia, z powrotem zakręcając kanister. - Ciśnienie mie skoko. Do penzyi jeszcze trzi roki, robić gdzieś trza, to mie tu sztajger dają.

- Słusznie - przytaknął Nakonieczny. - Nie ma co iść na rentę, gdy emerytura za pasem. Zawsze się coś niecoś dorobi.

- E, tam, dorobi - skrzywił się Ziembra. - Keby o dorobienie szło, to już bych tu nie był. Ale pomyślcie, sztajger, co jo byda robić doma? Od szkoły robią na grubie, doma szlag by mie jasny trefił. Wola tu chodzić i wągła na przesypie pilnować.

- Za trzy lata i tak pójdziecie - zauważył detektyw. - Nie wywiniecie się temu Szlagowi.

- To już trudno, mus to mus, wola boska. Penzyja każdego trefi, nic nie poradzisz. A renta nie musowo.

- Też prawda.

Zamilkli na dłuższą chwilę i zapadła cisza. Ledwie ją rozpraszał cichy brzęk jarzeniówki i kapanie wody z rurociągu pod stropem.

- Słyszałem - odezwał się ostrożnie Nakonieczny - że wam tu inżynierkę zabili.

Ziembra spojrzął na niego koso.

- A zabili - odparł niechętnie.

- W tej ścianie?

- Nie, powyżyj, na dwieście, w polu pożarowym. Ale tędy szła. Na objeździe to było, w niedziela.

- I co? Wiadomo kto?

Górnik pokręcił głową.

- Nie. Do ty pory nie.

- Znaliście ją?

Ziamba z uwagą oglądał swoje dłonie, jakby szukał na nich czegoś dotąd niewidzianego.

- Nie - odpowiedział po chwili, a w jego głosie brzmiał jakiś trudny do określenia nowy ton. Przez twarz przebiegł mu grymas, niczym bolesny tik. - Nie znoł zech. Ale wiedziotech o nij, wszyscy wiedzieli. Nasza dziouuszka, spod Rybnika. Śmioli się co poniektórzy, sztajger baba, podśmiechujki robili, wice godali... Aterozki...

Zamilkł.

- Głupio, co? - zapytał cicho Nakonieczny.

- Gupio. - Górnik kiwnął głową. - Terozki mie te wice po go wie chodzm i bych je najlepj z powrotem do rozuma wraził, bele nie wyszły... Rozumicie, co godom...?

- Rozumiem.

Cisza. Co tu mówić w takiej chwili? Nawet gdy jest się starym, cynicznym i obytym z ludzkim nieszczęściem esbekiem, gdy się w przeszłości nierzadko było tego nieszczęścia źródłem? Może zwłaszcza wówczas nic mówić się nie powinno. Tak, nie powinno się.

- Pójdę już. - Ciężko podniósł się z ławki, jakby nagle przybyło mu lat i drastycznie ubyło zdrowia.

Ziamba nic nie odpowiedział. Ciagle oglądał dłonie.

Pochylił się, przeszedł pod przesypem przenośnika i zagłębił w ciemności. Postępując, poczłapał wzdłuż taśmociągów, które właśnie ruszały; cisza cofnęła się przed jednostajnym piskiem rolek i szumem taśmy, z gumowej wstęgi wbił się podłużny wąż pyłu, skotłował niczym dym nad kominem i wzniosł ku stropowi. Widoczność w chodniku zmaląła nagle

do kilku metrów; pylisty tuman opadał powoli, lampa wycinała w nim ostro zarysowany żółty stożek, którego podstawa ginęła gdzieś daleko z przodu, zaś w środku mieszały się i kłębiły ciemne niczym dym fale. Przez mrok poniósł się skrzeczący głos. Nakonieczny uśmiechnął się. Choć nie rozumiał słów, znał ich znaczenie: kneflikarz z przekopu przez megafony komunikacyjne ostrzegał kumpli: „Białe idzie!”. Słysząc to było ze dwadzieścia metrów wcześniej, mimo hałasu. Przed sobą widział już źródło tego skrzeku: zza płątaniny kabli i rur migotało światło kolejnego przesypu.

Ładowacz, młody chłopak, cały w tatuażach, pilnie robił hercową, wygarniał spod taśmy zgubiony urobek i wrzucał go z powrotem na przenośnik.

- Szczęść Boże, sztajger! - odpowiedział na powitanie, przerywając na chwilę pracę.

Popatrzył za mijającym go Nakoniecznym, światło z jego hełmu widać było na ociosie daleko z przodu, a przed idącym tworzył się cień na spągu, z każdym krokiem coraz szerszy i bardziej rozmyty, aż światło zgasło i nie było już cienia. Potem szedł znów w ciemności, wśród światła wyrysowanego blaskiem własnej lampy. Było cicho, szumiał taśmociąg, popiskiwały rolki. „Ona też tędy szła” - uświadomił sobie nagle z całą wyrazistością. Także było ciemno i jeszcze bardziej cicho, wszak niedziela, maszyny stały. Złorzeczyła pewnie w duchu na zmarnowane święto, może planowała obiad, pranie, spacer z dzieckiem... Miała dziecko? Nie, nie miała, przynajmniej nic o tym nie było w papierach. Tyle dobrze, dodatkowej sieroty nie przybyło.

Tu pewnie niczego jeszcze nie przeczuwała. Pierwsze podejrzenie pojawiło się wyżej, nad ścianą, dyspozytor zeznał, że pytała, czy jest sama. Wyśmiał ją. Będzie go to długo gryzło, takie zlekceważenie. Że mógł coś zrobić, zapobiec, gdyby potraktował poważnie... Nie mógł, dziewięćdziesiąt procent ludzi na jego miejscu postąpiłoby tak samo: obróciłoby w żart lęki dziewczyny, samotnej pod ziemią, w ciszy i ciemności, gdzie poza granicą światła absurdalnie buzuje wyobraźnia. Każdy to zna, każdy z dołu.

Potrafił sobie wyobrazić. Tamten bezdźwięk, na dzień którego przycupnął strach, wówczas jeszcze niezidentyfikowany, nieokreślony, bez przyczyny, pierwotny strach przed ciemnością i ciszą. Tamtą ciemność. Dźwięcząca, bo także ciemność potrafi dźwięczeć, taka ciemność, w której pełno jest milczenia i lęku. Szła tedy, brodząc w błocie po kostki, pochylona, zaciśnięte łuki obudowy rzadko gdzie pozwalały wyprostować się nawet niewysokiej dziewczynie. Górotwór ostro tu pracował, chrupnięciami osiadających mikro-uskoków oznajmiając zbliżanie się ściany. Głosu skał teraz, gdy szumiały maszyny, prawie nie było słychać. Franka go słyszała: dudniące trzaski z głębi ziemi, jakby gdzieś tam, w odległej kawernie, mościł się mityczny troll. Im bliżej końca chodnika, im bliżej ścianowego przodka, tym się troll mościł gwałtowniej, tym bardziej mu było niewygodnie pod rosnącym naporem skał.

Minął kilka kolejnych przesypów, stracił już rachubę ilu. Ośmiu? Dziesięciu? Ściana była młoda, do wybrania było jeszcze wiele setek metrów pokładu, zanim zakończy żywot. W jednostajny chrobot przenośnika począł wplatać się

odmienny dźwięk: metaliczny brzęk łańcucha, trącego o stalowe koryta. Najbliższy przesyp był inny: węgiel spadał tu na końcówkę taśmy przesypywany stalowymi zgrzebłami, wędrującymi na łańcuchach w żelaznych rynnach. „To już tu” – pomyślał. Huk, ciemność, powietrze pełne węglowego pyłu, nie usłyszał nawet własnego „Szczęść Boże”, górnik z obsługi w odpowiedzi poruszył ustami – jego powitanie pewnie też odczytał tak samo. Na wszelki wypadek dotknął palcem daszka hełmu w markowanym salucie.

Blżej wnęki ścianowej było ciszej, mimo szczęku przenośników. Kombajn hulał gdzieś wyżej, stąd niewidoczny, jego obecność uwidoczniła się pełznącymi z góiy stertami urobku. Szytgar stał oparty o stalowy stempel i pochylony patrzył w głąb ściany, pomiędzy kaszty obudowy. Kiwnął głową na powitanie i wyciągnął rękę w skórzanej rękawicy.

- Z bhp?

- Z bhp.

- Chyba od niedawna na Gertrudzie?

- Od niedawna. Pierwsza szychta na dole.

- I tak samego puścili?

- Eee... - Nakonieczny machnął lekceważąco ręką. - Ja nie stażysta. I mapy widziałem.

- Mapy... Mapy ci stykną?

- Wystarczy. A najlepiej poznaje się grubę, chodząc po niej.

- Też prawda. - Tyle tytułem zapoznawczego wstępu, po którym jak zwykle zapadła chwila milczenia.

Klekotały przenośniki.

- Co słyhać?

- Aaa... - Szytgar skrzywił się. - Po staremu. Byle do penzyi.

Nakonieczny zerknął.

- To chyba jeszcze nieprędko?

- Zleci. - Szytgarek na oko miał ze trzydzieści lat.

- No, prawie widać koniec - przytaknął mu z powagą. - A fe- drunek jak? - zmienił temat. - Plan idzie?

- Jako tako. Wiadomo, główny by chciał, żeby jeszcze raz tyle wyszarpać, ale jest znośnie, na premię wyrabiamy.

- O bezpieczeństwie oczywiście pamiętacie?

- Pamiętamy, pamiętamy. - Szytgar miał w głosie nieskrywane lekceważenie. - Wypadków nie było, póki co.

- Póki co. Jak będą, to się okaże, czy pamiętaliście.

- Nie kracz, bo wykraczesz.

- Taka moja rola: krakać. Płacą mi za to. - Uśmiechnął się.

- Przejdziemy się na górę?

- Można.

Weszli między kaszty.

Jeszcze nie minęła połowa drogi, gdy zwątpił w słuszność tego, co tu robi. Wszystkiego: i generalnie całego tego powrotu na dół, i tego bliższego, i bardziej detalicznego, wspólnego z tutejszym zawodowcem pokonania ścianowej powierzchni. Piał się resztkami sił śladem żwawo pracującego naprzód między stojakami sztygara, koszulę miał mokłą, w piersiach kamień i dygocące mięśnie nóg. Przestał myśleć o czymkolwiek poza metrami, jakie dzieliły go od końca ściany. Bardzo licznymi metrami. Spazmatycznie chwycił powietrze, czuł, jak obolałe serce próbuje wyskoczyć mu z piersi. To nie było na jego zdrowie, nie wziął tego pod

uwagę. Nie miał trzydziestu lat jak tamten, tylko sześćdziesiąt trzy, wieńcówkę i chore nerki. By przetrwać, musiał się wyłączyć, zapomnieć o zmaltretowanym organizmie, o dusznościach, ciasnocie, stromiźnie, nie myśleć, tylko iść, krok za krokiem, stawiając stopy w rytmie nadanym przez poprzednika. Najwyżej padnie na zawał, co nie będzie najgorszym rozwiązaniem.

Zatrzymali się tak nagle, że nie zauważył przyczyny, wpadł na nogi sztygara i klnąc, wylądował łokciami na stalowej spągnicy kasztu. Zabolowało. To przejaśniło umysł - to i ogłuszający chrobot stalowych noży po caliźnie. Kombajn sunął powoli, centymetr za centymetrem, spadały kęsy węgla i toczyły się w dół, popychane wielkimi zgrzebłami. Dwaj czarni jak środek nocy ludzie w maskach przeciwpyłowych ledwie na ich widok odwrócili głowy i kiwnęli na powitanie. Sztygar przysiadł na uboczu, podkładając pod pośladki rękawice, i gestem zaprosił Nakoniecznego obok siebie. Z ulgą przyjął to zaproszenie, klapnął ciężko między siłownikami i zwiesił głowę na kolana, starając się wyrównać oddech i uspokoić tętno.

Nie było łatwo, przeżył sekundę panicznego strachu, że serce nie da rady. Wkrótce jednak zrobiło się lepiej, ból ustępował coraz szybciej, po minucie już go prawie nie było. Podniósł głowę i spojrzał na tutejszego szefa z zazdrością. Temu nie było nic, nawet się nie zasapał. Patrzył teraz na niego z niepokojem, a widząc spojrzenie i odczytując je po swojemu, kiwnął dłonią i nachylił się.

- Wszystko OK? - ledwie dało się usłyszeć wśród łomotu kombajnu.

Przytaknął. Jak na tę sytuację, OK.

- Zatrzymać kombajn? Chcesz co pooglądać? Pogadać z operatorem?

Pokręcił przecząco głową, przechylił się w stronę pytającego.

- Nie będziemy przeszkadzać! - odkrzyknął.

- To co? Pójdziemy?

- Jeszcze chwilę. - Usprawiedliwiająco popukał się w klatkę piersiową. - Pikawa nie nawykła do wysiłku.

Sztygar kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Możemy posiedzieć pięć minut. Dłużej nie ma co łykać pyłu, jeszcze drugie tyle do nadścianowego zostało.

To „drugie tyle” było łatwiejsze, nie wiadomo: przyzwyczał się do wysiłku czy warunki wspinaczki stały się bardziej przyjazne, choć nie odczuł tego jakoś szczególnie. Jednak odetchnął, dopiero gdy wyszli do chodnika i wreszcie mógł się wyprostować. Sztygar od razu skierował się do tyłu, gdzie, jak można się było domyślić, rabowano obudowę po przejściu ściany. Chcąc nie chcąc, poszedł za nim, w końcu był tu na inspekcji, bezpieczeństwo pracy kontrolował. Postali chwilę, patrząc górnikom na ręce, zagadali dla zasady i poszli. Odchodząc, nieomal czuł ulgę tamtych. Najbezpieczniej mieli w tej niebezpiecznej robocie, gdy żaden biały nadmiernie się im nie przyglądał, gdy robili swoje według wyuczonych do granicy odruchu schematów, lekceważąc sobie, ba, może nawet nie wiedząc, że te odruchy, te schematy ktoś kiedyś spisał w procedurę i kazał stosować. Stosowali, bo zestaw czynności do wykonania był logicznym, naturalnym dla tej roboty ciągiem. Tak było trzeba i żaden

behapowiec nie musiał im tego klarować, oni to wiedzieli, bo na tej robocie spędzili życie. Tu, za ścianą, w zawale, pracowali tylko tacy.

Czuł, że zaczyna wpadać w patos, gdy o tym myśli. Może dlatego, że sam swego czasu stchórzył, że nie dał sobie szansy, by tak jak oni być tu u siebie i innego życia nie znać. Miał tego zacząć żałować? Całkiem możliwe.

Dogonił idącego przed nim sztygara.

- Pójdę już - powiedział. - Gdzie tu telefon? Muszę zadzwonić.

- Tam. - Sztygar wskazał ręką. - Też będę dzwonić. Śpieszy ci się?

- Nie bardzo - odparł Nakonieczny. - Dzwon, poczekam.

Przysłuchiwał się rozmowie, nie kodując, o czym jest. Z tego telefonu... Stąd dzwoniła. Tu zaczęła się bać.

Chyba wpadał w obsesję, jakieś natręctwo na jej punkcie, wszędzie ją widział, wszędzie była, co gorsza - była naprawdę, doświadczał obsesyjnej projekcji jej obecności, jakby zostawiła ślad, rozpyliła jakąś odmianę śmiertelnych feromonów, które osiadły tu dookoła, na obudowie, na maszynach, i zewsząd do niego... Wariactwo. Nie powinien się godzić, lepiej było zaszyć się gdzieś w ogródkach, przeczekać z dala od tej pieprzonej gruby, od tego wszechobecnego lęku, o którym już nie wiedział, czy jest od niej czyjego własny.

Zadzwonił do dyspozytora, potem przysiadł na stercie desek, obok sztygara.

- Nie poznaliśmy się - powiedział. - Nakonieczny jestem.

- Ziętek. - Sztygar przyjął wyciągniętą dłoń.

- Długo tu robisz?

- Pięć lat, od studiów.

- Nie żałujesz?

- Czego?

- No... wyboru.

-Zawodu? Ja wiem... Robotą parszywa, ale zarobki dobre, można przywyknąć. Zresztą wiecznie sztygarzyć nie będę, w końcu jakiś awans się trafi, może przeniesienie z ruchu do wsparcia... O, w takim bhp można pożyć. Albo w wentylacji. Ruch jest dla frajerów.

- Ktoś jednak musi. - Uśmiechnął się. - Zresztą górnictwa inaczej się nie nauczysz.

- Prawda. - Ziętek kiwnął lampą na hełmie. - A ty? Gdzie przedtem robiłeś?

- Tu i tam - odparł wymijająco. - Na kilku kopalniach.

- A ostatnio?

-Ostatnio... Miałem przerwę. Zdrowie, rozumiesz. Przed rentą byłem na Bielszowicach - uprzedził dalsze dociekania. Lepiej było nie zagłębiać się w szczegóły. - Ale z renty nie żyjesz, to i przyszło wyzdrowieć.

- No tak. Człowieka nie stać na chorowanie.

-A tu? Jak jest? - zapytał Nakonieczny po chwili milczenia.

- Normalnie. Ciemno, brudno i nie ma czym oddychać.

-A szefostwo? Wiesz, nadsztygarzy, główny, dyrekcja...?

- Da się wytrzymać. Dużo robi nastawienie Bugdoła.

- Dyrektora?

- Dyrektora. On nie z tych, co ryczą po ludziach. A przykład idzie z góry.

- To nieczęste.

- No. Ale wiesz, nie żeby zaraz wszyscy za nim tacy święci, różni bywają.

- Wiadomo. Słyszałem, że ktoś u was zabił sztygara.

- A... tak. Dziewczynę.

- Dziewczynę? Mieliście babę sztygara?

- My nie, z wentylacji była. No i nie nasztaj gro wała się. Zresztą nie ona jedna.

- Jak to?

- Zginął też jeden ślusarz i ktoś napadł na Szymkiewicza, sztygara z przygotówek.

- Trzy trupy? No, no...

- Dwa, Szymkiewicz przeżył, leży w szpitalu, z rozbitą głową.

- A ta dziewczyna?

- Na niedzielnym obchodzie. Zresztą naszą ścianę wtedy obchodziła. Dość dawno temu, będzie ze trzy miesiące.

- I co? Tutaj ją...?

Ziętek pokręcił przecząco głową.

- Wyżej, na dwieście. W polu pożarowym. Tędy tylko przechodziła.

- Znałeś ją?

- Trochę, z widzenia bardziej. Ze trzy zdania w życiu z nią zamieniłem.

-Ale... Coś tu się działo, coś niezwykłego? Jakieś nietypowe sytuacje? Skąd nagle...?

- Ja wiem... Raczej nic. To duża firma, różne rzeczy się dzieją, niektóre dziwne... Ale żeby jakoś szczególnie, to chyba nie.

- To wszystko jest do kupy dziwne, racja. Bardziej dziwnego szukać nie trzeba.

- Trzeba przyznać, że sytuacja nietypowa. Owszem, sztygarów nikt nie kocha, kto by tam ekonoma kochał, ale ona się chyba nikomu nie zdążyła narazić, zresztą nie słyszałem, żeby zaraz kierownika mordować, bo opierdolił czy dniówkę skreślił. Nawet po ryju rzadko który zarobił. Musiałby być wyjątkowo wredny. A już zabijać?

- Fakt, nie zdarzyło się. Zresztą nie ona przecież jedna, a ślusarz mało chyba komu aż tak mógł zaleźć za skórę.

- Ludzie różnie zaczynają gadać, bo wiesz, skoro nic się nie trzyma kupy, to może nie powinno?

Nakonieczny spojrział na sztygara spod oka.

- Co masz na myśli?

Ziętek zamilkł.

- E, nic ważnego, takie tam głupie gadki. Górnicy lubią sobie postraszyć, szczególnie nowo przyjętych. To i gadają. Wiadomo, po ciemku o strach łatwiej.

- Ale że co?

- No... że to może niekoniecznie człowiek.

Nakonieczny spojrział na niego w zdumieniu.

- Nie człowiek? A niby kto?

-Różne takie... Starzy Ślężacy opowiedzieliby o niejednym, co górnikom dawniej uprzykrzało życie na dole. Od razu widać, żeś gorol i na tajemnicach podziemi się nie znasz. Szarpanie węgla to nie wszystko.

- Ty tak poważnie?

- Nie, no skąd. - Sztygar parsknął śmiechem. - Ale sam powiedz, można się niekiedy wystraszyć, klimat tu sprzyja. Zwłaszcza gdy się siedzi samemu gdzieś na uboczu i tylko ci woda ciurka za cały objaw realnego świata. Głupie myśli

same się cisną i człowiek bezwiednie zerka za siebie, czy go jakieś лихо nie dopadnie.

- E, tam. A tak serio, co o tym myślisz?

- Na mój rozum to raczej nie z kopalnią jest związane, dla mnie jeden trup do drugiego niepodobny, tyle że trzy osoby po łbie na dole dostały. Raczej na powierzchni, znaczy w normalnym życiu, powodów bym szukał. Kto wie, jakie związki mogą ludzi łączyć. Tak myślę.

- Pewnie masz rację. - Nakonieczny wstał. - Pójdę już. Jeszcze przygotówki tu po sąsiedzku chciałem odwiedzić. Szczęść Boże. - Podał sztygarowi rękę na pożegnanie.

Tamten oddał uścisk, nie wstając, i kiwnął głową.

- Cześć pracy.

Idąc chodnikiem w stronę przekopu, przez dłuższą chwilę widział światło lampy biegnące za nim. Może za długo, jak na pierwszą wizytę i zdawkową rozmowę. A może był tylko przewrażliwiony. Bo pewnie był.

Stary chodnik miewa duszę. Nie jest to zjawisko powszechne, raczej sporadyczne, wyjątkowe. Kiedyś dusza wypełniała całą kopalnię, czuło się ją w każdym zakamarku, w szczelinie ociosu, w powietrzu pełnym zarodników pleśni, gorącym i wilgotnym. Słyszało w łomocie maszyn i wentylatorów, w ciurkaniu wody i szumie powietrza wędrującego przez podziemia niczym wieczne, nieskończone sirocco. Była w nutce pierwotnego, z pogranicza zwierzęcości i pierwszego człowieczeństwa, lęku przed nieznanym, którego najlepszą, najbardziej czytelną emanacją była ciemność. Ujarzmienie

ciemności było tu pierwszym i podstawowym zadaniem i celem, poprzedzającym nawet potrzebę wyrwania ziemi ciepła, po co wszak ludzie tu zeszli.

Dziś dusza ginie, jest zabijana, spychana w dalekie i ciemne zakątki, gdzie na co dzień mało kto zagląda, bywa, że miesiącami nikt. Ba, są takie kryjówki duszy, do których nie miał wstępu żaden człowiek od tak długiego czasu, że można go mierzyć tym samym przymiarem co żywot kopalni. I tylko już tam ona jest, za to jest całą pełnią, tak wielką i niezmierną, że przestrzeń starych wyrobisk nie jest w stanie jej ograniczyć.

Z tych pradawnych czeluści, z najmroczniejszych kątów cienkie, niewidoczne witki wysnuwają się tuż przy spągu, przytulone do ociosu penetrują żyjącą część kopalni, płosząc chude myszy, z których ścieżkami krzyżują się najczęściej. W szpary i szczeliny, w otwory i dziury, jakich w skałach jest niezliczona ilość, wnika przejrzysty opar, ekstrakt czystej, pierwotnej energii, wnika i zostaje, nasączając kamień swoistą formą życia. To ostatnie próby przywrócenia niegdysiejszego władztwa, ostatnie jego podrygi, potem pozostanie już tylko uznanie klęski i powrót w najgłębsze otchłanie, gdzie kopalnia nigdy nie sięgnie.

Aby to poczuć, trzeba być tu stale lub przynajmniej większość czasu na tyle znaczącą w wyznaczonym człowiekowi odcinku wieczności, by można było o niej powiedzieć: „to całe moje życie”. Aby tę mniejszość móc odrzucić bez uszczerbku we wspomnieniach. Wówczas jest nadzieja, że staniesz się jednością z duszą podziemi i nie będziesz potrafił bez niej istnieć. Świat, który odrzucisz, pozostanie jedynie źródłem

pięknego światła i przytulnego ciepła egzotycznych krain, jakich nie uświadczysz pod ziemią. Zmieni się w obrazek z pocztówki, jak każde marzenie, którego nie miałeś szans spełnić. Masz go na zmatowiałych zdjęciach w starych tygodnikach, których stertę od czasu do czasu przeglądasz, świecąc sobie do zżółknięcia żarówki. I tylko tyle, i to ci wystarczy. Dlatego tu jesteś. I byłbyś tu szczęśliwy, gdyby nie strach.

Trochę miał już dość. Jeździł do kopalni prawie dzień w dzień, prawie dzień w dzień zjeżdżał na dół, dzień w dzień szwendał się po różnych zakamarkach, chodził śladami ofiar, szukał tropów i znaków, rozmawiał, sondował, podpuszczał... I nic, tylko plotki, o psycholach, o dybukach... Czuł się coraz gorzej i pewnie dzień, w którym będzie musiał zakończyć przygodę z górnictwem, był coraz bliższy, miał tylko nadzieję, że wyjedzie ostatni raz o własnych siłach, a nie na noszach zastępu ratowniczego. Owszem, robił przerwy na dializy, lecz to dalece nie wystarczało. Plusem było, że zniknięcie ze świata zdawało się skuteczne. Nie zauważył, by ktoś go śledził, nie słyszał, by ktoś go szukał. Delikatnie, dyskretnie, wykorzystując swoje najtajniejsze kontakty, sondował otoczenie bliższe i dalsze, zaglądał w relacje proste i złożone, wnikał w rozmaite struktury i wyciągał z tego wnioski; z tych wniosków nic nie wynikało, niczego w świecie informacji przeciw sobie nie znajdował. To jeszcze o niczym nie świadczyło, ale mocno uspokajało. Tak samo, jak stara tetetka, przedmiot przez

wiele lat bezużyteczny, z którą się teraz nie rozstawał, nawet na dole.

Trochę jednak wiedział. Ciąg epizodów, odrębnie nieistotnych, trochę skojarzeń, zestawień i przeczuć, nieuchwytnych w sferze faktów, zapładniających intuicję. Kradzieże. Niby zawsze w kopalni trzeba było pilnować swego, ale żeby drobiazgów? Stary zegarek. Narzędzia. Koszula, ledwie odebrana z pralni (ściąga się koszulę do roboty, aby nie przepocić, na dole upał, nie gorszy niż w tropiku, to rzecz powszednia). Gazeta, zabrana do śniadania. Samo śniadanie. Tak, dużo ginęło śniadań. I butelek z kawą, herbatą, wodą... Szedł śladem tych złodziejstw, próbował ułożyć je w sensowną mapę. I trochę tego sensu znajdował, detale układały się w stożek niczym opiłki ciągnięte magnesem. Była taka zabawa, elementarne doświadczenie fizyczne: sypało się na stół opiłki, pod blat wsuwało magnes. Opiłki, ożywione przez tajemną moc, wędrowały tu i tam, w ślad za niewidocznym źródłem przyciągania. Te magicznie znikające z chlebaków sznitki były jak opiłki.

Poziom 300 to stary poziom, wydobywania dawno już tu nie było, transport tylko i wentylacja. Oddziały robót przygotowawczych drażyły gdzieś kilka pomocniczych wyrobisk, udrażniano stare chodniki, prostowano ciągi powietrza. Kręciło się paru fachowców z rozmaitych branż, ale poza tym panowały cisza i bezruch, charakterystyczne dla wyeksploatowanych rejonów kopalni. Razem z ciężkim, wilgotnym i cuchnącym uryną powietrzem tworzyły charakterystyczne środowisko spokoju i jakby zapomnienia. Idąc wąskimi chodnikami wśród łuków zardzewiałej,

obrośniętej zaciekami soli obudowy, miało się wrażenie, że nikt tu nigdy nie zagląda, że oto trafiło się do legendarnej krainy władców podziemi, skalnych duchów i upiorów z dawnych górniczych bajań.

Od kilku minut szedł takim starym chodnikiem, z lekka tylko zliftingowanym na potrzeby pracującego w pobliżu oddziału przy godo wek i paru brygad pomocniczych. Po lewej mijał ciąg wozów, wypełnionych szarym łupkiem, przejście było ciasne, wyrobisko nie bardzo przystosowane do dużych wozów urobkowych, ale też nie zakładano dużego ruchu pieszego - oprócz sporadycznych gości, takich jak on, nikt tu raczej nie łąził. Niczym szczególnym się nie wyróżniało, widział na Gertrudzie z dziesięć podobnych, chodził nimi, wdychając duszne powietrze i doświadczając przepastnej samotności. Napotykanii czasem ludzie tylko ją pogłębiali, przemijali razem ze swoim „Szczęść Boże” i stożkiem rozedrganego światła, po ich przejściu poczucie izolacji jeszcze się pogłębiało. Ale w przewrotny sposób coraz bardziej podobała mu się ta samotność, coraz bardziej ją lubił.

Doszedł do miejsca, gdzie kamień z drążonego przodka przesypywał się z przenośnika do wozu. Ładownia była pusta i ciemna, maszyny stały, chodnik wyglądał jak opuszczony, ale słycać było szum wentylatora i z lutni szedł ciepły powiew, a w głębi wnęki zobaczył słaby blask. Podszedł tam.

W pierwszej chwili nie rozpoznał źródła, światło wydobywało się gdzieś z głębi, spod bezkształtnej kupy szmat. To było jednak tylko pierwsze wrażenie - już drugim rzutem oka zobaczył w tłumoku leżącego na deskach człowieka.

Lampa zsunęła mu się z brzucha pod ocios i stamtąd, zza osłony ciała, słała słabe światło. Zmroził go ten widok, ale tylko na chwilę, na tę chwilę, podczas której z ulgą wyrzucał z myśli paniczne: „trup!”, bo skąd trup, limit na trupy zdawał się wyczerpany, a ten tu tylko spał, widok na dole zwykły, gdy nie spodziewasz się szefa ani zresztą nikogo, a cisza, mrok i niski poziom tlenu zamykają powieki siłą nie do przewyciężenia. Zawahał się, potem pochylił nad wznoszącą się w rytm oddechu kufajką. Upewniony, wycofał się po cichu i wszedł w wylot chodnika obok wysięgnika taśmociągu.

- Pali się!

Daleko przed sobą, w czerni poza zasięgiem światła, ujrzał pięć czy sześć świetlnych plamek, kiwających się w rytm szybkiego marszu. Zatrzymał się i zaczekał, aż się zbliżą.

- Strzelamy, sztajger, chodźcie do wnęki. - Idący na przdzie brygady wysoki, postawny górnik zagarnął go ramieniem i łagodnie zawrócił.

Wszedł razem z nimi do wnęki strzelniczej i usiadł pod ociosem na pniaku. Obserwował ich ukradkiem. Ludzie Szymkiewicza. To w drodze do nich sztygar dostał po łbie od kogoś, kogo nie pamięta, nic nie pamięta, tylko ból i ciemność. Tak wynikało z zapisków śledczych, z protokołu... Czy coś wiedzieli? Nie doszedł do nich, ale też nie czekali ze szczególnym utęsknieniem, nieobecność majstra jest dla brygady czynnikiem pożądanym. Mógł to być któryś z nich? Niby tak, ale jak to się miało do poprzednich tragicznych zdarzeń? Zerkał spod oka na usmolone twarze i próbował wyobrazić sobie... Nie, raczej nie. Zapewne racjonalnie nie

powinien nikogo wykluczać w ten sposób, ale kto powiedział, że musi myśleć i działać racjonalnie? Przyglądał się przygotowaniom strzałowego do odpalenia przodka, patrzył, jak mocuje przewody do elektrod zapalarki, potem rozległo się ponowne: „Pali się!” i powietrzem wstrząsnął głuchy łomot wybuchu.

Posiedzieli jeszcze kilka minut, milcząc, potem wstali i poszli do przodka. Nie wszyscy, we wnęce pozostał jeden ze starszych górników, tęgawy, siwowłosy. Siedział na desce naprzeciw Nakoniecznego, popijał coś z plastikowego kanistra i gapił się na niego. Wnikliwie, bezczelnie. W taki sposób, że albo spuszczasz oczy, albo idziesz na konfrontację, bez trzeciej drogi.

Najpierw odwrócił wzrok, sądząc, że to przypadek, czasem oczy spotkają się niespodzianie, łapie się czyjeś spojrzenie niechcący w chwili intymnej: zamyślenia, podświadomej obserwacji, próby dyskretnego zidentyfikowania... Ucieka się w takiej sytuacji, mając uczucie nieuprawnionego wejrzenia w czyjeś wnętrze, za które należą się przeprosiny, choćby milczące. Potem jednak przyjął to spojrzenie, wytrzymał je, aż i tamten odwrócił głowę. Przyjrzał mu się. Cieśla. Charakterystyczna drewniana skrzynka narzędziowa i wisząca na obudowie wciągarka łańcuchowa, rukcug, jak tu mówią, nieodłączny atrybut przodkowego konserwatora przenośników. Wyglądał staro, ale tu prawie wszyscy wyglądali tak samo, niełatwo było określić wiek człowieka skrytego za lampą i warstwą pyłu węglowego.

- Sztygar tu gdzieś jest? - zapytał, byle zagaić.

Cieśla pokręcił głową.

- A był?

Znów przeczenie. „Nierozmowny - ocenił Nakonieczny.

- Trudno, trzeba jeszcze pociągnąć za język”.

- Kto dziś prowadzi zmianę? Szymkiewicz?

Tamten drgnął i zeszytniał, jak szturchnięty w plecy.

- Szymkiewicz? To nie wiecie?

- Czego?

- Szymkiewicz w szpitalu.

- W szpitalu? - postanowił ciągnąć to przedstawienie, może tak będzie łatwiej. - Chory?

- Pobity. Nie słyszeliście? Napadł ktoś na niego, tu, na grubie. - Ach, to na niego? Słyszałem, a jakże, słyszałem, o zamordowanych też. Nie wiedziałem, że to na Szymkiewicza...

- Na Szymkiewicza. Tutaj, w oddzielu.

- Coś podobnego! Nie wiedziałem. I co? Wiadomo już coś? Kto to mógł być?

Tamten pokręcił głową.

- Chyba nie, zresztą nie wiem, nikt nic nie mówi, tylko plotki, a plotkom, sami wiecie, wierzyć nie można.

- A wy? Jak myślicie? Może ktoś od was? Sztajgar, wiadomo, samych przyjaciół nie ma.

- Od nas? Nie przypuszczam. - Cieśla wzruszył ramionami.

- Nie lubili go, ale żeby zabijać? Aż taki wredny nie był.

- A bo to wiadomo, komu i kiedy wlezie się na odcisk? - Niby nie... A u was, sztajger, jak słyszę, stare przyzwyczajenia? Zmroziło go.

- Co? Jakie przyzwyczajenia?

- No... Do szpiclowania. Węszyć to umiecie.

- Co wy...?

- Czempik, takie nazwisko, pamiętacie? - Głos górnika brzmiał sucho, nieprzyjaźnie. - Zawada, Strzelecki? Co? Nie pamiętacie? A powinniście. Ja bym pamiętał.

Pamiętał, jasne, że pamiętał. Czempik - szef zakładowej komórki, Strzelecki... chyba zastępca, w każdym razie też lokalny prominent związkowy. Zawada? To chyba szeregowy działacz, z tych aktywnych. I jeszcze Bober, Żymełka... Wygarnęli wszystkich w godzinę, całą podziemną Solidarność z Gertrudy. Dostał za to medal, talon na wartburga i wczasy w Rumunii. I premię niezłą, jak na tamte czasy.

- Pan Nakonieczny, prawda? - usłyszał zza swoich myśli. - Porucznik? Gadali o was, że porucznik. I co pan porucznik tu robi? Znowu kapuje? Na kogo? Komuny nie ma podobno od dwudziestu lat z okładem. Pan powie.

Nie odpowiedział od razu. Co miał odpowiedzieć? Mógł tylko potwierdzić. Tak, Nakonieczny, porucznik, to detal, że były. Tak, pamięta. Te nazwiska i okoliczności, w jakich je poznał. I co zrobił z tą wiedzą. Że sprawa nieaktualna, bo ciąg dzisiejszych zdarzeń ją unieważnił? Na pewno? Wątpił, czy istnieje droga powrotu, unieważniająca tamte czasy, zwłaszcza że tak wielka była wówczas względność przekonań, którymi kierowały się strony. Z tamtej perspektywy nie było widać widać zwycięzcy, także w sferze wartości. Każdy stał po stronie kierującej się racją, to ten drugi, z naprzeciwka, był stronnikiem zła. Nawet jeśli prywatnie, w głębi duszy, niekiedy miało się wątpliwości. Po obu stronach zresztą. Dopiero dziś widać, jak daleko można zejść, wypierając świadomość wyboru: do takiego miejsca, z którego już nie

ma odwrotu.

Dziś zresztą też oszukiwał się i wypierał. Wątpliwości? Mieli wtedy wątpliwości?

- Pracuję dla policji - powiedział krótko, nie patrząc w oczy rozmówcy.

- Po co?

Po co? Sam chciał wiedzieć. Łatwiej było odpowiedzieć dlaczego. Ale po co? Wzruszył ramionami.

- Widać mnie potrzebowali. Ja się nie pchałem. Nie radzą sobie z mordercą, który tu na was poluje.

- A wy sobie poradzicie?

- Nie wiem. Oni myślą, że tak.

- Ja się pytam, co wy, sztajger, myślicie.

- Myślę... - „Co myślę? Właśnie”. - Myślę, że mogę spróbować. Szanse mam większe niż policyjni wywiadowcy, znam kopalnię i znam górniczą robotę.

- Górniczą? To, coście tu robili, nazywacie górniczą robotą?

- Nie to.

- Jak myślicie, dobrze by może było, żeby ludzie lepiej poznali nowego behapowca? Jaki to doświadczony górnik nam przybył?

- Nie panu oceniać.

- Nie mnie... Słuchajcie, panie Nakonieczny. Ja mogę rozumieć potrzebę, że wasz talent szpiclowski jest bezcenny i niezastąpiony. Mogę też rozumieć, że tego gnoja, co tu zabija, trzeba złapać i że bez was ani rusz. Jak powiedzieliście: nie mnie oceniać. Ja nie będę w takim razie oceniać - przez dwa tygodnie. Rozumiecie? Macie dwa tygodnie, potem

powiem ludziom, kto wy. Rozumiecie?

Rozumiał. Co miał nie rozumieć? Gotów był nawet przyznać rację.

- Skoro więc pan już wie... Może mi pan coś powie?

- O czym?

- No... Co się tu dzieje. Na kopalni, mam na myśli.

- Co się ma dziać? Fedruje się. - Cieśla wzruszył ramionami.

- Co pan powie? - zdziwił się fałszywie. - Przecież pan wie, o co mi chodzi. Oprócz fedrowania sporo się tu ostatnio wydarzyło.

-Ale co was interesuje? Bo to duża firma.

-Wszystko. Wszystko, co nie jest fedrowaniem, rozumie pan? Co by pana zdziwiło, gdyby się tu nagle wydarzyło.

Górnik zastanawiał się dłuższą chwilę, milcząc, aż Na konieczny zdążył zwątpić, czy w ogóle odpowie.

- Trudno rzec... - powiedział w końcu. - Złodziejstwa może więcej niż kiedyś.

-Anioły nigdy tu nie pracowały.

-Ale to złodziejstwo jakieś takie... gówniarskie.

- Gówniarskie?

- Wiecie, kufajkę komuś ukradną albo śniadanie czy picie... A obok zostają narzędzia, sto razy więcej warte. Do tego burdel się zrobił na lampowni, lampy niedoładowane, pomieszane... Takie to niezwykłości, zwykły polski bajzel, coraz większy, podobnie jak wszędzie.

- Wam tutaj też kradli?

- Też, parę dni temu, może pięć. Jakiś cwaniak zwinął niektórym chleb, innym kawę... Marki też ponoć niekiedy giną,

ale nie wiem na pewno, mnie nie zginęła ani nikogo takiego nie znam, gadanie tylko słyszałem.

- I nie widzieliście kto? To przecież ślepy przodek, nie da się przejść i zabrać, żeby nikt nie zauważył. Był tu ktoś obcy?

- Akurat staliśmy cztery zmiany, awaria Grota, wymieniali cały silnik z przekładnią. Pełno było obcych. Przychodzili, wychodzili... Marszałkowska normalnie, jak zwykle w takich sytuacjach. Nie zna się wszystkich, jeszcze pełno tych z obcych firm, tu dopiero trudno zapamiętać, co chwila kto inny.

- A taki obcy starszy tu się nie kręcił?

- Panie, tam u nich co drugi starszy, z emerytury ich biorą, bo tym na pieniądzach tak nie zależy, dorabiają sobie, to i ceny firma może dać niższe na przetargu. Zresztą ja bym raczej tych młodszych podejrzewał, rasa taka przychodzi, że niekiedy człowiek boi się kolegów z pracy. Żadnego szacunku dla doświadczenia, rozumy pozjadali, panie. Na psy górnictwo schodzi, nie to, co kiedyś.

- Ja tam pamiętam, że zawsze tu niezła rasa robiła, łapańcy z całej Polski, brali każdego, kto się nawinął.

- To co się dziwić, że kradną i że w końcu kogoś zabili.

- Myśli pan, że to oni?

- A kto? Ślężaki? Stare gómiki? Tu jest, panie poruczniku, jeszcze trochę szacunku do roboty i do ludzi, właśnie wśród tych starych i tych stąd. Dobra, dobra. - Podniósł pojednawczo ręce. - Panie sztajger od behapu, miałem powiedzieć. No, na mnie czas. Dwa tygodnie, pamiętajcie. - Wstał, stęknąwszy, zdjął ruk- cug z ociosu i przerzucił pas skrzynki przez ramię. Wyszedł pochylony z wnęki i zniknął w

ciemności.

Nakonieczny wyrzał za nim, obserwował przez chwilę od-
dalający się krąg światła. Nazwiska... Nieprawda, że przestały
znaczyć. Pamiętał je, cały czas pamiętał, bo to one stanowiły
sedno jego zapominania, dzięki nim tracił połowę
dzisiejszego spokoju. Bober... Ten pękł pierwszy, wystarczyło
postraszyć. Miękki był, Zocha tylko machnęła tonfą i śpiewał
niepytany. Zawada był twardy. Zocha miała takie ulubione
uderzenie, otwartą dłońią, wyprostowanymi palcami w splot
za uchem, prawie nikt nie wytrzymał, moczyli się z bólu, a
śladu nie było, tylko lekkie zaczerwienienie, czasem robił się
z tego siniak, ale miejsce niewidoczne, pod włosami,
bezpieczne dla bijącego. Zawada za pierwszym razem tylko
stęknął, zemdłał po czwartym, gdy już Zocha zamierzała
zmienić repertuar. A gdy go ocucili, milcząc, splunął
Nakoniecznemu na buty. Pamiętał tę ślinę, uciskała palce,
jakby Zawada plunął stopionym ołowiem, który zastygł w
sztywną obręcz na stopie. Wytarł to zaraz o nogawkę
tamtego, oddał mu z liścia, nawet niezbyt silnie, w zasadzie
dla demonstracji. Wytarcie nie pomogło, ślina pozostała,
mimo iż wiedział, że tylko w wyobraźni, w poczuciu urażonej
godności, wbrew woli, bo żadnego z osobistych uczuć nie
wolno mu było w takiej sytuacji mieć, jedynie
profesjonalizm.

Czempika słuchał sam, ostatniego, gdy już starannie dopil-
nowano, by ten wiedział wszystko o metodach Zochy. W tej
ich parze to on robił za dobrego policjanta, dla kontrastu,
ale także z powodu większej skuteczności partnerki. Bardzo
była w tym dokładna i pedantyczna, miewał chwile, gdy

podejrzewał ją, że to lubiła. I w stosunku do Czempika wystarczyła maszyna do pisania oraz zestaw przygotowanych wcześniej pytań, na które odpowiedział, nie zdradzając niczego, czego by już Nakonieczny nie wiedział od jego związkowych towarzyszy. Czempika zresztą nikt nie zamierzał krzywdzić fizycznie, mieli taką zasadę, że szefów traktowało się przyzwoicie, dla swoistego PR-u, ale także dlatego, że więcej można było wyciągnąć od ich podwładnych, a oni, na końcu, wszystko to potwierdzali, rzadko kiedy zresztą próbując coś taić. Tak zawsze było, nie od złapanych generałów wywiad zdobywał najciekawsze, najbardziej wartościowe wieści.

Cieśla migotał już tylko lampką między płataniną kabli i rur daleko w przodzie. Nakonieczny jeszcze raz popatrzył na oddalające się światło, a potem wstał i ruszył za nim. Pogadać tu było trzeba, nie jedynie w kółko wywlekać przeszłość.

Niektórzy umieją znikać. To talent, jak każdy inny. Cechą talentu jest, że od niczego nie zależy i bywa najczęściej nieuświadomiony, tylko nieliczni rozpoznają go u siebie, a i tak weń nie wierzą. Dotyczy to jednak talentów wzniosłych, szlachetnego gatunku, a przynajmniej użytecznych, jak muzyka czy gotowanie. Talent do znikania do takich nie należy, to zwykła, pospolita i codzienna zdolność, dzięki której nie powstają żadne wiekopomne dzieła, acz potrafi wspaniale utrudnić życie tym, którzy szukają, i odwrotnie - ułatwić szukaniem.

Nakonieczny miał talent znikania, o czym się właśnie dowiedziano. On sam miał dowiedzieć się później, gdy będzie próbowało się zniweczyć skutki owej nadzwyczajnej umiejętności, używając przy tym różnych środków i różnych wyrazów, niejednokrotnie wymykających się cenzurze. Detektyw jednak zniknął skutecznie, zapadł się pod ziemię; nie wiedziano jeszcze, że dosłownie. Poszukiwania spełzały na niczym, nie było żadnego punktu, od którego można by zacząć poszukiwania - pewni ludzie nie mogli wyjść z zadziwienia, że można aż tak nie mieć żadnych przyjaciół ani nawet znajomych, którzy wiedzieliby cokolwiek. Zdawać się mogło, że jedynym punktem odniesienia była niejaka Zocha, ale po niej została już tylko w niczym nieorientująca się smarkata wnuczka i nadające się do wyrzucenia krzesło, którego tapicerki nie dało się odczyścić. Dowiedziano się przy tej okazji, jak gruby błąd popełniono, zdając się na inteligencję współpracowników i ten idiota, bezmózg tęgokarki, który z próżności chętnie pochwalił się zdjęciem, w wyniku czego detektyw prysnął niemal sprzed maski samochodu ekipy egzekucyjnej, poniósł już surowe konsekwencje, co pracy nie ułatwiło, aczkolwiek dało dobry empiryczny przykład ewentualnym naśladowcom kretyna. Poszukiwania trzeba było zacząć od początku, jednak nie ustawano w wysiłkach i osiągnięto w końcu pewien efekt: odkryto, że detektyw Nakonieczny nie był psem przez całe życie, że zanim zaczął służyć ojczyźnie ze szkodą dla jej obywateli, był człowiekiem zwyczajnym, z ukończoną politechniką i normalnym etatem po niej. I że ten etat, wynikający z egzotycznego poniekąd, zwłaszcza dla

tych spośród szukających, którzy pochodzili z centralnej Polski, zawodu, był równie nietypowy, a z racji swej nietypowości rodził nieoczekiwane możliwości. Przechowano trudności nie tylko z odnalezieniem obiektu, mimo już zawężonego kręgu poszukiwań, ale także z finalizacją całej sprawy. Środowisko bowiem było dziewicze pod względem działań niektórych fachowców, aczkolwiek nie sądzono, by w ogóle niedostępne. Znalezione właściwego człowieka, choć zdawało się to niewykonalne, obiecano mu odpowiednią gratyfikację, wypłacono stosowną zaliczkę i może nawet pobłogosławiono na drogę, gdyż w niektórych środowiskach przestępczych wystąpiło od jakiegoś czasu zjawisko wzmożonej religijności, które stało w oczywistej sprzeczności z rodzajem wykonywanego zawodu, nie sprawiając tym nikomu najmniejszego kłopotu ani nie wpędzając w konfuzję. Więcej nawet - ów mentalny dysonans brzmiał odświeżająco, neofickiej gorliwości nadawał ton i rzeczy nazywał po nowemu, nie zawsze zgodnie z literą czy duchem Księgi, ale perwersyjnie szczerze.

Człowiek był z wyglądu zaprzeczeniem wzorca swej profesji: żadnych łysin, żadnych karków, cienia stalowych spojrzeń pełnych ostateczności na dnie źrenic, zero cedzenia przez zęby fraz, które mogłyby stać się kultowymi, gdyby padły z ekranu z ust jakiegoś Lindy lub jego mniej udanego naśladowcy. Niski, przygarbiony człowieczek przed czterdziestką, o powierzchowności referenta, trochę bezbarwny i trochę nieśmiały, kojarzył się raczej z osobnikiem zainfekowanym permanentnym bezrobociem - w spojrzeniu miał ten typ rezygnacji i pogodzenia z bez-

nadzieją, wynikający z nieprzebojowej, wycofanej natury. Sprawiał nawet wrażenie, iż drżą mu nieco dłonie, acz było to tylko zdumiewające realizmem złudzenie. Wiedział o tym przede wszystkim on sam, a także ci, którzy korzystali z jego usług nie po raz pierwszy. Oczywiście również ci, na których brał zlecenie, ale oni dowiadawali się raczej za późno i w związku z tym bez konsekwencji.

Człowiek ów znany był z sumienności, nie działał pochopnie, w pośpiechu i bez przygotowania, te cechy były potężnym atutem w procesie jego wyboru spośród okazałej grupy pretendentów. Znalezienie cyngla nigdy nie było tak łatwe, jak w czasach światowego kryzysu - cięcia kosztów następowały również w tej branży, dzięki czemu parę osób na świecie miało szansę pożycić dłużej, niekiedy nawet zupełnie długo, bowiem z racji upływu czasu, co jest, jak wiadomo, czynnikiem łagodzącym, trafiały się nierzadkie przypadki, że zlecającemu złość mijała i zadowalał się obiciem gęby jako dowodem rozgrzeszenia.

Cyngiel miał oczywiście imię, miał nawet nazwisko, choć nie używał. Nie będzie się ich jednak tu podawać, bo nie istota cyngla miała znaczenie, lecz jego zawód i talenty. Jak się nazywał, ważne pewnie było dla mamusi, rodzeństwa, jeśli je miał, jakiejś kobiety... Tu cyngla widzi się, jak w chaszczach nad śmierzącym potokiem strzela do puszek, trafiając raz za razem bez nadzwyczajnego wysiłku. Używa w tym celu masywnego dziewięć- ciomilimetrowego SIG-Sauera typ P226, dobrze leżącego w dłoni kilograma czarnej stali. Następnie wraca do hotelu, średniej klasy, nijakiego jak on, zjada nijaki obiad i wypija piwo, a potem, siedząc w

kucki na łóżku, w skupieniu przeszukuje na laptopie internet i notuje coś w grubym, sfatygowanym kołonotatniku, noszącym ślady intensywnego używania. Na przemian obgryza przy tym obgryziony już mocno koniec taniego długopisu lub bazgrze esy-floresy na marginesach stronic. Nawet w tych objawach zamyślenia jest przeraźliwie tuzinkowy i nie ma w tym nic z pozy czy maski. On taki jest. Wieczorem zjada na kolację bułkę z salcesonem, a potem aż do nocy patrzy przez okno na ciemne, splukiwane deszczem ulice Chorzowa.

Po trzech dniach człowiek zatrzasnął laptop i wypełniony kolumną nazw i adresów kołonotatnik, wymeldował się, wsiadł do brudnej skody octavii i wyjechał ulicą w kierunku zachodnim. Nie było to bardzo istotne, ale od któregoś końca musiał zacząć.

rozdział V

Chodniki w nicość

- No to mieliśmy świadka. - Prokurator Zalewski niemal dosłyszalnie zgrzytał zębami. W każdym razie szczęki mu chodziły, jakby zgrzytał, zauważył komisarz Kaleta, który był posłańcem złej nowiny. - Jak to się stało? Przecież podobno stan był stabilny, przytomny był, słuchałeś go!

- Nie ja... - sprostował bez sensu Kaleta. - Malinowski i Rogalski...

- Jaki Rogalski...? A co to za różnica, litości, Benek! Jak oni mogli dopuścić?!

- Zbieg złych okoliczności, jakiś krwiał na mózgu, pogorszenie, wylew, była noc... Nie wiem dokładnie, w każdym razie przyczyny naturalne...

- Naturalne... A jakie miały być? Pod pociąg miał się rzucić, z okna wyskoczyć? W łeb dostał i tego należało pilnować...! Stanu zdrowia!

- Trudno wymagać cudów... Zresztą świadek z niego był za-
den, nic nie pamiętał, nic nie widział...

- Mógł sobie przypomnieć z czasem, mało razy tak było?

„Niemają” - musiał przyznać Kaleta. Równie niemają nie przypominało sobie niczego, ale o tym wolał w tej chwili nie

wspominać, drażnienie Zalewskiego słownym przekomarzeniem nie mogło się dobrze skończyć. Sam Kaleta nie przejął się tą śmiercią aż tak bardzo, owszem, żał człowieka, ale żał to nie jego rola w tej sprawie, a w przeciwieństwie do prokuratora nie miał wielkich oczekiwań wobec Szymkiewicza jako świadka. Nie wierzył, żeby tamten miał co sobie przypominać. Może jakiś nieistotny detal. Ale było ciemno, było zaskoczenie i atak od tyłu, nawet na powierzchni człowiek napadnięty w nocy mało co widzi i zapamiętuje, a co dopiero tam. Kaleta był na dole, widział na własne oczy i potrafił wyciągnąć wnioski z tego, co zobaczył.

- Dzwonił Stasiak - powiedział, zmieniając temat na bezpieczniejszy. - Pan prokurator pamięta, ten od Nakonieczne-go, nasz łącznik...

- Nie rób, Benek, ze mnie większego durnia niż jestem. Z tym, co mam, borykam się wystarczająco. Co ten Stasiak...?

-No właśnie... Nakonieczny pytał, co z Szymkiewiczem i kiedy by mógł z nim pogadać.

- Niech się on zajmie dołem, a sprawy tutaj zostawi nam. Śledczy się znalazł. Za bardzo wczuwa się w rolę - warknął Zalewski.

- Można mu powiedzieć?

Prokurator zastanowił się.

- Chyba trzeba, nie ma co bardziej zaciemniać sytuacji. Niech wie. Zapytajcie go, czego chciał od Szymkiewicza, może my mu odpowiemy.

- Będzie musiało mu wystarczyć.

W noc z soboty na niedzielę długo wiercił się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Przesuwały się przed oczami kilometry wręgowanych chodników, przeciskał się nimi w duchocie i wilgoci, brodził w błocie długimi godzinami, sam w wąskim snopie światła. To wracało, ilekroć zostawał w czterech ścianach, odcięty od świata firanką ciemności za oknem. Niekiedy drzemał, sam o tym nie wiedząc, sen wówczas przeplatał się z jawą, mieszał obrazy, mącił myśli, przerywał ciągi skojarzeń, które gdzieś tam zawiązywały się w pierwsze logiczności, pierwsze podstawy późniejszych wniosków, o których jeszcze nie miał pojęcia. Szczegóły, dziesięć szczegółów, rebus, zgadywanka pieprzona, zna szczegóły, czego nie wie? Chyba to już wszystko, nic więcej... Skąd więc to uczucie, że o czymś zapomniał, coś pomiął, czegoś nie dostrzegł? A może dostrzegł?

Wstał po trzech godzinach wiercenia się w pościeli, zapalił światło, sięgnął pod łóżko po butelkę, pociągnął zdrowo z gwinta, otrząsnął się, wykrzywił, odstawił. Z szafy wyjął rulon z mapami. Porozpinał je na drzwiach szafy, pokoju, na kredensie, na słomiance nad łóżkiem, wszędzie, gdzie tylko dało się wbić pinezki. Rozejrzał się. Kopalnia otaczała go ze wszystkich stron: poziom 600,400, 300, 200... Izometryczne rzuty pokładów, porozcinanych chodnikami jak pola miedziami. Plany wentylacji, przecinki, upadowe, jakies chodniki o niewiadomym przeznaczeniu, wydrążone poza płaszczyznami pokładów, w litym kamieniu, kiedyś zapewne niezbędne, dziś bez funkcji, istniejące tylko dlatego, że nie opłacała się ich likwidacja... Pajęczyna tuneli, ślady

gigantycznych dżdżownic, rozcinała górotwór siatką dziur, czyniąc z niego rzeszoto, objaw skalnej osteoporozy. Patrzył kolejno na przyżółkłe płachty papieru, pokreślone niebieskimi żyłkami, wbijał je w umysł, nakładał na siebie. Podszedł do szafy, otworzył neseser, pogrzebał w nim przez chwilę wśród ubrań, potem zniecierpliwiony wyszarpnął walizkę na podłogę i wyrzucił zawartość. Znalazł czerwony mazak, otworzył go, sprawdził na wierzchu dłoni. Wrócił do map.

Po godzinie odłożył mazak i krytycznie przyjrzał się swemu dziełu. Kropki, które stawiał, znajdowały się na prawie każdej mapie, szczególnie wiele na poziomach 300 i 200, ale także najbardziej produkcyjny poziom 400 nie był od nich wolny. W niektórych miejscach było ich więcej, w innych tylko pojedyncze... Każda kropka to jedno zdarzenie, jedna anomalia wśród zwykłych zdarzeń. Były wśród nich te trzy kluczowe, ale ich wyróżnienie w postaci większego kółka nie wносиło żadnej jaśniejszej myśli w chaos plamek. Czy był w tym jakiś sens, jakaś prawidłowość?

Potarł czoło i spojrzał w okno. Szarzało. Trzeba trochę odpocząć, nic już dziś nie wymyśli. Położył się na kołdrze, oparł stopy wysoko na ścianie szafy. Drewno przyjemnie chłodziło, lubił chłód od stóp. Zamknął oczy. Czerwone punkty znaczyły białą płaszczyznę, przeniesioną ze ścian i futryn pod powieki, drżały lekko jak na niedostrojonym ekranie, jakby oglądał je ze zbyt bliska. Dużo ich było, więcej niż na każdej z map z osobna. Patrzył na ich delikatny taniec i coś zaczynało do niego docierać, jakiś kształt, układ, coś jak wykres... Zasnął, zanim zrozumiał.

Obudziło go słońce. Wpadało do pokoju szeroką smugą

pomiędzy na wpół odsuniętymi zasłonami, prostokąt światła z krzyżem framugi pośrodku rozlewał się po podłodze i pościeli, rogiem sięgając brzegu kołdry na piersi. Momentalnie otworzył oczy, jakby to słońce wypełniło go dawno zapomnianą witalnością, odsunęło w tył mózgu świadomość chorób i ułomności, których pożywką była niekończąca się chlapa późnej jesieni, z jej depresją i reumatyzmem. Uniósł się na łokciach i rozejrzał. Pokój w świetle dnia sprawiał dziwne, niesamowite wrażenie, opleciony brudnobiałą taśmą niezliczonych map, od których tylko łóżko i to rozświetlone okno były wolne.

A potem usiadł. Powiódł wzrokiem wzdłuż krawędzi słonecznej plamy, podniósł wzrok na okno. Następne kilkanaście minut zajęło mu odpinanie map i przypinanie ich do framugi, jedną na drugiej, jedną na drugiej, aż odpowiednio nałożył wszystkie, a w pokoju zapanował półmrok. Miał przed sobą ledwie rozświetlony od zewnątrz ekran, niczym z teatru cieni, aż prosiło się o postać, zarys profilu, najbardziej tajemniczy z portretów. Zobaczył ten profil. Naznaczony siatką punktów, pierwotnie czerwonych, teraz, spod światła, z czerwieni pozostała czerń, klasyczny kolor dla tego rodzaju egzotycznej sztuki. Zewnętrzne punkty tworzyły nieregularny okrąg, gęstniały ku środkowi, zbiegając się promieniście wyznaczały centrum. Przysunął się bliżej, ów środek koncentrował się na jednej z map w głębi ekranu, musiał spojrzeć z bliska, by go zidentyfikować. Poczł gorąco w policzkach i od razu klucie w piersiach, jak zwykle, gdy z podniecenia skakało mu ciśnienie. Czyżby miał...?

Odszedł od okna, odetchnął głęboko dla uspokojenia serca i poszedł nastawić wodę na kawę. Z dna szafy wyjął domowej roboty nalewkę, dostał ją na przedostatnie imieniny od Zochy, pigwówka, owoce pewnie z tej jej działki, trzymał na specjalną okazję oraz dlatego, że od słodkiej wolał czystą, lubił, gdy paliła mu gardło chemicznym posmakiem, ale teraz była okazja, z powodu której warto nieco zasłodzić się procentowo. A i Zosze może trochę się z tego należało. Choćby w ten sposób.

Gdy już cyngiel zlokalizował kopalnię i rozpracował osiedle, ustalenie, gdzie Nakonieczny mieszka, nie było trudne - kopalnia miała dwa hotele robotnicze, wystarczyło zapytać. Obiekt wprowadził się pod prawdziwym nazwiskiem i wyglądu nie zmienił, portier nie miał trudności z identyfikacją. Na tym jednak skończyło się łatwe - hotele pełne były ludzi, żyły właściwie całą dobę, mieszkańcy pracowali na różne zmiany, a Stróże byli zaskakująco czujni i wyczuleni na obcych, zwłaszcza kręcących się bez jasno wyartykułowanego powodu. Nie dziwiło go to, gatunek wędrownych robotników, zamieszkujących tego typu przybytki, nie należał do świętych, pilnujący tego interesu musieli mieć oczy dookoła głowy. Nie zamierzał niczego robić na siłę - teraz, gdy zlokalizował cel, wystarczyło być cierpliwym.

Wyznaczył sobie kilka punktów obserwacyjnych, przeczuwał, że zajmie to trochę czasu, a nie chciał, by ktoś go zapamiętał. Opracował też kilka wariantów realizacji

zlecenia - od teoretycznie najłatwiejszej akcji w miejscu zamieszkania po teren kopalni, gdzie mogło być trudno, ale może właśnie ze względu na specyfikę miejsca najbezpieczniej, bo nieoczekiwanie. Zabójstwo tysięcy metrów pod ziemią - słyszał ktoś o czymś takim? On w każdym razie nie.

Może to wydać się dziwne, ale do tej pory go nie widział. Nie odczuwał potrzeby, choć gdyby odczuł, łatwo mógłby ją zaspokoić. Posiedziałby na ławeczce opodal Domu Górnik i prędzej czy później z pewnością musiałby go zobaczyć. Lecz oglądanie nie należało do czynności niezbędnych na tym etapie, a on starał się nie wykraczać poza opracowany schemat. Jeszcze się napatrzy wystarczająco.

Oczywiście zanim zaczął tę metodyczną pracę, spróbował na rympał, z marszu. Nigdy nie zaszkodzi spróbować. Zdecydowanym krokiem wszedł do hotelowego holu i skierował się na schody. Portier - łysy jak kolano, gruby facet o wyglądzie emerytowanego boksera - wyraźnie zawahał się, czuł na plecach jego podejrzliwy, ale niepewny wzrok, tupet niekiedy przynosi efekty, i gdy już zaczynał cieszyć się w duszy, usłyszał:

- Szanowny do kogo?

Wrócił. Podał nazwisko, uśmiechając się przeprasząco.

- Nie ma. W robocie. - Z miny portiera wyczytał, że rozmowa na tym się kończy.

- Kiedy wróci? - zapytał pro forma. Poznał już organizację zmian na Gertrudzie.

- Kto go tam wie, ja nie pilnuję, kiedy kto wraca. Wolny kraj, wolni ludzie. A pan, że zapytam, kto dla niego?

- Nieważne. - Machnął lekceważąco ręką. - Kumpel z wojska.

- Z wojska... Powiem, że pan był.

- Nie trzeba, dzwoniśmy się. - Wycofał się do drzwi, ukłonił z uśmiechem i wyszedł.

Idąc starannie wolnym krokiem, czuł na plecach przez szybę jego wzrok. Czy tylko jego? Czy to było złudzenie, czy też w dyżurce na zapleczu siedział ktoś jeszcze, kto chyba nie bardzo chciał zostać dostrzeżony? Przez krótką chwilę miał wrażenie, że zrobił coś źle, że owo wchodzenie na wariata było zupełnie zbędne. W dodatku powstało zagrożenie, że się zdemaskował. Detektyw głupi nie jest, zapewniał zleceniodawca. Nie był do tego stopnia ambitny, że wolałby mądrego za przeciwnika - preferował skuteczność, dlatego nie cierpiał na brak zleceń. Teraz więc musi liczyć się z tym, że ofiara zostanie uprzedzona, co zawsze zwiększa liczbę kłopotów.

Poranna zmiana kończyła się przed czternastą, plus wyjazd, kąpiel i jakieś sprawy biurowe - należało liczyć, że Nakonieczny zjawi się w hotelu po piętnastej, może piętnasta trzydzieści, jeśli oczywiście nie wybierze się na zakupy czy piwo. Nie sądził, że w jego sytuacji miałyby ochotę na jakieś dłuższe beztroskie spacerki, afiszowanie się wśród ludzi nie było obecnie pomysłem dla detektywa najzdrowszym i zapewne dobrze o tym wiedział. Cyngiel miał kilka godzin dla siebie, z którymi nie bardzo wiedział, co zrobić - górnicze osiedle przy Gertrudzie leżało na uboczu, do miasta jechało się stąd dobre trzydzieści minut samochodem lub kilkanaście przystanków rzadko kur-

sującym autobusem. Nie było łatwe do znalezienia - gdyby nie fakt, że metodycznie sprawdzał kopalnię za kopalnią, aż dotarł do Gertrudy i przy niej natrafił na to dziwne zbiorowisko bloków, zagubionych wśród hałd. Samo osiedle było typową przyzakładową sypialnią, kilka sklepów, park z nieczynnym na co dzień ośrodkiem kultury, który otwierano tylko okazjonalnie na koncert trzeciorzędnych artystów czy projekcję wędrownego filmu oraz oczywiście barbórkowe imprezy i akademie, staw w zagłębieniu między hałdami, gdzie przy ładnej pogodzie można było popływać kajakiem, wypożyczalnia filmów DVD... i tyle. Planując to blokowisko, słusznie założono, że spracowany górnik najlepiej rozerwie się sam z piwem przed telewizorem, a jak go najdzie ochota na bardziej wysublimowaną rozrywkę, to się wybierze do Knuruwa, Gliwic albo nawet i do Katowic się karnie autem, a co.

Poszedł do parku. Niespecjalnie był w nastroju spacerowym i ani aura temu nie sprzyjała, ani pejzaż. Jak to w przededniu zimy: buro, ciemno, wilgotno, wiatr, na drzewach ani liścia, kiwały się tylko jak wyłysiałe miotły w nieregularnym rytmie podmuchów. Ale co miał robić? Wzdrygnął się, zapiął pod szyję kołnierz kurtki i naciągnął kaptur.

Obejście wszystkich alejek we wszystkich możliwych kierunkach i wariantach skręcania zajęło mu czterdzieści minut. „Spacer to słaby sposób na zabicie czasu, zwłaszcza w taką pogodę” - stwierdził. W dodatku od chodzenia zaczęły go boleć nogi. Z drugiej strony park dawał akurat dziś niezłe schronienie, właśnie z powodu aury, w czasie tej swojej

wędrówki nie napotkał ani jednej osoby, nie tylko spacerującej, ale nawet przechodzącej tędy. Był sam i nikomu nie rzucał się w oczy. Nie osiągnąłby tego, snując się ulicami, zawsze mógł go tam ktoś zapamiętać. Postanowił przynajmniej przestać moknąć; skierował się ku zachodniej stronie parku, gdzie podczas przemierzania alejek dostrzegł starą muszlę koncertową. Szybkim krokiem przebył kilkaset metrów ścieżki, zszedł po kamiennych stopniach w dół, między amfiteatralnie rozmieszczonymi ławkami, szczerzącymi się szczerbatymi zębami powyłamywanych desek, pod betonową scenę, nad którą rozpościerał się wsparty na stalowej konstrukcji dach z półprzezroczystego, żółtego tworzywa. Wspiął się na podest, wstał i otrzepał kolana, a potem rozejrzał za czymś do siedzenia. Nędza i ruina. Znalazł kawałek deski z jakiejś skrzynki, położył na dwóch pustakach, usiadł. Przynajmniej było sucho. Sięgnął do torby, wyjął grubą książkę obłożoną w gazetę, otworzył w miejscu zaznaczonym zagiętym rogiem, włożył między kartki kciuk, przytrzymał, chwilę szukał wzrokiem miejsca, gdzie kończył się znajomy tekst, po czym zagłębił się w lekturze.

Borys Drubecki przedkładał właśnie na wileńskim balu widok carskiego oblicza nad bezwstydnym dekoltem Heleny, gdy zabręczał budzik w telefonie zagłębionego w lekturze mężczyzny. Nie odrywając jeszcze wzroku od zadrukowanych stron, namacał w kieszeni aparat i, nie wyjmując go, wyłączył brzęczyk; dopiero wówczas niechętnie zamknął tom i schował do torby. Wstał. Obiecał sobie, że po zakończeniu zlecenia powróci do lektury i na serio zajmie się losami wojny rosyjsko-napo-leońskiej. Takie podczytywanie dla

zabicia czasu nie miało sensu, strasznie dużo gubił z przeczytanej fabuły, co najmniej połowy niuansów nie pamiętał, tak Tołstoja czytać się nie powinno.

Popatrzył na zegarek. Dochodziła czternasta trzydzieści pięć, czasu jeszcze trochę miał, ale nie należało przesadzać z nonszalancją. Najgorsze, co mogło przytrafić się zawodowcowi, to właśnie nonszalancja, której pokusa towarzyszyła mu zawsze i zawsze ją tłumił. Skrzywił się, wychodząc spod dachu, deszcz siąpił w dalszym ciągu, uporczywie, nieprzyjemnie mżył w sposób, przed którym nie chronił ani parasol, ani kaptur. Ruszył w kierunku osiedla.

I wszystko wzięło w łeb. Zobaczył go, idącego uliczką od strony kopalni, ale najpierw zobaczył ich. Rozpoznawał ich od jednego spojrzenia, po chodzie, po sylwetkach, chyba nawet po aurze, którą wokół nich wyczuwał, diabli zresztą wiedzą po czym. Po kilkunastu latach w zawodzie miał do nich nosa. Psy. Radiowóz wystawiał tylko kawałek maski zza budki z kwiatami i był jedynym umundurowanym znakiem ich obecności. Siedzieli tam, w środku, pewnie we dwóch – młodzi niedoświadczeni chłopcy w czarnych kombinezonach z żółtym napisem na plecach, żółtodzioby zaczynające karierę od obliczania długości krawężnika. Ci nie stanowili żadnego zagrożenia ani też realnego wsparcia, byli raczej podkreślnikiem, akcentem obecności stróżów prawa. W razie czego będą robić za uzbrojony tłum i świecić żółtymi kamizelkami między cywilami, aby było wiadomo, że to nie jakaś mafia rachuje się między sobą, tylko jest akcja, jest koordynacja, jest profesjonalizm. Prawdziwi przeciwnicy siedzieli w szarym oplu, zaparkowanym tuż przed miejscem,

gdzie alejka dojazdowa do Domu Górnika krzyżowała się z ulicą. I jeszcze tamci dwaj: jeden pod okapem wiatrołapu ogryzionego z elewacji gierkowskiego wieżowca, palił papierosa w rękawie, czytając wyjątkowo uważnie spółdzielczą tablicę ogłoszeń, i kolejny, rozparty na białym plastikowym krzeselku pod namokłą markizą zamkniętego baru z wizerunkiem parującej michy pierogów na witrynie, któremu chyba kapało trochę za kołnierz, ale znosił to mężnie ku chwale ojczyzny. W tej chwili nabrał pewności, że tamto drugie, niewidoczne spojrzenie z zaplecza portierni nie było złudzeniem.

Przez kilka sekund rozważał realność wariantu zakładającego dwadzieścia szybkich kroków, sig sauer zza paska podniesiony na prostym łokciu i wsporniku z lewej ręki, pięć - sześć szybkich mchów spustu, zwrot między bloki, ucieczka przez trawniki i osiedlowe rabatki do samochodu, start, koniec. Tak jak planował. Plan miał jednak słaby punkt, nie zakładał tak licznej psiej obstawy. W ogóle nie zakładał obstawy i teraz, jakby mógł, toby się najchętniej walnął kolbą tego sig sauera w pusty łeb, a nie dyskretnie poprawiał go z tyłu za kurtką, zbliżając się do opla, zza szyb którego śledziły go dwie uważne, choć obojętne pary oczu.

Minął tajniacki samochód, minął wiatrołap i minął wreszcie Nakoniecznego, akurat w chwili, gdy ten przechodził przez ulicę i wkraczał w alejkę w kierunku hotelu. Minął i poszedł prosto przed siebie, a chwilowe poczucie porażki parowało z niego szybko jak terpentyna. Jasno ujrzał, że w sposób prosty zrobić się tego nie da i czas

przejsć do wariantu B. Długo z tym zwlekać nie zamierzał. Jadąc w kierunku miasta, postanowił, że zacznie już jutro.

Poranny tłum w szarówce wstającego dnia ciągnął od parkingu długą rzeką jednakowych postaci, pod obojętnym okiem strażników przekraczał bramę i płynął w kierunku budynku szatni, po drodze topniejąc kroplami pojedynczych sylwetek, odrywających się od ludzkiej strugi w miarę mijania kolejnych szarych biurowców i baraków. Główny nurt rozgałęział się tuż przed budynkiem szatni na dwie odnogi, które wpływały w dwoje szeroko otwartych dwuskrzydłowych drzwi, by za nimi rozpuścić się, rozczłonkować i ucłowieczyć na nowo w osobne istoty. Od stropu poniósł się metaliczny hurkot opuszczanych haków i wkrótce hala wypełniła się setkami nagich mężczyzn, którzy uwijali się wśród opuszczonych łańcuchów z kołyszącą się na nich odzieżą roboczą.

Z hali szatni prowadził wąski korytarzyk do łaźni i toalet. O tej porze, gdy górnicy w pośpiechu przebierali się i wychodzili przejściem do nadszybia lub do cechowni na podział pracy, rzadko ktoś tu zachodził. Dopiero za pół godziny pojawią się pierwsi kończący nocną zmianę i będą korzystać z pryszniców. Niewysokiego, nijakiego z wyglądu i zupełnie pozbawionego łatwych do zapamiętania cech człowieka w granatowej ortalionowej kurtce i drelichowych spodniach przyniosła ludzka fala z parkingu przez bramę do łaźni; siedział na wąskiej, niewygodnej ławce w korytarzyku i patrzył na przebierający się tłum. Był tu pierwszy raz i

pierwszy raz przyglądał się cyklowi, którego początkiem była cizba nagich ciał wśród haków z brudnymi koszulami, spodniami i kaskami. Patrzył i notował w paMieci, co było w jego przypadku zapisem równie dokładnym i trwałym jak film czy notatka. Później miał zamiar podobnie sfotografować tego cyklu koniec; środek, mający stanowić sedno jego działań, zostawiał na potem. Zapamiętał pierwsze zadanie: komplet roboczego ubrania, hełm, jakaś torba. Najłatwiej byłoby wziąć stąd, ale robi się afera, gdy właściciel odkryje brak. Pralnia? Piorą to przecież czasami. Rozeznać organizację prania. Samo wejście na teren kopalni było łatwe, właśnie to odkrył. Skąd kask? Trzeba się rozejrzeć, może znajdzie jakiś. Musi tu zniknąć, wtopić się w otoczenie, nie może zwracać niczyjej uwagi. Tu, na terenie zakładu pracy, nikt Nakoniecznego nie mógł pilnować, nie dałby rady, od tej strony robotę miał ułatwioną. Mnóstwo ludzi, mnóstwo zakamarków, mnóstwo anonimowych sytuacji i problemów technologicznych było najlepszym kamuflażem. Techniczna dżungla. Nikt, jeśli nie musiał, nie interesował się zbyt otoczeniem, nikogo nie będzie obchodzić jeden człowiek, który zniknie za sprawą drugiego. Może go nawet nie będą szukać zbyt szybko. Nie przypuszczał, żeby zadanie miało być banalne, że cel ot tak mu się wystawi. Musi być tłem w każdym jego środowisku, również w tym, najtrudniejszym. Zanim zacznie myśleć o sposobie, musi wiedzieć wszystko. Być może dziewięćdziesiąt procent informacji do niczego mu się nie przyda, lepiej jednak mieć ich o sto za dużo niż o jedną za mało. To był naczelny truizm w jego profesji, rzecz tak oczywista, że nawet nie myślał o niej

w ten sposób, wiedział to po prostu.

Hala opustoszała. Człowiek wychylił się zza framugi i rozejrzał. Jeszcze dwie osoby, daleko, w drugim końcu, kończyły przebieranie. Wyszedł, lustrując wiszące nad głową haki. Nie wszystkie były pełne. Odszukał koniec jednego z pustych, w samym rogu szatni. Był zamknięty na kłódkę, najzwyczajszą, otworzył ją szpikulcem ze scyzoryka. Będzie musiał kupić swoją. Opuścił łańcuch z hakiem, obejrzał z ciekawością ten górniczy patent. Zapamiętał numer haka i wciągnął go z powrotem.

Wyszedł na korytarz. Był pusty. Na wprost miał otwarte wejście do szatni dozoru, po lewej schody, po prawej drzwi z napisem „Pralnia”. Zapukał i, nie czekając, nacisnął klamkę. Za drzwiami był nieduży pokój, wzdłuż ścian stały kosze na kółkach: po prawej odzież brudna, posegregowana na bluzy, spodnie, koszule i onuce, po lewej czysta, posegregowana tak samo. Na tym etapie nikt się najwyraźniej nie przejmował rozmiarówką. Na wprost miał ladę, za nią następne drzwi. Za ladą nikogo, drzwi uchylone, dobiegał stamtąd jednostajny mechaniczny szum. Podeszedł do koszy z czystym odzieniem, przerzucił kilka z wierzchu, wyciągnął granatową bluzę, przymierzył, nie wkładając, zapakował do przewieszanej przez ramię torby podróżnej. Potem tak samo wybrał koszulę i spodnie. Na widok onuc skrzywił nos, kupi sobie skarpety. I buty, gumowce. Czarne, znajdzie w markecie budowlanym. Pochodzi potem po błocie, gumiaci nie mogą być za nowe.

Za uchylonych drzwi dobiegł jakiś hałas. Pospiesznie zwinął resztę ubrania, wsunął do torby i wyszedł. Wrócił do

szatni, odnalazł swój hak. Na hali pojawili się już pierwsi brudni górnicy trzeciej zmiany. Ubranie powędrowało w górę, a mężczyzna pospiesznie wyszedł, nie oglądając się i nie wzbudzając niczyjego zainteresowania.

Spędził na terenie kopalni jeszcze jakiś czas, czego efektem było uzupełnione o kask i pokrowiec na lampę wyposażenie. Uzupełnił też radykalnie swoją wiedzę o szczegóły organizacji pracy, po czym niezaczepiony przez nikogo opuścił teren Gertrudy razem z poranną zmianą, tą samą, z którą tu wszedł. Wywiad okazał się łatwiejszy, niż przypuszczał, a zdobyta wiedza zaskakująco szeroka i kompletna. Takie przynajmniej miał wrażenie, dowiedział się mnóstwa rzeczy, o których nie miał dotąd pojęcia, bo kopalnię znał głównie z filmów. Umiał się uczyć oraz wykorzystywać wiedzę w praktyce i to było głównym wyznacznikiem jego skuteczności. Celnie strzelać do puszek potrafił co drugi leszcz z prowincjonalnej bandyterki, on wiedział, znał z praktyki – skuteczność w jego profesji nie zależy od tego, a przynajmniej nie przede wszystkim.

Przeciwnika miał niewygodnego, musiał to przyznać, co też uczynił – świadomie, choć niechętnie, nie lubił trudności ze strony celu. Sam fakt, że tak skutecznie urwał się prześladowcom, wystawiał mu dobre świadectwo i wzbudzał szacunek. Cyngiel wiedział, że ma do czynienia z byłym esbikiem, wyszkolonym wywiadowcą i zdolnym detektywem, jednak miewał z podobnymi do czynienia kilka razy i nie uważał tych cech za uniemożliwiające ani nawet za utrudniające w znacznym stopniu wykonanie zadania. Owszem, będą pewną niedogodnością; tak, „niedogodność”

to w tym przypadku właściwe słowo, ani za duże, ani za małe. Lubił takie słowa.

Nadszedł czas polowania. Miał zamiar załatwić sprawę w ciągu kilku dni, w tym celu planował odwiedzać kopalnię codziennie i codziennie na kilka godzin zmieniać się w jednego z tych szarych, zmęczonych roboli. Okazja się nadarzy, był tego pewien. A potem zniknie, wyjedzie, najchętniej nad morze. Lubił morze, w przeciwieństwie do zardzewiałych kratownic i brudnych, pokrytych stuletnim pyłem tynków. Oby już nigdy nie musiał tu wracać.

Obudził go telefon. Dłuższą chwilę odganiał uporczywą melodyjkę, zanim sięgnął na szafkę i odebrał, nie otwierając oczu. Musi koniecznie zmienić sygnał, obiecał to sobie kolejny raz. W ciągu następnych czterech sekund Nakonieczny zapomniał o tym, jak również że jest noc i spał zaledwie dwie godziny. Po trzydziestu minutach mijają bramę, po następnych trzech dyżurkę w biurowcu. Na schodach spotkał inżyniera Stasiaka.

- Co...? - zdążył zapytać i został zawrócony bez słowa; razem pobiegli w kierunku szatni.

Ubierał się, słuchając relacji. Poziom trzysta, stara przecinka do upadowej. Godzinę z hakiem znaleźli tam ciało. Drużyna ratowników, kontrolująca pole pożarowe. A zwłoki? Młody pomocnik cieśli z nocnej zmiany. Jeszcze był ciepły, sprawdzali, przymierzając się nawet do reanimacji, choć od razu widzieli, że to bez sensu. Co tam robił? Był z rejonu, gdzie przygotówki likwidują rzapie pod przedłużkę

upadowej. Tak, tej samej. To nie tłumaczy, co tam robił. Miał przed oczyma tę przecinkę, chodził tamtędy ze dwa razy, pojawiała się na wytyczanych trasach, gdy je kreślił na mapie. Czy to ważne? Nie wiadomo, nie musi być, ludzie często łązą, gdzie nie powinni. Co robimy?

- Pojademy na dół, do ty przecinki - rzekł Stasiak, wkładając kask i poprawiając pas, jakby to nie było oczywiste. - Trza zabezpieczyć, potrwa, nim policja zjedzie.

„Może nie tylko zabezpieczyć, minęło niewiele czasu - pomyślał Nakonieczny. - Może... może to szansa?”

Na nadszybiu spotkali drugi zastęp ratowników z aparatami tlenowymi na plecach, lekarza i nadsztygara przygotówek. Rozmawiali przyciszonymi głosami, zbici w ciasny tłumek między stalowymi barierkami. Gdy podeszli, głosy na chwilę ucichły, ktoś się obejrzał.

- Szczęść Boże - odpowiedzieli nieskładnym chórkim na powitanie Stasiaka.

Dołączyli do grupy.

- Wiadomo coś bliższego? - zagał Nakonieczny, byle zagaic, coś bliższego już znał.

- Mamy znów trupa - odparł nadsztygar, Nakonieczny nie znał go, musieli mijać się na zmianach. - Tym razem ode mnie.

- Toś pedzioł nowina - prychnął Stasiak. - Bo my tu z pielgrzymką do święty Barbórki jademy.

- To co może być bliższego? - Tamten wzruszył ramionami. - Mordercy nie złapali.

- A ktoś coś widział? - Nakonieczny postanowił nie zrażać się.

- Raczej nie. Tam w ogóle mało ludzi było w całym rejonie, żadnych robót tam nie ma, ściany ani przodków, tylko takie dłubanie przygotowawcze w upadowej.

- Znam ten rejon. - Nakonieczny kiwnął głową. - Gdzieś tam w okolicy napadli też na Szymkiewicza od was?

Nadsztygar kiwnął głową.

- Niedaleko.

- Na Franke Kulok też w sumie nie tak daleko - wtrącił jeden z ratowników. - Od drugiej strony przekopu, kilometr, może półtora.

- To ta pochylnia na dwieście, do pola pożarowego? - zapytał Nakonieczny.

- Następna. Na samej granicy kopalni. Jak kto zna drogę, to do sąsiadów starymi wyrobiskami mógłby tamtędy dojść - powiedział drugi ratownik.

Nakonieczny go znał, spotkał go już wcześniej, nie mógł sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach.

- Do sąsiadów?

- Ja, na Królewską. Kiedyś, za starej komuny, mieli łączyć te gruby w jedną, porzucinali przekopami, chodnikami, ale potem komuś się odwidziało, zatamowali, zarabowali gdzieniegdzie i tak zostało. Powietrze tylko ucieka, tamy trzeba uszczelniać.

Przypomniał sobie. Mapa kończyła się na granicy obszaru górniczego, wykreślone trasy chodników symbolicznie przecinały graniczną linię i zawisały w nicości, jakby poza przerywaną, falistą krechę nie było już świata. A przecież był.

Chciał jeszcze o coś zapytać, ale dzwon sygnalisty poruszył tłumkiem i poczęli wchodzić do szoli, układać się, ustawiać

wygodnie na te kilkadziesiąt sekund jazdy, przymykać oczy, w końcu noc szczerza była. Nakonieczny spotkał już takich, co w szoli potrafili autentycznie zasnąć na stojąco i obudzić się dopiero pod wpływem wstrząsu hamującej klatki. A potem nie było już sensu pytać, skoro miał możliwość obejrzeć wszystko na własne oczy, byle tylko umiał patrzeć i dostrzec.

Zwłoki leżały w poprzek torowiska, przykryte foliową lutnią. Spod krawędzi lutni przesączył się przyschnięty, brunatny naciek, wyłobził kręte koryto w kamiennym pyle pokrywającym podkład, spłynął na pobielony pyłem spąg i tam urywał się, kończył okrągłą kałużą, teraz już tylko zaskorupałym, brązowym plackiem, wciąż jednak dającym złudzenie lepkiej wilgoci, jakby nigdy nie miała wyschnąć do końca. Nakonieczny poczuł dreszcz, który zaskoczył jego samego. Niby widywał niejedno, nawet tu, jednakże ta ciemna plama o kształcie krzywego lizaka, wykreślonego w kremowej, pylistej powłoce, na której poza nią akurat w tym miejscu nie było żadnego śladu, choć parę metrów dalej ślady butów skłębiły się i zapętlily w chaotycznym labiryncie, gdy zostawiali je spłoszeni ludzie, coś w tym rutynowym kryminalnym obrazku odrealniała, czyniła niewiarygodnym, jak z kiepskiego filmu. Nie bardzo wiedział czemu, lecz źle na niego działały te podziemne śmierci. Jak na nowicjusza. Może dlatego, że w ogóle źle na niego działały podziemia, a może z całkiem innego powodu, który gdzieś tam, w sobie, znajdował, myśląc o tym z niechęcią, ale bez wnikania w sedno - autopsichoanalizy uprawiać nie miał ochoty.

Z trudem więc zwalczył chęć odwrócenia głowy, gdy lekarz z

ratownikami odsuwali lutnię i gdy się spod niej wyłoniło okrwawione ciało młodego blondyna w kraciatej flanelowej koszuli. Krwi było dużo, lecz nie z wierzchu – koszula i spodnie były od niej ciemne na plecach, pośladkach i tyłach ud. Chłopak leżał na wznak, wsparty szyją i tylną stroną kolan na szynach. Nie miał żadnych widocznych obrażeń, ale Nakonieczny o przyczynę śmierci mógł się zakładać. Ta krew spod pleców i kosmyki okrwawionych włosów w tylnej części głowy... Swoją drogą czemu nikt nie próbował przeanalizować, skąd te szramy na plecach? Czym je zabójca robił? I czemu nie miał ich Szymkiewicz? Szymkiewicz, który przeżył... Wszyscy dostali w potylicę czymś ciężkim: młotkiem, kluczem, Szymkiewicz też... Ate grabie na plecach i porozrywane brzuchy... To się nie trzymało kupy, teraz to dostrzegał, lepiej niż na zdjęciach, choć wciąż nie rozumiał. Czyżby to się nie stało jednocześnie? W takim razie co było pierwsze?

A reszta detali?

- Czy coś mu zginęło? – zapytał stojącego obok nadsztygara. – Sprawdzał ktoś?

- Nie. – Kierownik zmiany pokręcił głową i wzruszył ramionami. – Kiedy? Nikt nie miał do tego głowy. Zresztą niech to policja sprawdza, lepiej niczego nie ruszać.

No tak. Nakonieczny rozejrzał się. Nic tu nie było, żadnej torby, narzędzi, niczego... Pochylił się nad odrzuconym na bok hełmem. Lampka była wpięta w uchwyt i zgaszona. Wyjął chustkę i, nie dotykając gołymi palcami, przekręcił wyłącznik. Ostry snop światła buchnął mu w oczy; skrzywił się i odsunął głowę, przez chwilę widząc tylko czerwone

mroczki. Dobrze naładowana, mógł się założyć, że była własnością denata.

- Nie dotykaj - usłyszał głos nadsztygara. - Mówiłem: poczekajmy na policję, zawiadomiona, już jadą.

Nakonieczny wyprostował się. Jeszcze jeden szczegół... Popatrzył wokoło. Chodnik był biały, jak umączony, niedawno go pylili, domyślił się. Ponownie popatrzył na spąg. Oprócz śladów wokół ciała i w kierunku, skąd wszyscy nadeszli, dalej, w stronę ciemnego, nieznanego końca przecinki, grunt wokół torowiska był nieskalany ludzką stopą od czasu, gdy ekipa wentylacyjna rozpyliła tu zmielony piaskowiec. Ktoś, kto zabił cieślę, musiał wrócić do pochylni. A przecież stamtąd od dłuższego czasu ciągnęły tu procesje ludzi...

- Ile czasu upłynęło? - zapytał pochyłonego nad zwłokami lekarza.

- Niedużo, ze dwie godziny, krew jeszcze dobrze nie stężała. Ale dokładnie nie powiem, nie mam sprzętu, nie da się...

- Wiem, wiem, nie musi być dokładnie - odparł Nakonieczny. - Czy ktoś stąd wychodził? Widział ktoś...? - zwrócił się do grupki górników, których tu zastali, a którzy stali teraz stłoczeni pod ociosem, jakby wzajemną bliskością dodawali sobie rezonu.

Popatrzyli po sobie, milcząco pokręcili głowami. Może jeden z nich...? Eee, wątpliwe. Niewielu zabójców miałoby tyle zimnej krwi. Zawodowiec może, ale to nie robota zawodowca. A czyja? Szaleńca? Zlustrował spod oka grupę. Młodzi, starzy... Różni. Żaden nie wyglądał na psychola, ale jak wygląda psy- chol? Pierwszy z prawej, młody, pół roku nie przepracował. Brak mu luzu, charakterystycznego dla

rutyniarzy, tak wyglądało niegdyś kociarstwo w wojsku: wszystko o dziurkę za ciasno zapięte, za porządne, za czyste, za regulaminowe. Tamci dwaj obok to na oko trzy-, pięciolatki, górnicy pełną gębą, zwłaszcza we własnym mniemaniu. Pewnie robią sobie z kota jaja. Najwięcej dojrzałych: czterech, zapewne z jednej brygady, może od tego nieszczęsnego cieśli. Dwóch takich, że chyba już dni do emerytury odliczają albo dorabiają do tej emerytury w prywatnej firmie górniczej, jakich pełno. Zlecieli się wszyscy z całej okolicy, trup to zawsze sensacja, co dopiero tutaj. Dobrze, że to nie poziom czterysta, pewnie tłum by się taki zebrał, że trudno by się było dopchać. Tu tylko te niedobitki z drugorzędnych robót.

Co z tego wynika? Przytłaczała go masa chaotycznych informacji, z których z trudem wyławiał strzępy tych istotnych. I nic mu się z tego nie kleiło. Prawie nic. Nagle przypomniał sobie mapę: usianą kropkami poczynionymi mazakiem, które układały się w czytelny wzór. Był w samym środku tego wzoru, kropka, którą uczyni w tym miejscu, zginie wśród dziesiątków innych, postawionych wcześniej. Brak szczegółów? Może nie zdążyły się pojawić.

Znów popatrzył na górników. Skład grupy się zmienił, wmieszali się w nią ratownicy, ktoś doszedł, kogo wcześniej nie widział, i jeszcze tamten... Tylko doszedł? Lampki migotały, gdy ludzie się przemieszczali, gdy gestykulowali podczas rozmowy, huśtały się na kablach, oślepiały raz po raz. Spojrzał w głąb przecinki, tam, gdzie było już ciemno. Efekt olśnienia, złudzenie? Daleko, na samym końcu, tuż przed tamą przez sekundę błysnął słaby świetlny refleks i

zaraz zgasł. Blżej sznurek śladów w pyle, gdzie go wcześniej nie było.

- Zaraz wracam - rzucił w kierunku Stasiaka, ale ten machnął tylko ręką, zajęty rozmową z nadsztygarem.

Pospiesznie wyszedł ze światła, otaczającego miejsce zabójstwa. W ostatniej chwili, by dostrzec błysk tamtej lampy w drzwiach. Przez chwilę poczuł ucisk w uszach - efekt otwarcia tamy - potem rozluźnienie z uczuciem bezgłośnego pisku na samym dnie, przy bębenkach. I odległy drewniany stuk wrót o framugę. Przyspieszył, prawie pobiegł, klnąc w duchu, bo już zaczynało cisnąć go za mostkiem. Zawału tu dostanie jak nic.

Ziejąc jak pies, wypadł na chodnik za tamą. Rozejrzał się - nikogo. W lewo ciągnął się długi, prosty odcinek wyrobiska, prowadzącego do pochylni, która już odegrała rolę w tej historii, pamiętał: przypadek Jaśka, stąd wyszedł Szymkiewicz, by dostać w łeb jakiś kilometr dalej. Gdyby ktoś uciekł w tym kierunku, zobaczyłby stąd światło. A więc w prawo. Tu też nie było nikogo, co mogło znaczyć tylko jedno: pochylnia na dwieście. Wziął dwa długie oddechy, by uspokoić serce, po czym ruszył w tamtą stronę i wkrótce znalazł się na skrzyżowaniu. Poświecił w głąb wyrobiska. Początek pochylni, długości kilkunastu metrów, był poziomy, potem łagodnie wznosił się w górę i jego dalszą, zasadniczą część przesłaniał strop. Dla pewności poświecił jeszcze na wprost, do chodnika, i skręcił w upadową.

Ledwie minął to przegięcie, zobaczył go. Światelko pełzło pod górę daleko z przodu, do szczytu pochylni brakowało niewiele. Zaklął. Gdy tamten minie wylot, może rozpląnąć

się wśród starych wyrobisk i komór wokół pola pożarowego. To najstarsza część kopalni, na planach, które miał, potraktowana po macoszemu, nikt tu nie prowadził żadnych robót, tyle że od czasu do czasu sprawdzano stan otamowania. No i te znikające na granicy kopalni wyrobiska, urwane, jak wpadające do podziemnego oceanu rzeki... Były tutaj, na tym poziomie, przynajmniej ze trzy, jeśli dobrze zapamiętał. Czy także w tej okolicy? Mógł bardziej przyłożyć się do zapamiętywania, stwierdził, ale bez nadmiernej pretensji. Do licznej palety dolegliwości mógł jeszcze dorzucić sklerozę, wiek właściwie uzasadniał.

Wspiął się ledwie dwadzieścia metrów, gdy światło zniknęło. Nawet nie zaklął, zajęty staranną kontrolą oddechu i wsłuchiwaniem się w bicie własnego serca. Ważna rzecz takie serce. Człowiek zaczyna dostrzegać, gdy mu gardłem próbuje wyjść.

Już mu prawie przestało zależeć, gdy dotarł na górę. Pochylnia łączyła się tu ze starym chodnikiem, po prawej stronie ciemnym, prostym, niczym długi podziemny kanał; jego koniec ginął daleko poza zasięgiem światła lampy. Nie zobaczył tam nikogo.

Po lewej, za skrzyżowaniem z pochylnią, kilkadziesiąt metrów dalej, chodnik kończył się kolejnym rozwidleniem. Jeżeli ktoś tędy szedł, to tylko tam mógł zniknąć mu z oczu.

Potem już nie miał wyboru, droga wytyczyła się sama. Jeszcze raz skręcił w jednostronnie zaślepioną przecinkę, aż wyszedł do starego przekopu i w oddali zobaczył wiszącą nad skrzyżowaniem lampę. Początkowo wziął je za kolejną wnękę, w której niegdyś, za dobrych czasów poziomu

dwieście, stał zapewne transformator lub inne pożyteczne urządzenie. Gdy tam doszedł, zorientował się w pomyłce. Murowana tama ze stalowymi drzwiami odcinała jakieś większe wyrobisko, obok wisiał pomalowany na czerwono pancerny kopalniany telefon. Podszedł bliżej. Drzwi były zamknięte, ale kłódki nie było, zardzewiały skobel swobodnie zwisał z haka. Ujął go w dłoń i pociągnął. Wrota uchyliły się ze skrzypnięciem, zajrzał więc i poświecił, następnie wszedł do środka. W krótkiej, ślepej komorze znajdowało się kilka porządnie rozwieszonych gaśnic, stała skrzynia z piaskiem, wisiał topór strażacki, łopata. Do tego końcówka rurociągu zakończona zaworem i złączem hydrantowym, a w skrzynkach zwinięte węże. Pod hydrantem ciemna, wilgotna plama na beżowej warstwie opylenia, ślad po kałuży. Czy to nie powinno być zamknięte? Spojrzał na wprost. Dalsza część wyrobiska odcięta była murem z żółtej cegły, o który oparto drewnianą platformę niewiadomego przeznaczenia. Komora była poza tym pusta i bez innego wyjścia niż to, którym wszedł. Czyli nie tu. Zaklął w duchu – tracił czas.

Wysunął głowę na zewnątrz, spojrział wzdłuż ociosu. Nic nie było widać, wokół panowała nieprzenikniona ciemność, pierwszy połysk światła, niczym wspomnienie z powierzchni, tlił się daleko, na krańcu zasięgu wzroku. Przypatrzył się: to nie górnicza lampka, światło było wysoko, nieruchome. Może następna wnęka, może jakaś przecinka lub coś w tym rodzaju? Coś, co naprowadzi go z powrotem na trop? Niestety, chyba nie od razu, nie tym razem. Musiał pogodzić się z faktem, że tamten mu uciekł. Nie nadążył za nim i

nawet nie mógł mieć do siebie pretensji, co z niego za pościgowiec, do szpitala bardziej się nadawał niż do gonitwy po starych, dusznych wyrobiskach.

Zrezygnowany cofnął się do komory, przysiadł na betonowym pustaku, podkładając sobie rękawice – jeśli ma coś tu złapać, niech to nie będzie wilk. Przymykając oczy, oparł się plecami o platformę. Raptownie poleciał do tyłu, wpadł głową w jakąś ciemność, zawirowało ciepłe, stęchłe powietrze, na twarz posypał mu się pył i kawałki gruzu, tuż obok prawego ucha gruchnęła o deski cegła. Poderwał się, kaszłąc i klnąc, przetarł zaprószone oczy, oszołomiony i przestraszony. Zaświecił latarką. Przed nim, wypełniona skłębionym tumanem cementowego kurzu, ziała sporych rozmiarów dziura w murze. Platforma musiała ją zasłaniać, gdy się o nią oparł, wyleciały naruszone górne cegły i przewrócił się razem z nią do środka. Ostrożnie zbliżył się do dziury, obejrzał luki po wyrwanych ceglach, wyciągnął jeszcze dwie obluzowane, a potem wsunął do środka lampę, a za nią głowę.

Brązowe od rdzy, oblepione liszczami soli, powykrzywiane luki obudowy w niewielkim, już niestosowanym rozmiarze przywodziły na myśl historyczne, przedwojenne zdjęcia, wąskie torowisko na spągu czekało na wózek ciągnięty przez ślepego kopalnianego konia, a pradawna ciemność na karbidowe lampki chudych, zmęczonych gwarków. Miał przed sobą jeden z tych chodników, wykreślonych na mapach bez celu i końca, przekraczających granicę i niknących wśród bieli papieru poza strefą kopalni, chodników z dawno zapomnianych czasów.

Przekroczył wyrwę w tamie i wszedł do środka. Powietrze było niedobre, ale czuł na karku powiew – chodnik nie był ślepy. Ruszył powoli naprzód, świecąc pod nogi i starając się nie robić hałasu. „Trochę bez sensu” – stwierdził po chwili. Przewracając tamę, narobił tego hałasu niczym buldożer, jeśli ktoś miał usłyszeć, to już usłyszał. Ale nie przestał, instynkt robił swoje, a on nie zamierzał sprzeciwiać się instynktowi, znakomita większość zaufania, jakie miał do siebie, opierała się na nim.

Chodnik był krótki, właściwie przecinka, a jego drugi koniec także zamknięto tamą i w niej również wybito przejście. Nie mogło być wątpliwości: ktoś to zrobił celowo, tylko po co? Dokąd prowadzi ten właz? Miał zamiar zaraz się o tym przekonać. Ruszył naprzód, jednak zatrzymał się po chwili pod wpływem krótkiego, zupełnie niespodziewanego dreszczu, który poczuł w kręgosłupie, a właściwie chyba wyobraził go sobie, był bowiem przekonany, że prawdziwe dreszcze po krzyżach biegają tylko w książkach. Jeśli tak, to miał wszakże bardzo przekonującą wyobraźnię. Prawdziwy czy nie, to z jego powodu poczuł lekki ścisk gardła i chłód potu na czole. Strach? Całe życie nieustannie ocierał się o strach i nigdy do końca nie mógł weń uwierzyć. Sięgnął za pasek i wydobyl pistolet.

Za tamą było stare skrzyżowanie, chodnik prostopadle łączył się z innym, równie zardzewiałym i pokrytym solnymi naroślami, może nawet bardziej. Było duszno, zapach pleśni przytłaczał do granicy paniki, sprawiał, że miało się chęć natychmiast zawrócić, byle do najbliższego przewiewu, byle dalej od śmierdzącej duchoty. A jednak nie dusił się, tlenu

było dużo, nie wiadomo co prawda, czy równie dużo nie było czegoś mniej życiodajnego, ale oddychał, i to bez wysiłku. Czyli kwestia przyzwyczajenia, to nie smród zabija, a przynajmniej nie od razu. Uspokoił się i rozejrzył.

Wlot przecinki ukształtowany był w formę dużej wnęki, zapewne kiedyś był tu przesyp ładowni, może pracowało jakieś inne urządzenie - wnęka najwyraźniej miała jakieś funkcjonalne przeznaczenie, z którego już nic nie pozostało. Pod przeciwnym odcieniem leżała sterta nieużytych elementów obudowy chodnikowej starego typu, zamki, rozpory... Po prawej stała zbutwiała drewniana skrzynia, zamknięta na starą kłódkę, z której rdza zrobiła bezkształtną, nieotwierałą bułę, ale z rozbitym bokiem - ktoś widać musiał za wszelką cenę sprawdzić, co jest w środku. Nad tym wszystkim mrugała zawieszona na drucie słaba goła żarówka. „Jest napięcie - zanotował w myślach. - Skąd w takim miejscu?”. Po lewej... Nabrał powietrza w płuca i wypuścił je, świszcząc przez zęby.

Po lewej miał pokoik. Atrapę pokoiku, zabawkowy domek dla lalek, tyle że lalek w skali 1:1. Pokoik miał dwie ściany z desek, od góry osłaniał go brezentowy sufit, rozpięty na obudowie przy pomocy alpinistycznych linek, otwierał się na chodnik i skrzyżowanie. Sufit miał pewnie przede wszystkim znaczenie psychologiczne, w mniejszym stopniu chronił przed rzadkim kapaniem ze stropu, wody tu prawie nie było. Pod jedną ze ścian stała zbita z kantówek prycza, wyścielona wypchanymi czymś workami i przykryta kocem. Obok drewniana ławka i niski stół, wszystko samodiałki, zgrubnie wykonane przy pomocy młotka i trzycalowych gwoździ. Na

stole stał trochę tylko obity emaliowany dzbanek, obok talerz i fajansowy kubek z logo kopalni, leżał też kuchenny nóż ze złamanym czubkiem. Musiał przyznać, że jak na te warunki, było tu całkiem przytulnie. Pochylił odruchowo głowę, choć właściwie nie musiał, brezentowy strop wisiał jakieś dwadzieścia centymetrów nad jego głową, schował pistolet i wszedł do środka. Omiótł światłem pomieszczenie. Ktoś, kto to zmajstrował, musiał odczuwać potrzebę osiągnięcia pewnego poziomu piękna: w kącie, pomiędzy pryczą a ławą, na drewnianym zydlu stała wystrugana z kuloka rzeźba świątka, ściany przyozdobiono wyciętymi z gazet kolorowymi zdjęciami. Na zydlu obok świątka dostrzegł fotografię w ramce. Podniósł ją, poświecił. Kobieta, raczej pulchna, z dzieckiem, na plaży u stóp pociętego krechami piany morza. „Na osiemdziesiąt procent Bałtyk” – zaryzykował. Przypatrzył się osobom. Dziecko – kilkuletnia dziewczynka – wydało mu się znajome, ale nie mógł polegać na swoim doświadczeniu z dziećmi, za wiele go nie miał, w zasadzie wcale. Kobieta...? Obca, chyba obca, w każdym razie nie znał nikogo w bordowym, przyciasnym o co najmniej numer bikini. Odstawił zdjęcie. Musiało robić się całkiem domowo, gdy ktoś, kto tu sypiał, zapalał stalowy lampion ze świecą w środku, wiszący nad pryczą. Z przedmiotów świecących była jeszcze bonzynka, ta jednak chyba nie tyle dla ozdoby, co bezpieczeństwa. Jeśli ktoś tu pomieszkiwał, powinien mieć pojęcie o ilości tlenu w powietrzu w najbliższej okolicy.

Dom. Kompletny, zagospodarowany, brakowało tylko szczygła w klatce. I zamieszkany – wszędzie odkrywał

mikroznaki czyjegoś niedawnego pobytu: odgarnięty koc i wgniecenie od głowy na worku pełniącym rolę poduszki, okruchy chleba, jeszcze zupełnie miękkie, brak pyłu na stole, świeża koszula na gwoździu... Usiadł na pryczy i pochylił się ku ścianie, poświecił na wycinki. To, co zobaczył, sprawiło, że wyprostował się nagle, oszołomiony odkryciem, w które z trudem i tylko na skutek rutyny mógł uwierzyć. Już wiedział, skąd zna tę dziewczynkę na zdjęciu w ramce.

Zobaczył krwawe meduzy pod powiekami, rozlewające się kulistymi, przestrzennymi plamami do granic pola widzenia. Ból poczuł tylko w pierwszej, rozpoczynającej i kończącej wszystko, sekundzie. Potem już nic.

Sycę się ich strachem, do dna, do samego spodu, pod warstwę myśli, potem uczuć, wreszcie instynktu i woli trwania. Przerazenie to pokarm, to mi potrzebne, nie oni sami. Tysiące lat trwania, a potem kilka sekund pojedynczych lęków - i to wystarcza. Na następne ery. Na czas, zanim znów pojawi się głód, a jakiś świat, który zawęzli się wokół, stworzy warunki dla jego zaspokojenia. Nie spieszę się, bo już prawie koniec. Jeszcze dwa, może trzy kłęby przerażenia.

Teraz znikam, idę do siebie, przesnuwam się wzdłuż wiatru aż do miejsc, gdzie zaczyna się nicość. Nasycony, pełny, ociężyła. Biegnę zasnąć w czekaniu na kolejne przebudzenie. Być może ostatnie, być może... Już tęsknię za spokojem, za znieruchomiałym, nieskończonym trwaniem, gdy zakończy się czas.

Coś po mnie zostanie? Raczej niedługo. Wyjaśni się wszystko racjonalnie, z sensem, po to mi ta asysta, do tego jej używam. Zwycięży rozsądek, największy wróg prawdy. Znajdą sprawcę, motyw, narzędzia... Czego nie da się w tym umieścić, lecz znajdzie się jeszcze blisko granic logiki, zawsze można wyrzucić poza normalność, oprawić w ramkę obłądu. Reszta, której wytłumaczyć się nie da za pomocą rozumu ani szaleństwa, rozpuści się w bajkach, w opowieściach o przeraźliwych sensach i nieodgadnionych finałach. Powielią je, rozwodnią, spłyną i strywializują, opowiedzą setki razy, w coraz to innej, zmodyfikowanej wersji. A potem zapomną, gdyż trwałość paMieci służy jedynie rzeczywistości, materialnej emanacji, racjonalnej warstwie zdarzeń.

Bo przecież tak naprawdę nigdy mnie nie było.

Już następnego dnia wszystko się skomplikowało. Na początku nic na to nie wskazywało, odwrotnie: szło gładko, aż za gładko. Wszedł na teren kopalni bez żadnych problemów i choć dotąd nie widział obiektu, nie miał wątpliwości, że na pewno tu jest. Pracował na pierwszą zmianę, zawsze, jak zdążył ustalić. Zamierzał przebrać się w górnicze ciuchy, by nie zwracać na siebie uwagi, i popróbować szczęścia najpierw przed zjazdem, a gdyby nie wyszło, gdyby zbyt wiele osób kręciło się wokół, poczekać do wyjazdu, bo choć tłum jest zwykle większy, to o wiele bardziej chaotyczny i skupiony na jednym celu, a mianowicie jak najszybszym opuszczeniu kopalni i powrocie do domu. I wreszcie mógł być pewien najważniejszego: że w tym tłumie - obojętne, wypoczętym

przed zmianą czy umordowanym z końcem szychty – nie będzie ani jednego policjanta. Procedury ochrony nie przewidywały pilnowania obiektu na terenie kopalni. Raczej nie.

Wkrótce zauważył niepokojące oznaki, że jednak nie jest normalnie. Przed wejściem do nadszybia stał ambulans i dwa radiowozy, wokół stała grupa mężczyzn w jasnych drelichach i białych kaskach oraz kilku cywili. Minął ich, idąc w środku strugi zmierzających do szatni górników, słyszał przyciszone głosy, nie wychwytywał słów, lecz wyczuwał napięcie. Wszedł do szatni, opuścił swój hak, zarejestrował kilka spojrzeń, wiadomo, był tu nowy, ale nowi to wszak nie taka znów ciekawostka w fedrującej kopalni, więc spojrzenia wygasły, bo czasu na gapienie nie było, szychta leciała. Próbował posłuchać, czy coś wiedzą, co się stało, skąd te radiowozy i zbiegowisko kadry, ale nikt nic nie mówił, nie wiedzieli, dopiero przyszli, jak on. Ruszył razem z większą grupą do lampowni, przyglądał się, jak pobierają metalowe znaczki z numerem, mówili na nie „marki”, biorą pochłaniacze, sprawdzają lampy, a potem rozchodzą się w różnych kierunkach: część do cechowni, duża grupa prosto pod szyb, na jazd. Nakoniecznego nigdzie nie widział.

Wycofał się do łaźni i wyszedł przed budynek. Nie zwracał na siebie uwagi, takich jak on, ubranych na roboczo i w kaskach, kręciło się sporo. Zbliżył się do grupy przed wejściem i stanął pod ścianą za ambulansem. Stąd mógł słuchać niezauważony. To, co usłyszał, wprawilo go najpierw w zdumienie, a potem w złość. A podobno, jak jeszcze niedawno sam sobie dowodził, nie trafiają się morderstwa

na dole. Może i się nie trafiały, wszystko kiedyś dzieje się pierwszy raz. I to jemu musiał ten pierwszy raz stanąć na drodze. Akurat teraz. Pech jakiś, fatum nad zleceniem wisi, może powinien zrezygnować i oddać zaliczkę. Wiedział, że to niemożliwe, że zleceń się bezkarnie nie oddaje, i zresztą nie miał takiego zamiaru. Pogderał tylko sobie w myślach. A potem pomyślał, że kto wie, może to i lepiej. W takim zamieszaniu i nerwówie może być łatwiej. Musi tylko odszukać cel. Przykucnął, nabrał w dłoń trochę czarnego pyłu z ziemi i roztarł po twarzy. Wyszedł zza ambulansu i podszedł do stojących na uboczu, palących papierosy dwóch usmolonych sztygarów, pewnie z nocnej zmiany.

- Przepraszam - zwrócił się do nich - szukam pana Nakoniecznego. Nie widzieli panowie...?

Popatrzyli na niego, potem na siebie. Jeden z nich wzruszył milcząco ramionami i pokręcił głową. Drugi odezwał się:

- Nakonieczny? - zapytał z wahaniem. - Ten nowy, z bhp?

- Ten - w ciemno przytaknął. Skąd miał wiedzieć, że z bhp. Ale na pewno nowy.

- Nie wiem. Tam jest zastępca kierownika bhp, idź do niego. - Sztygar wskazał na siwego mężczyznę w białej roboczej sztygarskiej bluzie i granatowych spodniach, wypuszczonych na gumowce.

- Nakonieczny? A po co wam on? Na dole jest, przy wypadku, jeszcze nie wyjechał.

- To on nie na pierwszą zmianę dziś?

- Nie. Coś ty, z byka spadł, człowieku? Nie słyszałeś? Był wypadek, śmiertelny, nasi od nocy tyrają na dole.

W ostatniej chwili ugryzł się w język, o mało co nie chlap-

nał, że dopiero przyszedł. „Gębę masz czarną, kretynie – skarcił się w duchu. – Z dołu jedziesz, wiesz o wszystkim”.

- A, tak, wiem, wiem, właśnie w tej sprawie go szukam.

Trochę się zapędził w improwizacji, co będzie, jak ten typ zechce być ciekawski i zacznie wypytywać?

Na szczęście nie chciał.

- Nie odzywał się od nocy – powiedział tamten i odwrócił się, zagadnięty przez jakiegoś gościa w garniturze.

Wycofał się. „A więc jest na dole. Trzeba będzie przypilnować wyjazdu. To nie potrwa długo, skoro nockę tam spędził. Może już wyjeżdża”. Zawrócił pod szyb.

Niecierpliwiał się, chociaż starał się to ukryć przed sobą. Kursował pomiędzy wyjściem z nadszybia, szatnią dozoru i łaźnią, wyglądał na zewnątrz, bojąc się, że może przeoczył, choć to było niemożliwe, i nic. Co jakiś czas wyjeżdżały z dołu większe i mniejsze grupy ludzi, lecz nie było wśród nich Nakoniecznego. O trzynastej wyjechali pierwsi z rannej zmiany, dozór i różni specjaliści. Przyglądał się im, stojąc u podnóża szerokich schodów prowadzących z nadszybia, lustrował brudne twarze, po raz kolejny, bez skutku. Co się mogło stać? Dwie zmiany już zaliczył, taki był tam potrzebny? W jaki sposób mógł się dowiedzieć?

Zszedł do hali szatni za grupą górników ze srebrnymi plecakami na plecach. Zaczekał, aż zdadzą te swoje plecaki – domyślał się, że to jakiś rodzaj aparatów tlenowych, ale nie znał się na sprzęcie górniczym, zgadywał tylko – a następnie poszedł za nimi między wisiory opuszczonych haków i usiadł na ławce w pobliżu, tyłem do przybyłych.

Dobrze trafił. To byli ratownicy i – co ważniejsze – wracali

z rejonu, gdzie zdarzyło się to kuriozalne zabójstwo. Wysłuchał szczegółów, wśród których, jak się domyślał, równie wiele było faktów, co plotek. Od zdarzenia minęło już pół doby, zdążyło obrosnąć w przypuszczenia, dopowiedzenia i wreszcie zmyślenia, bo gdy człowiek nie wie, łatwo tworzy sobie historię sam. Nie obchodziło go to, dla jego sprawy prawidłowy przebieg zdarzeń nie miał znaczenia, starał się z chaosu głosów, głuszonych dodatkowo hurkotem łańcuchów i grzmiącym echem spod wysokiego stropu hali, wyłowić informacje o Nakoniecznym. I usłyszał, niewiele, ale zawsze coś. Że gdzieś się stracił i kierownik go kazał szukać. I że pewnie wyjechał i dawno siedzi na piwie. Nie wyjechał i nie siedzi, to akurat wiedział lepiej od ratowników. Jeśli nie wyjechał, jeśli się zgubił, to pewnie go już szukają. Co ma zrobić w takiej sytuacji?

- Achim dzwonił, że o drugiej zjadą dwa zastępy naszych i mają go szukać - usłyszał nagle nowy głos. - Podobno nie zdał marki ani lampy.

- Ale my nie? - zapytał jeden z dotychczasowych. - Narobilim się przy tamie.

- Na razie nie. Idymy do dom.

Poszli pod natryski, a cyngiel siedział zamyślony, przyglądając się czubkom gumowców. Po dłuższej chwili wstał z dość sprecyzowanym planem w głowie. Nie będzie czekać. Może nawet dobrze się stało, lepszego miejsca na bezśladową eliminację obiektu niż podziemne zakamarki nikt by nie wymyślił. Nie zastanawiał się, czy da sobie radę, tylu ludzi codziennie tam zjeżdżało i jakoś wracali, nie powinno być źle, byle trzymać się takich, którzy znają teren i na pewno

pójdą tam, gdzie i on powinien. Wkrótce właśnie mają jechać i szukać. Pojedzie z nimi. Pomyślał chwilę i poszedł tam, gdzie najłatwiej było mu rozpoznać, kto tu ratownik, a kto nie. Aparaty – wyróżnik ratownika. Bez nich nie ruszają się na dół, to już zdążył wydedukować. Skąd je biorą, niedawno zobaczył.

O mało ich nie przeoczył, gdy raptem z drzwi wiodących w kierunku szybu wylała się ciżba ciemnych postaci. Ludzie z pierwszej zmiany wypełnili przejścia pomiędzy stojakami lamp, tłumnie obiegli okienka, gdzie zdawali marki, wrzucali do przegródek pochłaniacze, nie przestawały kołysać się wahadłowe drzwi wyjściowe. Setki, może i z tysiąc, jednakowo czarnych od pyłu twarzy zobaczył nagle wokół, niespodziewana gorączka wyjazdu ogarniała ich wszystkich, nagle najważniejsze stało się opuszczenie tych pomieszczeń, wyjście na zewnątrz, do światła i powietrza. Na chwilę stracił kontrolę nad emocjami, ogarnął go rodzaj paniki, jakby ten rozgorączkowany tłum miał go unieść ze sobą i wbrew woli wynieść na świat. W ostatnim momencie zauważył, jak z bocznych drzwi wychodzą rzędem czyści górnicy, jak idąc pod ścianą, by nie dać się porwać wyjeżdżającej ciżbie, zacierają ku okienku wy dawki aparatów i ustawiają się karnie jeden za drugim, biorą srebrne skrzynki i ciągle szeregiem znikają w wejściu na nadszybie. Zaklął i porwawszy ze stojaka pierwszą z brzegu lampę oraz pochłaniacz, ruszył za nimi. W drodze przekręcił wyłącznik – zaświeciła ostrym światłem. Na szczęście naładowana. Sprawdził jeszcze pistolet za paskiem i pewnym już, spokojnym krokiem podążył za ratownikami.

Nie żeby się nie bał. Bał się, jak każdy rzucony z nagłą w obce, groźne i do tego oplątane mrocznymi opowieściami środowisko. Gdy zgrzytnęły wrota klatki, gdy zadźwięczał sucho dzwon sygnalisty i winda z ostrym szarpnięciem runęła w dół, bał się. Nie znał kopalni, raz w życiu był w Wieliczce na wycieczce i tyle jego znajomości podziemi, czuł się, jakby niespodziewanie został wystrzelony w kosmos, ten sam poziom abstrakcyjnego lęku i ekscytacji, ale strach, każdy rodzaj strachu, a więc także ten, miał wpisany do katalogu uczuć zawodowych. Musiał skupić się na zadaniu, a najbliższym jego etapem było odnalezienie obiektu. Powinien trzymać się ratowniczych zastępów, bo tylko one mogły umożliwić mu wykonanie zlecenia. O tym, że bez nich w ogóle może stąd nie wyjechać i pies z kulawą nogą się jego zaginięciem nie zainteresuje, bo i skąd, nikt go tu nie znał, nie posłał, nikt nie zarejestrował, nie, o tym nie myślał. Nie miał w naturze roztrząsania wątpliwości, gdy już było na nie za późno.

Klatka zwolniła niespodziewanie, poczuł ucisk i jakby pischczenie w uszach, po czym szarpnęło i podłoga zahuściła się majestatycznie. Wyszedł w betonowy, zimny półmrok pod gotyckim sklepieniem, pod którym poczuł się jak w zaniedbanym, starym kościele, z takim samym kościelnym echem, tyle że zamiast chorałów i dzwonków poniosło się tu monumentalnym pogłosem zgrzytanie wrót windy, po nim odbił się od ciemnych łuków kulawy dźwięk dzwonka. Nie oglądał się, odczekał pięć sekund, zapalił lampkę i poszedł za dziesiątką ratowników między wypełnionymi jakimś żelastwem wozami. Nie rejestrował drogi, nie potrafił,

ekstremalna obcość otoczenia zupełnie wyłączyła zmysł orientacji, szedł więc za górnikami, bo byli jego jedynym punktem odniesienia. Po kilku zakrętach doszli do kolejki, złożonej z kilku żółtych, odrapanych wagoników z drewnianymi ławeczkami w środku. Popatrzył, co robią ratownicy - wsiadali, wsiadł więc również, do ostatniego wagonika, prawie pustego, tylko w przednim przedziale siedział tyłem do niego jakiś człowiek. Usiadł, oparł się o zimną stalową burtę, spuścił kask na oczy. Kolejka jeszcze chwilę stała, czekając, aż powsiadają jacyś spóźnieni, obwieszeni sprzętem fachowcy. W końcu ruszyli z hurkotem i szarpaniem, musiał zaprzeć się nogami, by nie tłuc ciałem o stalowe ściany. Kolejka przyspieszyła, koła wagonów załomotały na rozjazdach i wjechali w ciemność.

Czuł się coraz bardziej nieswojo, obserwując migające o metr kręgi obudowy. Lamy pojawiały się rzadko i gdyby nie latarka, momentami nie widziałby czubka nosa. Nie przepadał za ciemnością, nie była mu przyjazna, ciemność zwykle sprzyja oberże, nie myśliwemu. Wyjąwszy sowy. A ta ciemność była wroga w dwójnasób, poprzez niewiarygodną głębię oraz nieodwołalność, definitywny brak alternatywy i możliwości ucieczki do światła. Latarka dawała tylko pozór jasności, nie miał złudzeń, że więcej dookoła jest niezgłębionego mroku, niż on niesie ze sobą blasku. Musiał przywyknąć albo przynajmniej nauczyć się ignorować, bo ten mrok miał mu towarzyszyć przez najbliższe godziny. Nie było łatwo, tym bardziej że nie mógł zbyt blisko zbliżyć się do grupy, by nie narazić się na ciekawość. Obok ciemności i braku orientacji to właśnie cudza ciekawość była jego największym

nieprzyjacielem w tym miejscu.

Kolejka zatrzymała się po pięciu minutach jazdy, wyjrzał więc i popatrzył do przodu, gdzie siedzieli ratownicy. Wsiadły dwie osoby, w tym jego sąsiad z wagonu, i nikt więcej. Z wysuniętą głową poczekał, aż skład szarpnął, ruszając, po czym schował się do wnętrza. Nie tu. Pociąg zatrzymał się jeszcze raz, zanim dojechali do właściwego przystanku. Wygramolił się z wagonika, poprawił pasek z akumulatorem, wpiął lampę w kieszonkę na piersiach. Pomacał z tyłu - sig sauer był na miejscu. Spojrzał przed siebie - ratownicy ruszyli właśnie dalej, a za nimi jeszcze trzyosobowa grupka pracowników. Dobrze, nikogo nie zdziwi jego obecność. Zachowując bezpieczną odległość, taką, by nikomu, choćby z nudów, nie przyszło do głowy zagadywać go o cokolwiek, poszedł za nimi. Wkrótce dotarli do skrzyżowania dwóch wyrobisk; ratownicy rozsiedli się gdzie popadło, podkładając rękawice, kawałki desek i obrzynki gumowanej taśmy, których trochę poniewierało się wokół. Minął skrzyżown nie, szybko myśląc, co dalej, przyłączyć się przecież nie mógł, choć pewnie wówczas dowiedziałby się najwięcej. Los okazał się łaskawy: tuż za skrzyżowaniem była wnęka z jakimś urządzeniem, nie miał pojęcia co to i nie zamierzał dociekać. Pochylając się, wszedł do środka i kucnął pod wyłożoną betonowymi elementami ścianą. Uśmiechnął się lekko, słysząc przytłumione, ale wyraźnie głosy. Rozumiał każde słowo.

I co z tego, że rozumiał słowa? Górnicy rozmawiali technicznym slangiem, do tego używając mnóstwa gwarowych zwrotów, a on, o ile śląski język jako tako rozumiał, to jego

technicznej, górniczej odmiany nie. Sens rozmowy mu umykał, zrozumiał tylko, że będą się rozdzielać i sprawdzać dwójkami różne miejsca. Dwójkami. Czyli będzie pięć dwójek. A właściwie cztery, jedna ma siedzieć na miejscu i koordynować. Której ma się trzymać? A jeśli znajdą, co zrobić z tą dwójką? Miał znaczyć miejsca swojego pobytu trupami? Nie miał zlecenia na nikogo poza Nakonecznym, dodatkowe zwłoki to zawsze ryzyko podniesione do kwadratu. A on ryzyka miał aż nadto, choćby z racji tego, że tu siedział.

Szybko okazało się, że nie ma wyboru, przynajmniej na początku. W jego kierunku ruszyło czterech ratowników, pozostali mieli penetrować wyrobiska po drugiej stronie bazy - aby pójść za nimi, musiałyby minąć dwójkę koordynatorów. Któryś mógłby się zainteresować, co to za jeden tak krąży w tę i z powrotem. Postanowił więc śledzić tę czwórkę, dopóki się nie rozdziela. Co będzie potem, to się zobaczy. Wsunął się za urządzenie i zgasił lampę. Minęli go, idąc szybkim krokiem. Odczekał jakiś czas, po czym wygramolił się z wnęki. Zobaczył ich kołyszące się światła; poszedł ich śladem, tłumiąc blask latarki połą bluzy. Wkrótce, po jakichś dziesięciu minutach, idący przed nim dotarli do następnego skrzyżowania. Zatrzymał się i przykucnął, by go nie dostrzeżono, znów wyłączył światło. Patrzył, co zrobią - rozdzielili się. Dwóch poszło prosto, dwóch skręciło w prawo, przekroczyli tory i zniknęli za rogiem skrzyżowania. Za kim? Nie miał dużo czasu do namysłu, musiał zaufać szczęściu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli którakolwiek grupa znajdzie detektywa, on znajdzie go także, może być tylko

łatwiej lub trudniej. Najłatwiej wtedy, gdy będzie to zespół, za którym pójdzie, zlikwiduje wówczas Nakoniecznego i może, jeśli będzie trzeba, tę dwójkę, a potem zniknie w czerni, której tyle dookoła. Jeśli odnajdą go inni, pracy będzie więcej.

Podjął decyzję. Odczekał jeszcze trochę, by zwiększyć odległość, i skręcił w prawo. Chodnik był wąski i stary, biegł poziomo jakieś dwadzieścia metrów, może mniej, a potem unosił się i zabójca widział tylko zamykające widok torowisko w pochylni. Przeszedł te dwadzieścia kroków, znów zgasił lampę i kucnął, zaglądając we wznoszące się wyrobisko. Ratownicy wspinali się po podkładach torowniczym po szczeblach wielkiej drabiny, blisko, za blisko, powinien ich odpuścić na pięćdziesiąt, a może i więcej metrów. Było tu zupełnie pusto, chodnik wyglądał na nieuczęszczany, nie ma co narażać się na odkrycie, a z drugiej strony na pewno nie straci ich z oczu, dopóki nie wyjdą na samą górę.

Tak zrobił, ruszył, gdy światła idących przed nim zamieniły się w nikłe poblaski. Dostosował tempo, starał się nie unosić lampy i świecić tylko pod nogi, na wypadek gdyby któryś się odwrócił. Szło się źle, podkłady były blisko jeden od drugiego, za blisko dla kroków dorosłego człowieka, a za daleko by skakać po dwa. I to powietrze, duszne, gęste, śmierdzące zestawem smrodów niespotykanym na górze, mieszkanką starej pleśni, rdzy, mokrych szmat czy czego tam – miał trudności z identyfikacją. Trujące to nie było, ratownikom najwyraźniej nie szkodziło, ale fetor, temperatura i chyba mała ilość tlenu sprawiały, że szybko się

zmęczył, szybciej niż przypuszczał, a był przecież sprawny fizycznie, pochlebiał sobie, że mógłby z marszu, bez przygotowania w biegu długodystansowym wystartować i pewnie nie byłby ostatni. Tu jednak nie dawał rady i wkrótce problemem stało się, czy go ratownicy nie zostawią zbyt daleko za sobą, a nie, że zdradzi się, doganiając ich na pochylni. Na pewno nie miał szans ich dogonić, ważne, żeby nie stracił ich z oczu. Zgrzytnął w duchu zębami i poszedł, potykając się o podkłady.

Nie nadażał, mimo sprawności i wkładanego we wspinaczkę wysiłku. Spod hełmu ściekły mu na oczy dwie krople potu, jedna za drugą, mrugnął, strząsając je z rzęs, lecz już czuł następne, jakby we włosach wytrysnęło mu źródółko. Mokra miał też plecy i bluzę pod pachami, zupełnie mokre, jak spod kranu, chłodna strużka pociekła wzdłuż kręgosłupa za pasek, załaskotała tuż nad pośladkami i gdzieś się rozplynęła, pewnie wsiąkła w bieliznę. Paskudztwo, przygotował się na następną, lecz następnej na szczęście nie było. Wiatr wiejący w plecy, ciepły i duszny, w końcu przeniknął przez odzież i ochłodził trochę skórę pod mokrymi plamami, nie tak, jak chciałby, jednak poczuł ulgę i żwawiej począł stawiać kroki na podkładach.

W pewnej chwili podniósł głowę i ogarnął go strach, blasku przed nim nie było. Zaklął bezgłośnie; podczas gdy on skupiał się na walce z samym sobą i tym cholernym gorącym, ratownicy gdzieś zniknęli. Przyspieszył kroku, sapiąc jak parowóz. Po kilkudziesięciu krokach nachylenie pochylni zmniejszyło się i zobaczył przed sobą drewnianą tamę z drzwiami. Po kilku kolejnych szybkich krokach sięgnął po

skórzany uchwyt, pociągnął je ku sobie i wyszedł na skrzyżowanie, kończące upadową. Rozejrzał się pospiesznie, odetchnął. Po lewej miał poziomy chodnik, a w niezbyt dużej odległości światła dwóch kołyszących się w rytm kroków lamp. Znów zgasił swoją latarkę i zatrzymał się, wypuszczając śledzonych na większy dystans. Słyszał ich głosy, lecz nie rozumiał, o czym mówią, byli za daleko. To nie było ważne, nic się przecież nie wydarzyło od czasu, gdy skręcili w pochylnię. Poszedł więc za nimi, ledwie co widząc w stłumionym przez połę bluzy świetle. Tyle musiało mu wystarczyć.

Szli tak kilkanaście minut, może dwadzieścia, mijając skrzyżowania ciemnych komór i chodników, które penetrowano, czasem wchodząc do środka, a czasem tylko świecąc, kilka razy skręcili, gdy chodnik łączył się z innym, zazwyczaj z jednej strony zamurowanym, niekiedy tylko zawalonym, z drugiej prowadzącym dalej w nieznany mrok, gdy raptem zobaczył w przedzie jakieś podniecenie wśród monotennie rozkiwanych dotąd lamp. Stożki ich światła pobiegły naprzód, zatrzymały się, skupiły na czymś, czego ze swego miejsca nie widział. Przyspieszył trochę; wyężając w półmroku wzrok, próbował rozpoznać powód ożywienia ratowników. Wreszcie, po jeszcze kilku krokach, gdy zaczął zbliżać się na niebezpieczną odległość, gdy realnie zagroziło mu zdemaskowanie, zobaczył. I już nie musiał się ukrywać.

Kiedy Nakonieczny otworzył oczy, dookoła panowała taka ciemność, że nie widział nawet swoich powiek, gdy mrugał.

Popróbował poruszyć głową, w ciemieniu poczuł przeszywający ból, więc zrezygnował. Ręce miał związane na plecach, a nogi w kostkach, czuł na skórze szorstkość włókien i obłość pęt – sznur. Leżał na spągu wzdłuż szyny torowiska, czuł bokiem jej zimny metal. Pod biodrami miał kant podkładu z wystającą śrubą czy hacelem, to też wbijało mu się w ciało. Spróbował przesunąć się, lecz nic to nie dało, chyba nawet zrobiło się gorzej. Skrzywił się i przygryzł wargę. Cekał go nieprzyjemny czas, Bóg raczy wiedzieć jak długi.

Jak się okazało, krótki. Usłyszał brzęk i stukot kół o złącza, przez ubranie poczuł lekkie drganie szyny. Zrobiło się też ciut jaśniej, z oddali nadciągało światło. Ktoś szedł, zapewne pchając po szynach coś na kołach. Przewyciężając ból, uniósł głowę i popatrzył wzdłuż swoich nóg. W jego kierunku jechała mała drzewiarka, napędzana siłą mięśni kogoś, kto lampą na hełmie świecił wprost przed siebie, a że na wprost miał leżącego detektywa, świecił mu prosto w oczy. Podtoczył drzewiarkę tuż do stóp Nakoniecznego i zatrzymał ją, gdy niemal dotknęła jego butów.

- By mi zniszczył trzewiki – mruknął Nakonieczny, kiedy już minęła instynktowna obawa o całość kończyn.

- Nie śpi już? – Nieznajomy zostawił platformę, zdjął lampę z kasku i przypiął na piersi, po czym zbliżył się do leżącego i kucnął.

Nakonieczny zerknął mu w twarz i westchnął.

- Bhaktapur, co?

Tamten popatrzył na niego ze zdziwieniem i chyba dezaprobatą, o ile można było odczytać subtelności uczuć w świetle górniczej latarki.

- Bhaktapur? Tukej? Ni. Bhaktapur daleko.

- Naprawdę? Może nie tak bardzo.

- Bardzo. - Chude oblicze obcego wykrzywił grymas, któremu trudno było przypisać rodzaj emocji, jaki się za nim krył. - Na trzysta, kole zawalonego chodnika na Królewsko.

Nakonieczny zamrugał, czując, jak mu się urywa ciąg logiczny, którego obecności co prawda dotąd nie potwierdził, ale przeczuwał i potrafił, zdawało się, wysnuć, łącznie z ironią i niezbędnym sarkazmem. A tu masz. Bhaktapur istniał, na trzysta.

- A jesteśmy gdzie? Co tu jest? - zapytał pod wpływem naglego natchnienia.

- Nie wiecie? - W głosie górnika usłyszał autentyczne zdziwienie. - To kajście mie tu znodli? Bez mapy... Tu je Lampang, znocie Lampang?

Lampang... Ciulże go wie, gdzie ten Lampang naprawdę, ważne że tutejszy ma na życzenie. Wszystko się powoli przejaśniało. Jak on się nazywa...? Lipniok?

- Tyś jest Lipniok?

- Ja, Klemens Lipniok - przytaknął tamten.

- Co więc masz zamiar ze mną zrobić w tym Lampangu, Klemens?

Lipniok jakby zapadł się w sobie, skurczył się i zmałał, jak gdyby miał zamiar przestać istnieć w świecie realnym, niechby nawet w Lampangu. Długo nic nie mówił, kreślił tylko światłem lampy ósemki na spagu.

- Zawieza was... - powiedział wreszcie cicho, gdy Nakonieczny stracił już nadzieję, że się kiedyś odezwie.

- Dokąd? Do Kuala Lumpur? - prychnął Nakonieczny.

Kuala Lumpur nie było widocznie w okolicy, bliższej ani dalszej, bo Lipniok nie zareagował. Wyglądał nawet, jakby pasje turystyczne chwilowo odłożył na bok, mając większe zmartwienia, ba, może nawet lęki.

- Tam... - powiedział z wahaniem - dalij... gdzie... - Zawiesił głos, jakby szukał słów, ale nie znalazł, więc zakończył tylko: - Pojademy, k'niemu.

Wstał, otrzepał z pyłu spodnie, pochylił się i wsunawszy ręce pod plecy Nakoniecznego, uniósł go, a następnie ułożył między lukami drzewiarki, na leżącej tam kantówce.

- Leżcie spokojnie, cobyście nie spodli - zamruczał dobroliwie, z troską w głosie, w którym nie było już niedawnej konfuzji ani strachu.

Pchnął drzewiarkę, aż potoczyła się, stukocząc po torach, w głąb starego wyrobiska. „Wariat” - przytaknął samemu sobie Nakonieczny, kołysząc się w rytm kolebania wózka i napięciem mięśni próbując amortyzować gwałtowniejsze przechyły i wstrząsy. Niespecjalnie się bał, był raczej ciekaw, co z tego wyniknie. Lipniok chyba nie miał zamiaru go zabić, mógł to przecież zrobić dziesięć razy, gdy Nakonieczny był nieprzytomny i ze trzy, gdy tak sobie abstrakcyjnie gwarzyli o atrakcjach turystycznych świata, będących rzekomo na wyciągnięcie ręki. Może gdzieś go podrzuci i zostawi w nadziei, że w ten sposób wścibski detektyw zniknie z jego osobiście uporządkowanego świata. To by nie było złe rozwiązanie, Nakonieczny zdążył sprawdzić więzy, nie były zbyt profesjonalnie założone (bo niby skąd u górniczego emeryta profesjonalizm w pętaniu człowieka), miał nadzieję, że po dłuższym wysiłku zdoła się uwolnić, byle został sam.

Gorzej, że nie ma lampy, Lipniok musiał mu ją zabrać. No tak, lampa to w jego sytuacji cenna zdobycz, niekiedy, jak widać, warta trupa. Stracił też chyba tetetkę, nie czuł jej ucisku z tyłu za paskiem, nie wiedział, czy ma ją Lipniok, czy po prostu mu wypadła, gdy zarobił w łeb i był gdzieś ciągnany i przemieszczany.

Gdzie jada? Jak przypuszczał, byli w chodniku, którego oficjalnie nie ma, a który ciągnął się gdzieś poza gniazdko, jakie na jego wlocie uwił sobie ten psychol. W błyskach kiwającej się lampy Lipnioka widział zarośnięte liszajami pleśni i soli grzebienie drewnianych, zbutwiałych okładzin, małe łuki obudowy o niespotykanym profilu były powyginane i pozaciskane, śruby zamków pozamieniały się w kule rdzy, nie do odkręcenia w żaden sposób, ani mechaniczny, ani wspomagany chemią. Przewiew powietrza był nieznaczny, mała ilość tlenu powodowała senność, pewnie i metanu było tu więcej, niż dopuszczała norma, nikt tego wszak nie wietrzył od kilkudziesięciu co najmniej lat. Przekrój chodnika był miejscami tak mały, że się Lipniok musiał schylać nad swoim wózkiem, jednak wszędzie był przejezdny, nigdzie nie miał problemów z przepchnięciem drzewiarki.

Tak, w zasadzie był spokojny, przynajmniej w tej części świadomości. Bo niepostrzeżenie coś pojawiło się wśród myśli, jakaś myśl obca, wtręt nie z jego głowy, drażąca, natrętna... Odganiał ją, chciał zachować trzeźwe spojrzenie, wiedział, że każda panika, każdy strach może go zgubić, nie mógł pozwolić sobie na strach, nie wolno mu było się bać. Dał się podejść pojebowi, owszem, tak, dał się, ale co z tego? Jedzie teraz na desce w jakieś zakazane rejony podziemi, skąd

wróci przecież, gdy tylko pozbędzie się pojeba, ostatecznie to on jest tu speczawodow- cem, co z tego, że trochę przeterminowanym? Ten tu dupek nawet w dziesiątej części nie potrafi tego, co on. Co takiego jeszcze potrafił - nie precyzował sobie. Nieważne, i tak jest od niego lepszy. Ale...

Nie pomagało, miał wrażenie, że nie o to chodziło. Ten lęk z podświadomości miał inne podłoże niż jego obecna sytuacja.

Im dalej toczył się na wózku w głąb nieznanego, tym miał w sobie tego więcej, jak gdyby wdychał to razem ze zgniłym powietrzem, jakby przenikało go wraz z ciemnością.

- Daleko jeszcze? - zapytał, by przerwać ciszę i zakłócić swobodę wnikania temu czemuś.

- Już, już... - wymamrotał stary, popychając mocniej drzewiarzkę. - Zarozki bydymy... Zarozki. Już prawie czują, już...

- Słuchaj, Klemens, gdzie ty mnie właściwie wieszysz, co? Zostaw mnie tu, potem sobie pójdiesz do Bhaktapuru czy gdzie tam zechcesz, fajną penzyję tam spędzisz, palmy, góry, te sprawy. .. Fajnie będzie, zobaczysz, wypuść mnie, nikomu nie powiem, gdzie jest ten twój Lampang.

- Ja, ja, nie powiesz, wiem, że nie powiesz - zabrzmiało to złowieszczo i Nakonieczny po raz pierwszy zaniepokoił się świadomie.

Nagle coś chyba zrozumiał.

- Po co żeś ich zabijał? - zapytał, dobrze wiedząc, co usłyszy.

- Żodnego zech nie miał zbijoć! - wrzasnął Lipniok cienkim, pełnym poczucia niezasażonej krzywdy głosem. - Żodnego!

- Nie? - zdziwił się ostentacyjnie. - A co? Walifeś w łeb, a

oni umierali ze strachu?

- Nie walił żech... No, jednego może... Ale żyw był, dychał, kiedych łodchodził. Bioły taki...

- Szymkiewicz? - domyślił się Nakonieczny.

- Nie znom. Może i Szymkiewicz. Ale musiołech, lampa mie cołki siadła, przepod bych bez lampy, to musiołech deczko lut- nąć kluczem, coby pod, ale nie umarty!

- No, jak na razie to ci deczko więcej niż jednego Szymkiewicza przypisują. A i Szymkiewicz umarty, deczko za mocno żeś go lutnął tym kluczem.

- Nie żyw?—W głosie Lipnioka pojawił się chyba autentyczny przestrah. - Nie chcioł żech, wierzcie...

- A reszta?

- Reszta...?

Zanim Lipniok umilkł, to jedno słowo... Tyle dziwnych, zagadkowych afektów i znaczeń... Zbyt szybko zgasło, by je wszystkie ogarnąć.

- Może to być... może... - powiedział po chwili z wahaniem, jak gdyby sam w to nie wierzył. - Może i jo... - I znów zamilkł.

- Lampy i śniodania żech zbieroł, gdy już były im na nic - powiedział w końcu tonem usprawiedliwienia i pozornie bez związku.

- Do tego ich musiałeś zabijać?

Lipniok nie odpowiedział, pchnął tylko energiczniej drzewiarzkę.

- No? Nie odpowiesz? Warto było dla lampy czy sznitki?

- Jo... - Lipniok głos miał tak cichy, że ledwo go Nakonieczny słyszał. - Nie dla sznitki...

- Nie? A po co? Co ci, kurwa, zrobili ci ludzie?

- Musioł zech...

- Co?

- Musioł zech... Łoczy im potym zawrzyć... Co by nie bolało...

Już go tylko słuchał, nie mówiąc słowa.

- Co by nie krzyczeli... Cicho... Co by było cicho... Co by poszeł... i nie wrócił może... Już może nie wrócił... Ale wracół... Wraz i wraz... I bydzie wracać, jo to wim, aż...

- Kto? O czym ty pieprzysz? Kto miał nie wracać? - zapytał, ale Lipniok zamilkł i nie odezwał się więcej.

Jechali.

- Dokąd mnie wieziesz? - powtórzył Nakonieczny po dłuższej chwili ciszy.

Nic. Milczenie i kolejne szarpnięcie wózkami.

- Masz jakiś cel czy tak sobie wozisz mnie dla przyjemności?

Bez odpowiedzi. Wreszcie Lipniok przystanął, puszczając wóz i pozwalając mu potoczyć się kilka metrów. Na chwilę światło padło na jego twarz i przez ten krótki moment Nakonieczny zobaczył na niej dziwny grymas, którego nie potrafił nazwać, lecz nie był to grymas radosny, tego był pewien.

- Poczkej tu - powiedział cicho Lipniok. - Dugo to nie bydzie. - Po czym odwrócił się i szybkim krokiem ruszył z powrotem.

- Hej! - krzyknął za nim Nakonieczny. - Zwariowałeś? Przynajmniej mnie rozwiąż!

Odpowiedzi nie było. Odginając głowę, zobaczył kiwający się krąg światła, który był coraz dalej i dalej, i wkrótce w

ogóle go nie było. Dopiero teraz poczuł ciemność. Spadła na niego jak koc, okutała głowę, odcięła od reszty zmysłów, jakby od funkcjonalności wzroku zależało ich posiadanie. Takiej ciemności, lepkiej i ciężkiej, bał się panicznie, bał się zawsze, choć o tym nie wiedział, bo nigdy jej nie doświadczył, tkwiła jednak wśród prastarych odruchów, pewnie z czasów, gdy dawca tego zapomnianego genu huśtał się jeszcze na ogonie. Człowiek – i każda żywa istota – po to ma zmysły, żeby ich używać. Nawet osoba niewidoma, mając ciemność za naturalny stan swojego świata, wie, że nie jest to stan powszechny, że tam, poza kurtyną, istnieje otoczenie, którego można doświadczać nie tylko dotykiem, że jego brak widzenia jest upośledzeniem, nie normą. Tu ciemność była normą, zjawiskiem jedynym, od którego nie było odwołania, które można było zgwałcić sztucznym światłem, lecz jeśli się jego źródło wykluczyło, pozostawał tylko sam mrok, esencja tego świata. Bał się odezwać, miał wrażenie, że głos też poprzez czerń nie przebije się, bo ma ona wymiar materialny, grubość wielką niczym nieskończoność i równie wielką zdolność tłumienia. Tym bardziej iż przestał słyszeć nawet swój oddech.

– Jestem – powiedział i chyba się usłyszał, lecz dźwięk był osobny, oderwany od reszty, nie jego. Równie dobrze mógł to powiedzieć ktoś inny, ktoś zza tej przesłony, którą nazwał ciemnością ze względu na brak trafniejszego określenia. Odcięcie od zmysłów już przynosiło konsekwencje: zapadał w jakiś letarg z pogranicza snu, tracił kontakt z rzeczywistością, bo z czym miał go utrzymywać, skoro rzeczywistości, jego rzeczywistości, którą pamiętał, którą

jeszcze czuł pamięcią wzroku i dotyku, takiej rzeczywistości, namacalnej, realnej, już nie ma?

Poczuł lekkie dotknięcie na dłoni, muśnięcie delikatne, prawie niezauważalne, trudne do uwierzenia. Pomyślał, że ma zwidy, a wtedy coś lekko przesunęło się wzdłuż rękawa do łokcia, zatrzymało się na chwilę i wówczas przestał je czuć. Włosy zjeżyły mu się pod hełmem, a krtań zacisnęła skurcz niczym stalowa obręcz, uniemożliwiająca krzyk. Lecz znów nic się nie działo, więc powoli uspokajał się, rozluźniał, utwierdzał w przekonaniu, iż to złudzenie, efekt samotności, ciszy i mroku. Przestrach prawie minął, niemal uwierzył, że mu jednak się zdawało, gdy coś powędrowało wyżej, po ramieniu ku barkowi, gdzie też urządziło sobie krótki postój, lecz już wiedział, że nie znikło. Łaskotliwy dotyk po chwili przeniósł się z barku na pierś i zatrzymał się tuż pod jego brodą. Uniósł lekko głowę, odruchowo próbował zobaczyć, chociaż zdawał sobie sprawę, że w tej ciemności nie zobaczy nic. A jednak... Może to złudzenie, lecz w tej czerni bardziej domyślił się, przeczuł, niż dostrzegł kontur o ćwierć tonu mroku ciemniejszy, kontur malutki, trochę pękaty, znany. Uniesienie głowy go nie spłoszyło, natomiast na potwierdzenie poczuł na brodzie leciutki, szybki podmuch krótkiego oddechu i zaraz coś zimnego, malutkiego i wilgotnego dotknęło jego podbródka. „Jak psi nos w miniaturze” – pomyślał.

Nie poruszał się, czekając. Drobne tupnięcia przeniosły gościa niżej, w stronę pasa, przebiegły w prawo, wróciły, przebiegły w lewo. Poczuł, jak to coś zawróciło i drobiać niczym gęsty ścieg, powędrowało z powrotem ku twarzy. Już się

domyślał co to, choć wierzył w to z trudem, bowiem takie rzeczy nie miały prawa się zdarzyć.

Mysz przycupnęła przy kołnierzu koszuli, badając ostrożnie nosem szyję i podbródek. Co miało na celu to badanie - nie potrafił się domyślić. Nie był dla myszy zdobyczą, przynajmniej nie dla jednej, nawet związany. Skąd wiedziała, że nie może jej nic zrobić, że nie może się ruszyć? „Widać życie w ciemności rozwija inteligencję u myszy, czego o człowieku powiedzieć się nie da” - pomyślał zgryźliwie. Wczuwał się w wędrówki myszy po ciele, powodowały lekkie swędzenie, niedokuczliwe, nawet przyjemne. Zwiedziła obie jego nogi, zajrzała nawet do gumowca, ale daleko nie weszła, może na szczęście.

Szarpnął biodrami, gdy kolejny raz mijała pasek, zatrzymała się raptownie, pewnie zdziwiona, z włączonym ostrzeganiem. Poruszył się ponownie, mocniej. Mysz smyknęła po biodrze w dół i zniknęła.

- Będzie dość wędrowania - mruknął półgłosem.

Należało pomyśleć o sobie. Leżał półbokiem, ręce miał związane w przegubach, za plecami. Przekręcił się zupełnie na bok, zgiął kręgosłup w łuk, wyciągnął ręce w dół, prostując łokcie maksymalnie, ile się dało. Sycząc z bólu, przepchnął związane dłonie pod pośladkami, zgiął nogi w kolanach, przełożył przez więzy. Połowa roboty zrobiona, pęta miał teraz przed sobą. Usiadł i kalecząc palce, rozsuptał więzy na kostkach. Tych na przegubach nie rozwiąże tak łatwo, ale mógł już iść, mógł wracać.

Wówczas przyszło znowu. Zapomniane, zepchnięte z pola uwagi przez dyskusję z Lipniokiem, peregrynacje myszy i sku-

pienie na więzach. Nadciągało od strony nieznannej części chodnika, miał nawet wrażenie, że zmaterializowane pełźnie górą, smugami pod stropem. Jeszcze nie było przerażeniem, na razie dopiero lękiem, coraz jednak silniejszym, dezorientującym, bo niemającym zlokalizowanego źródła. Odruchowo cofnął się, aż poczuł na plecach stalowy pałąk drzewiarki, wcisnął się weń, szukając ochrony. Jednak wiedział, że przed tym ochrony nie było, nie tu. Czekał więc, wypełniony histerycznym strachem na nieuchronne, które nadciągało.

I poczuł spojrzenie. Nieważne, że czerń wokół nie stała się ni o ćwierć tonu jaśniejsza, że świata ciągle nigdzie nie było, to uczucie niematerialnego dotyku, badanie zza ciemności, mógł nazwać jedynie spojrzeniem, bo innego terminu nie potrafił znaleźć. Dziwacznym spojrzeniem, które nie potrzebowało światła, by widzieć.

Doświadczał jego obecności, tak jak doświadcza się bliskości żywych istot w realnym świecie. Nie potrzebował do tego wzroku. Ale poza tą obecnością, poza natrętnym przyglądaniem się, nic więcej się nie stało. Był najwyraźniej tylko obiektem natarczywej obserwacji, za którą nie wiedzieć czemu nie szły żadne czyny. I pośród tej niematerialnej obecności, w samym jej środku, otoczony nieistniejącą obcą jaźnią zaczął pojmować, brakujące nitki zrozumienia poczęły łączyć mu się w całość, w rozwiązanie, którego gdzie indziej, w świecie blasku, nigdy nie przyjąłby do wiadomości. Teraz wiedział, wszystko znalazło wyjaśnienie, proste i w tym otoczeniu oczywiste. Czy coś z tej wiedzy pozostanie, gdy na powrót otoczy go materialna rzeczywistość? Bo już czuł, iż z

niezrozumiałych powodów, z przyczyn, które leżały poza jego pojmowaniem, nic więcej, nic złego nie musi się wydarzyć. Był tylko obiektem obserwacji, niczym więcej. Dlaczego? Czemu plan Lipnioka spalił na panewce? Coś potoczyło się nie tak, nie podług zamiarów tamtego, ale raczej nie powinno go to martwić. Od czyjegoś patrzenia jeszcze nikt nie umarł i może Nakonieczny nie będzie pierwszy.

Co mógł zrobić? Czy w jakiś sposób mógł zmienić, pogorszyć swoje położenie? Wstał z kantówki, stęknąwszy, rozprostował plecy, a potem wyciągnąwszy przed siebie spętane dłonie, wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył przed siebie przez ciemność, której wzrok czuł nieustannie na plecach.

Nie wiedział, jak długo szedł, jak często potykał się i przewracał, ile razy tłukł głową w niską obudowę, ile kilogramów starodawnego pyłu i gruzu zrzucił na siebie i spąg... Nie zauważył, kiedy przestał czuć na plecach tamto spojrzenie zza mroku, od kiedy została z nim jedynie ciemność bezdenna, lecz pusta, bez ożywionego pierwiastka, którego istnienia stał się świadkiem. Daleki blask słabej żarówki wyzwolił w nim nowy zapas energii, wracał do miejsc, gdzie wszystko było zwyczajne i uporządkowane, nawet jeśli grasował tam zbrodniarz o zwichrowanej przez kopalnię psychice.

Nie myślał, co będzie, jeśli go tam zastanie. Nie dałby mu rady, poobijany i ze związanymi rękami, ale ponownie zatasz- czyć w tamtą czeluść już by się nie dał, był o tym przekonany. Lipniok musiałby go zabić. Światło było coraz bliżej, już widział brezentową kolibę na skrzyżowaniu. Począł ostrożnie stawiać stopy, nie robiąc hałasu, idąc w ten sposób zbliżył się do ślepej ściany szafasu i wyjrzał poza nią.

Koczowisko było puste. Wszedł do środka i rozejrzył się za czymś ostrym. Nóż ciągle leżał na stole, obok naczyń, spośród których jedynie emaliowany dzbanek, przewrócony, sturlał się z blatu na ziemię – pozbycie się więzów stało się tylko kwestią niezbyt długiego czasu. Uwolniony, przysiadł na pryczy i zamyślił się. Co to miało być? Nie uległ złudzeniu, nie miał halucynacji, jeszcze był o tym przekonany. Przeżył coś, czego nie rozumiał i wyszedł bez szwanku. Dlaczego? Wbrew oczekiwaniom Lipnioka, wbrew jego bezradnej nadziei. Tak, Lipniok wiedział, po co go tam wiezie. Oddał go... w ofierze? Komu? Z jakiego powodu? Co za bzdury. Bo to bzdury, fantasmagorie. Lecz te bzdury zdarzyły się nie tak dawno temu, a on był ich uczestnikiem. Czy na pewno? Gdy owo zanurzenie w czerni i spotkanie z jej zawartością stawało się coraz bardziej odległe, bo żarówka na drucie rozsiewała wokół miłe żółte światło, przywracając rzeczywistość, tamto stawało się nierealne, śmieszne, nie do uwierzenia, do włożenia raczej między majaki i brednie, wywołane pewnie jakimś gazem lub ubogą mieszanką powietrzną. Już prawie tego nie pamiętał, już stało się refleksem jak ze snu i jak sen odchodziło w zapomnienie. Umysł, byle dostał zrozumiały punkt zaczepienia, szybko racjonalizował nawet najbardziej fantastyczne przeżycia. Nic się nie stało. Nic.

Czas wracać, musi zawiadomić kogo trzeba, zagadka rozwikłana, przynajmniej w części, którą da się pojąć w racjonalnych kategoriach, a pozostałe? Nie miał ochoty wyjechać stąd w kaftanie bezpieczeństwa, niech sobie tylko złapią turystę. Podniósł się i ruszył ku otworowi w tamie. Wszedł do komory, gdzie z hydrantu kapały rzadkie krople.

„Pewnie Lipniok używał” – skonstatował. Odkręcił zawór i wsadził głowę pod lodowatą strugę. Prychnął z zadowoleniem, zupełnie już otrzeźwiony, założył hełm i wyszedł na przekop. Pamiętał, że wisiał tam czerwony alarmowy telefon. Był. Podszedł, podniósł słuchawkę i pokręcił korbką.

- Nakonieczny – powiedział. Wysłuchał gwałtownego potoku słów, przerwał go, wpadając w pół zdania: - Połącz mnie z dyrektorem Bugdołem.

- Mieciu? – zapytał, usłyszawszy znajomy głos, i zupełnie ignorując kolejny zalew pytań, kontynuował: - Sprzątnąłeś te gazety spod blatu? Nie gorzej, lepiej mi, zdecydowanie lepiej. Mówię ci, zajrzyj pod ten blat. Masz tam jeden taki tygodnik z bardzo interesującą okładką. Pewnego znajomego na niej znajdziesz, godnego uwagi twojego przyjaciela prokuratora. Hasło dnia: Bhaktapur. Jest? Brawo, wygrał pan mikser. Co...? Już mówię, ale ty w międzyczasie poślij po mnie kogoś na dwieście, do komory przeciwpożarowej... Tak, na starym przekopie, przy otamowanym chodniku na Królewską. Lamy nie mam, kolekcjoner się zaopiekował, a bez lampy, sam rozumiesz...

Zdał relację, w której pominął jedynie epizod z myszą i majak czarnego spojrzenia. Potem na rękawicach usiadł pod telefonem, oparł głowę o łuk obudowy i zamknął oczy. Poczł, jak spływa z niego napięcie, a w to miejsce rozlewa się ogromne zmęczenie. Najchętniej by zasnął tu, czekając na pomoc, gdyby nie gonitwa myśli, jaka opanowała mu umysł. Zwalilo się wszystko naraz: nieszczęsny dług, od którego wszystko się zaczęło, robota dla Dziwki, dziwne

pieniądze i niezrozumiałe polowanie na niego i Zochę. Zocha... Poczul ukłucie. Lubił ją, choć tak naprawdę niewiele o niej wiedział. Pracowali razem tyle lat, najpierw w resorcie, potem w firmie, spał z nią nawet przez jakiś czas, a ciągle była obca, ciągle potrafiła zaskoczyć, często nieprzyjemnie. Plotkowało się w służbach, że Zochę przeniesiono z wywiadu, ale kto ją tam wie, różne rzeczy ludzie gadają, zwłaszcza gdy nie ma żadnych dowodów. No i nie ma Zochy, tak samo niezrozumiale, jak niezrozumiały był fakt jej zaistnienia w życiu Nakoniecznego. A potem jeszcze te trupy w kopalni. Kto by pomyślał, że lata orki na dole tak potrafią rzucić się na głowę, że ktoś może postanowić przenieść swoje życie pod ziemię, bo na powierzchni nie znajdzie dla siebie miejsca. I żadna rodzina, żadni przyjaciele... Nic się nie liczy poza grubą. Można do niej przeflancować nawet egzotyczne marzenia.

Jeszcze gdzieś się tu Lipniok kręcił, lecz pewnie szybko go złapią i pójdzie siedzieć na zakończenie życia. Taki finał górniczej emerytury. To jego zachowanie... Dziwne. Odniósł wrażenie, że Lipniok przypisaniem mu winy za śmierć wszystkich denatów był przerażony. Jedynie Szymkiewicz nie, choć też bronił się, że niechący. A jednocześnie godził się, akceptował, przyjmując na siebie. Nie swoją winę? Swoją rolę najwyraźniej widział jako dziwaczny akt miłosierdzia i jednocześnie przymus, konsekwencję, następstwo jakichś innych, tajemniczych nieuchronności, w których musiał uczestniczyć. Jakby z litości musiał kończyć coś, co zaczął ktoś inny. Dobrze go rozumiał? Nie był pewien. Lipniok wywiózł go niczym cielę ofiarne. To skojarzenie uparcie

wracało, zwłaszcza gdy przypominał sobie... Brrr... Lepiej nie wracać, jest dobrze, jest po wszystkim, wyszedł, choć z takiego mroku, z takiej opresji miał prawo nie wyjść. Ale wyszedł, siedzi tu, zdawszy relację, ma prawo być zadowolony z sukcesu, rozwiązał zagadkę, pokazał, że stary pies może mieć lepszego nosa niż młode wilczki. Tak, ma prawo być zadowolony. To czemu nie jest? Czegoś mu w tym brakowało, ostatniego klocka puzzli, została jedna, niepozorna dziurka, nieważna, w samym rogu, ale została, a klocka nie ma... Coś się przez tę dziurkę sączy, coś niepokojącego, coś jeszcze malutkiego, lecz gdy pozwoli się mu urosnąć, potrafi postawić włosy na głowie. Coś, co zostawiło ślad w podświadomości, jakies echo, mgnienie pewności, iż wszystko już wiedział, rozwiązał wszelkie wątpliwości, wtedy, tam.

Bzdura.

Kątem oka dostrzegł w oddali migający snop światła na przekopie, gdzie, jak pamiętał, zaczynała się przecinka, którą tu przyszedł. Spojrzał w tamtą stronę z nadzieją, która po chwili zmieniła się w pewność, a później w radość. Dwie lampki kołysały się w rytm kroków, jeszcze były daleko, ale nieuchronnie się zbliżały i nie było możliwości, żeby został przeoczony.

- Szybko się Mieciu uwinął - mruknął do siebie.

Spokojnie czekał na ekipę ratunkową, teraz już nawet Lipniok, który zniknął, nie był mu straszny.

W pewnej chwili wydało mu się, że oprócz dwóch rażno zbliżających się lampek widzi kogoś jeszcze; wkrótce miał pewność: ktoś szedł w pewnej odległości za nimi ze strasznie

rachitycznym światłem, ledwo widocznym w krótkich momentach, gdy świecił sobie pod nogi.

Ratownicy go dostrzegli. Skupiły się na nim dwa snopy światła, pomachał im, przesłaniając oślepienie oczy. Usłyszał ich głosy; wyraźnie przyspieszyli kroku. A potem stało się coś niespodziewanego i przerażającego. Znienacka rozległy się dwa głuchoe huki, niczym z pojedynczych patronów karbonitu, stosowanego w robotach strzałowych. Oba światła zatańczyły po ociosach i spadły na ziemię i wtedy zorientował się: tak powinien brzmieć pod ziemią wystrzał z pistoletu, dudniąc i głucho, bo na dźwięk nie ma miejsca i aby się rozejść, dudni niczym w kominie. Ogarnęła go dziwna słabość. Obojętnie i prawie bez strachu patrzył, jak ten trzeci zbliża się energicznym krokiem. Nie podniósł się, gdy stanął nad nim, zobaczył przed oczami wylot lufy. „SIG Sauer” – pomyślał bez sensu. Poczul uderzenie nad brwiami, a tuż po nim ból tak krótki, że już nie zdążył zrozumieć konsekwencji.

epilog

Pod wiatr

Widziałem go. Nazywał się... Diabli wiedzą, jak się nazywał, nosił zawodową ksywę „Cichy”, co równie dobrze mogło pochodzić od nazwiska, jak od cechy charakterystycznej dla jego fachu, bo gdyby nie był cichy, nie robiłby tego, co robił, z taką skutecznością. Nigdy dotąd nie zawiódł, również w tym przypadku. Wypełnił zadanie i mógł liczyć na sowite wynagrodzenie, pod jednym wszakże warunkiem. Nie wszystko bowiem poszło dokładnie według zamierzeń, na przykład zupełnie nie wkalkulował sobie, że trafi w zapomniane rejony kopalni i że nie będzie umiał znaleźć z nich wyjścia. A przecież było to łatwe do przewidzenia, gdyby tylko w jego działaniu więcej było zimnej kalkulacji, a mniej improwizacji. Ta improwizacja była zrozumiała, nie mógł spodziewać się takiego rozwoju wypadków, zaginięcia obiektu i konieczności podjęcia błyskawicznej decyzji, jak go w takim razie odnaleźć. Podjął tę decyzję, w sumie prawidłową, obiekt został zlikwidowany, a jemu wpadł kolejny plus do zawodowego życiorysu. Teraz tylko pozostał drobiazg: musiał wrócić.

Z początku wyglądało łatwo. Przyszedł tu, śledząc ratow-

ników i wydawać by się mogło, że nie ma nic prostszego, jak wrócić tą samą drogą. Owszem, tak, jeśli kopalnię widziało się więcej niż jeden raz i nie były to wycieczki z przewodnikiem do Wieliczki.

Akcja początkowo potoczyła się tak, jak planował. Gdy tylko upewnił się, kim j est siedzący pod ociosem człowiek bez latarki, zastrzelił ratowników. Podszedł do obiektu z pistoletem w dłoni, czując w nozdrzach ostry zapach prochu, który tu nie znajdował ujścia i towarzyszył mu, otulając niewidocznym obłokiem. Tamten nie próbował uciekać. Patrzył na niego wzrokiem pełnym rezygnacji i chyba zrozumienia. Cichy musiał się spieszyć, obiekt siedział pod telefonem i z pewnością go użył, kolejne ekipy poszukiwawcze są na pewno w drodze, lepiej ich nie spotkać, gdy będzie wracał. Nie miał zresztą w zwyczaju odstawiać szopek z jakąś mową czy czymkolwiek podobnym. Szybkim ruchem podniósł się sauera i strzelił mu prosto w czoło, głowa odskoczyła gwałtownie, zobaczył z tyłu, za ciemieniem krwawy rozbryzg na profilu obudowy. Wyjął komórkę, włączył i zrobił dwa zdjęcia, następnie wyłączył ją i schował. Schował też pistolet, zabezpieczywszy go uprzednio dokładnie, po czym ruszył w drogę powrotną. Miał zamiar zejść upadową poziom niżej, minąć obóz ratowników i pójść pieszo trasą, którą przemierzył, jadąc kolejką. Miał nadzieję, że ją rozpozna i dobrze zlokalizuje, potrafił niezłe poruszać się w terenie, łatwo zapamiętywał szczegóły topograficzne. Nie wziął pod uwagę, że umiejętność orientacji w górach czy lesie słabo przydaje się pod ziemią, zwłaszcza w miejscu, które widziało się pierwszy raz w życiu. Szybko się o tym

przekonał, gdy zamiast skrzyżowania z pochylnią zobaczył wokół siebie zupełnie obce wyrobisko. Tu nie był na pewno. Zaklął w duchu i zawrócił. Po kilku minutach trafił na skrzyżowanie, z którego biegła w lewo stalowo żebrowana upadowa. Odetchnął z ulgą i ruszył nią w dół, choć przez moment wydawał mu się, że tamto skrzyżowanie wyglądało trochę inaczej. Ale ileż skrzyżowań może znajdować się na takim zapyziałym chodniku? Czy można jakieś przegapić, minąć, nie zauważywszy? Okazało się, że można. Zorientował się, gdy upadowa nagle skończyła się krótkim poziomym chodnikiem, zamkniętym tamą, której jako żywo nie pamiętał. Owszem, tama była, na samej górze tamtej pochylni, przypomniał sobie, ale wszedł w nią z dużego przekopu sporo niżej i nie było tam żadnych tam ani pośrednich przecinek.

Nie zamierzał wracać. Wszystkie chodniki kopalniane gdzieś prowadzą, a na końcu mają szyb z windą, która go wywiezie na powietrze. Przykucnął pod tamą, dla odpoczynku, i począł myśleć. Wreszcie wymyślił. Powietrze. Idąc od szybu, zawsze czuł wiatr w plecy, logicznie będzie, wracając, mieć podmuch wiejący w twarz. Tu, gdzie się znajdował, powiew płynął zza tamy. Czyli do szybu będzie tamtędy. Pchnął wrota, otwały się ze świstem, powietrze nagle przyspieszyło, aż załopotwały poły bluzy i musiał przytrzymać hełm. Wszedł do środka, drzwi zamknęły się za nim z głuchym stukiem, zapiszczało mu w uszach od skoku ciśnienia. Przed sobą miał drugą tamę z bliźniaczymi drzwiami. Otworzył i ją, wyszedł na zewnątrz.

Była to krótka pozioma przecinka, po parudziesięciu

metrach wszedł do następnego chodnika. Ten był także poziomy, biegł w lewo, z prawej kończąc się ceglanym murem. Zrobiło się ciepło, choć powietrze było dość dobre, lepsze niż wyżej. Smród nie ogłuszał już wszystkich nienawykłych zmysłów, pachniało tylko pleśnią i uryną, co dało się znieść, zwłaszcza gdy człowiek parę ładnych godzin spędził pod ziemią. Podniesiony na duchu poszedł pod pełen zwykłego kopalnianego fetoru wiatr. Chodnik był długi i wilgotny, z ociosów sączyły się tu i ówdzie strużki wody, tworząc w poprzek drogi spore rozlewiska, niekiedy głębokie, o czym przekonał się na własnej skórze, gdy przekraczając jedno z nich, zapadł się nagle po pachwinę w wodę. Klnąc głośno i soczyście, wygramolił się na suchy ląd, przysiadł na kamieniu i wylał wodę z gumiaków. Na mokre spodnie nie miał sposobu, miał nadzieję, że wyschną na nim, zanim dotrze pod szyb. Zdjął je tylko i wyjął, a potem włożył na powrót, krzywiąc się z powodu zimnego dotyku mokrego drelichu. Postanowił więcej nie ryzykować i przekraczać kałuże po torowisku, które mimo iż często kryło się całkowicie pod wodą, przecież nie mogło zapaść się tak głęboko, aby znów zamoczył ubranie.

Szedł już dobre pół godziny, gdy pierwszy raz poczuł zaniepokojenie. Inne niż dotychczas, niezwiązane z obawą zabłądzenia, bo tej pozbył się już całkowicie. Od czasu gdy rozszyfrował zagadkę kierunku wentylacji, czuł się pewnie, jak stary górnik, jakby zjeżdżał tu codziennie i codziennie chadzał do szybu pod wiatr. Zaniepokoiło go podejrzenie, że może nie być sam. Nie wiedział, skąd się wzięło. Nic nie słyszał, z wyjątkiem własnych kroków i własnego oddechu

oraz rzadkiego pluskania spadających kropel. Obejrzał się kilka razy, ale nic nie dostrzegł; to go uspokoiło. Dla pewności omiółł jeszcze światłem najbliższą okolicę i ruszył dalej.

Kolejne minuty marszu zakończył finał, w wyniku którego Cichy wpadłby w rozpacz, gdyby posiadał mniejszą odporność na tak skrajne emocjonalne wahania nastroju. Już z daleka dostrzegł, że horyzont, będący tu czernią, w którą nie sięgało światło lampy, jakoś dziwnie się skrócił i skracał się z każdym jego krokiem. Wkrótce ujrzał tego przyczynę. Chodnik był ślepy. Przystanął, zaskoczony i zdezorientowany. Jak to ślepy? Przecież skądś brało się to powietrze, które czuł na twarzy. Może to złudzenie? Podeszedł bliżej.

To nie było złudzenie. Chodnik przed nim był zawalony i do połowy przekroju zamurowany. A powietrze? Zobaczył, skąd powietrze. Kilka metrów przed zawalonym przodkiem wznosiła się ażurowa konstrukcja z okrągłaków, ułożonych na podobieństwo studni z zapalek, jaką buduje w swoim czasie każde dziecko, akurat w tym Cichy w odległej przeszłości nie różnił się od innych dzieci. Choć w wielu innych elementach dziecięcych zachowań już tak.

Obszedł konstrukcję dookoła. Jej dolna część ginęła w mrocznej dziurze w ziemi, skąd płynęło powietrze. Szybik musiał prowadzić na niższy poziom i służył do wentylacji tego rejonu. A ta konstrukcja z okrągłaków nazywała się kaszt. Nie miał pojęcia, skąd zna tę nazwę, ale był jej pewien. Każdy ma w głowie zestaw do niczego niepotrzebnych terminów, poznanych na jakimś etapie życia. Cichy, między

innymi, równie dziwnymi, miał kaszt.

Co powinien robić dalej? Wracać? Nie miał ochoty. Postanowił spróbować zejść. Wbrew pozorom nie musiało to być trudne, kaszt tworzył całkiem wygodną drabinę, niewiadomy był tylko dystans, z którym przyjdzie mu się zmierzyć. Miał nadzieję, że to nie będzie sto metrów wędrówki w pionie. Wspiał się na szczyt konstrukcji, przełożył nogi do środka i usiadł na okrągłaku. Popatrzył wstecz, na drogę, którą przebył. Już miał schodzić do szybiku, gdy powstrzymał się jeszcze. Wydało mu się bowiem, że coś widzi na samej granicy mroku, z którego przyszedł. Coś nieokreślonego, trudnego do opisanie w formie kształtu, ale bardzo materialnego. I nie emanowała z tego empatia ani przyjaźń.

Sięgnął za pasek i wyciągnął pistolet. Odsunął zamek, zajrzał do lufy, wprowadził nabój, szcęknął puszczone suwadłem. Określony czy nie, solidna kula z sig sauera nie rozgranicza celu według poziomu rozpoznawalności formy. Nie słyszał o niczym żywym, co potrafiłoby się jej oprzeć. Wsunął broń z powrotem za pasek. Spojrzał w głąb szybiku, w ciemność znaczoną szczelami okrągłych bali, które ginęły gdzieś w matowej czerni, gdzie nie sięgało światło. A potem, pomagając sobie rękami, począł wolno schodzić.

Miał za sobą około dziesięciu metrów, gdy zauważył, że lampa, którą trzymając w zębach za kabel, świecił sobie w dół, pod nogi, trochę zaczyna żółknąć i widzi nieco mniej szczelbi niż dotąd. No tak, spędził pod ziemią ładnych kilka godzin, nie wiadomo, jak długo od ostatniego używania ładował się akumulator, gdy go zdjął z ładowarki, pędząc za ratowni-

kami na zjazd. Do pecha, którego już miał, brakowało tylko dodatku w postaci rozładowanej lampy. Nawet ze światłem ledwie sobie radził, bez niego wędrówka stanie się niemożliwa, nie był na tyle głupi, by nie wiedzieć, jak wiele znaczy górnicza rutyna w umiejętności poruszania się na dole. Przypuszczał, że nawet dla rutyniarza brak światła byłby nie lada wyzwaniem, co dopiero dla kogoś takiego jak on. Jak daleko może być jeszcze do szybu? Powietrze ciągle było takie samo, ciepłe i wilgotne, przypomniał sobie, że pod szybem, gdy zjechali, było chłodno i raczej sucho. Po wyjściu z kolejki także nie poczuł większego dyskomfortu. Dopiero potem, przy bazie ratowników i dalej, jakość przewiewu znacząco spadła, trudno nawet powiedzieć dokładnie kiedy, zmiana była stopniowa, łatwa do przeoczenia, nie zwracał wówczas na to nadmiernej uwagi. Spróbował przyspieszyć schodzenie, ale wyraźnego postępu nie osiągnął.

Szybik liczył niewiele ponad dwadzieścia metrów, niedużo, lecz gdy w końcu poczuł twardy grunt pod nogami, znów miał mokrą koszulę, a spod hełmu na czoło sączyły mu się znajome strużki potu. Nogi lekko mu drżały, przysiadł więc na ziemi, opierając się plecami o murowaną podstawę kasztu. Oddychał miarowo, zmęczenie stopniowo mijało. Mógł już przytomniej rozejrzeć się wokół, popatrzeć, gdzie trafił. Wynik tej obserwacji nie napawał radością: na wprost niego, w kierunku, w którym powinien iść, migotały w oddali górnicze lampy, słyszał też monotonny zgrzyt jakichś maszyn. Obejrzał się. Za kasztem chodnik kończył się paroma metrami wnęki, od czoła obudowanej betonowymi okładzinami i metalowymi stojakami. Znów ślepy, co oni tu

za dziwne wyrobiska porobili? Będzie więc musiał iść w stronę tamtych świateł, miał niedobre przeczucia. Tylu ludzi... Ma się przebijać? Bzdura totalna, nigdy by stąd wolny, a może i żywy, nie wyjechał. Trzeba spróbować przejść metodą na nieznanomego, pracuje tu kupa ludzi, nie mogą się wszyscy znać, na pewno różni obcy latają w tę i z powrotem i nikt ich nie pyta po co. No to może i on. Co prawda tą dziurą, którą on tu przyszedł, chyba mchu za dużego się nie praktykuje, ale może się nie zorientują. Nie miał zresztą innego wyjścia. Wstał i poszedł w kierunku świateł.

Idąc, słyszał coraz głośniejszy metaliczny rumor. Trafił chyba do miejsca intensywnej pracy, akurat takiego, których powinien unikać. Doszedł do pierwszej grupy świateł. Trzech górników układało w stertę pogięte żelastwo i połamane betoniki, które nosili skądś z głębi chodnika. Minał ich, podnieśli głowy i obserwowali go w milczeniu. Gdy już prawie nabrał pewności, że go zignorują, usłyszał zza pleców:

- Szczęść Boże, śleper!
- Co...? - Przystanął i odwrócił się.
- Godo się „szczęść Boże”, jak się górników przy robocie mijo, chamoto. - Nie widział twarzy mówiącego zza lampy na hełmie, głos był niski, chropawy i z pewnością należał do osoby co najmniej w sile wieku.
- Szczęść Boże, sorry, spieszylem się, zagapiony byłem, nie zauważyłem. - Nie wolno teraz prowokować żadnych spięć z tutejszą załogą. A doświadczenie przydatne, może nadać się w przyszłości.

- Dej pozór, byś jajec w tym pośpiechu kajś nie zapomniół.
- Parsknął tamten, a pozostali zawtórowali mu zgodnym rechotem.

Zaśmiał się także uprzejmie, odwrócił i poszedł, nie czekając na dalsze dowcipy. Wdawanie się w jakąkolwiek dyskusję było niebezpieczne.

Huk i szcękanie narastało, pojawiło się też kilka następnych postaci, uwijających się w tumanie czarnoszarego pyłu, wydobywającego się skądś z prawej, gdzie już widział olbrzymią zwrotnię stalowego przenośnika. We wnęce przed nią pracowało kilku czarnych jak negrzy z przedwojennego kabaretu górników, dalej jeszcze dwóch.

Nauczony doświadczeniem wrzasnął:

- Szczęść Boże! - próbując, przekrzyczeć hałas, ale bez skutku, nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Podszedł bliżej i spojrzął w głąb wyrobiska, gdzie zagłębiał się przenośnik i skąd płynęło czarne od pyłu powietrze. Zobaczył nieskończony ciąg niskich siłowników wspierających stalową płytę, które podpierały strop. Z prawej strony miał odkrytą ścianę węgla, z lewej, za wiszącymi stalowymi osłonami - kamienny zawał. Miejsca na przejście było, wydawać się mogło, na nieduże dziecko, a jednak dostrzegł wśród siłowników skulone sylwetki operatorów. Opuszczali kolejno płyty spod stropu i przesuwali całe segmenty bliżej węgla, nie zwracając większej uwagi na sypiący się im na głowy kruszeń ani na wałące się im za plecami gigantyczne głązy.

Miał tędy iść? Co powiedziec tym wciśniętym między maszyny ludziom? Przepraszam, ja pod szyb? Czy w ogóle da się

tędy przejść, co jest na dole? Uświadomił sobie, że nie ma szans, a niebagatelną rolę w tym uświadomieniu odegrał fakt, że po raz pierwszy naprawdę się bał. Nie tych ludzi, nie zgrzytającego zgrzeblami przenośnika mastodonta, lecz Niewiadomego, wypełnionego po brzegi dzikim żywiołem skał.

Musiał zawrócić. Zrozumiał, że nie może ryzykować wejścia w tę straszną dziurę, gdzie jeśli nie ludzie, to z całą pewnością natura nie dopuści, by przeszedł cało. Czekają go jeszcze ponowne spotkanie z tamtymi trzema, ale znieśie i to, byle oddalić się z tego miejsca, które tak wypełniało go strachem. Stał jeszcze chwilę i poszedł z powrotem.

- Szczęść Boże - powiedział profilaktycznie, gdy ponownie dotarł do trzech górników. Uznał, że lepiej trzy razy za dużo niż raz za mało.

Odpowiedziało mu rechotanie.

- Kaj tam leziesz? - zapytał w końcu jeden z nich. - Tam nikogo nie ma.

- Wylać się muszę - wymyślił na poczekaniu. - Zaraz wracam i idę dalej.

- He, he, a nie zapomnij potem powiedzieć „szczęść Boże”, jak będziesz wracać.

Rozrechotali się na całego. Pomiął to milczeniem, chciał jak najszybciej opuścić towarzystwo wesółków. Na pewno nie będzie już im więcej „szczęśćbożował”, już tu nie wróci. Pewnie się na chwilę zdziwią, a potem zapomną, bo mają robotę. A jeśli nawet nie, nie obchodziło go to, nie będą przecieź lecieć za jakimś dziwnym obcym. Może komuś zgłoszą, lecz on tymczasem będzie daleko.

Dotarł do szybiku, poświecił w górę. Lampa dawała jeszcze jakiś blask, ujrzał drabinę okrągłaków nad sobą, ginącą w ciemności, którą już poznał. Kucnął i wszedł do kasztu, wyciągnął rękę w górę, mocno chwycił okrągłak, podciągnął się i rozpoczął wspinaczkę, krok za krokiem z powrotem.

Gdy dotarł do przecinki z tamą, lampa świeciła zupełnie na żółto. Przeszedł służę szybko, stanął u podnóża pochylni. Czekala go ostatnia wspinaczka, która zerowała jego dotychczasową wędrówkę po kopalni. Sytuacja wróci do stanu, gdy zorientował się, że zabłądził. Będzie więc musiał wrócić jeszcze kawałek - gdzieś tam po drodze będzie właściwe skrzyżowanie i właściwa upadowa, tamtędy dojdzie na pewno, bez eksperymentów i bez ryzyka. Potem poczeka pod szybem ile będzie trzeba na jakąś większą grupę wyjeżdżających i tyle go zobaczą. Obiecał sobie, że więcej nie przyjmie zlecenia choćby ocierającego się o górnictwo.

Wyglądało łatwo, lecz gdy przeszedł około stu metrów, łatwa część niespodziewanie się skończyła. W miejscu, w którym domyślał się skrzyżowania, migotały liczne lampy, słyszał liczne zmieszane głosy. Bluznął ordynarnie, bo o tym nie pomyślał. Wiedział kto to i w jakim celu tu się znajdował. Zostawił tu przecież trzy trupy, zaś Nakonieczny z pewnością zdążył zadzwonić.. . Trzej zastrzeleni w kopalni to nie jest rzecz powszednia i błaha, a czasu minęło mnóstwo. Pewnie połowa szefostwa tu jest, kto wie, czy i nie policja. Pośpiesznie zgasił i tak rachitycznie świecącą lampę i kucnął pod obudowę. Co miał robić? Jeśli poczeka tu, aż towarzystwo się rozejdzie, latarka wyładuje mu się do końca i wtedy zacznie się zabawa. Szanse, że dotrze w ten sposób pod

szyb, nie błędząc, nie rozwalając głowy o żelastwo, którego tu pełno, i nie zwracając na siebie uwagi, były niemal zerowe. Zwłaszcza w sytuacji podwyższonego alertu na skutek jego własnego działania. Z pewnością zablokują wyjazd, będą pilnować... Nie, powinien wycofać się jak najszybciej. Chyba jest stąd jakieś inne wyjście? Przypomniawszy sobie, że gdy pierwszy raz w tym miejscu zabłądził i poszedł chodnikiem, minawszy skrzyżowania z pochylniami, przeciąg wiał mu ciągle w twarz. A więc jest tam gdzieś jeszcze przejście do szybu. I musi z niego skorzystać, póki nadal coś widzi. Odwrócił się i poszedł prosto przekopem, pod wiatr.

Szedł już prawie godzinę, ciągle tym samym chodnikiem, pustym i ciemnym, przyświecając sobie gasnącą lampą. Nie świecił bez przerwy, na krótko włączał światło co jakiś czas, by ocenić przestrzeń przed sobą, po czym gasił je i posuwał się naprzód, trzymając się dłonią obudowy. Dawno minął poznane już skrzyżowanie, potem jeszcze dwa. Nie ryzykował zejścia, postanowił dojść do końca chodnika, ile by mu to nie zajęło. Gdzieś się to przecież zaczynało, gdzieś będzie wyrobisko, które go doprowadzi szczęśliwie do świata. Upewniał go w tym fakt, iż cały czas czuł na twarzy powiew, który początek musiał brać przecież z powierzchni. Znajdował się, jak przypuszczał, w części kopalni, gdzie już od dawna nie prowadzono żadnych robót, bowiem od czasu, gdy zawrócił, nie napotkał żywego ducha, a jedynym świadectwem, że część ta ma cokolwiek wspólnego z życiem kopalni na niższych poziomach, było kilka zapomnianych pogiętych wozów urobkowych, stojących u wylotu jakiegoś ciasnego chodnika, wiodącego w lewo od trasy jego

wędrówki. W sumie wolałby nie być aż tak bardzo sam - przyszło mu do głowy, że napotkanemu samotnemu robotnikowi mógłby odebrać lampę, raczej siłą niż po dobroci, nie miał co do tego złudzeń, ale nie miał też skrupułów.

Po kolejnym kwadransie raptem w słabym świetle lampy wydało mu się, że zauważył przed sobą skuloną po drugiej stronie torowiska sylwetkę. Przystanął. Ktoś tu jest? Chyba nie, nie widział światła. Ruszył ostrożnie i po pięciu krokach ponownie włączył reflektorek. Był tam, siedział w kucki na kawałku taśmy od przenośnika i jednak świecił - słabiutko, słabiej chyba niż on, ale jednak. Patrzył wprost w blade światło zbliżającego się przybysza i nie ruszał się. Cichy poczuł rozczarowanie: takie światło do niczego mu się nie przyda, a sam człowieczek spod ociosu? Przyjrzał mu się w milczeniu. Stary i chyba zmęczony, wyglądał, jakby nie miał zamiaru w ogóle się stąd ruszać.

Podszedł bliżej i stanął nad siedzącym.

- Hej, gościu, co ty tu tak po ciemku?

Milczenie.

- Dojdę tędy do szybu? - zapytał, nie rezygnując. Do czegoś tę obecność musiał wykorzystać.

- Nie masz jakiej lampy? - kontynuował, byle coś powiedzieć; nie miało to sensu, ale mieć nie musiało. - Moja całkiem kaput. - Machnął słabym światelkiem. - Może byś mnie zaprowadził gdzieś do głównej drogi, co? Zapłacę ci za fatywę.

Człowiek zza torów podniósł ku niemu twarz, coś półgłosem odpowiedział, Cichy nie dosłyszał co.

- Jak? Gadaj głośniej. - Nachylił się ku niemu.

- Nie bydzie z ciebie nic - usłyszał. A potem jeszcze śmiech.

Wyprostował się raptownie, jakby go te słowa fizycznie ugodziły. Sięgnął ręką za pasek z tyłu, ścisnął w dłoni rękojeść sig sauera, ale zaraz puścił. Nie, nie będzie zabijania, wystarczy, nie płacą mu za wyściełanie sobie drogi zwłokami.

- Idź w pizdu, siedź tu do usranej śmierci, głupolu - warknął.

Ruszył dalej, przez jakiś czas nasłuchując, czy tamten nie idzie za nim. Nie szedł, znów było cicho, ciemno i pusto. Przekop wyraźnie się zwięził, wkrótce mieścił się w nim tylko jeden tor, a nisko wiszący rurociąg zmuszał do wędrowki z pochyloną głową. Nie wiedział, czy brać to za dobry omen zbliżającego się końca wędrowki, czy też może przeciwnie.

A później przestało być pusto. Stopniowo, w dużych interwałach czasu, poczęło ku niemu spływać z nicości poczucie czyjejś obecności, to samo, którego już uprzednio doświadczył. Początkowo słabe jak złudzenie, brał je za objaw zmęczenia i napiętej uwagi. Potem pomyślał, że może ten stary pełźnie jednak za nim; światło miał liche i pewnie oszczędza jak on, więc go nie widać. Ale nie był to stary i nie było złudzenie...

Najpierw pod nogami zobaczył biegnące myszy. Zaklął głośno, gdy jednej omal nie rozdeptał; uskoczyła z cichutkim piskiem i zniknęła w szczelinach skał za obudową. Inne były sprytniejsze, nie zbliżały się, mijały go w odległości nie mniejszej niż metr, a później, jak tamta, kryły się między okładzinami i kamieniami. I nagle był już pewien, że wystarczy się odwrócić. Nie zwalniając kroku, powoli sięgnął

za pasek i wyciągnął pistolet. Odbezpieczył w locie, skacząc w bok i oddając cztery strzały w mrok, szybkie jak seria. Potem jeszcze dwa, a potem już tylko krzyczał, krzykiem najszczerszym ze szczerych, wysokim i czystym, przenikającym w głąb między warstwy górotworu ku najstarszym, przedwiecznym szczelinom, ku uskokom i kawernom, między druzy, sekrecje i geody, w prastarą ciemność, skąd przyszedłem.

Każdy, kto mnie widzi, krzyczy. Nie jestem piękny.

*Szczecinowo,
listopad 2014 r.*

Poczuła to. Poczuła tak wyraźnie, z taką pewnością, jak gdyby wokół było jasno i wszystko potwierdzał wzrok. Tak, ktoś tu był. Na pewno, nie musiała nawet słyszeć kroków, czuła je wewnątrz, w sobie, w drganiu ściśniętej strachem tchawicy, w trzępocie za mostkiem, w niespodziewanej kropli potu, która wolniutko zimną strużką spłynęła jej spod helmu na szyję.

– Kto tu? – krzyknęła i panicznie powiodła snopem światła dookoła siebie.

Nikogo. Pobieгла, potykając się o podkłady starego torowiska. Już nawet nie próbowała przekonywać się, że coś sobie wmawia, że cisza, ciemność i strach tworzą w niej to złudzenie. Uległa mu całkowicie, poddała się. Biegła z zapowiedzią krzyku na wargach, wpatrując się w koniec strumienia światła przed sobą, aż wreszcie pojawiła się w nim drewniana zaporą wylotowej tamy i ten widok spowodował, że panika spłynęła z niej niczym strumień wody, a w to miejsce pojawiła się ulga. Zwolniła. Ufff, koniec, zaraz wyjdzie stąd, potem tylko parędziesiąt metrów do tamy pożarowej, stamtąd zadzwoni do dyspozytora i wróci. Już nie tędy, nie ma głupich. Pójdzie prosto na przekop, dłuższą drogą, ale ponownie wchodzić w tę straszną przecinkę nie miała zamiaru.

Do tamy było nie więcej niż piętnaście metrów. Może nawet mniej. Może dziesięć. Jeszcze szła w jej stronę, gdy ogarnęła ją lodowata pewność, tak wielka i obywatelska, że zdusiła wszelki odruch obronny. Odwróciła się. W świetle lampy zobaczyła – i w jej oczach... Groza, ten wyraz okrutnej, przerażającej emocji został w jej oczach dla tła, co ją tu mieli znaleźć.

Po zardzewiałych wręgach obudowy poniosło się krótkie, stłumione echo dziewczęcego krzyku. Została po nim ciemność. Ciemność, a w niej błyszczące oczy chudych myszy.

Thriller kryminalny z elementami ezoterycznymi, osadzony w nietypowym środowisku kopalnianych podziemi. Kiedy w jednym z chodników zostaje znalezione ciało młodej inżynier, nikt nie przypuszcza, że to początek serii nagłych zgonów. Dyrektor kopalni postanawia włączyć w śledztwo znajomego detektywa, który jako inspektor bhp ma rozejrzeć się pod ziemią. Sprawę utrudnia fakt, że jego śladem rusza płatny zabójca, wynajęty przez mafiosa, który ma do wyrównania z Nakoniecznym stare porachunki. Kiedy dochodzi do kolejnych morderstw, wśród górników narasta atmosfera grozy i strachu. W egzotycznym dla czytelników środowisku rozgrywa się pojedynek z przeciwnikiem, który uważa kopalnię za swoje królestwo...



Wojciech Bauer (ur. 1954 w Eiku) – polski pisarz. Od 1973 roku mieszka w Gliwicach. Ukończył Politechnikę Śląską i MBA w dziedzinie zarządzania. Bankowiec, ekspert od badania rynku, stali. Debiutował w 1991 roku powieścią fantasy *Wieża Życia*, po czym zamilkł na 14 lat. W roku 2005 powrócił powieścią *Ajantial*, tworzącą wraz z *Wieżą Życia* dylogię *Dzieje Laimy*. W 2007 roku ukazała się powieść *Zapach trzciny*, inspirowana biografią autora, a w 2013 jego dwie kolejne powieści: *Śpowiednik rzeczy* i *Wszystkie nieba*.

Pokaż obraz



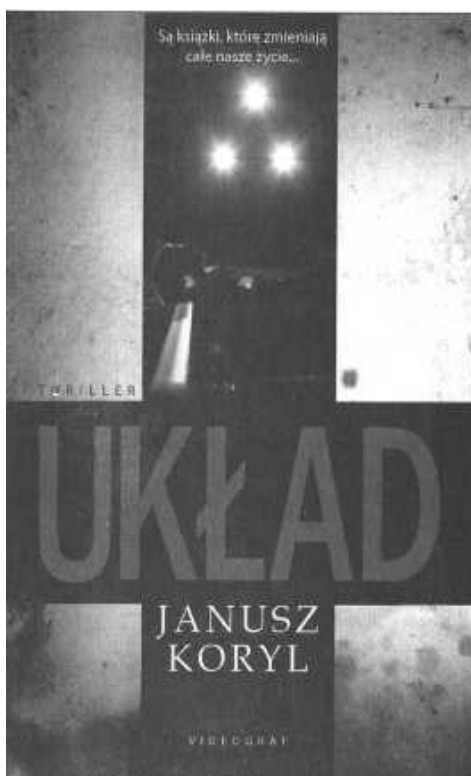
Pokaż mapę





W 1943 roku dochodzi do przerażającego wydarzenia w nazistowskich bunkrach Olbrzyma w Górach Sowich. Dwa lata po wojnie brytyjski marines zostaje z grupą najlepszych komandosów wysłany na Antarktydę, gdzie cudem udaje mu się przeżyć.

Czasy obecne. W okolicy norweskiej stacji Troll na Ziemi Królowej Maud dochodzi do spektakularnego odkrycia, a w Oslo zostaje zamordowany ceniony pracownik naukowy. Tymczasem w ręce młodego dziennikarza z Polski trafiają stare nazistowskie dokumenty, które jego dziadek znalazł dzień przed śmiercią w kompleksie Olbrzyma. Wnuk postanawia rozwiązać zagadkę, a kolejno odkrywane fakty okazują się coraz bardziej szokujące i niebezpieczne. Wplątują go w walkę bezwzględnych wywiadów, a każdy kolejny krok prowadzi do rozwiązania mrocznej tajemnicy, która może doprowadzić świat na skraj zagłady i zmienić go w prawdziwe piekło na ziemi...



Na jednym z rzeszowskich osiedli znaleziono zwłoki młodego chłopaka, który wyskoczył z szóstego piętra wieżowca. Wkrótce potem dochodzi do kolejnych samobójstw, które łączy ze sobą zagadkowy napis pełniący rolę swoistego listu pożegnalnego. Policja staje przed nie lada wyzwaniem. Prowadzący śledztwo komisarz Paweł Wolański musi znaleźć odpowiedź na pytanie, co jest przyczyną tragicznych wypadków i jak zapobiec kolejnym samobójstwom. Podążając tropem tajemniczego napisu, dokonuje niezwykłego odkrycia, wystawiającego na próbę jego zdrowy rozsądek i sceptycyzm wobec działania sił nadprzyrodzonych.

Thriller kryminalny, jakiego jeszcze nie było!

Wojciech Bauer postawił na rozwiązania oryginalne, bardzo rzadko wykorzystywane przez autorów polskich kryminałów. Wyjątkowy jest główny bohater powieści, absolutny loser, samotny, stary i schorowany były esbek, który zмага się z demonami przeszłości i wikła w niebezpieczne układy z mafią, by zapewnić sobie jaką taką przyszłość. Nietypowe jest też miejsce akcji, czyli podziemia kopalni węgla kamiennego, kojarzące się raczej z tragicznymi wypadkami, a nie z serią brutalnych morderstw na górnikach. A do tego jest jeszcze wątek pradawnego lęku, ponieważ *Pora chudych myszy* to nie tylko opowieść kryminalna, ale przede wszystkim książka o strachu w różnych jego odmianach i przejawach. Jedna z ciekawszych, jakie czytałem.

Robert Ostaszewski – autor kryminałów, krytyk literacki

Pora chudych myszy to kryminał mroczny, duszny i klaustrofobiczny, jak miejsce, w którym częściowo rozgrywa się jego akcja. Fabularnie czerpie z klasyki kryminału, ale równocześnie łamie konwencję i to w dwójnasób: lokując bohaterów i wydarzenia w miejscach do tej pory w tym gatunku niespotykanych oraz wprowadzając element... No, właśnie. Gdzie znajduje się rozwiązanie zagadki: tam, gdzie ludzie próbują ją rozwikłać, czy tam, gdzie ją zadano?

Powieść Bauera i pisk myszy zostały mi w głowie na długo po tym, jak skończyłem czytać. Polecam.

Marek Stelar – autor *Rykoszetu* i *Twardego zawodnika*

Drogi Czytelniku, zastanów się dobrze nad lekturą tej książki. *Pora chudych myszy* jest niczym kopalnia bez dna. Wkraczasz do smolistego, mrocznego i pełnego grozy świata Bauera na własną odpowiedzialność, jednak jak się odważysz, to... będziesz niewyspany, ale zachwycony. Ja byłam.

Paulina J. Król – wswiedieslow.blogspot.com

Rasowy thriller. Dający do myślenia i wciągający bez reszty.

Robert Cichowlas – pisarz, autor horrorów

Tego jeszcze nie było! Wojciech Bauer umieścił akcję swojego thrillera głęboko pod ziemią, w labiryncie kopalnianych chodników. Proza Bauera jest mroczna niczym śląski diament, jak górnicy mawiają na węgiel. Tyle że jest to diament już oszlifowany latami praktyki literackiej. Przyszła pora na dobrą lekturę. *Pora chudych myszy*.

Marta Matyszczak – Kawiarenka Kryminalna



Darmowy fragment
książki w formacie epub



Patronat medialny:

portalmedialny.pl

CRABARZ.NET



Kawiarenka
Kryminalna.pl



Wzrost
cier
PAULINA J. KRÓL

Serwis edukacyjny:
edu.pedia.pl

ISBN 978-83-7835-460-4



9 788378 354604

Cena 32,90 zł (w tym 5% VAT)